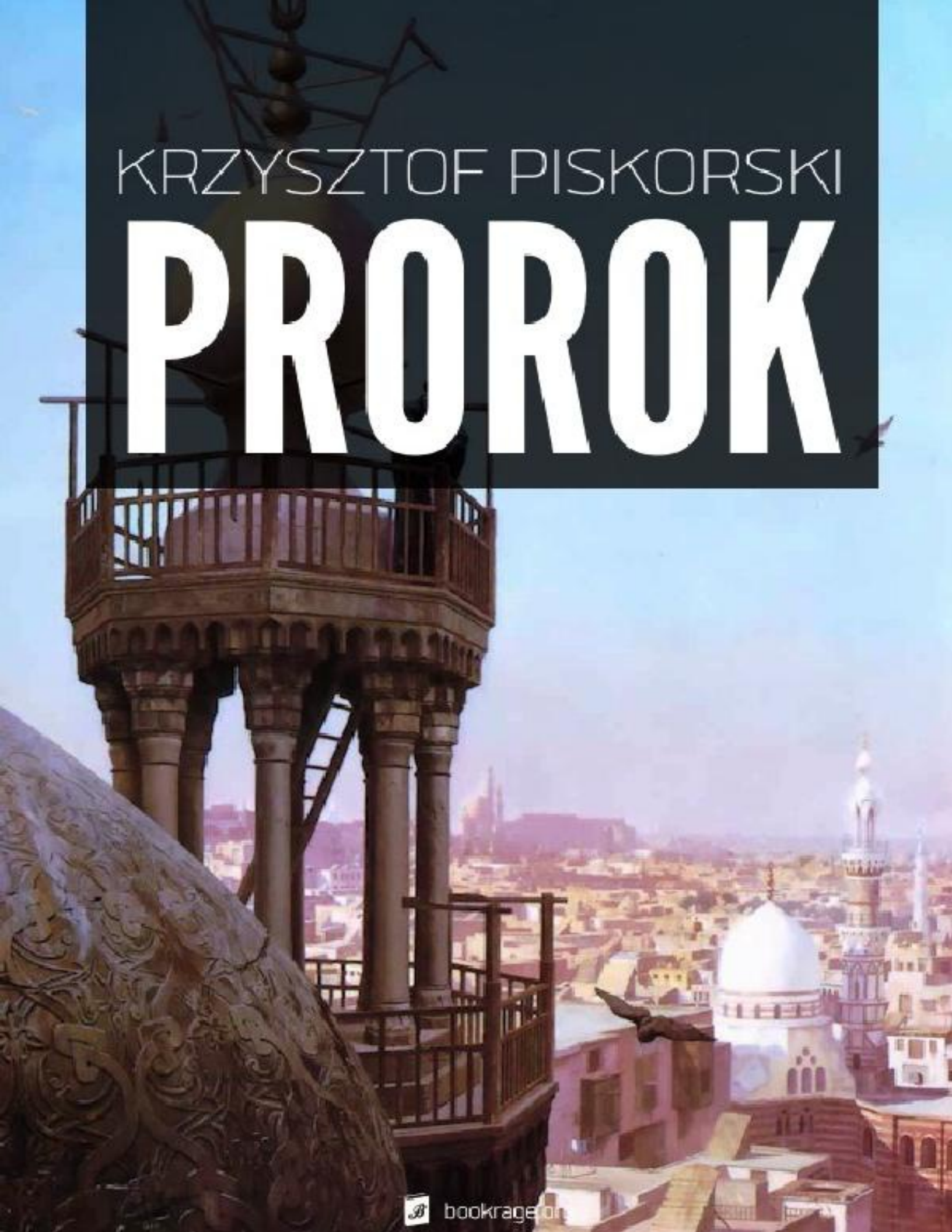


KRZYSZTOF PISKORSKI

PROROK



bookrage.pl

Krzysztof Piskorski

PROROK

Opowieść piasków. Tom III

Rozdział 1. Płomienie na wodzie

„Biały Rumak” ześlizgnął się po fali, a pienne rozbryzgi porwał wiatr, rzucając je w twarz ludziom, miotając nimi o żagle. Van Dreyck skulił się — próbował chronić kartę pergaminu, choć i tak była już upstrzona plamami wilgoci.

— Lewo na burt! — ryknął kapitan. — Przejdziemy im za rufą!

Gedialańska karawela zaczęła powoli skręcać. Wkrótce podskoczyła na kolejnej fali, a van Dreyckowi żołądek podszedł do gardła. Wstał niepewnie, ślizgając się po mokrym pokładzie, i wyrzwał za burtę. Galera Yauranu już reagowała na ich manewr, lecz jej długi kadłub, nawet pchany siłą wioseł, nie mógł obrócić się równie szybko pod wysoką falę. Za nią van Dreyck widział, jak na wzburzonym morzu tańczą bezładnie dziesiątki innych okrętów. Niektóre płonęły, inne dryfowały szczipione hakami. Ich dowódcy próbowali dokonać rzeczy niemożliwej, walcząc jednocześnie i z wrogiem, i z dzikim oceanem. Okręty wpadały na siebie, miotane przez fale, ostrzeliwały się z wielkich balist. Kilka miało na dziobach dziwne maszyny, rzygające ogniem na kilkadziesiąt stóp. Z yaurańskich galer spuszczano co jakiś czas na wodę tajemnicze, podłużne kształty, które mknęły sypiąc iskrami w stronę wroga.

Morze pełne było nieszczęśliwych, którzy wypadli za burtę. Nikt jednak się nimi nie przejmował. W środku bitwy wyławianie marynarzy było szaleństwem, a zresztą ich głowy i tak szybko znikwały, przykryte wysokimi na dziesięć stóp falami.

Van Dreyck nigdy nie przypuszczał, że bitwa morska może być tak chaotyczna, tak desperacka i straszna. Chwilę stał nieruchomo, ściskając pobielającymi palcami mokrą burtę.

— Schowajcie się pod pokład, mości poeto! — zawołał bosman, przebiegając tuż obok. — Jeśli wypadniecie, nikt wam nie pomoże!

Obok trzeszczały liny, marynarze przekrzykiwali się wśród ryku morza, a kapitan popędzał załogę dziobowej balisty — pięciu barczystych ludzi zmagających się z korbą naciągową.

Trubadur poczuł mdłości i gdy okręt wzniósł się znów na fali, opadł miękko do swojej kryjówki pod burtą, między zwoje mokrych lin. Skulony, wyciągnął spod pachy przenośny pulpit z przytwierdzonym pergaminem, po czym zaczął skrobać kawałkiem węgla: „Wśród wód szalonych, dzikiej...”.

Statek stoczył się w dół, a van Dreyck, powstrzymawszy odruch wymiotny, przycisnął deseczkę z pergaminem do piersi.

— Trzy w górę, cztery w lewo! — krzyczał kapitan do obsady balisty.

— Jest trzy w górę, cztery w lewo.

Zatrzeszczały wielkie, drewniane zębatki maszyny.

— Ognia.

Świst bełtu.

Dłoń van Dreycka trzęsa się, stawiając litery krzywe jak u dziecka, na dodatek część pierwszego zdania już się rozmasała od wilgoci. Mimo to pisał dalej: „... burzy, okręt swe żagle stroszy dzielnie...”. Tu przerwał, bo wokół rozległy się ryki radości. Widocznie statek wroga został celnie trafiony, na linii wody, tak by powoli zaczął tonąć. Van Dreyck nie wstał jednak, by to obejrzeć, tylko naciągnął kaptur i zamaszystym ruchem skreślił ostatnie słowa. Jak mógł w ogóle coś takiego wymyślić? „Wód szalonych... stroszy dzielnie...”! Plewy i banały!

Tymczasem na burcie rozległy się rozkazy:

— Do lin, do lin. Ster prawo na burt! Do lin, na Eyul!

Galera wroga musiała wciąż ich ścigać. Okręt ześlizgnął się po fali bokiem, a van Dreyck poczuł w ustach smak odkrztuszonych wymiocin. Próbował się skupić na tekście, lecz jego myśli rozplływały się jak morska piana po deskach pokładu. Znieruchomiły, myślał o tym, jak dobrze byłoby teraz wędrować z Brenvanem, Kashimem oraz Vailaną — do bezpiecznych krain, dalekich od wojny. Przekłęci! Jak mogli zostawić go tutaj, na kilka dni przed inwazją cesarskiej floty? Najpierw uciekł Al’Shannagg oraz kondotierka, następnej nocy zniknął Brenvan, zupełnie jakby jakaś niezrozumiała siła ciągnęła go za obcokrajowcem.

Manewry po wzburzonym morzu jakby nie miały końca. Van Dreyck co jakiś czas wychylał niepewnie głowę, by ocenić sytuację. Z każdą chwilą przybywało pływających wraków, zdanych na szaleństwo oceanu. Yaurańska galera, która wzięła ich karawelę na cel, zaczęła zwalniać, pewnie za sprawą wody wdzierającej się pod pokład szeroką wyrwą.

Trubadur odetchnął i osunął się na zwój lin, lecz wtedy ktoś z rufy krzyknął:

— Kapitanie! Dwa cesarskie okręty tuż za nami!

Marynarze rzucili się do pracy ze zdwojonym zapalem, van Dreyck zaś — przeciwnie — poczuł, że opuszczają go resztki sił. Jak bardzo żałował teraz, że miał kaprys stworzyć poemat o bitwie morskiej! Obiecał sobie, że

jeśli wyjdzie z tego cało, będzie już do końca życia siedział w przytulnym, ciepłym domu i pisał o ogniu trzaskającym w kominku.

*

Bacharny ryczały i klinowały się wzajemnie w wejściu do małej zagrody. Dzień się kończył, więc pasterze próbowali zagonić bydło za ogrodzenie, co było trudnym zajęciem dla ledwie trzech osób.

Mężczyźni klęli na czym świat stoi, ale nie przerwali pracy. Zwierzętom pozostawionym za płotem mogłoby się coś stać. Wypędzili bowiem stado aż na nawiedzone pustkowia po wschodniej stronie Tel’Halik. I choć zabezpieczyli tę małą oazę żerdziami, na których powiewały skóry ze słowami Księgi, to nocą, gdy leżeli skuleni w namiocie, zdawało im się, że słyszą chichoty pustynnych duchów, podchodzących pod obozowisko.

Gdy bacharny znów się zaklinowały, jeden z pasterzy wpadł między nie, by rozgonić je kijem, nie bacząc na ryzyko. Dwójka jego towarzyszy ze wszystkich sił próbowała utrzymać stado głupich, kosmatych kolosów w jednym miejscu. Czerwone słońce zanurzyło się już pomiędzy wydmami niczym owoc granatu rzucony na poduszkę.

Opiekunowie bacharnów bali się stracić choć jedno zwierzę, bo stado, podobnie jak wiele innych stad zarekwirowanych prywatnym właścicielom, należało do Pierwszej Świątyni. A Świątynia była najsurowszym panem. Sam Kar’Shin przykazał, by pasterzowi, który doprowadzi do śmierci bacharna, odebrać miesięczne wynagrodzenie. Za drugą śmierć wymierzano mu pięćdziesiąt kijów; słabsi nie przeżywali tej kary, silniejsi dochodzili do siebie długimi tygodniami. Gdyby taki nieszczęśnik stracił potem jeszcze jedno zwierzę, mógł się spodziewać oskarżenia o zdradę, a to równało się śmierci.

Odkąd w Tel’Halik zaczął panować głód, odkąd zaczęło brakować niemal wszystkich towarów, Duzzahowie coraz częściej mówili, że to wina spekulantów i sabotażystów, którzy chcieli przeszkodzić prorokowi we wprowadzeniu jego wielkiego planu. A gdy majątki ziemskie rekwirowane możliwym przestawały dawać odpowiedni dochód, słano tam zaraz Jastrzębie Najwyższego, by odnalazły i ukarały „zdrajców”. Zawsze można było przecież kilku wskazać.

Na domiar złego teraz, gdy wokół Tel’Amman trwała krwawa podjazdowa wojna, pasterze nie mogli korzystać z zielonych i żyznych łąk na brzegach Shaprut. Świątynia słała ich więc do zapomnianych, dalekich oaz, które widniały na mapach sprzed dwustu lat. Nie raz i nie dwa zdarzało się,

że taka wyprawa kończyła się śmiercią wszystkich członków, którzy, dotarwszy we wskazane miejsce na skraju wyczerpania, odnajdowali tam jedynie suchy piach i kikuty zeschniętych drzew. Jakby tego było mało, co młodsi i silniejsi pasterze Tel'Halik zostali wcieleni do armii. Za Zerakhima jednym stadem bacharnów opiekował się tuzin krzepkich parobków; dziś było to najczęściej trzech lub czterech starszych mężczyzn.

Nic dziwnego, że gdy bacharny wreszcie zostały zamknięte w zagrodzie, pasterze słaniali się na nogach ze zmęczenia. Słońce już niemal zaszło, a spoceni mężczyźni drżeli od podmuchów lodowatego wiatru. Dwóch od razu zaszyło się w namiocie, by zjeść coś i odpocząć, trzeci jednak zaczął wspinać się na pobliską wydnię. Stanąwszy na szczycie, przez moment podziwiał piękny, złotożółty kolor piasku, skrzącego się w ostatnim świetle dnia. Potem ulżył swojemu pęcherzowi.

Chwilę później, gdy wiązał sznurek płóciennych szarawarów, jego uwagę niespodziewanie przyciągnął jasny błysk nad szczytami wydm. Mężczyzna utkwiał w nim wzrok i w miarę jak jasna błyskawica zbliżała się ku niemu, lecąc na granicy piasku oraz nieba, krew odpływała mu z twarzy. Zachwiał się, niemal przewrócił, a potem zbiegł w dół, krzycząc z przerażenia.

*

Z górnego pokładu „Syna Siedmiu Mór”, potężnej galery zbudowanej w stoczniach Dindź jako okręt flagowy, roztaczał się imponujący widok. Mostek kapitański wyniesiono tak wysoko, że gargantuiczne, prostokątne żagle niemal muskały głowy ludzi, którzy na nim stali. Okręt był jak wzgórze z drewna, wyrosłe nieoczekiwanie pośrodku wzburzonych fal. Ts'Rang Seledynowy Pazur siedziała na szczycie tego wzgórza, z kamienną twarzą przypatrując się piekłu na morzu.

— Pani — rzekł jeden z oficerów i podał lunetę. Jego dłoń, pokryta oliwkową łuską, odbiła światło pożogi. — Na północnym skrzydle buntownicy zdobyli trzy statki. Galera kapitana Ar'Zarga jest uszkodzona, wiatry znoszą ją daleko od pola bitwy...

— Gedialan... — zaczął drugi oficer, lecz przerwał, gdy Ts'Rang spiorunowała go wzrokiem.

— To buntownicy, nie Gedialan, żołnierzu. Nie ma Gedialanu. Boski Cesarz jest panem całego świata, a każdy, kto mu się sprzeciwia, to godny srogiej kary rebeliant. Zapamiętajcie!

Zawstydzony oficer skinął głową, a Ts'Rang odepchnęła podaną lunetę i podniosła się z tronu. Miała wystarczająco silną krew, by widzieć lepiej niż

każdy z podległych jej oficerów. Podniosła wzrok ponad żagle szcepionych w boju okrętów, ponad ogień i kłęby dymu. Istotnie, na północy bitwa zdawała się przegrana. Te cesarskie okręty, które były jeszcze sprawne, szybko osaczyła wataha mniejszych i bardziej mobilnych karawel buntowników. Potwierdziły się obawy, które wyrażali jej inżynierowie przed bitwą. Galery Boskiego Cesarza, choć potężnie zbudowane i szybkie, w bliskim zwarciu łatwo oddawały pole okrętom wroga. Ich kwadratowe żagle i sztywne reje nie były przystosowane do częstych zwrotów i ostrych kursów, podczas gdy trójkątne ożaglowanie gedialańskich statków pozwalało im zataczać ciasne koła nawet wśród wzburzonych fal.

— Rozkażcie sternikowi, kurs trzydzieści stopni lewo na burt. Przedrzemy się na północ, tam jesteśmy bardziej potrzebni.

Wkrótce „Syn Siedmiu Mórz” zaczął powoli skręcać. Jego dziób z żeliwnym taranem w kształcie głowy smoka wycelował prosto w płataninę zmagających się okrętów. Nie martwiło to jednak nikogo z załogi. Ich okręt był dwa razy wyższy niż inne. Jego burty zrobiono z dwóch grubych warstw najtwardszego dębu, wzmocnionych żelaznymi okuciami. Żaden okręt Gedialanu nie mógł się równać z tym kolosem. W ciągu pierwszej godziny bitwy posłał na dno już cztery, rozbijając je niczym dziecięce zabawki z kory.

Jednak od miejsca, w którym yaurańskie galery stawały w ogniu, dzieliła ich szeroka połać wzburzonego morza. Ts’Rang zaczynała obawiać się, że wszystko dobiegnie końca, nim osiągną cel. Na domiar złego przez kurtynę dymu przedarła się biała strzałka, która zatoczywszy krąg nad mostkiem, wylądowała na barierce nieopodal jednego z oficerów. Mistrz ptaków delikatnie odczepił tuleję od nogi gołębia i podał ją adiutantowi Ts’Rang. Ten, przeczytawszy wiadomość, zbladł.

— Kapitan Gh’ieng wycofuje swoją eskadrę z centrum. Pisze, że jeśli załamię się północne skrzydło, to otoczą go przygniatające siły wroga.

— Gh’ieng. Przeklęty tchórz — parsknęła Ts’Rang.

Zapadła chwila ciszy. Wielki bęben wybijał rytm, w którym pracowały wiosła, z obu stron dochodziły odgłosy zaciętej bitwy.

Mimo to na mostku „Syna Siedmiu Mórz” zapanowała atmosfera świątyni. Ludzie patrzyli na swoją boginię wojny w nadziei, że jej wyroki będą mądre i łaskawe, a jej wszechwiedza ocali ich z żywiołu. Wiedzieli, że jeśli środek floty zacznie się cofać, bitwa będzie przegrana. „Syn Siedmiu Mórz” był potężnym okrętem, ale nie mógł stawić czoła całej armadzie wroga...

Ts'Rang rzuciła wokół wściekłym spojrzeniem.

— Na co się gapicie? — syknęła. — Żaden okręt z banderą Błogosławionego Cesarstwa nie może jej splamić ucieczką. Roześlijcie wiadomości do wszystkich kapitanów, by zgrupowali się wokół nas i walczyli do końca. Pozostaje nam mieć nadzieję, że siły Ur'Usuga dotrą tu przed zmierzchem.

Po chwili dodała, patrząc na płonące wrakimiotane falami:

— A jeśli nie, to przynajmniej zadamy im straty na tyle wielkie, by ci, którzy przyjdą potem, odnieśli zwycięstwo. Tego właśnie oczekuje od nas Cesarz.

Ludziom, którzy patrzyli na nią teraz z mieszaniną strachu i wyrzutu, nie powiedziała, że Cesarz przede wszystkim oczekuje tego od niej. Ts'Rang doskonale wiedziała, że lepiej było spocząć wśród wodorostów na dnie odległego morza, niż zaprzepaścić szansę odkupienia win, jaką dał jej Błogosławiony.

*

— Mów, no mów, Hiridź!

Pastuch potrząsnął towarzyszem z całej siły, lecz ten wciąż nie potrafił odpowiedzieć z sensem. Jąkał się tylko i trzął jak młoda palma na wietrze.

Trzeci z mężczyzn wlał mu do ust trochę rozcieńzonego wina z daktyli. Przerażony człowiek zrazu się zakrzuszył, lecz zaraz począł pić tak łapczywie, że w kilka chwil opróżnił niemal pół bukłaka.

— Teraz, na Jedynego, powiedz, co cię tak wystraszyło?

— Widziałem... demona. Najprawdziwszego, jak... jak z opowieści Duzzahów! Leciał tuż nad piaskiem, szybko niczym jaskółka, nie dotykał stopami ziemi. A raczej... nie dotykała, bo to była chyba kobieta. Skórę miała bladą jak u trupa, włosy barwy skrzepłej krwi.

Jeden pasterz cicho zaklął, drugi od razu chwycił za wiszący pod koszulą talizman.

— Dostrzegła mnie. — Głos mówiącego drżał. — Zatrzymała się na szczycie wydmy, nieopodal... Wtedy zobaczyłem dokładnie... Jej szata była dziwna, a ramiona i twarz pokryte drobnymi ciemnymi cętkami. Na Jedynego, myślałem, że to już koniec, że ten okropny stwór porwie mnie do Marrenvan. Na szczęście... Na całe szczęście poleciał dalej. Na wschód!

— Niech Jedyne ma nas w opiece! — Wyszeptał jeden z mężczyzn, a drugi osunął się na kolana.

Już samo pojawienie się demona było straszne, ale jeszcze gorszy zdawał

im się fakt, że zjawia odleciała w stronę serca Ocalonej Krainy — w stronę Tel’Halik i zamieszkanymi ziem. Czy naprawdę zbliżał się koniec świata? Bo fakt, że demony nie bały się już Światła Proroka, mógł oznaczać tylko jedno.

*

W czasach wojny i niepokoju rzadko widywano, by ktoś podróżował po zmroku. Nawet z dala od pól bitwy obawiano się band maruderów oraz pospolitych rzezimieszków, którzy w chaosie mogli widzieć szansę napełnienia sakiewek. Zwykli kupcy czy podróżni rozbijali obozy jeszcze przed zachodem słońca i tylko od czasu do czasu po zmierzchu przemknął goniec z pilną wieścią lub patrol strażników dróg.

Jednak tej właśnie nocy trójka podróżnych przemierzała podmokły leśny trakt na granicy Gotrlandu. Jechali w umiarkowanym tempie, cicho i ostrożnie, uważnie nasłuchując, czy ktoś się nie zbliża. Okolica była bagnista, więc rechoty żab i bzyczenie komarów niemal zagłuszały monotonny odgłos kopyt. Gdyby przy trakcie stał postronny świadek, z pewnością wzięłby tych ludzi za bandytów, którzy czekają na łup. Nie mógłby się bardziej mylić.

Wkrótce jeźdźcy zatrzymali się, bo daleko na końcu gościńca dostrzegli słabe światełka.

— Rogatki — rzekł cicho jeden z nich. — Na Warezara, przysięgłbym, że jeszcze rok temu ich nie było.

— Widać pamięć ci słabuje — zakpił drugi, wysokim, kobiecym głosem.

— Brenvan ma rację — odparł głos trzeci, z dziwnym akcentem. — Kupiec, któregoś pytał o drogę, nic o nich nie wiedział. Widać niedawno zbudowali.

— I jak teraz dostać się nam do Heimdergu? Przejedziemy podle nich? — spytała kobieta.

— Nie, zbyt to niebezpieczne, Vailano. W taki czas trójka ludzi pod bronią podejrzana wydać się musi. W najlepszym wypadku na dzień czy dwa nas wstrzymają. W najgorszym... Margrabiowie Gotrlandu już pewnie rozkazy werbownikom posłali, by siły do walki z najeźdźcą zbierać. Jeszcze by nas mogli przemocą w szeregi wcielić...

— Cóż więc robimy?

— Objazdu trzeba szukać — rzekł Brenvan. — Kupce to ostatnie kutwy, dla nich każdy grosz myta się liczy, więc blisko wszystkich rogatek dzikie objazdy są...

— Które często straż zna i swoich czatowników tam zostawia, by

oszustów grzywną albo ciemnicą karać — sparowała kobieta.

— Czasem znają, czasem nie. Musimy spróbować, bo nie o parę srebrników tu idzie, ale o naszą wolność. Więc jak, Kashimie?

Ten odpowiedział płytkim skinieniem głowy.

Podróżni zawrócili, przeczesując boki gościńca. Konie parskwały, zniecierpliwione przydługim marszem. Księżyc stał już wysoko na niebie, choć przesłonięty przez chmury nie dawał wiele światła.

Po kilku minutach jazdy Vailana odezwała się rozdrażniona:

— We dwójkę może i przemknąć bokiem by się dało, ale we trójkę, z panem rycerzem, co hałasu czyni, jakoby wózek z rondlami, nijak się nie da.

— Rycerz w kompanii zawsze się przyda — odparł Brenvan. — Zręczliwa baba zaś może być jedynie przeszkodą.

Vailana fuknęła ze złości.

— Mnie będziesz o zręczliwość pomawiał, panie szlachcic? Przecież to dla ciebie posłanie na leśnym mchu jest niegodne, a wszystkie karczmy brudne. Coś mi się widzi, że bez ciebie bylibyśmy już w sercu Gotrlandu.

Brenvan zatrzymał wierzchowca.

— Tego już za wiele. Nie będziesz ty mi...

— Uspokójcie się, trzeba nam za objazdem się rozglądać, a nie wróżdy między sobą szukać — przerwał im Kashim.

— Pan rycerz mnie obraził, a ty nawet słowa nie rzekniesz?

— Ty milczeć trzeba, a nie nowe słowa bez namysłu miotać — odparł sucho Al'Shannagg.

— Niedawno jeszcze... — Vailana nie dokończyła.

Kashim przymknął oczy i westchnął niemal bezgłośnie. Jego cierpliwość, cierpliwość Świętego Jeźdźca szlifowana w trakcie długich godzin nauk w madrasie, była na wyczerpaniu. Gdy Brenvan niespodziewanie dołączył do nich przed tygodniem, z początku Al'Shannagg cieszył się bardzo. Co prawda zostawił go umyślnie w Gedialanie, lecz teraz, gdy los z powrotem ich połączył, sumienie Świętego Jeźdźca ukoilo się na tyle, by Brenvan mógł zostać w kompanii, zwłaszcza że Kashim wiedział, jak miłym umiał być towarzyszem. Niestety, z każdym dniem rycerz oraz kondotierka coraz bardziej sobie docinali. W końcu nawet Kashim, który nigdy nie celował w odgadywanie ludzkich nastrojów, zorientował się, o co chodzi. Vailana była zła, że nagle pojawił się ten trzeci, że ich podróż, która miała być wyprawą pary kochanków, niespodziewanie zmieniła kształt. Brenvan zaś... Brenvan tak przywykł do wędrowania z samym Kashimem, że obecność kobiety

nieustannie go irytowała.

Wśród swarów i kłótni podróż ciągnęła się nieprzyjemnie, szczególnie dla Al'Shannagga, który z początku próbował zachować mediatorski ton, czym szybko rozdrażnił zarówno Vailanę, jak i Brenvana. Święty Jeździec nie potrafił jasno opowiedzieć się po którejś stronie. Kochał szczerze Vailanę, lecz gwoli sprawiedliwości musiał przyznać, że to ona najczęściej wszczyniała awantury, dogryzając Brenvanowi.

Wkrótce wypatrzyli wśród drzew ścieżkę, podmokłą i pełną kałuż, która znikwała w lesie. Wyglądała na nieużywaną od dawna, więc podróżni mieli nadzieję, że nikogo na niej nie spotkają. Nie mogli się bardziej mylić.

*

Van Dreyck wzdrygnął się, gdy dłoń rannego ścisnęła jego przedramię. Mężczyzna miał wybałuszone oczy, a jego głowa, lekko uniesiona na wyprężonej szyi, drgała jak u chorego na febrę. Krew pomieszana ze śliną ciekła mu z ust. Kawałek płótna, niedbale zarzucony na ranę, by nie straszyla widokiem otwartej klatki piersiowej i rozłupanych żeber, przesiąkł już całkiem krwią, zapadł się, oblepiając połamane krawędzie kości. W najbardziej wgłębionej części chusty rosła kałuża ciemnej krwi.

Spojrzenie trubadura zetknęło się na krótko z przymglonym wzrokiem umierającego. W tym momencie okręt opadł na fali, a van Dreyck niemal się wywrócił.

— Idź dalej — rzekł medyk, który razem z trubadurem niósł na szerokiej płachcie innego nieszczęśnika. — I tak nie zdołamy mu pomóc.

Najwyraźniej nie dbał o to, że ten człowiek z pewnością słyszy go i rozumie. Dłoń rannego zaraz zwiotczała, mężczyzna opuścił głowę, i choć wciąż trząsł się z przeraźliwego bólu, przymknął powieki, jakby pogodzony z własnym losem. Trubadur i chirurg ruszyli dalej — przez chybotliwy, śliski od krwi pokład, pełen konających ludzi.

Gdy dotarli pod niskie drzwiczki jednej z kabin forkasztelu, ze środka wybiegł pomocnik medyka, w fartuchu dosłownie zalany krwią. Wziął od van Dreycka przednią część improwizowanych noszy.

Wchodząc do ciemnego wnętrza, z którego bił odór krwi zmieszanej z alkoholem, medyk rzekł:

— Dzięki wam, panie trubadurze. Teraz idźcie na rufę, do kapitana. Tutaj nic już po was.

Van Dreyck skinął sztywno głową. Odszedł, lawirując między ciałami zaścielającymi pokład. Co jakiś czas bezsilna dłoń chwyciła go za nogawkę

lub cholewę buta, ale trubadur zacisnął zęby i starał się nie patrzeć w dół, na wykręcone bólem twarze. W połowie drogi do rufy poczuł się jednak słabo. Dopadł do burty, przechylił się, targnęły nim torsje, lecz nie zwymiotował; obolały żołądek, już dawno wydusił całą zawartość.

Wziąwszy głęboki oddech, van Dreyck spojrział w bok, za rufę okrętu. Zapadała już noc, a ciemnogrnatowe morze zlewało się z niebem podobnej barwy. Za szerokim zadem karaweli ciągnęły powoli inne okręty, dziesięć czy dwanaście. Większość wyglądała jak statki widma, z porwanymi linami i dziurawymi burtami. Kilka okrętów brało wodę i płynęło w dużym przechyle. Większość bander opuszczono do połowy, na znak śmierci kapitanów. Van Dreyck wzdrygnął się, gdy pomyślał, że tyle tylko zostało z połączonej floty Gedialanu, Pavii oraz Sobonii.

Bitwa, która trwała cały dzień, w końcu pozostała nierozstrzygnięta. Z początku zdawało się, że przewaga w ciężkich okrętach oraz liczbie ludzi przechyli szalę zwycięstwa na stronę Yaurańczyków. W pierwszych godzinach starcia wiele okrętów Południowych Księstw spłonęło lub zostało zdobytych przez wroga, jednak bardzo zręczne manewry księcia de Casco doprowadziły do porażki północnego zgrupowania cesarskich sił, które wiatr oddzielił nieco od reszty armady. Środek floty zaczął się wtedy załamywać i wykruszać — teraz to yaurańskie statki osaczone, zaszczute szły jeden za drugim na dno. Mimo to wrogi admirał w końcu zgrupował resztę swojej floty i stawiał zacięty opór niemal do zmierzchu. Zmęczone i poranione załogi walczyły ze sobą z niewysłowionym okrucieństwem oraz desperacją, siły obu flot topniały, lecz zwycięzca się nie wyłaniał. Wreszcie, pod wieczór, z bocianich gniazd zaczęły dochodzić niepokojące sygnały — do miejsca bitwy zbliżały się kwadratowe żagle: to któraś z rezerwowych eskadr szła Yaurańczykom z pomocą. W tej sytuacji kapitan Antonio Guidi, najstarszy pozostały przy życiu oficer floty, nakazał odwrót. Ciężko uszkodzone galery Yauranu nie zdecydowały się podjąć pościgu i okręty Południowych Księstw szybko zostawiły je za rufą — kilkanaście wysepek drewna pośród bezkresnego morza płonących wraków, strzaskanych desek, połamanych masztów.

„Biały Rumak”, na którego pokładzie całą bitwę spędził van Dreyck, trzy razy był pod ciężkim ostrzałem balist. Dwa razy ścierał się w abordażu — raz jako agresor, raz jako obrońca. Jego załoga i mały kontyngent piechoty morskiej stawily czoło falom yaurańskich marynarzy oraz kilku gadzim oficerom, którzy walczyli za pomocą magii. Nic dziwnego, że ze

stuosobowej załogi ledwie trzydzieści osób nie odniosło obrażeń. Pozostali leżeli teraz na deskach pokładu, ranni, umierający lub martwi.

Trubadur stał ze wzrokiem wbitym w pustkę, gdzieś daleko ponad falami. W końcu usłyszał za sobą kroki.

— I jak, poeto? — głos kapitana był szorstki i matowy. — Napisałeś ten wiersz? Twój patron będzie uradowany?

Van Dreyck zastanawiał się, co odpowiedzieć. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że pulpit, karty pergaminu i przybory do pisania zgubił gdzieś w ogniu bitwy.

— Napiszę kiedyś — odparł cicho; jego głos prawie zginął w szumie fal.

Kapitan stał jeszcze chwilę, jakby czekał na dalszą odpowiedź, lecz w końcu ruszył dalej. Van Dreyck nie mógł mu rzec, że nawet nieczyste sumienie awanturnika nie pozwoli mu kłamać na temat przebiegu tej bitwy. Natomiast prawda o niej była na razie zbyt bolesna, by wyśpiewywać ją obrośniętym tłuszczem magnatom w trakcie pijackich biesiad.

Rozdział 2. Cesarski gambit

Strażnicy rozłożyli pod namiotem bacharnią skórę i teraz siedzieli na niej, grając w kości. Noc była w ciepła, więc nie musieli owijać się futrami. Od czasu do czasu któryś podnosił wzrok, by omieść nim uśpione, ciche obozowisko, lub sięgał po źdźbło trawy, wsadzał je do ust i żuł chwilę. Zieleń, która wyrosła wokół namiotu Pani, nie napawała ich już tak zabobonnym strachem, jak parę miesięcy wcześniej. Przywykli do niej całkowicie.

Rozmawiali szeptem, by w żaden sposób nie zakłócić snu królowej.

— Dadzir, szczęście dzisiaj jest po mojej stronie. Oko proroka i stado bacharnów — rzekł pierwszy, wskazując kości.

— Aaach, na demony pustyni, to już koniec. Nie mam więcej miedziaków.

— Ha, oddasz z żołądu. Gramy dalej?

— Nie zrozumiałeś, przyjacielu: nie mam więcej miedziaków do wydania.

Strażnik zachichotał.

— No dalej, Dadzir. Graj. I tak centymy już się nam nie przydadzą. Liczysz, że spotkamy jeszcze kupca? Zbliżają się ciepłe dni, wkrótce Pani poprowadzi nas do ziemi obiecanej, a ty już nigdy nie zobaczysz tych brodatych cwaniaków ze Świętego Miasta.

— Ziemia obiecana... Na razie krążymy wciąż po granicach Ocalonej Krainy, więc wszystko się może zdarzyć. Zresztą jeśliś taki sprytny, to grajmy na kamienie. Ja dam kamienie, ty dasz miedziaki — w końcu warte są tyle samo.

— A wiesz co? Zagrajmy tak! Ja wierzę w ziemię obiecaną. Kwiecista Pani śni o niej co noc. Rozmawiałem nawet z Kamą, a pani mówi jej więcej niż starszyźnie. Co prawda staruszka niewiele z tego rozumie, ale wspominała o zielonych łąkach, wielkich rzekach, lasach. Coś jak Shaprut, ale większe. I niezamieszkane, Dadzir. Rozumiesz, co to znaczy?

— Zapominasz, że pani nie mówi wszystkiego nawet Kamie. Sam przecież słyszałeś, jak czasem jęczy, śniąc koszmary, jak całymi dniami chodzi zamyślona, pochłonięta zagadkami, które zsyłają jej sny.

— Nasza pani wie, co robi. Przodkowie mówią przez nią, a przodkowie

nie chcieliby naszej zguby. Przecież...

Nagle ucichł, bo jego wzrok wyłowił jakiś blady kształt, który zbliżał się ku namiotowi od granicy obozowiska. Drugi strażnik również spojrział w tamtą stronę. Chwilę tkwili tak, sparaliżowani, a potem zerwali się jednocześnie, chwytając za broń.

— Stój! — zawołał pierwszy.

Postać jednak się nie zatrzymała. Teraz widzieli ją dokładniej, białoskórą kobietę o włosach koloru rdzy, odzianą w jasną, zwiewną szatę.

— Pani... — zaczął drugi, lecz urwał z cichym jękiem, bo w tym momencie dostrzegł, że to nie Miidza od Kwiatów zbliża się do niego.

Ta postać była wyższa, jej twarz zdawała się nomadzie niewysłowienie piękna, cała sylwetka zaś promieniała tajemnym światłem, bladym niby poświata księżycy, a jednocześnie ciepłym i kojącym. Stopy zjawy w ogóle nie dotykały ziemi, a ona sama po prostu płynęła w powietrzu.

Młodzieńcy z plemienia Manar cofali się krok za krokiem, aż za plecami poczuli ścianę namiotu. Jeden sięgnął po szablę. Wówczas zjawy uniosła dłoń, a oni osunęli się powoli w trawę, błyskając wywróconymi białkami oczu.

Nie usłyszeli już, jak tajemnicza postać wchodzi do namiotu, nie mieli też szans podsłuchać długiej rozmowy, którą wkrótce rozpoczęły dwa kobiece głosy w dawno zapomnianym języku. Nie słyszeli okrzyków Miidzy od Kwiatów, jej pełnych zdziwienia pytań, potem ciężkich od wyrzutu słów, a na koniec szloch. Po długim czasie zjawy opuściła namiot i odleciała na wschód, śmigając niczym jaskółka po gwiazdzistym niebie. Strażnicy jednak wciąż spali, podczas gdy ich pani płakała do samego rana.

*

Drewniany wóz ze szczelnie zamkniętymi okiennicami stał lekko przekrzywiony na polance, którą ze wszystkich stron otaczały gęste zarośla i śmierdzący szlamem, podmokły las. Lewa strona pojazdu zapadła się nieco, dyszel leżał w trawie, a w okolicy nie było widać koni, paleniska ani obozowych sprzętów lub innego śladu ludzkiej bytności.

Kashim Al'Shannagg, obserwujący wóz z półmroku wąskiej ścieżki, nabrał pewności, że to opuszczony wrak, który ktoś porzucił wśród moczarów po tym, jak pękła mu oś lub gdy okazało się, że ziemia z przodu jest zbyt grząska, aby ciężki pojazd mógł po niej jechać.

— Coś mi się widzi, że baliśmy się bez potrzeby. Nikogo tu nie ma.

— Wybacz, Kashimie, ale mnie to pachnie zasadzką — odparła cicho

Vailana. — Jesteśmy na samym środku przemytniczego traktu, takie coś nie może stać tu jeno z przypadku. Powiadam, omińmy polankę bokiem.

— Przez grzęzawisko? — Zaprotestował kawaler Aam Caerleigh. — Toć to ryzyko wielkie i całkiem niepotrzebne. Woda tu do kolan, a pod nią jeszcze błoto i szlam. Konie potopimy, albo i siebie. Zresztą jaka zasadzka pomieści się w takiej psiej budzie? Najwyżej trzech strażników dróg, stłoczonych jak fasola w strąku. A i oni wymięci będą, podduszeni, do walki niezdatni.

Kashim zastanawiał się, co odpowiedzieć. Pamiętał jeszcze doskonale lekcje w Orlim Forcie, podczas których kapitan Hanhakh nauczał kadetów wojennych taktyk, rysując plany na piasku dziedzińca. Wóz mógł być zarówno przynętą, jak i świetnym stanowiskiem dla kuszników, a w podmokłych chaszczach po obu stronach polany widział doskonale miejsce do ukrycia paru tuzinów ludzi. Jednak kto kazałby żołnierzom leżeć całą noc wśród cuchnącego błota i gryzącego robactwa, jeśli nie było nawet pewności, czy ktoś przejedzie tą wąską, sekretną dróżką?

— Pojedziemy — rzekł w końcu Al'Shannagg. — Już niemal połowa nocy minęła, trza nam opuścić mokradło i rozłożyć się gdzie na sen. Szkoda czasu na podchody.

— Czy to rozsądek przez ciebie mówi? Czy też zwykła dla mężczyzn obawa przed okazaniem przezorności przy innym mężczyźnie? — Odparła Vailana.

Kashim chwycił ją tylko za dłoń i ścisnął lekko, po czym ruszył w stronę polany. Dwójka towarzyszy poszła w jego ślady.

Wyjechawszy z lasu, wyciągnęli ostrza z pochew. Odgłos puszczających zapadek i metalu ślizgającego się po drewnie wydał się bardzo głośny w ciszy, jaka tu panowała. Wtem serca niemal podskoczyły im do gardeł, gdy ciemny kształt wystrzelił spod wozu. Wściekłe szczekanie przestraszyło konie, które, kwicząc, cofnęły się o kilka kroków.

Czarny wilczur miotał się na łańcuchu, szarpiąc tak mocno, że wóz aż się kołysał. Nim jeszcze podróżni ochłonęli z zaskoczenia, ze środka zaczęły dobiegać jakieś stuki. Okiennice się otwały i ujrzeli brodatego, starszego mężczyznę z kagankiem w dłoni.

— Cichaj! — krzyknął na psa. — Cichaj no, bestio przeklęta!

Zaraz potem zniknął z okna, by po chwili wyłonić się z za małych drzwiczek na przodzie wozu. Wzniósł kaganek i zawołał:

— Kto tam? Ano podjedźcie bliżej, cobym was widział.

Po krótkim wahaniu podróżni zmniejszyli dystans, wjeżdżając w okrąg światła. Mężczyzna zbadał ich wzrokiem, marszcząc krzaczaste brwi, jednak nie wyglądał na zaskoczonych widokiem nieproszonych gości.

— Dorianin — szepnęła Vailana do Kashima.

— Co?

— Spójrz na jego nos, na splecioną brodę. Jedźmy dalej, Kashimie. Nic nam po nim.

Nim Al'Shannagg zdążył spytać o nutę wrogości, którą słyszał w głosie kondotierki, brodacz rzekł:

— Aaa, podróżni! Przewybornie, podjedźcie, czegoś wam może nie trzeba?

To mówiąc, zeskoczył na trawę, nadzwyczaj lekko jak na swój wiek. Skarcił wciąż powarkującego psa, który chował się pod wóz. Potem zachwalał dalej:

— Mam ja tu tani prowiant, obrok dla koni, obozowy ekwipaż. Sznurek, mydło, powidło — co tylko podróżni sobie życzą.

— Siedzisz tu na bagnach, aby... handlować? — spytał Kashim.

— A i owszem, miejsce to wyborne, choć robactwo okrutnie gryzie. Ale, jak rzecze nam Pan, „żadna praca nie przejdzie bez nagrody”. A ja nieskromnie do dodam, że trud podjęty sprytnie, w miejscu dobrym i o dobrym czasie, trzykroć popłaca. Wielu podróżnych teraz rogatki omija, czy to z oszczędności, czy to z obawy przed strażą.

— I straż niby nie zna twojej polany, kupcze? — powątpiewał Brenvan.
— Przecie to godzina jazdy od posterunku!

Dorianin uśmiechnął się chytrze.

— Panie, a czy ja rzekłem, że nie znają? Jeno ofertę im złożyłem zacząć, dwie dziesiąte zysku z każdej sprzedanej tu rzeczy.

— I zgodzili się? — spytał Kashim.

— A czemuż to mieliby się nie godzić? Przecie teraz i od tych, co gościńcem, i od tych, co moczarami, zysk mają. A tak jeno ci pierwsi pieniądź by im dawali.

— A skąd mamy wiedzieć, kołtunie, że ich nie wezwiesz, by nagrodę za nas zgarnąć? — powiedziała kondotierka.

— Aj, aj, kołtunie. Nieładnie pani mnie zwie, nieładnie. A jam uczciwy, prosty człowiek. Ja do straży nie pójdę, bo jakbym ja chodził, toby mnie klientela jako ten śnieg na wiosnę stopniała. Ale widzę, że panienki nie przekonam, to przynajmniej, by pokazać, że uczciwy kupiec, zniżkę

panience dam na świecidełka i zdobne sztylety, co je mam w kramiku.

Wyraz niechęci na twarzy Vailany nieco zelżał.

— Więc jak będzie, podróżni? Obejrzycie chociaż, co mam na handel?

Kashim spojrzał na przyjaciół pytającym wzrokiem. Brenvan tylko wzruszył ramionami. Widać tak był przywykły do doriańskich kupców, że nie robili na nim żadnego wrażenia. Vailana jednak szepnęła Kashimowi:

— Mimo wszystko trzeba nam uważać, gotów zepsute jedzenie sprzedać albo obrok mieszany z trocinami. Ci Dorianie nas, pobożnych ludzi, w skrytości ducha nienawidzą. Oszukują przy każdej okazji, dzieci nasze porywają dla swoich sprośnych obrządków.

Al'Shannagg pogładził brodę i jeszcze raz zmierzył wzrokiem kupca, a w końcu powiedział:

— W rzeczy samej przydałoby się nam nieco soli, mięsa. Wino także się kończy, więc jeśli masz jakiś dobry, południowy trunek...

— I parę mocnych rzemieni, i nity — dorzucił Brenvan.

Dorianin zatarł ręce, uśmiechnął się szeroko i wskoczył do wozu, by otworzyć resztę okiennic.

— Zaraz wszystko znajdziemy, wszystko co najlepsze dla szacownych gości! — krzyknął ze środka.

*

Nieco później, gdy Vailana pakowała już towar do juków, a Brenvan zniknął na stronie, by ulżyć sobie przed dalszą jazdą, Kashim Al'Shannagg zagadnął kupca:

— Gdyśmy się targowali, parę razy rzekłeś „Bóg mi świadkiem”, albo „zaklinam się na Jedynego”. Rozumiem, że wy, Dorianie, nie wierzycie w Złoty Tuzin?

— Złoty Tuzin — prychnął kupiec. — Złoty Tuzin to jeno demony i czarownicy, co ludziom kazali zwać się bogami. Jeden jest Bóg prawdziwy, lecz swego imienia ani twarzy nam nie pokazuje. Zwiemy go więc Jedynym. On właśnie świat stworzył i wszystkie jego prawa. Bo trzeba ci wiedzieć, obcy, że w początkach historii nie było ni zwierząt, ni roślin, ni rozumnych istot. Nawet ziemi nie było, jeno woda mętna, a z niej wyrastały czarne wulkany, w powietrze tłocząc trujące wyziewy i plując płynnym ogniem. A ogień spadał na wodę, walczył z nią, sycząc ze złości. Przyszedł jednak Bóg i swą ręką wszystko uporządkował, najszlachetniejszym istotom zaś, ludziom, podarował rozum. Potem udał się na spoczynek do dalekiej krainy, by odzyskać siły po tym wielkim dziele. I do dziś śpi w S-hay-efann, a my...

Kashim aż otwarł usta ze zdziwienia. Chwycił kupca za ramię.

— Powtórz, Dorianinie — rzekł.

— A cóż tu powtarzać. Bóg nasz odszedł i teraz odpoczywa gdzieś daleko w miejscu, co wedle Kibatu zwie się S-hay-efann, a miano to wiele ma znaczeń i...

— Shannyevan? — przerwał mu Kashim.

— Nie, nie, obcokrajowcze. Kaleczysz tą świętą nazwę, którą w Kibacie wyszukali wielcy mędracy za pomocą gematrii. S-hay-efann.

— Tylu słów nie rozumiem, Dorianinie. Czym jest Kibat, czym gematria?

— Z dalekich musisz być ziem, skoro nawet tego nie wiesz. Kibat to nasza święta księga; prawdziwa historia świata od samego prapoczątku do chwili obecnej. Gematria zaś... Gematria to wielka nauka, tak złożona, że i przez dwadzieścia lat nie pojąłbyś wszystkich jej arkanów, obcokrajowcze. Dość ci wiedzieć, że mędracy nasi dawno już dostrzegli, że każde słowo w Kibacie da się przedstawić za pomocą ciągu liczb. Liczby te zaś rządzą się pewnymi prawami, istnieją w nich wzory i zależności tak skomplikowane, że najtęższe umysły gubią się w nich jakoby dziecko we mgle, a niejeden już stracił rozum, pogrążając się w tym labiryncie. Jednak Kibat odkrył już przed nami, prawowiernymi, niejedną tajemnicę. Wierzmy, że wyczytać można z niego nie tylko przeszłość, nie tylko prawdziwe imię Jedyne, ale i opis praw rządzących światem.

— Jeśli wasz bóg chciał, byście je poznali, po co miał je szyfrować? — spytał Al'Shannagg.

Nie spostrzegł, że Brenvan i Vailana, już przygotowani do drogi, słuchali rozmowy. — Widzisz, obcokrajowcze, przykład mędrców, którzy postradali nad Kibatem umysł, dowodzi, że jesteśmy jak osły badające mechaniczny zegar. Prawda o świecie, ta logika materii, jak ją zwali starożytni filozofowie, była zbyt skomplikowana, by objawić ją w początkach istnienia. Została przeto ukryta — i to tak przemyślnie, byśmy odczytali ją dopiero, gdy będziemy gotowi. Stąd właśnie wzięła się gematria, którą parają się badacze starej wiary.

Al'Shannagg skinął powoli głową. Choć ta nauka zdawała mu się dziwaczna, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że w ogólnym rozrachunku przypomina nieco Al'Kibalah, czyli sztukę czytania prawdy ukrytej między wierszami Księgi, której nauczali starzy Duzzahowie. Zresztą zbieżność słowa Kibat ze słowem kitab, które w języku Świętego Miasta oznaczało tom lub księgę, także zdawała się nieprzypadkowa.

Kashim odetchnął głęboko. Czy mogło być tak, że on i ów dziwny, brodaty człek wyznawali tego samego boga? Czy Sammar korzystał z Kibatu, gdy dyktował Księgę? A może zbieżności były przypadkowe?

Poczuł się nagle słaby, głupi, samotny. Kolejny raz stawały przed nim problemy, którymi winien zajmować się mędrzec, a nie Święty Jeździec. Mógł oczywiście po prostu wsiąść na konia i odjechać, jednak pragnienie wiedzy, które paliło go od dnia, gdy zobaczył wśród piasków karawanę białoskórych, nie pozwoliłoby mu zapomnieć. Poza tym wiedział, że jeśli on zawiedzie, to ważne pytania pozostaną bez odpowiedzi na zawsze.

— Dorianinie... Potrzebny jest mi Kibat, najlepiej spisany w języku Learfeld — powiedział cicho Kashim, macając swoją sakiewkę. — To, co mówisz, może mieć wielką wagę. Gotów jestem zapłacić ci... pięć złoćców.

Brenvan aż sapnął. Były to niemal wszystkie ich pieniądze. Jednak oczy doriańskiego kupca, które wcześniej paliły się niczym węgielki na myśl o zarobku, teraz pozostały zimne.

— Och, nie! — odrzekł, machając dłonią. — Wierny nie sprzeda Kibatu gojowi. Zresztą nie mam go przy sobie, ba — w ogóle go nie posiadam. Kibat to rzecz święta, jeno mędrzy i kapłani korzystają z niego. Jak każda tradycja, przepisywany jest na zwojach, więc i tak zająłby sporą skrzynię...

Al'Shannagg zaklął pod nosem. Wiedział, że teraz będzie musiał zmarnować czas na poszukiwanie świętej księgi Dorian, choć w planach mieli szybką podróż na północne rubieże Gotrlandu.

Wymieniwszy jeszcze kilka zdawkowych słów, Kashim pożegnał się z kupcem i chwilę potem trójka jechała znów wąskim, podmokłym traktem. Księżyc stał wysoko na niebie, konie wyraźnie okazywały zmęczenie, a Brenvan chwiał się w siodle, momentami przysypiając. Vailana zbliżyła się do Kashima i spytała niepewnie:

— Wierzysz temu kupczynie?

— A czemuż miałbym nie wierzyć?

— Bo to Dorianin, jużem ci mówiła, że oni z lubością kłamstwom się oddają.

— Chciałbym bardzo, aby to się okazało zwykłym bajaniem — odparł Kashim. — Jednak obawiam się, że ten człowiek mówił szczerą prawdę...

Wkrótce wyjechali z moczarów na szerokie pole i tam, w małym jarze, postanowili wreszcie się zatrzymać. Było już za późno na rozpalanie ognia czy gotowanie posiłku, więc od razu rozłożyli posłania. Brenvan usnął jak kamień, Vailana zaś wślizgnęła się pod skóry obok Kashima. Położyła głowę

na jego piersi. Napięcie, które przez cały dzień wisiało między nimi, nagle całkiem się ulotniło. Al'Shannagg objął kondotierkę i pocałował jej włosy pachnące wiatrem oraz kurzem gościńca.

*

O świcie pierwsze promienie słońca zbudziły Dadzira. Zdziwiony, podniósł się z trawy i ze zgrozą stwierdził, że on i jego towarzysz zasnęli na warcie. Próbował przypomnieć sobie, jak do tego doszło, ale wszystkie szczegóły ubiegłego wieczoru tonęły w mgłę niepamięci. Czując straszliwy wstyd, zbudził cicho drugiego strażnika. Ustalili szeptem, że nie powiedzą nikomu o karygodnym zaniedbaniu, po czym jeden z nich wszedł do namiotu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a drugi pobiegł obudzić służki Kwiecistej Pani.

Wkrótce zaczął się typowy, poranny rytuał. Do namiotu przybyło troje dziewcząt ze srebrną misą pełną wody. Kama, wciąż jeszcze zasnana i ziewająca, rozpałała z tyłu namiotu ognisko. Podczas krótkiej ceremonii, której nie mógł oglądać żaden mężczyzna, służebne obudziły Miidzę, umyły ją i ubrały, po czym królowa plemienia zjadła skromny posiłek. Osada już się powoli budziła, chłopcy krzatali się przy zagrodach bacharnów, kobiety rozpałały ogień, w pustynię wyjechał patrol. Czekano, aż władczyni opuści namiot, by zgodnie z tradycją odbyć poranny spacer. Wreszcie skrzydło z ciężkiej skóry się odchyliło, strażnicy po obu stronach wypięli piersi, a z ciemnego wnętrza wyłoniła się Pani.

Miidza od Kwiatów była blada i niewyspana. Jej przymglone spojrzenie prześliznęło się po obozowisku oraz po twarzach tych, którzy zebrali się pod namiotem, by na klęczkach oczekiwać błogosławieństwa. Jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie, a najbliżej stojący oniemieli, bo wyglądało to tak, jakby miedzianowłosa miała wybuchnąć płaczem. Lecz Miidza opanowała się i tylko lekko zeszkłone oczy świadczyły, co w tej chwili przeżywa.

Jak mogła powiedzieć ludziom ze swego plemienia, że nie idą do dalekich, bezpiecznych i żyznych ziem? Że zamiast żyć szczęśliwie z dala od Świętego Miasta, staną się pionkiem w okrutnych rozgrywkach bogów — i jak na pionka przystało, pewnie zginą w walce, której celu nawet nie będzie im dane poznać?

*

Kapitan Gedhard stał na blankach, mrużąc oczy w pierwszych promieniach słońca. Oparty o zwietrzały, jeszcze wilgotny od rosy mur,

spoglądał na długi sznur pikinierów i toporników wychodzących z miasta Bramą Praczek. Grudgeryngerzy, którzy już od świtu trudzili się wraz mieszczuchami przy naprawie barbakanu, raz po raz przerywali swoje zajęcia, by odprowadzić zbrojnych nienawistnym wzrokiem. Klęli przy tym cicho, a niektórzy nawet wychylali się, by napluć im na polerowane hełmy.

Twarz Gedharda była niewzruszona, nawet nie myślał przywoływać swoich ludzi do porządku. On również czuł się zdradzony przez możne rody. Gdy wróciły zdziesiątkowane okręty połączonej floty, gdy stało się jasne, że inwazja jest nieunikniona, wielu magnatów poczęło wycofywać z miasta prywatne armie. Jedni pragnęli obsadzić nimi swoje zameczki i włości, inni nie chcieli zostawić własnych ludzi w miejscu, w którym yaurańska nawała uderzy najwcześniej i najsilniej.

Dwa dni temu miasto opuściło dwustu kondotierów najętych przez ród de Turi. Wczoraj swoich stu zbrojnych wycofał książę Vicomti. Dzisiaj z kolei wymaszerowały przeszło cztery setki żołnierzy rodu Neciddi. Masowo uciekali też drobni rzemieślnicy z rodzinami, żacy, uczeni, kapłani. Z miejskich bram od świtu do zmierzchu wypływał strumyk wozów, koni i pieszych — to Gedialan wykrawiał się z trzech szerokich ran, cichł i pustoszał, choć ostrza najeźdźców jeszcze go nie drasnęły.

Z początku rajcy zapewniali Gedharda, że murów bronić będzie przeszło sześć tysięcy mężczyzn; teraz kapitan wiedział już, że z trudem zbierze trzy tysiące. Tymczasem pięć setek było potrzebnych do obrony cytadeli przy porcie oraz samego portu, stu ludzi musiałyby gasić pożary, przynajmniej kilka tuzinów powinno służyć jako gońcy i zwiadowcy w różnych częściach miasta. Dodatkowo rada nalegała, by około dwustu strażników pilnowało majątku obywateli przed szabrownikami. Do obrony gedialańskich murów zostawało nieco ponad dwa tysiące ludzi. Była to liczba śmieszna, jeśli wziąć pod uwagę długość fortyfikacji, która według obliczeń Gedharda wynosiła przeszło siedem mil. Dlatego kapitan, choć nie przyznał tego radzie, dawno już przestał liczyć na mury. W najlepszym wypadku mogły odeprzeć pierwszy, niedokładnie przygotowany atak cesarskich wojsk. Potem walka musiała przenieść się na ulice, na barykady i do domów. Na koniec zostawały jeszcze umocnione punkty w mieście — pałac Vicomtich, portowa cytadela, wojskowe baraki. Ale to już były pułapki bez wyjścia, Grudgeryngerzy mogli tam jedynie bronić się do ostatniego człowieka.

Jakaś postać wspięła się po schodach na blanki barbakanu, drobny splot kolczugi zalśnił w porannym słońcu. Gedhard odwrócił się do nowo

przybyłego, zlustrował go i rzekł:

— Źle leży na tobie, van Dreyck. Mówiłem już, co byś wstąpił do kompanijnego rzemieślnika.

— Wciąż brak mi czasu, kapitanie — odparł trubadur. — Od świtu biegam z meldunkami po mieście. Mam coś i dla kapitana.

Sięgnął do skórzanej torby i wyciągnął mały zwój.

— To od Bernharda, jego ludzie spotkali gońca z północy.

Przeczytawszy wiadomość, Gedhard zmarszczył brwi.

— Idą nam z pomocą. Diuk Gotrlandu wysłał trzy miejskie chorągwie oraz tysiąc lancknechtów...

Na te słowa kilku najbliższych ludzi przerwało pracę.

— ... jednak będą pod Gedialanem najwcześniej w dwa tygodnie.

Nadzieja, która rozjaśniła twarze słuchających, nagle przygasła. Dwa tygodnie? Mieli bronić tego miasta dwa tygodnie przed całą yaurańską flotą?

Van Dreyck westchnął cicho. Tak jak się spodziewał, list, który przyniósł, nie zawierał nic dobrego. Tymczasem Gedhard, widząc że kilkanaście osób jeszcze się na nich gapi, krzyknął:

— Już, do pracy! Musimy połączyć barbakan jeszcze przed wieczorem.

Potem zbliżył się do trubadura, odciągnął go na bok i rzekł:

— Posłuchaj mnie, przyjacielu. Dzisiaj odsyłam za mury cały obóz, wszystkich ludzi rzemiosła, niewiasty, dziwki i trefnisiów, co włączyli się za kompanią. Ty także się oddal. Nie jesteś przecie Grudgeryngerem, nie dostajesz żołdu. Uciekaj na zachód albo na północ, za twoim przyjaciółmi.

Van Dreyck uśmiechnął się tylko i podkręcił wąsa.

— To niemożliwe, kapitanie.

— Niby dlaczego? Jeszcze raz ci powiadam, nie twoja to wojna, nie twój obowiązek.

Trubadur bez słowa sięgnął do sakiewki. Wyciągnął z niej mały, srebrny krążek, który zaśnił w świetle poranka.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał Gedhard.

— To mój żołd. Najałem się u rajców do chorągwi.

Gedhard westchnął ciężko.

— I cóżeś ty zrobił, van Dreyck? Po co ci to było?

Trubadur otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, jednak widać było, że nie potrafi znaleźć właściwych słów. W końcu uśmiechnął się raz jeszcze, uklonił i zbiegł schodami. Chwilę później jego sylwetka rozplynęła się wśród kamienic.

Gedhard zasepił się. Usiadł na murze i oparł rękę o duży kamień, który ściągnięto tu do załatania blanków. Patrząc na wyludnione, ciche miasto, myślał o bitwach, które są nie do wygrania i o tym, jak okrutna jest pani wojna, która z lubością rzuca ludzi w objęcia nieuchronnej śmierci. Odbiera im wszelką nadzieję: stawia dwóch przeciw dwudziestu, kieruje do ostatniej wieży w zdobytej cytadeli albo na okręt, który płonie wśród wzburzonego morza. Potem, gdy nakarmi się strachem ofiar, zabija je. O tak, Gedhard nie miał co do tego wątpliwości. W swoim życiu uczestniczył w tylu bitwach, że cudowne ocalenia i niezwykle przypadki, które w rycerskich romansach opiewali trubadurzy, były dla niego zwykłą bajką. Wiedział, że jeśli poprowadzi swoich przeciw całej armii Yauranu, to zginie, a historia Grudgeryngerów dobiegnie końca.

Ale czy to wystarczający powód, by nie walczyć?

*

Ból omywał ciało gorącą falą. Najpierw lizał plecy, potem spływał w dół do pośladków. Zanurzał się w kroczu, jak pał w ciele skazańca, zataczał chwilę kręgi w brzuchu, a potem wystrzeliwał nagle ku górze, by odbiwszy się od spodu czaszki, wypłynąć przez uszy i nos — tam zaś wędrówka zaczynała się na powrót. Poza tym była tylko ciemność i duchota. Czas tu nie istniał, a gdyby ktoś chciał zliczyć przepływy i odpływy bólu, w końcu straciłby rachubę.

Gdy zdawało się już, że ten wszechświat cierpienia oraz mroku jest wieczny i niezmienny, niespodziewanie pojawiło się w nim czerwone światło. Jego blask rozjaśnił przestrzeń, a wkrótce stał się na tyle jaskrawy i drażniący, że przyćmił nawet męczarnie. Wkrótce w czerwonej kotarze ukazała się oślepiająco biała wyrwa.

Wtedy dziewczyna otworzyła oczy. Powieki rozkleiły się opornie, zupełnie jakby złączono je drzewną żywicą. Kręciło jej się w głowie, żołądek podchodził do gardła, plecy piekły niemiłosiernie, a między nogami rwał tępy ból.

Czuła niezwykłą słabość. Uniesienie dłoni do czoła kosztowało tyle wysiłku, jakby kości były z ołowiu, a mięśnie zdawały się zarazem miękkie niczym glina i odporne, niczym uformowane z wosku.

Dziewczyna ułożyła ręce na brzuchu, jak gdyby ich ciepłem chciała przegnać resztki udreki. Wtem ognik szaleństwa rozpalił się w jej oczach, kilka obrazów przemknęło przez głowę, oddech gwałtownie przyspieszył.

— Dziecko śpi w pokoju obok — usłyszała niespodziewanie tuż przy

swoim uchu.

Ludzki głos był jej tak obcy, że minęła długa chwila, nim pojęła sens słów. Potem obróciła powoli głowę, by zobaczyć dziwną postać, która siedziała z boku łóżka, w cieniu.

Była to starsza kobieta o siwiejących włosach i szpetnej, pokrytej bliznami twarzy. Ubrała się jednak w jaskrawą spódnicę i obwiesiła biżuterią, jak młodziutka kurtyzana z placu Czerwonych Kolumn.

Zdezorientowana dziewczyna zaczęła przyglądać się szczegółom pomieszczenia. Półki z buteleczkami, suszone zioła i pudełka maści, których wszędzie było pełno, szybko pozwoliły jej wszystko zrozumieć.

Wiedźma!

Jej widok zdawał się w jakiś sposób znajomy, co nie umniejszało strachu przebudzonej.

— Co tu robisz? — szepnęła.

— Wiesz przecież. Zastanów się dobrze, to ci rozjaśni umysł.

— Dla... Dlaczego tak... boli?

— Ciesz się, że boli. Ból to znak, że żyjesz, a niewiele brakowało ci do śmierci. Spałaś, a poród nie nadchodził, więc musiałam go przyspieszyć, by dziecko nie umarło. Mały okazał się duży i silny, dlatego należało ci rozciąć krocze. Poza tym masz jeszcze odleżyny na plecach. Byłaś w łóżku wiele tygodni.

— Ja. nic nie pamiętam.

— Nic dziwnego. Ani razu się nie ocknęłaś.

— Jak to możliwe?

— Tajemne wywary. Nawet gdybym podała ci nazwy roślin, z których je robisz, nic by ci nie powiedziały, bo są to zioła zbierane w miejscach tylko mnie znanych i o szczególnym czasie. Ale tego wszystkiego będziesz się jeszcze uczyć.

— Upoiłaś mnie magicznym napojem? — W słabym jeszcze głosie chorej rozbrzmiała nuta złości.

— Tak, nie wstydę się tego przyznać. Zrobiłam to dla bezpieczeństwa twojego, mojego oraz dziecka, które nosiłaś. I choć było to wbrew twej woli, wkrótce sama pojmiesz, że zrobiłam dobrze. Inaczej byłabyś martwa... lub w rękach Duzzahów.

— Duzzahowie... — rzekła dziewczyna, a pamięć przywołała jej przed oczy brodate twarze, ból, wstyd i strach. — Nie szukali mnie?

— Szukali, szukali — wiedźma się zaśmiała. — Psy Vezamara są

wierniejsze niż pies nocnego stróża. Szukali cię u rodziny, przyjaciół, w innych szkołach dla dziewcząt. Jeden nawet domyślił się, czego mogłaś chcieć. Zorganizował obławę i złapał kilka kobiecín parających się spędzaniem płodów. Dwie czy trzy ukamienowano, ale do mnie nie dotarli.

— Dlaczego — zaczęła cicho dziewczyna, lecz przerwał jej napad kaszlu. Dopiero po chwili podjęła wątek: — Dlaczego tak ryzykowałaś?

— To moja sprawa, dziecko — odparła oschle kobieta. — I radzę ci nie wnikać zbyt w moje motyw. Zaczynij się już uczyć pokory i cierpliwości, bo te cnoty będą ci u mnie bardzo potrzebne.

Dostrzegłszy, że leżąca patrzy na nią tępym, nierozumnym wzrokiem, czarownica westchnęła.

— Nie myślałaś chyba, że wypuszczę cię na ulicę? Gdyby cię złapali, byłabym zgubiona. O nie, moja miła. Uratowałam twoje życie i teraz należy do mnie.

Jelaya była zbyt słaba, żeby protestować.

*

Tyle fragmentów było jeszcze niedokończonych! Sterty glinianych odłamków zalegały pod ścianami, ich gruba warstwa pokrywała boczne nawy, wnęki, kamienne siedziska. Tygodnie ciężkiej pracy pozwoliły badaczom wyciąć z tego chaosu jedynie mały skrawek czystej podłogi.

Obszar ten miał dziesięć stóp szerokości i piętnaście stóp długości. Stały na nim skrzynie ze skatalogowanymi fragmentami, dwa pulpity, stojak na zwoje oraz trzy duże blaty, na których uczeni składali rozbite tablice z łupków wielkości paznokcia. Krzątało się tam również pięciu ludzi, którzy właśnie pakowali to wszystko i przygotowywali do drogi.

Trzydzieści cztery fragmenty tekstu w niezrozumiałym języku — plon badaczy — stanowiły ledwo ułamek wiedzy, która leżała jeszcze w bibliotece. W ciągu pierwszych dni wykopalisk Duzzah Al'Dżirani, głowa wyprawy, oszacował, że w tym pomieszczeniu przechowywano kiedyś najmniej pięćdziesiąt tysięcy glinianych tabliczek. A przecież biblioteka stanowiła tylko część ogromnego miasta. Były jeszcze zasypane pasaży i ciemne sztolnie bez dna, kompleksy mieszkalne oraz zbrojownie pełne oręża z niezwykłego metalu (uczeni wiedzieli już, że właśnie tę broń Nocne Jastrzębie przekuwały na swoje ostrza). Była tu wreszcie główna świątynia, do której wolno było wchodzić tylko trzem Duzzahom, bowiem oprócz wspaniałych fresków znajdował się tam monstrualny posąg kobiety ze szponami bestii — z pewnością demona, sądząc po fakcie, że widok figury

mieszał ludziom zmysły i sprowadzał senne koszmary.

Rzeczy do zbadania było tyle, że członkowie wyprawy mogli spędzić w zagubionym mieście nawet dziesięć lat. Niestety, Ziemia Trupiego Szeptu nie były dla nich przyjazne — woda już się kończyła, a w promieniu stu farsangów nie znaleźli żadnego ujęcia. Poza tym Al'Dżirani obawiał się, że proroka może zaniepokoić milczenie Jastrzębi Najwyższego. Piątka tych wojowników, razem z paroma służącymi i tragarzami, prowadziła tu własne prace, do czasu gdy ludzie Al'Dżiraniego wybili ich w jednym, niespodziewanym ataku.

Teraz musieli już wracać. Wielu z nich wolałoby pracować dalej, bez względu na zagrożenie i brak zapasów, ale mimo to szybko i sprawnie pakowali wszystkie zdobycze.

— Dalej, dalej! — krzyczał nadzorca, który doglądał młodych tragarzy. — Te dwie skrzynie idą już na górę, powiedzcie Meibowi, by uważał podczas wciągania. Nie tak, na Jedynego! Potrzaskacie tablicę! Tą stroną do góry!

Al'Dżirani przyglądał się tej krzątaninie z boku.

— Ładunku jest dużo, będzie nas spowalniał — rzekł do barczystego Świętego Jeźdźca. — Jesteś pewien, że dotrzemy z nim do Um'Magar?

— Jeśli nie zdarzy się nic złego. Nie bój się jednak, te skrzynie są ważne dla paszy, ale nie na tyle, byśmy mieli poświęcać życie lojalnych ludzi. Jeśli woda będzie kończyć się szybciej, niż planowaliśmy, schowamy ładunek w piaskach i rozpuścimy juczne zwierzęta. Bardziej się martwię o co innego...

— Wzgórza?

— Właśnie. Jeśli nie chcemy nadkładać drogi, trzeba będzie prześlizgnąć się u samych stóp Żelaznych Wzgórz. Dużo wrogich oczu może nas tam wypatrzeć. Rebelianci, żołnierze proroka, Jastrzębie Najwyższego. To jest prawdziwe ryzyko.

Al'Dżirani wskazał tylko dłonią ku górze, dając znak, że wszystko w rękach Boga.

— A może... — dodał po chwili — może wojna już się skończyła? Kto wie, siedzimy w ruinach tak długo...

Święty Jeździec zaśmiał się.

— Nie, mędrce. Generał Al'Ghazi jest powolny, a w sztuce wojennej tak biegły, jak bezręki w lepieniu garnków. Zresztą większą uwagę poświęca przystojnym oficerom niż góralskiej rebelii. Teraz, gdy wszystkie stare lwy z czasów Bitwy o Bramę siedzą w Um'Magar, Tel'Halik nie ma już

prawdziwych oficerów. Prorokowi przyjdzie jeszcze tego żałować, bo Tenzih i Kamudżyn to sprytne, górskie lisy...

— Jest jeszcze Lammadż.

— O tak, Jastrzębie. Może gdyby objęły dowodzenie nad armią... Jednak prorok z dziwnych przyczyn nie chce powierzać im dowództwa nad wszystkimi siłami Tel’Halik. Zastanawiało to paszę, zastanawia i mnie — z jakiejś przyczyny Vezamar nie ufa swoim asasynom. Ale nie czas teraz na jałowe rozważania... Może po powrocie dowiemy się czegoś więcej. Hanhakh ponoć miał teraz zająć się wyłącznie rozpracowywaniem Jastrzębi. Tak czy inaczej: buntownicy na pewno tam są.

— A więc pozostaje nam liczyć na szczęście?

— Na szczęście oraz na opiekę Jedynego. Bo nie wątpisz chyba, że stoi po naszej stronie, a nie po stronie bezbożnego uzurpatora Vezamara?

Słowa te nie pocieszyły uczonego.

*

Praca plugawcobija była ciężka i niewdzięczna. Niewielu wytrzymało w niej dłużej niż pięć zim, mimo że po dziesięciu zimach można było odejść i do śmierci utrzymywać się z pensji, którą burmistrz wypłacał weteranom. Oczywiście, jeśli wcześniej nie zostali zagryzieni przez szczególnie duże plugastwo lub nie oszaleli na widok oślizgłych kształtów, które samym wyglądem urągały prawom natury. No i jeżeli po którejś nocy spędzonej w pobliżu Zaułka Szaleńców nie odkryli na ciele narośli, czy innych diabelskich zmian.

Mało który z plugawcobijów dożywał starości. W Corvis w podeszłym wieku było tylko trzech, a spośród nich jedynie Edamon Askile nie porzucił jak dotąd zawodu. Co noc wkraczał do odciętego kwartału, mając u boku tylko jednego pomocnika. Przemierzał pokryte gruzem uliczki, zrujnowane kamienice, zarosnięte place. Zawsze miał przy sobie ciężką kuszę, włócznię, topór i miecz — broń na każdą okazję, na każde możliwe plugastwo, pełzające czy latające, blade i gumiate czy opancerzone.

Ludzie powiadali, że raz był nawet w samym Zaułku Szaleńców i dotknął zmurszałych kości Kadwyrtha Błazna. Podobno właśnie wtedy osiwiął.

Jednak nadeszła noc, gdy Edamon Askile pierwszy raz w życiu poczuł strach. Patrol zaczął się normalnie. Askile przekroczył z czeladnikiem mur, noc była ciepła, gwiazdy świeciły jasno. Jak zwykle zaglądali do środka każdego budynku, badali każdą dziurę. Do północy ubili dwa plugastwa — niewielkie robakopajaki, które zostawiały po sobie wstęgę lśniącego śluzu.

Pewien, że okolice muru są już oczyszczone, plugawcobij wszedł głębiej w zaułki. Dotarłszy do małego, kwadratowego placyku, stanął jak wryty.

Dwie postacie szły tędy, zmierzając ku wnętrzu labiryntu. Czeladnik Askilego aż sapnął ze zdziwienia, bo nikt poza plugawcobijami nie odważał się przekraczać muru! Edamon chwilę patrzył na obcych, skrytych pod ciemnymi płaszczami, wreszcie krzyknął pełnym napięcia głosem:

— Któż tu łązi po nocy, na miłościwych bogów?! Życie wam niemiłe?

Sylwetki stanęły w miejscu i obróciły się w stronę Askilego. Pomocnik krzyknął przeraźliwie i cofnął się, opierając plecami o mur, sam Edamon zaś pierwszy raz od lat poczuł, że trzęsą mu się dłonie zaciśnięte na toporze. Plugastwo wielkości człowieka! Jak to było możliwe, jak mógł dotąd nie spotkać tej istoty? A może wyrosła z błota w ciągu jednej nocy?

Edamon patrzył ze zgrozą na blade, kobiece oblicze, w którym oczodoły ziały siną pustką, na długie szpony i nienaturalnie chudą sylwetkę, jaka ukazywała się między połami płaszcza. Obok kobiety stał mężczyzna. Jego miedziana broda błyszczała niczym metal w świetle gwiazd, oblicze miał srogie i niemal kwadratowe, a czoło pomarszczone. I właśnie ten mężczyzna odezwał się pierwszy:

— Należałoby spytać: co ty tu robisz, człeczko?

— Jestem... miejskim plugawcobijem... — odparł słabo Askile.

— Plugawcobij? Dobre sobie! — Kobieta zaśmiała się dźwięcznie.

— A więc tępisz robactwo narodzone z krwi Błazna? Odważne to zajęcie — powiedział mężczyzna. — Przeto paraj się nim dalej, a my pójdziemy swoją drogą.

Askile, choć strach go niemal paraliżował, podniósł topór.

— Nie pozwolę wam... — rzekł. — Skądże mam wiedzieć, czy...

Nie dokończył. Bezoka kobieta roześmiała się jeszcze raz, po czym wyszeptala kilka słów. Askile poczuł, że nie może mówić. Ba! Nie mógł nawet drgnąć, wmurowany niby posąg w katedralnej nawie. Myślał, że plugastwo zabije go teraz, lecz dziwna para po prostu odeszła, kierując się w stronę serca labiryntu. W stronę zaułka, w którym leżały szczątki boga.

*

Widok Unborga był dla Kashima piorunujący. Żadne z miast, które oglądał dotychczas w Ziemiach Środka, nie mogło się z nim równać, sam Gedialan też. Święty Jeździec podejrzewał, że w tym kolosalnym roju z szarego kamienia, który rozłożył się w zakolu rzeki na trzech wzgórzach, mogło żyć więcej ludzi niż w samym Tel'Ha-lik. I nawet tłumaczenie

Brenvana, który twierdził, że Unborg rozbudowywano za życia każdego władcy Gotrlandu od przeszło ośmiu stuleci, by zabezpieczyć się przed wojowniczymi władcami Południowych Księstw, nie zmniejszyło zdziwienia Kashima.

Al'Shannagg nie mógł uwierzyć, że białoskórzy potrafili wznieść coś tak wielkiego ze swoją nikłą wiedzą o architekturze i, przede wszystkim, że Unborg mógł istnieć i działać bez akweduktów, kanalizacji, urbanistycznego planu. Było oczywiste, że nie mieli planów — miasto, spięte ciasno kilkoma wstęgami murów, wylewało się ze swojego kamiennego gorsetu. Dachy zahaczały niemal o blanki, wąziutkie i wysokie kamienice pięły się ku górze, jakby chciały konkurować z wieżami licznych świątyń. Wszystko było tak stłoczone, że Al'Shannagg poważnie zastanawiał się, czy są tam w ogóle ulice.

— Jak to możliwe, że pożoga jeszcze tego nie strawiła? — spytał Brenvana. — Przecie gdy jeden dach się zapali, ogień z łatwością przejdzie na domy w całej dzielnicy!

Brenvan roześmiał się.

— Za mojego życia Unborg płonął już dwa razy! Gdy zajedziemy bliżej, sam zobaczysz ślady ognia na murach. Jednak rajcy dawno już zakazali wznoszenia budowli z drewna, a wiele dzielnic murami jest przedzielonych, przeto pożar, jeśli już się trafi, tylko część miasta pustoszy.

— A co z zarazami? Przecie bez świeżej...

Al'Shannagg chciał dokończyć, lecz nagle niespodziewana słabość odebrała mu mowę. Skulił się w siodle, niczym człowiek ugodzony w brzuch. Przed oczyma mu pociemniało, jęknął z bólu. Brenvan patrzył na to w zdziwieniu, Vailana zaś bez namysłu podjechała do Kashima i chwyciła go, by nie spadł z konia. Świętemu Jeźdźcowi zdawało się, że przed oczyma migają mu jakieś obrazy — zbyt szybkie jednak, aby coś w nich rozpoznał.

Ogień. Tylko tyle widział. Ogień i ciemne sylwetki.

— Kashim, co się stało? — spytała kondotierka.

— Potrzeba ci pomocy? — dorzucił Brenvan.

— Nic mi nie jest — skłamał Al'Shannagg. — Chyba słabuję od jazdy.

Następnie rozmasował pierś i, nie wiedząc sam dlaczego, spojrzął na południe.

Nie chciał straszyć przyjaciół, nie mając ku temu ważnych podstaw, a jednak serce, ściśnięte w bolesnym skurczu, mówiło mu, że właśnie stało się coś bardzo, bardzo złego.

*

Dym osadził się na hełmie ciemną, tłustą warstwą. Ts'Rang przetarła metal rękawem kaftana, lecz sadza, kryjąca się w każdym zagłębieniu czy wgnieceniu, pod każdym nitem, schodziła z trudem. Po dłuższej chwili odłożyła hełm na bok, mimo że efekt pracy jej nie zadowalał. Zresztą podmuchy wiatru wciąż jeszcze gnały w jej stronę kłęby dymu. Gedialan, choć płonął od przeszło doby, nie dopalił się do końca.

Ts'Rang Seledynowy Pazur siedziała na murach obok barbakanu północnej bramy i oglądała agonię miasta. Dzielnica portowa, którą z morza ostrzeliwano ciągłym ogniem, zmieniła się już dawno w pogorzelnisko. Jednak w pozostałych dzielnicach wciąż jeszcze widziała pożary. Z placu pod cytadelą strzelała w górę kolumna czarnego dymu, tak wysoka, że wyglądała, jakby podtrzymywała bezchmurne niebo. Tam właśnie, na wielkich stosach, cesarscy żołnierze palili ciała poległych. Tysiące ciał.

Pokryta oliwkową łuską łapa Ts'Rang spoczęła na kamieniu, który widocznie wciągnięto tu, by załatać dziurę w blankach. Jej nogi w kawaleryjskich butach wisiały w powietrzu. Seledynowy Pazur cieszyła się chwilą bezruchu i odpoczynku. Była śmiertelnie zmęczona po całym dniu walki oraz po wielokrotnym użyciu Cesarskiej Krwi. Nawet niewiarygodna wytrzymałość, którą odziedziczyła jako prawnuczka Cesarza, musiała się w końcu wyczerpać. Teraz czuła, że krew płynie wolno w jej ciele, a po członkach rozlewa się chłód. Pomyślała, że może warto byłoby zejść na dół i ogrzać się przy którymś z ogni, tak jak robili to inni oficerowie, jednak zbyt dobrze się jej tutaj siedziało. Trwała więc dalej, wgapiona w dym i wsłuchana w pokrzykiwania żołnierzy dochodzące od barbakanu, z którego właśnie wyciągano trupy obrońców.

Na schodach pojawiła się sylwetka gońca i wkrótce ciepłokrwisty wdrapał się na samą górę, ciężko sapiąc. Ts'Rang wzdrygnęła się; ludzkie odgłosy od zawsze napawały ją obrzydzeniem. Posłaniec wyprężył się jak struna.

— Ku chwale Cesarza! — krzyknął.

— Mów, żołnierzu.

Na te słowa ciepłokrwisty rozluźnił się nieco, jednak wciąż stał na baczność.

— Pani admirał, kapitan Ar'Zagr uniżenie melduje, że ostatnie pomieszczenia cytadeli zostały zdobyte, tak samo jak południowa brama. Miasto jest już w naszych rękach.

— Doskonale — rzekła Ts'Rang lekko zniecierpliwionym tonem. To wszystko sama już wypatrzyła z muru. — Co z grupami obrońców, o których donosiły patrole?

— Nie ma już żadnych grup, pani admirał. Kompanie broniące miasta zostały zdziesiątkowane, trochę niedobitków wyrwało się na północno-wschodnie bagniska, ale kapitan posłał za nimi lekką kawalerię.

— A trofea?

— Zgodnie z poleceniem, zbieramy głowy wszystkich dowódców wroga. Mamy też pięć zdobywczych chorągwi, w tym chorągiew najmniejszej kompanii, która przysporzyła nam tylu kłopotów.

— Cesarz będzie zadowolony — powiedziała cicho Ts'Rang. — Straty?

— Jeszcze nie wiadomo. Kapitan Ar'Zagr twierdzi, że pułki desantowane w miejskim porcie potraciły nawet połowę stanu. To samo z oddziałami, które zdobywały cytadelę. Pod zachodnim murem leży dużo trupów, buntownicy bronili go zaciekle. Poległo też ośmiu oficerów Cesarskiej Krwi.

Admirał odesłała żołnierza ruchem ręki, po czym podniosła się ociężale. Liczyła w myślach żołnierzy, którzy do tej pory zginęli.

Podczas morskiej bitwy na dno poszło więcej niż sześćdziesiąt galer i prawie pięć tysięcy ludzi. Tysiąc straciła we wczorajszym, nieudanym szturmie na południowy mur. Dzisiaj, przy ataku na port zatoneło kolejne dziewięć galer, a poległych w całym mieście szacowała na co najmniej trzy tysiące. No i pozostawał jeszcze lazaret — prawdziwe morze namiotów zaraz za murami, gdzie leżały setki konających. Oznaczało to, że z dumnej floty, która nie tak dawno opuściła brzegi cesarstwa, została już tylko połowa. Ts'Rang zaczynała obawiać się, że przegra.

Choć spodziewała się podobnych, a nawet większych strat, to nie przypuszczała, że flota północna admirała Tza'Gi'Nra, który miał uderzyć na wybrzeże Gotrlandu, pozostanie w portach. Tymczasem dzisiaj rano wiatr wyszeptał jej do ucha wiadomość nadaną przez zaufanego krewniaka z Asar'Aden. Tza'Gi'Nr nie otrzymał rozkazu wypłynięcia i wczoraj jeszcze jego armada obijała się o nabrzeża, rozproszona po kilkunastu miastach północnych prowincji.

To mógł być spisek. Ts'Rang potrafiła podać imiona przynajmniej kilkunastu dworzan, którzy chcieliby jej porażki. Jednak trudno było uwierzyć, że Boski Cesarz, który władał ludźmi, zwierzętami i samą naturą, mógł nie zdawać sobie sprawy z czegoś tak poważnego. A więc pozostawała jedna możliwość — Cesarz wszystko zaplanował. Jego niepojęty dla

śmiertelników umysł uznał, że flotą południowych prowincji trzeba ukłuc przeciwnika w podbrzusze, zniszczyć jego armadę, spalić zasiewy i miasta. Czy chciał osłabić w ten sposób wroga przed głównym najazdem? A może sprawdzić jego siły lub zdolności buntowniczych władców do współpracy? Ts'Rang nie potrafiła zgadnąć. Wiedziała jedno: w tym cesarskim gambicie okazała się pionkiem, który ma zostać poświęcony.

Ts'Rang wbiła wzrok w kolumnę czarnego dymu. Zdawało jej się, że niektóre z zawirowań w skłębionej, smolistej masie przypominają śmiejące się twarze, zupełnie jakby martwi obrońcy miasta, ulatując ku chmurom, drwili z niej. Jeszcze tydzień, dwa tygodnie walk, jeszcze kilka zdobytych miast, a potem koniec. Władcy z zachodu i północy nadejdą z odsieczą, zepchną ją do morza, a niedobitki będą ścigać do samych brzegów Yauranu. Och, jakże głupia była, wierząc, że Boski Cesarz naprawdę chce dać jej szansę odkupienia win! W rzeczywistości pewnie szukał dobrze urodzonego dowódcy, którego można poświęcić bez żalu.

Stojąc na murze, Ts'Rang zaczęła dumać o bitwach, których nie da się wygrać. O tym, jak pani wojna potrafi zwycięzcę obrócić w przegranego, by karmić się jego upokorzeniem i strachem, nim wreszcie ześle mu śmierć. Admirał czuła, że wkrótce padnie jej ofiarą.

Ale czy to wystarczający powód, by nie walczyć?

*

— Niech to porwą wszystkie demony! — krzyknął Kashim, rzucając zwój w kąt.

Potem ścisnął skronie, zamknął oczy i zamarł w bezruchu. Siedział tak dłuższą chwilę, aż za jego plecami rozległy się ciche kroki. Delikatna, biała dłoń musnęła jego policzek, na karku poczuł dotknięcie włosów, a chwilę potem Vailana wyszeptała mu ciepło do ucha:

— Cóż to ma znaczyć, kochany? Nie poddawaj się tak łatwo.

— Łatwo? — rzekł jękliwie Kashim. — I sam Zerakhim nic by z tego nie wyczytał. Ten parchaty doriański alchemik pewnie chciał mnie oszukać. Zwoje są zagrzybione i częściowo zamazane, brak na nich oznaczeń. Nie wiem, który jest pierwszy, który ostatni, a których mi brak.

Vailana zachichotała.

— Wiedziałaś przecie, że za kilka marnych srebrników nie kupisz całego Kibatu, kochany. Mówiłeś, że jeno fragmenty ci starczą.

— I starczyłyby, Jedyny świadkiem! Lecz te spisano w języku, którego pojąć nie sposób. Wiem, że po to właśnie traktat o doriańskiej mowie

nabyliśmy u kopisty w Bogfenn. Jednak okazuje się, że w każdym zakątku świata Dorianie mówią nieco inaczej. Zresztą traktat ów na ogólnym języku opisaniu się skupia i na garści prostych zwrotów. To tak, jakbym chciał z waszym kapłanem gawędzić, dwa tuziny słów w mowie Learfeld znając! To obłąd!

Kondotierka przytuliła się do Kashima i przygryzła mu lekko ucho. Potem szepnęła:

— Nie unos się tak. Jeśli dość masz już tych zwojów, po prostu je zostaw. Przeogńcie wierzchowce z Brenvanem, albo lepiej chodź ze mną na tańce.

Kashim nie odpowiedział, tylko przyciągnął do ust i pocałował jej dłoń. Już raz spróbował porzucić tę pracę, jednak monotonia małego miasteczka, w którym spędzić mieli jeszcze dwa tygodnie, wcale nie okazała się lepsza. Poza tym niezależnie od tego, jaką pracą się zajął, zwoje go przyzywały, nie dawały mu spokoju, zwłaszcza że kilka marnych zdań, które dotąd zrozumiał, zawierało niepokojące podobieństwa do Irdy — objawionej części Księgi.

Brenvan oraz Vailana patrzyli na pracę Świętego Jeźdźca z niejakim zdziwieniem, według nich żadne zwoje nie mogły być ważniejsze od przygotowań do wyprawy. Myśleli już tylko o niej, co dzień licząc nowych rekrutów, którzy przybywali do obozu pod miasteczkiem. Brenvan zaprzyjaźnił się nawet z gotrlandzkim szlachcicem zwanym się Ketten, który miał przewodzić wielkiej ekspedycji.

Trójka dowiedziała się o tej wyprawie w Unborgu, gdzie Kashim szukał wszelkich informacji o dzikich krainach północy i o plemieniu Wetów, za którego ziemiami spodziewał się odnaleźć wygnańców ze swojego ludu. Sprawa z początku wyglądała beznadziejnie, bo nikt nie mógł rzec nic poza tym, że na północ od Gotrlandu są już tylko bezkresne lasy i dzikie góry oraz dziesiątki barbarzyńskich plemion, co czasem najeżdżają graniczne prowincje. Nie było map, nie było podróżników, którzy zwiedziliby choć część nieznaną pustkowi. Mówiono im, że powinni się zwrócić do Królewskiego Towarzystwa Geografów, jednak od stolicy Gotrlandu, Asterlet, dzieliło ich przeszło trzy tygodnie jazdy.

Wybawienie przyszło niespodziewanie, gdy na rynku w Unborgu Vailana spotkała werbownika, który szukał zbrojnych dla wyprawy badawczej. W ten sposób podróżni dotarli do Kettena, rycerza i dworzanina, któremu sam Filip Dobry polecił zebrać ludzi i przekroczyć północną granicę królestwa. Ekspedycja miała przemierzyć setki mil głuszy, aż do najdalej wysuniętej, warownej strażnicy u podnóża Chmurnych Grani. Tam pracę mieli zacząć

górnicy i rzemieślnicy, których ponad setka jechała z wyprawą. Diuk Gotlandu pragnął żelaza, bo choć morska inwazja została odparta, spodziewano się kolejnych i ceny rudy wzrosły niemal trzykrotnie. A tymczasem Chmurne Granie kryły ponoć wielkie pokłady żelaza, którego sporą ilość kupowano od barbarzyńców z tego regionu.

Zadaniem Kettena było zbudować warowne miasteczko, wznieść kopalnię, ułożyć się z barbarzyńcami lub ich pokonać. W tym celu chciał zgromadzić kolumnę przeszło stu pięćdziesięciu wozów oraz tysiąca ludzi. W tej ruchomej armii Kashim z przyjaciółmi dostrzegli szansę bezpiecznej podróży do samych ziem Wetów.

Na razie jednak dzień wyjazdu był cały czas przekładany, wyprawa — niegotowa, Kashim zaś coraz bardziej gnuśniał zamknięty ze zwojami w małym pokoiku na poddaszu gospody.

Rozdział 3. Przepowiednia

Dławiący, niesiony wiatrem szkarłatny pył dał ludziom w twarze, zupełnie jakby Żelazne Wzgórza próbowały ich tym sposobem odepchnąć, przegnać piaskiem i wichrem. Niewysokie wydmy, między którymi jechała wyprawa, nie zapewniały ochrony przed podmuchami, więc ludzie owijali sobie twarze szmatami. Parli do przodu ze wzrokiem wbitym pod nogi, w suchą i spękaną ziemię. Tylko kilku Świętych Jeźdźców, którzy stanowili ochronę karawany, próbowało się rozglądać wokół, choć co chwila oślepił ich dokuczliwy drobny pył.

Nic dziwnego, że cała wyprawa — przeszło sześćdziesięciu ludzi i dwa tuziny zwierząt — wpadła w zasadzkę tak łatwo, jak górskie ryby w sieć rozłożoną w poprzek strumienia. Duzzah Al’Dżirani i strażnicy, którzy szli na czele kolumny, zorientowali się, że ktoś stoi przed nimi, dopiero gdy usłyszeli krzyk w łamanym języku Tel’Halik.

— Stójcie, psy z pustynnego miasta!

Czoło kolumny zatrzymało się. Al’Dżirani, osłaniając twarz od wiatru, podniósł głowę, by dostrzec kilkanaście sylwetek na szczycie wydmy. Zaraz kolejne pokazały się po bokach kolumny. Święci Jeźdźcy osadzili saury w miejscu, wyciągnęli broń.

Degowie! Była ich co najmniej setka, wielu miało krótkie łuki lub proce. Ten zaś, który stał naprzeciw kolumny, zdjął z twarzy chustę. Al’Dżirani zadrżał, gdy zobaczył jego oblicze: pomarszczone, pokryte bliznami, o jednym oku przesłoniętym opaską.

— Kamudżyn! — zawołał i cofnął się.

Deg roześmiał się tak głośno, że nawet mimo wiatru jego chrapliwy głos dotarł na sam koniec karawany.

— Myśleliście, że da się przemknąć tuż pod naszym nosem? Naiwni ludzie z równin! Nie masz tu skały czy szczytu, z którego nie patrzyłyby bystre oczy Dega.

Święci Jeźdźcy tymczasem ustawili się w okrąg wokół reszty ekspedycji. Kilku dopinało szybko kołnierze łuskowych zbroi, modląc się szeptem. Nie bali się jednak; w każdym płynęła krew proroka i wiedzieli, że mogą zadać wrogom ogromne straty, nim wkroczą do Shannyevan.

— Wasi rodacy pustoszą Wzgórny Szlak, wybijają stada, puścili z

dymem Umm'al'Biyara. Myślicie, że takie czyny mogą ujść bez odpłaty? — rzekł Kamudżyn.

Al'Džirani zadrzał. Bał się o swoje życie, lecz jeszcze bardziej bał się o to, co ze sobą wiózł, czyli o raporty z badań zagubionego miasta i trzydzieści dwa zdania w dawno wymarłym języku. Wiedział, że jeśli pasza ich nie dostanie, Jastrzębie Najwyższego zatryumfują. Duzzah sięgnął więc po kindżał i ocenił sytuację. Szanse mieli nikłe, ale co innego im pozostawało?

Wtem stało się coś niespodziewanego. Z tłumu wojowników za Kamudżynem wystąpiły dwie postacie zakutane w ciemne płaszcze. Rozmawiały cicho z Jednookim, a ten śmiał się chrapliwie. Wreszcie pierwsza z postaci stanęła naprzeciw karawany i odpięła szeroki pas, który utrzymywał poły odzienia. Wiatr zaraz porwał je, a ludzie zaszemrali zdziwieni. Naprzeciw nich stał młody Święty Jeździec, w oficerskiej zbroi. Lewą dłoń oparł na szabli, a kikut prawej ginął gdzieś w jego polerowanym karwaszu.

*

Jeszcze nigdy podróż na szczyt Piaskowej Iglicy nie dłużyła się Snaarowi tak bardzo. Wąska serpentyna schodów ciągnęła się w górę bez końca, zupełnie jakby każdy stopień oznaczał jeden dzień, który gad spędził w tym przeklętym mieście. Mimo to niestrudzenie szedł dalej. By nie znieważać świętej krwi, płynącej w jego żyłach, miał obowiązek okazywać choć cząstkę cierpliwości Boskiego Cesarza. Co jakiś czas, gdy w grubej ścianie pojawiała się okienko, Snaar przystawał, by spojrzeć na miasto malejące z każdym kolejnym piętrem.

Tel'Halik o północy przypominało opuszczone ruiny. Gad dobrze pamiętał, że jeszcze kilka lat wcześniej o tej porze widziałby prawdziwe morze światła, a do jego uszu, mimo dużej wysokości, dochodziłby gwar, śpiewy i muzyka z pałacowych ogrodów. Teraz jedynie kilka jasnych punkcików pełzało po labiryncie ulic — to patrole świątynnej straży pilnowały porządku w mieście.

Wreszcie, po długiej i męczącej wędrówce, Snaar dotarł do celu. W złoconych drzwiach Kaplicy Objawień odbijały się gwiazdy. Gad sięgnął za pazuchę i wyciągnął klucz. Tylko dwa takie były w Świętym Mieście: jeden w skarbcu Pierwszej Świątyni, drugi na szyi Snaara.

Otworzywszy drzwi, gad wszedł do wnętrza i przystanął na chwilę, by podziwiać kaplicę. Tylko tu — i może w niektórych komnatach pałacu — czuł ten sam przepych, tę samą doskonałość formy, jaką w ciągu tysięcy lat

architekci nadali pałacowi Boskiego Cesarza w Asar'Aden.

Przez wielkie, łukowate okna do środka wpadało światło, które skrzyło się na szczerzłotym ołtarzu, odbijało od wypolerowanej posadzki i rozszczepiało we wnętrzu drogocennych kamieni osadzonych na ścianie. W kaplicy było niemal tak jasno, jak w dzień.

Snaar przeszedł się po jej wnętrzu, a potem wyszedł na balkonik. Ten wąski na ledwie kilka stóp gzyms otaczał szczyt Iglicy. Miał co prawda barierkę, jednak ażurowa konstrukcja z marmuru, która sięgała ludziom ledwie do łędźwi, była głównie ozdobą. Żaden ciepłokrwisty nie mógłby stanąć na balkonie i zachować spokoju. Wiatr był tutaj tak silny, że niemal porywał za balustradę, a pod nią otwierała się przepaść. Daleko w dole widać było wypukłości pałacowych kopuł, mozaikę placów, uliczek i świątyń. Za murami Tel'Halik wzrok gubił się zaś w bezkresnym odmęcie piasku, który gdzieś hen! stapał się w jedno z gwiaździstym horyzontem.

Snaar obszedł czubek Iglicy, po czym wrócił do wnętrza. Dość już przyjemności, musiał zabrać się do ważniejszych zajęć. Klęknął przed ołtarzem i położył na nim dłonie. Wielokrotnie przećwiczonym sposobem skupił wszystkie myśli na krwi, która krążyła mu w żyłach. Na boskiej krwi samego Cesarza. Jakiś czas tkwił bez ruchu, oddychając głęboko, a w końcu wydał krótki, zdecydowany rozkaz.

Tkanka rzeczywistości rozerwała się nad ołtarzem. W powietrzu zawisła świetlista kula energii, a ciało Snaara przeszyły dreszcze. Nawet on czuł się niepewnie w obliczu tak wielkiej mocy. Wiedział, że jeśli straci panowanie nad kulą, eksplozja może zrównać z ziemią Święte Miasto. Mimo to sięgnął w jej głąb myślami, zanurzył się w bezładzie, skupiając wolę na tworzeniu barier, które miały chronić jego rozum przed obłędem niebytu.

Wreszcie, po upiornie długiej chwili zmagania, w chaosie dostrzegł stały punkt — latarnię morską wśród spienionych fal. Tak długo szeptał kolejne rozkazy, aż jego myśl dotarła do tego miejsca.

Snaar zetknął swój umysł z umysłem Boskiego Cesarza. Tysiące mil, które ich dzieliły, przez krótką chwilę nie miały znaczenia.

*

Tymczasem w dużej madrasie, z której podwórca widać było Piaskową Iglicę, ciche kroki zmały nocną ciszę. Trzy drobne kształty sunęły korytarzem, rozglądając się bacznie na boki i przystając raz po raz w cieniu. Byli to chłopcy w długich, płóciennych szatach. Skradali się z wprawą godną pałacowych szpiegów. Wiedzieli, że Czerwony Turban, który chodził po

korytarzach madrasy z kagankiem i kijem, nie będzie miał dla nich litości. Nie miał jej w każdym razie dla małego Nimiha, którego zatłukł na śmierć trzy noce temu za to, że ten podkradał jedzenie z kuchni.

Przemknęli jeszcze dwoma korytarzami, mijając składzik oraz salę czytań. W końcu dotarli do lewego skrzydła budynku, wprost pod grubą kotarę jednej z wielu tutejszych sypialni. Były w niej posłania dla czterdziestu uczniów, a podobnych pomieszczeń pospiesznie zorganizowano w madrasie kilkanaście.

Szkoły dla chłopców niedawno stały się obowiązkowe, Czerwone Turbany zaś stały do nich potomków skazanych przestępców i heretyków, dzieci najuboższych rodzin, jak również sieroty, których ostatnio w Tel'Halik szybko przybywało. Zdarzało się nawet, że gdy w szkole brakowało uczniów do wypełnienia planu, narzuconego madrasom przez Yholeda, porywano chłopców wprost z ulic.

Prorok chciał świeżej krwi. W kilkunastu ogromnych budynkach w całym Tel'Halik uczono najmłodszych jego słów, nauczano czcić jego imię, walczyć włócznią i łukiem. Dzieci nie mogły opuszczać szkoły ani w dzień, ani w nocy. Żyły w dyscyplinie, a każde złamanie regulaminu madrasy pociągało za sobą surowe kary.

Nic dziwnego, że trzech chłopcy, którzy stanęli pod kotarą sypialni, trzęśli się ze strachu. Mimo to przekroczyli próg, od razu stając się celem dla kilkudziesięciu par bojaźliwych oczu.

W pomieszczeniu, które oświetlał tylko skradziony skądś ogarek, było gęsto od zgromadzonych uczniów. Siedzieli zbici w gromadkę w rogu, słuchając słów tego, który znajdował się pośrodku sali.

— Siadajcie — szepnął ktoś do nowych przybyszy.

— Właśnie kończy pierwszą — rzekł ktoś inny.

Istotnie, chłopiec, który zajmował środkowe miejsce, kończył opowiadać jakąś historię. Wszyscy słuchali go w napięciu, bo właśnie dla tych historii ryzykowali, łamiąc nocną ciszę i przekradając się do tej sypialni z najdalszych zakątków szkoły.

Opowiadający mówił spokojnie, głosem wytrawnego bazarza, choć był równie młody jak reszta. Wreszcie jego opowieść dobiegła końca, a wtedy w sypialni zawisła cisza. Ktoś poprawił ogarek, osadzając go pewniej w podstawce ze stopionego wosku. Wreszcie jeden z ostatnio przybyłych poprosił:

— Opowiedz coś jeszcze. Dopiero przyszliśmy, opowiedz nam coś.

Chłopiec uśmiechnął się i odparł:

— Może ktoś inny? Ktoś z drugiego skrzydła? Medib, znasz tyle historii... to zastąp mnie. Odpocznę i sam sobie posłucham.

Medib pokręcił szybko głową. Kiedyś w trakcie spotkań każdy coś mówił, opowiadał dowcip albo straszną historię. Wszystko zmieniło się, gdy przyszedł Ezih — sierota po garncarzu z Szarego Stoku — i zaraził ich swoimi baśniami. Teraz chcieli słuchać jedynie Eziha. Liczba opowieści, które znał, zdawała się niewyczerpana i jeszcze nigdy nie słyszeli takiej, która by ich zawiodła. Ba, bywało nawet tak, że w swoich historiach Ezih zmyślnie żartował z najgroźniejszych nauczycieli czy ponurego życia w madrasie.

Teraz Ezih zastanawiał się jedynie krótką chwilę.

— Udżir — powiedział do jednego ze słuchaczy. — Prawda, że ten wieprz Al'Zini znowu cię pobił?

— Tak. On... Ja źle wbijałem włócznię w manekin. Ale miałem zmęczone ręce po pracy w kuchni. No i dostałem ten najbardziej tępy grot.

Kilka osób potwierdziło cicho.

— W takim razie słuchaj — rzekł do niego Ezih, po czym rozpoczął opowieść. — Dawno temu na obrzeżu Żelaznych Wzgórz mieszkał ponury olbrzym. Jego ciało było twarde jak skała, członki miał grube niczym belki i porośnięte niby skóra bacharna. Nade wszystko lubił chwalić się przed ludźmi swoją siłą. Napadał wszystkie pobliskie osady, zabijał i kaleczył jedynie po to, by pokazać, że jest niepokonany, że nikt nie może się z nim równać. Jego imię brzmiało...

— Al'Zini? — wtrącił ktoś, a reszta chłopców zachichotała.

— Dobrze, niech będzie Al'Zini. No więc ludzie z okolicznych osad nieraz wzywali już żołnierzy, Duzzahów, a nawet Świętych Jeźdźców, jednak żaden nie umiał pokonać Al'Zinięgo. Szable tępiły się na jego ciele, a włócznie łamały. Olbrzym zaś po każdym zwycięstwie nabierał przekonania o własnej potędze.

Pewnego razu Al'Zini napadł małą oazę, w której mieszkało kilka rodzin. Zniszczył zagrody, rozpedził zwierzęta, a potem oświadczył, że jeśli ktoś nie wyjdzie z nim walczyć, to zrówna z ziemią każdy dom z osobna. Mieszkańcy zaczęli się modlić do Jedyneego, ale nikt nie miał odwagi walczyć, słyszeli bowiem o okrucieństwie, z jakim osiłek traktował pokonanych.

Czas mijał, Al'Zini zaś robił się coraz bardziej niecierpliwy. Wreszcie w gniewie zaczął niszczyć dom za domem. Ludzie uciekali w popłochu, lecz w

końcu olbrzym uwięził kilka osób w jednym z budynków. Zaparł się o ściany, by obalić mury i pogrzebać ludzi żywcem. Jednak zanim do tego doszło, z przerażonego tłumu wyszedł młody wojownik. Wyzwał Al'Ziniego, by ocalić życie uwięzionym, choć miał tylko starą szablę i tarczę, które odziedziczył po ojcu.

Al'Zini roześmiał się głośno i zaatakował. Pierwszy jego cios złamał szablę śmiałka, drugi strzaskał jego tarczę. „Ośmieliłeś się wyzwać najlepszego wojownika na świecie i przegrałeś — rzekł tryumfalnie Al'Zini. — Teraz oderwę ci obie ręce, byś konał w bólu”. Wojownik nie przestraszył się jednak. Odparł szybko olbrzymowi: „Niech i tak będzie, to żaden wstyd przegrać z najsilniejszym mężem, jaki chodzi po ziemi. Martwię się jednak, czy rzeczywiście ty nim jesteś. Słyszałem bowiem, że są rzeczy, którym nie podołasz”. „Jakież to rzeczy? — oburzył się Al'Zini. — Pokaż mi takie zadanie, a puszczę cię wolno”.

Wojownik wskazał więc drzewko oliwne, które rosło w sadzie. „Wpierw oderwij jego gałąź”, polecił. Al'Zini podszedł i wyrwał gałąź z pnia, niemal rozdzierając go na dwoje. Śmiałek rzekł na to: „A teraz przyłóż gałąź z powrotem, tak by nie było żadnego śladu i by drzewo rosło dalej zdrowe”. Olbrzym głowił się i trudił, lecz ta sztuka już mu się nie udała. Wtedy wojownik powiedział: „Widzisz teraz, że ranienie oraz niszczenie to zabawa dla dzieci. Prawdziwym wyzwaniem jest leczyć oraz tworzyć”.

Tu Ezih przerwał, dokładnie tak, jak zwykł przerywać jego dziadek.

— I co było dalej? — szepnął jeden z chłopców, którego takie zakończenie widać nie satysfakcjonowało.

— Nie wiadomo. — Ezih zaśmiał się. — Niektórzy mawiają, że olbrzym dostrzegł swój błąd, opuścił zaraz osadę i nigdy już nikogo nie napadł. Inni twierdzą, że ze złości zabił wojownika, lecz czyn ten nie dał mu już satysfakcji, podobnie jak każdy inny napad od tej pory. Tak czy inaczej, jego pewność siebie została zachwiana i wiedział już, że bycie silniejszym od reszty nie znaczy, że jest się lepszym.

Opowieść dobiegła końca, ale chłopcy siedzieli jeszcze chwilę w ciszy. Niektórzy marzyli o tryumfie mądrego wojownika, inni z przerażeniem myśleli o tym, że mógł zginąć. Kilku ledwie, tych najstarszych i najmądrzejszych, zdawało sobie sprawę, że Ezih, wnuk prostego garncarza, nie tylko opowiada historie, lecz też naucza słuchaczy. Sposobem lepszym od dziesiątki Duzzahów z kijami.

*

Snaar odezwał się pierwszy. Oczywiście nie użył słów. Wyobraził sobie tylko, jak klęka przed cesarskim majestatem. W ułamku sekundy odpowiedziała mu nawałnica myśli i obrazów. Snaar zakosztował niecierpliwości władcy, musnął jego niezadowolenie z powolności działań w Tel’Halik. W odpowiedzi Snaar przybrał skarcony i pokorny stan umysłu, lecz jednocześnie przepuścił przez głowę wyobrażenia walk na brzegach Shaprut, zbuntowanych Degów oraz politycznych starć w Tel’Halik, które coraz bardziej zajmowały Duzzahów, a nawet samego proroka.

Cesarz w zamian przekazał mu wizję wydarzeń na wschodzie. Wielką bitwę morską, zdobywanie Gedialanu. Snaar widział, jak wielu ludzi stracili wrogowie władcy Asar’Aden, widział zniszczone miasta, tłumy uchodźców oraz tysiące farsangów żyznych pól południa, palonych przez cesarskich żołnierzy. Jednocześnie był świadkiem, jak w każdym mieście Boskiego Cesarza namiestnicy formują kolejne chorągwie.

Potem Snaar zasmakował przyszłości. Zobaczył wielki głód, który wybuchnie za rok w Ziemiach Środka, zobaczył kłótnie i wojny tamtejszych władców oraz kolumny yaurańskiej piechoty, maszerujące szerokimi traktami cesarstwa w stronę granicy. Setki kolumn — a wszystkie łączyły się w coraz szersze strumienie i rzeki, by wpaść do szarych oceanów: wojskowych obozów, gdzie grupowały się armie. Następnie Cesarz pokazał mu, jak lud Tel’Halik przekracza pustynię, a tysiące wojowników, kierowanych słowem proroka, pali i pustoszy osady demonów. Zalewa Marović, zachodnie rubieże Learfeld. Potem Snaar widział już tylko krótkie migawki: buntowniczych królów ćwiartowanych na placach kaźni, masakry całych miast, cesarskie flagi nad rumowiskami i miliony nowych wiernych, którzy składali pokłon władcy z dalekiego Asar’Aden.

Odpowiadając, Snaar starał się zapewnić Cesarza, że zrobi wszystko, by jego wola się spełniła. Cień zwątpienia i strachu sączył się jednak przez zasłonę myśli niczym smród trupa przenikający całun. Cesarz to wyczuł i na chwilę zerwał kontakt ze swoim sługą.

Gdy Snaar zaczął umierać ze strachu, podejrzewając, że to objaw niełaski władcy, obecność Cesarza powróciła. Gad zobaczył nieskończony ocean, obmywający południowe krańce wszystkich znanych ziem. W Tel’Halik nazywano go Morzem Bestii. Przez ocean, wśród wzburzonych fal i lodowatego wichru, parła cesarska eskadra, kilkanaście ciężkich galer. Pokonawszy morze, wpływały w zatokę, przy której znajdowało się portowe miasto pełne białych domków o płaskich dachach, bogatych willi oraz

winnic.

Tel'Amman!

Tu Cesarz skończył audiencję i odprawił Snaara. Ten zaś, choć drżał jeszcze, szybko opanował kulę energii, wycofał z niej swoje myśli i odesłał moc tam, skąd przyszła.

Potem klęczał chwilę w chłodnym wnętrzu kaplicy i zastanawiał się nad wszystkim, co mu przekazano. Czuł, że powinien popędzić Vezamara, Lammadza i wszystkich przeklętych ciepłokrwistych, przez których przygotowania się opóźniają. Przyszłego lata Yauran miał wreszcie zalać Ziemię Środka. Tel'Halik musiało wziąć w tym udział.

Wizja nadciągających posiłków, zamiast uspokoić Snaara, zmobilizowała go do działania. Wiedział, że na statkach, które przed wiosną przybiją do brzegów Ocalonej Krainy, może być inny zaufany sługa władcy, i ten bez wahania zdejmie go z dowództwa, jeśli uzna, że przygotowania do wojny postępują zbyt ślamazarnie. Cesarskich oficerów nie degradowano ani nie odsyłano na mniej ważne placówki. Karą za jakiegokolwiek niedopatrzenie była śmierć...

Wzdrygnąwszy się, Snaar wstał i ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się jednak przed progiem kaplicy. Dręczyło go wspomnienie pewnego szczegółu, który odczuł w rozmowie z Cesarzem. Jeszcze wiek wcześniej umysł boskiego władcy był dla Snaara całkowicie nieprzenikniony i niedostępny. Podczas kontaktu Cesarz widział każdą jego myśl, Snaar zaś odbierał tylko to, co Cesarz sam zdecydował się wysłać. Jednak setki dni spędzonych na medytacji oraz ćwiczeniu woli odmieniły gadziego lennika. Od jakiegoś czasu — choć zapewne było to bluźnierstwo — Snaar odbierał w trakcie kontaktu strzępki rozmyślań Cesarza.

Dzisiaj po raz pierwszy znalazł w nich strach.

Boski Cesarz widział ogromne zagrożenie w niedalekiej przyszłości, a na myśl o tym Snaar poczuł się bardzo niepewnie. Jakim robakiem okazałby się wobec mocy, która przerażała samego boga? I jak to możliwe, by podobna moc w ogóle istniała?

*

— I dalej nic. — Brenvan wzruszył ramionami. — Dajże wreszcie spokój, trzeba wracać do wozów, nim ze szczętem się w tym borze pogubimy.

— Jeszcze tylko miniemy ów jar. Zdaje mi się, że widzę za nim przesiekę...

— Jeszcze ten jar, jeszcze tamten jar... A ja nie mam ochoty później tropić wozów jak jaki pies gończy.

— Patrz lepiej na boki, bo im szybciej chatę zoczysz, tym prędzej będziemy z powrotem.

Aam Caerleigh westchnął. Zazwyczaj z ciekawością uczestniczył w poszukiwaniach, które prowadził Kashim, lecz tym razem jego przyjaciel najzwyczajniej przesadził. Nie dość, że złamał rozkaz Kettena, to jeszcze z każdą chwilą oddalali się od reszty wyprawy, co na odludnym pograniczu było ryzykowne. Na dodatek wszystko po to, by odnaleźć przeklętą kobietę, którą nawet ziomkowie wygnali w bezludny bór. By odnaleźć wiedźmę!

Od kilku dni Kashim, Brenvan oraz Vailana pracowali dla kwatermistrza karawany. Zajęcie przynosiło wprawdzie skromny zarobek, ale pozwalało oderwać się od monotonii podróży i smrodu wielkiego obozowiska. Razem z kilkoma innymi pomocnikami jeździli po osadach rozsianych wzdłuż trasy przejazdu, by kupować prowiant oraz obrok dla koni. Choć ekspedycja miała całe wozy zapasów, Ketten i jego kwatermistrz woleli nie naruszać ich jeszcze w granicach Gotrlandu. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo wyprawa będzie musiała przedzierać się przez barbarzyńskie kraje, więc zaopatrywano się po drodze tak długo, jak to było możliwe. I właśnie podczas wizyty w osadzie na brzegu prastarego lasu Al'Shannagg dowiedział się, że w okolicy mieszka wiedźma.

Stało się to, gdy tropiciel, u którego kupowali dziczyznę, spostrzegł, że jeden z kwatermistrzów ma chromego konia. Od razu poleciał, by udać się ze zwierzęciem do czarownicy, która ponoć leczyła niemal wszystkie choroby, jeśli ktoś nie bał się słono zapłacić i narażać na gniew bogów, korzystając z przeklętej magii.

Kwatermistrzowi wizyta w lesie się nie uśmiechała, tym bardziej, że Ketten zadbał o luzaki, w razie gdyby wyprawa straciła kilka koni. Kashim jednak, odkąd usłyszał o wiedźmie, myślał jedynie o tym, by się do niej wyprawić. Pokłócił się z kwatermistrzem, bo ten nie chciał zwolnić trójki przyjaciół ze swojej eskorty. W końcu stanęło na tym, że Vailana zostanie i doprowadzi kwatermistrza oraz żywność do wozów, Al'Shannagg zaś, w towarzystwie Brenvana, ruszył na spotkanie z czarownicą.

— I po co ci to? — jęknął Aam Caerleigh, gdy jazda zaczęła się dłużyć.
— Masz do tej wiedźmy sprawę, która by usprawiedliwiła ten wysiłek?

— Jeśli leczy, to z pewnością posiada dar. Ciekaw jestem, czy ma w żyłach tę samą krew, co dzicy wilczarze z Marovii, tę co noszę ja, czy może

jeszcze inną...

— Toż ja nie muszę tej wiedźmy widzieć, by rzec, że krew ma czerwoną a rzadką, jak każdy człowiek. I doprawdy nic więcej wiedzieć nam nie trzeba.

— A ja ci powiadam, rycerzu, że to rzecz pierwszej wagi...

Brenvan nie kłócił się. Po tylu przygodach u boku Kashima przywykł do nieustannego wypytywania dziwnych ludzi o dziwne rzeczy. Spodziewał się, że Święty Jeździec będzie rozmawiał długo z wiedźmą o jakichś niezrozumiałych sprawach, a pod koniec, poruszony i zdenerwowany, spróbuje wytłumaczyć towarzyszowi, jak ważne jest to, czego wysłuchał. Brenvan jednak, choć z ciekawości brał udział w Kashimowych wyprawach po wiedzę, nie rozumiał, jak kolejne odkrycia mogą budzić w Al'Shannaggu tyle emocji. W końcu cóż za różnica, co zrobił taki czy owaki setki lat temu? Odpowiedź na te pytania była tak samo ważna, jak pył niesiony wiatrem po gościńcu ubiegłego piątku, bo i to, i to nie miało żadnego wpływu na życie rycerza. Mimo wszystko Brenvan zamierzał słuchać i potakiwać, a potem czym prędzej wrócić do karawany. Nie wiedział jednak, że wiedźma da im zupełnie nie to, czego oczekiwali.

Wkrótce Al'Shannagg wypatrzył przez zasłonę liści jakieś zabudowania wzniesione na środku polanki. Gdy podróżni podjechali na jej skraj, okazało się, że mają przed sobą normalne gospodarstwo: dom z ciosanych bali, zagrodę i kurnik. Ptactwo dreptało po łące, pod krzakiem bzu pasło się kilka kóz, a w zagrodzie Brenvan wypatrzył dwa czy trzy dorodne wieprzki. Całym inwentarzem opiekowała się wiotka, ciemnowłosa dziewczyna, która właśnie karmiła kury, rzucając im ziarno szerokimi ruchami. Gdy podjechali, nie uciekła w przerażeniu, jak miały to w zwyczaju gotrlandzkie wieśniaczki. Zamiast tego odłożyła glinianą misę, wsparła ręce na biodrach i odezwała się:

— Mam nadzieję, że nie z żywizną? Tej dość już mamy, a pieniądz by się jaki zdał.

— Co? — Spytał zdziwiony Brenvan.

— Żywizna — rzekła dziewczyna, pokazując mu wszystko wokół. — Kury, prosiaki, kozy. Osadnicy płacą nimi, a we dwie przecie dużo nie jemy. Kłopot potem jest, by biedne bydła ogarnąć, wykarmić. Pieniądz macie?

Kashim zeskoczył z konia i zbliżył się nieco.

— Jak brzmi twe imię, dziewczyno?

— Babka zwie mnie Enary, ale zaraz... Dziwne masz oblicze, przybyszu!

— Przyjechałem z dalekich ziem na zachodzie. A teraz słuchaj, Enary, my nie za radą czy dla leków tu przyszliśmy. Chcemy rozmawiać z twoją

babką.

Dziewczyna popatrzyła w zdumieniu, a w końcu wybuchła śmiechem. Kury rozbiegły się przestraszone.

— Rozmawiać? Na bogów, nie wyobrażam sobie, kto chciałby do niej wejść, ważnych powodów nie mając!

— Nie rozumiem — powiedział Brenvan.

— A wiecie, jak potężną wiedźmą jest moja babka? A to, że moc wielka z czasem odbiera rozum, też wiecie?

Tu ściszyła głos, by dodać:

— Babka nic mądrego wam nie rzeknie. Jej dusza już dawno się wypaliła, teraz są w niej jedynie czary i stare receptury.

Al'Shannagg wzruszył ramionami. Wyciągnął z sakiewki srebrnika, wcisnął go w drobną dłoń Enary, a potem kazał prowadzić się do czarownicy. Brenvan przez chwilę zastanawiał się, czy iść za nim, bo coś w głosie dziewczęcia go odstraszało. Wreszcie jednak wszedł za Kashimem do ciemnego wnętrza.

W środku panował zaduch, choć przez otwarte okiennice wpadał wiatr i promienie słońca. Ciężki odór unosił się w powietrzu. Zapach ziół, zmieszany ze smrodem czarodziejskich komponentów, które leżały na półkach i wielkim stole, sprawiał, że obaj podróżni omal nie zwymiotowali.

Były tam różne części zwierząt, często nadpsute. Były drewniane miseczki pełne ohydneho szlamu czy ziemnego robactwa, były dziesiątki maści cuchnących zjełczalym tłuszczem. Był nawet mały cebrzyk, w którym parowało świńskie łajno. Al'Shannagg uznał, że przy tym wnętrzu pracownia wiedźmy Zebari wydawała się czysta i pachnąca niczym pałacowa łaźnia.

Enary poprowadziła ich dalej, do małego pomieszczenia na tyłach, odgrozonego od reszty domu drzwiczkami z łańcuchem. Kiedy weszli do środka, Al'Shannagg z początku nie mógł wypatrzeć wiedźmy, ponieważ w pokoju panował straszny bałagan. Na ziemi leżały ubrania wyrzucone z otwartej skrzyni, łoże było przewrócone, siennik rozerwany, półki strącone ze ścian. Powietrze nasiąkło ciężkim zapachem moczu, który nieprzyjemnie drażnił nozdrza. Wnętrze oświetlał tylko mały lufcik w górnej części ściany.

Dziewczynka rzekła karcącym głosem:

— Babciu, znowu nabrudziłaś! Doprawdy, nie mam czasu trzy razy dziennie tu sprzątać. A teraz masz gości.

Odpowiedział jej nieartykułowany jęk z rogu pomieszczenia. Brenvan z Kashimem dopiero teraz dostrzegli w ciemnym kącie drobny kształt. Była to

staruszka, zawinięta we własne długie, siwe włosy. Szeptła coś, miętosząc w dłoniach drobny przedmiot. Gdy Kashim zbliżył się, zobaczył, że to mała, szmaciana lalka.

— Życzę wam miłej pogawędki, szlachetni panowie — Enary zachichotała, po czym zniknęła.

Al'Shannagg z Brenvanem zostali sami, patrząc niepewnie na skuloną postać.

— Czarownico — odezwał się w końcu ten pierwszy, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

— Szlachcic tu stoi, stara kobieto. Pomiarkuj się — powiedział Brenvan, lecz i to nie odniosło skutku.

Święty Jeździec zbliżył się jeszcze bardziej, tak że mógł dokładnie widzieć pomarszczoną niby stare jabłko twarz wiedźmy oraz jej rozszerzone magią, szalone oczy.

— Ma krew — szepnął do Brenvana. — I to bardzo silną.

Starucha tymczasem zorientowała się, że ktoś nad nią stoi. Z piskiem przypominającym głos ranionego zwierzęcia cofnęła się jeszcze głębiej w róg. Po chwili, gdy zamierzali już odejść, uniosła głowę i rzekła niespodziewanie wyraźnym, silnym głosem:

— Losy wasze splecione niby przedło w skrzyni. Tak, bogowie zabawili się we własne gry, jeden los wisi na drugim, drugi na pierwszym.

— Kobieto, chciałem wiedzieć, czy... — zaczął Al'Shannagg, lecz wiedźma ani na moment nie przestała mówić, ignorując go całkowicie.

— Splecione losy, mroczne i okrutne. Syn kobiety z miasta bogini oraz zwykły człowiek urodzony bez boskiej krwi... Obaj zwyciężą, lecz i żaden nie zwycięży, jak śmieszne bywają wyroki bogów. Długa droga, przez tyle krain, przez tyle traktów, lecz koniec już wkrótce. Jeden z was... Jeden zginie, rozerwany przez setki ostrzy. Drugi... Drugi będzie do końca swych dni żył w obcym kraju, samotny i obeschnięty niczym drzewo przeszczepione na jałową ziemię. To jednak bez znaczenia... Wszystko bez znaczenia... On idzie. Każda rzecz wraca tam, skąd przyszła. Tak zimne i wielkie są przestrzenie pomiędzy gwiazdami! Wszystko wraca do pustki...

Wypowiedziawszy te słowa, wiedźma zwiotczała i osunęła się na bok. Z jej nosa wyciekła strużka krwi. Al'Shannagg wstał i ruszył ku wyjściu błądy jak śmierć. Brenvan podążył za nim. Gdy wyszli na dwór, Enary karmiła dalej drób.

— Ile lat ma twoja babka? — spytał Al'Shannagg powoli.

— A bo ja tam wiem? — odparła z uśmiechem dziewczyna. — Toć przecie pani matka mi tego nigdy nie mówili. Jenó tyle, że za jej młodu babka już była siwa i szalona.

— Więc jak... — zaczął Brenvan.

— Nie jest moją prawdziwą babką. Tylko ją tak zwę, w rzeczy samej może być i praprababką. Moja rodzina żyje i umiera, a ona wciąż jest. Jeśli bogowie dadzą, poślubię pewnego dnia syna któregoś z gospodarzy, urodzę dzieci, te dzieci będą się jeszcze opiekować staruszką, a za nimi pewnikiem dzieci ich dzieci.

Kashim skinął głową na znak, że rozumie. Pożegnał Enary i wskoczył na konia. Gdy wjechali w las, zostawiając za plecami gospodarstwo, Brenvan spytał:

— Nie wierzysz jej chyba? Była przecie całkiem na umyśle pomieszana!

Al'Shannagg nie odpowiedział, wpatrzony w przestrzeń. Wiedział, że tak długi żywot był darem, którym cieszyła się jedynie pierwsza i druga krew.

Wkrótce za jeźdźcami opadła zielona kurtyna lasu, skrywając na zawsze polanę i drewniany dom, gdzie córka bogów spoczywała skulona w barłogu ze szmat.

Rozdział 4. Krew na śniegu

Gdy zasłona w oknie już znieruchomiała, Vezamar wstał z łoża, przyglądał szaty i zbliżył się do parapetu. Wyrżał ostrożnie na zewnątrz, lecz ani na murze, ani w ogrodzie nie widział ciemnego kształtu Bestii. Tylko para gwardzistów przechadzała się pod oknem, uważnie patrząc na boki.

Prorok westchnął i podszedł do stołu, na którym stała karafka z zimną wodą. Choć od chwili zamachu niemal potroił szeregi pałacowej straży, zamaskowany stwór wciąż przychodził do niego z tą samą łatwością. Dziś przekazał mu kolejną wolę niebios. Dzień exodusu został już wyznaczony. Następnej wiosny lud Ocalonej Krainy miał wyjść z Tel'Halik i pomaszerować na spotkanie przeznaczenia.

Starzec wypił nieco wody i zastanowił się chwilę. Jutro od samego rana miał pchnąć poddanych do pracy. Tak jak niebiosy puściły w ruch Wysłannika, tak jak Wysłannik puścił w ruch jego, tak sam Vezamar musi wydać nowe rozkazy Yholedowi, Mazznarowi, generałowi Al'Ghazi oraz dziesiątkom wyższej rangi urzędników. Wola niebios miała spłynąć w dół, do najuboższych żebraków, najnikczemniejszych niewolników Świętego Miasta, niczym strumień, który schodząc z wysokiej skały, powoli zmienia się w szeroki nurt Shaprut.

Czasu było niewiele, a poza granicami Świętego Miasta rebelianci oraz heretycy wciąż powstrzymywali działania Tel'Halik. Armia uganiała się po Żelaznych Wzgórzach za nieuchwytnymi Degami. W Tel'Amman siły nowego namiestnika toczyły podjazdową wojnę z rebelią. Transporty żywności z południa były małe, ponieważ przekłeci buntownicy niszczyli pola i sady, by z pomocą głodu zmusić Święte Miasto do rozmów. To wszystko musiało się skończyć szybko.

Zaspokoiwszy pragnienie, starzec wrócił do łoża. Zmówił krótką modlitwę, lecz mimo że minęła połowa nocy, nie potrafił zasnąć. Przewracał się z boku na bok w jedwabnej pościeli i próbował przegonić grzeszne myśli, lecz one powracały nachalnie, ciągnąc do niego niczym pszczoły do baryłki słodu.

Ostatnio Vezamar coraz częściej wątpił. Pokutował, pościł i modlił się, ale nieustannie prześladowała go natrętna myśl, że Wysłannik Niebios mógł być w istocie wysłannikiem piekła. Choć Bestia wyniosła jego samego do

Piaskowej Iglicy, choć władała mocą Sammara opisaną w Księdze, choć pomogła przywrócić w Tel'Halik moralny ład i praworządność, która tak ucierpiała za Zerakhima, Vezamar wciąż obawiał się, czy istotnie exodus był zaplanowany przez Jedynego. A jeśli wszystko plan demonów? Jeśli Ocalony Lud miał zginąć gdzieś wśród pustkowi, by droga do Shannyevan wreszcie stanęła otworem? Czy Bestia to w takim razie demon?

Teraz, gdy prorok zaczął obawiać się Wysłannika Niebios, takim samym strachem napawały go również Jastrzębie Najwyższego. Wiedział już, że Lammadż jest posłuszny Bestii i że jej rozkazy będzie przedkładał nad rozkazy proroka, to samo dotyczyło szeregowych Jastrzębi, które właśnie od Bestii pobierały większość nauk. Przez to Vezamar nie mógł spać spokojnie i ciągle czuł się zagrożony. Zdławił już wszystkich wrogów Tel'Halik, lecz nie opuszczało go przeczucie, że siła, która wyniosła go na tron proroka, z taką samą łatwością może go z tronu zrzucić.

*

Choć wydawało się to nieprawdopodobne, Degowie dali ludziom Al'Dżiraniego wolny przemarsz przez Żelazne Wzgórza. Co więcej — pokazali im dzikie ścieżki oraz wysokie przełęcze, których nigdy nie patrolowali żołnierze Świętego Miasta. Wyglądało na to, że pasza Asimar zawarł z Kamudżynem oraz Tenzihem jakieś porozumienie, choć dla wielu Świętych Jeźdźców było to niepojęte. W końcu ledwie trzydzieści lat temu właśnie Asimar Amra Al'Dirbin urządził góralom krwawą łaźnię pod wrotami Tel'Halik.

Mimo to dwaj Jeźdźcy, którzy towarzyszyli Kamudżynowi, twierdzili, iż są wysłannikami paszy, kimś w rodzaju ambasadorów. I choć Jeźdźcy Al'Dżiraniego z początku w to wątpili, uczynność górali, z jaką spotkali się wielokrotnie w ciągu najbliższych dni, ów fakt potwierdzała.

Wyprawa parła naprzód północną częścią Żelaznych Wzgórz. Jałowy i wciąż jednaki krajobraz przepływał od rana do wieczora przed oczami podróżników, a wreszcie czerwone skały, wąwozy i ścieżki rozmyły się w jeden, ciemnopomarańczowy wir. Al'Dżirani nie mógł pojąć, jak Degowie orientują się w tak monotonnym pejzażu.

Jednak Kamudżyn zapewnił im doskonałych przewodników, a wojska Tel'Halik ani razu nie pojawiły się w zasięgu zwiadowców, toteż ludzie Al'Dżiraniego w ledwie dwa tygodnie pokonali drogę, na której przejście rezerwowali sobie uprzednio miesiąc. Z każdym dniem północne przedgórze było coraz bliżej, a z nim forteca Um'Magar, która leżała trzysta farsangów

dalej.

Wieczorami Al'Dżirani oraz jego Święci Jeźdźcy rozmawiali przy ogniu z dwójką wysłanników paszy. Po miesiącach spędzonych na odludziu byli ciekawi nowin z Tel'Halik, a te okazały się frapujące. Oddalenie paszy przez proroka czy wygnanie z miasta niemal wszystkich Jeźdźców było dla nich całkowicie niezrozumiałe. Jeszcze bardziej przeraziła ich historia o buntach, jakie wywołały krwawe rządy Vezamara, i o szaleńczym zamachu, który był ich ukoronowaniem.

Ale nie tylko członkowie ekspedycji dowiedzieli się czegoś ciekawego. Młody bezręki Jeździec o twarzy dużego chłopca ze szczególną ciekawością pytał o wyniki badań w zaginionym mieście. Wiadomość, że leżało ono w samym sercu Ziemi Trupiego Szeptu — Ul'Thandzar, jak zwali je Degowie — i że jeszcze sto lat temu żyły tam niedobitki obcego plemienia, wywarła na Świętym Jeźdźcu ogromne wrażenie, choć nikt nie potrafił zgadnąć, w jaki sposób te sprawy mogły go dotyczyć.

Wzgórza stawały się coraz niższe i niższe, aż wreszcie na horyzoncie zamajaczyła piaszczysta równina. Kamudżyn podczas pożegnania przekazał Al'Dżiraniemu list do Asimara. Drugą wiadomość Duzzah otrzymał od bezrękiego Jeźdźca, a jej adresatem był młody duchowny z Tel'Halik. Pożegnawszy się z Degami, karawana ruszyła dalej, dwójka Świętych Jeźdźców zaś została wśród wzgórz, by dalej pełnić swą misję. Na odchodnym Al'Dżirani dowiedział się od nich, że spędzą tu co najmniej kilka lat, byli bowiem przestępcami wyklętymi w Tel'Halik i sam pasza lękał się trzymać ich wśród świty.

Kiedy potem, już w Um'Magar, usłyszał, że ów młody oficer był jednym z szaleńców, którzy pierwszy raz w historii Ocalonej Krainy podnieśli rękę na proroka, ze strachem przypomniał sobie jego uśmiechniętą, chłopięcą twarz. Twarz najgorszego grzesznika.

Jednak dla Świętych Jeźdźców ten młody oficer stanowił inspirujący przykład na to, że nawet Czerwone Turbany, Jastrzębie Najwyższego oraz armia Duzzahów nie ochronią proroka przed gniewem tych, których pokrzywdził...

*

Atak był niespodziewany i wściekły. Barbarzyńcy wybrali doskonale miejsce, wykazując przebiegłość godną uczonych w taktyce rycerzy. Spadli na ekspedycję, gdy ta objeżdżała skałę wygiętą w kształcie podkowy — kiedy pierwsze wozy były po jednej stronie szczytu, a ostatnie po drugiej.

Śnieg, na tej wysokości zalegający grubą warstwą, utrudniał walkę konnym.

Kashim, który jechał z tyłu kolumny, zareagował błyskawicznie. W tej samej chwili, gdy z zarośli na stoku góry wyłoniły się postacie wrogów, Święty Jeździec wyszarpnął szablę i stanął między nacierającymi a wozami. Brenvan i Vailana nie zastanawiali się wiele dłużej. Widząc, że część zbrojnych gapi się jeszcze w zdziwieniu na napastników, Kashim ryknął:

— Do broni! Do broni!

Rzemieślnicy porwali z wozów włócznie i kusze, żołnierze utworzyli przed wozami linię. Ledwie kilka oddechów potem barbarzyńcy wpadli na nich z impetem szarżujących byków.

Ci odziani w zwierzęce skóry woje byli marnie uzbrojeni. Większość nie posiadała pancerzy, a władali przeważnie nożami oraz toporami z brązu. Nadrabiali to jednak furją, żądzą krwi i szaleńczą odwagą, tak obcą gwardzistom z serca Gotrlandu, którzy przywykli do rozpędzania pijaków oraz tchórzliwych rzezimieszków.

Walka była krwawa i gwałtowna. Kashim z Vailaną siekli i kłuli z siodeł, zręcznie kierując końmi za pomocą ud. Nie dawali się otoczyć czy ściągnąć na ziemię, jednocześnie wykorzystując przewagę wysokości. Brenvan zaś, z nieostrożnością typową dla learfeldzkich rycerzy, walczył w największym ścisku. Jego koń miał kolczy kropierz, sam Brenvan był w pełnej zbroi, więc ciosy brązowych toporów ześlizgiwały się po blachach, a ogromny *zwiendarh* rycerza dosłownie rozrywał na strzępy niechronione ciała wrogów. Tuż przy kawalerze Aam Caerleighu walczyli liczni zbrojni karawany, instynktownie wręcz gromadząc się u boku ciężkozbrojnego.

Napór barbarzyńców nie słabł mimo strat. Ich malowane twarze wykrzywione były w bitewnym obłędzie. Wkrótce pod Vailaną załamał się koń, który otrzymał w bok potężny cios topora, a zaraz potem Kashim stracił swojego. Jeden z dzikusów przeciął też pęciny konia Brenvana. Zwierzę padło w śnieg, kwicząc przeraźliwie i bryzgając krwią, jednak rycerz zdołał w porę zeskoczyć. Kolejni gwardziści ginęli pod naporem przeważających liczebnie wrogów, a kilku dzikusów dotarło nawet do wozów, gdzie rozpoczęli rzeź bezbronnych osadników.

Al'Shannagg coraz częściej spoglądał w stronę zakrętu, lecz pomoc zza skały nie nadchodziła. Być może Ketten, który szedł na przodzie, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak źle wygląda sytuacja po tej stronie, albo zdarzyło się tak, że jego ludzie dawno już padli, zaatakowani przez jeszcze większe siły — tylna zaś część kolumny o tym nie wiedziała, broniąc się, miast

wycofywać. Oparłszy się więc bokiem o bok Vailany, Al'Shannagg polecił:

— Skupcie się wokół wozów i brońcie. Przedrę się do Kettena i spróbuję ściągnąć odsiecz.

— To szaleństwo! — Vailana zrobiła wypad, przebijając swoją shiavoną jednego z dzikusów. — Spójrz, tam już nie ma naszych!

Istotnie, środkowa część kolumny padła najszybciej i teraz wozy dosłownie oblepiła chmara odzianych w futra postaci.

— Nie zatrzymają Świętego Jeźdźca! — odkrzyknął Kashim, po czym wystrzelił przed siebie, biegnąc wzdłuż wozów. W myślach wzywał geniusze powietrza, by dały mu szybkość pustynnego wichru, śniegowi zaś rozkazał, by pod jego butami stał się twardy niczym kamień.

Wpierw stanęła mu na drodze trójka barbarzyńców, którzy właśnie przyparli do koła jednego z kupców, próbującego niezdarnie opędzić się toporem. Al'Shannagg przemknął obok, jednemu dzikusowi ściał głowę płynnym ruchem szabli, drugiemu odrąbał dłoń — i pomknął dalej. Zaraz zobaczył przed sobą następną grupę. Woje zeskakiwali z wozu, by dołączyć tam, gdzie jeszcze toczy się bitwa. Było ich ośmiu. Al'Shannagg, niesiony przez duchy wiatru, wpadł między nich jak taran. Jednego obalił opancerzonym barkiem, łamiąc mu przy tym szczękę, dwóch rozplątał szybkimi ciosami, następnego przebił na wylot. Czyjeś ostrze spadło na łuski pancerza, rozsyłając po ramieniu tępy ból, lecz Al'Shannagg się przedarł. Próbowali go ścigać, ale nawet w pełnej zbroi był znacznie szybszy, a jego stopy, ku przerażeniu dzikusów, nie zostawiały w białym puchu najmniejszego śladu.

W kilka chwil Kashim dotarł za załom skały i zbliżył się do przedniej części kolumny. Jego najgorsze obawy na szczęście się nie sprawdziły. Ketten i rycerze stanowiący jego osobistą świtę walczyli jeszcze dzielnie, wsparci o wozy, podobnie jak reszta zbrojnych, kupcy i osadnicy, którzy z desperacją bronili dobytku.

— Na Jedynego! — zawołał Kashim i natarł na wrogów z boku, siekąc tak szybko, że oczy nie potrafiły złowić ruchów jego szabli.

Błyskawicznie zarąbał barbarzyńcę, który zamierzał się toporem na Kettena, potem dwójkę innych. Dzikusy przystanęły zaskoczone szaleńczym natarciem jednego człowieka, a wtedy rycerze, nie tracąc okazji, rzucili się do kontrataku. Odepchnęli wroga od wozów, a walka dobiegła końca.

— Na tył, panie Ketten! — krzyknął Kashim. — Tył kolumny ledwie się trzyma!

Ani Ketten, ani jego rycerze nie trwonili czasu, biegnąc zaraz ku załomowi, i wkrótce Kashim przekroczył go ponownie, tym razem z czterema tuzinami zbrojnych u boku.

Najwyższa była ku temu pora, bo na tyłach walka już dogasała. Ponad połowa żołnierzy zginęła, a pozostali przy życiu zebrali się wokół dwóch wozów, gdzie byli atakowani przez znacznie liczniejszą grupę barbarzyńców. Stał tam i Brenvan, którego sylwetka górowała nad resztą zbrojnych. Stała i Vailana, błyskając shiavoną w dzikim tańcu śmierci, atakowana przez trzech roślących wojowników.

— Za diuka i Radę Królewską! — wydał okrzyk Ketten.

— Za diuka! — ryknęli rycerze, atakując barbarzyńców wraz z Kashimem.

Vailana, przebiwszy szyję jednego z wrogów, rzuciła spojrzenie w stronę, z której dobiegło wojenne zawołanie. Ten ruch kosztował ją życie.

Ręka jednego z dzikich wystrzeliła niczym wąż, a kondotierka poczuła tępe uderzenie. Ryknęła, tnąc na odlew, a wróg padł z rozplataną twarzą. Zamierzyła się na drugiego, lecz nagle poczuła, jak ciało jej słabnie, nogi uginają się niby brzoźowe witki, a dziwna mgła zasnuwa myśli. Barbarzyńca wrzasnął i zaatakował. Drugie uderzenie. Vailana nie do końca rozumiała co się stało i co dzieje się wokół, w uszach jej szumiało, świat wirował. Zaraz potem upadła w śnieg i dopiero wtedy poczuła przeszywający ból, który tętnił w jej piersi i rozlewał się po ciele gorącą falą. Spojrzała na swój rozszarpany kaftan z jeleniej skóry, spod którego widać było szerokie rany po nożach i ciekącą krew.

Czy to już...? Co zrobiła źle? Czy to serce? Tak głupio. A może tylko ją ogłuszyło? Czy to koniec...?

Poplątane myśli tonęły w szkarłatnej mgle.

Nie dostrzegła, jak barbarzyńca zamierzył się po raz drugi i jak zginął rozpołowiony przez miecz Brenvana. Potem mignęła jej twarz jasnowłosego rycerza, unosząca się w lepkiem oparze, a po chwili oblicze to zmieniło się, nabierając ostrych rysów Kashima. Vailana spróbowała powiedzieć mu, że to była głupota, błąd jak u chłystka z miejskiej straży; że go kocha, ale ani słowo nie wydobyło się z jej ściśniętego gardła.

Al'Shannagg klęczał w śniegu, trzymając na kolanach jej głowę, i próbował obetrzeć krew, która ciekła z nosa i ust dziewczyny. Krzyczał przy tym coś w swojej mowie, płakał i złorzeczył Jedynemu. Obok stał Brenvan, wsparty na skrwawionym mieczu. Jego oblicze było blade i ściągnięte grozą.

Między wozami zaczął krążyć medyk, lecz Vailana nie miała szans go doczekać. Kilka razy wstrząsnęły nią dreszcze, a potem znieruchomiała. Tylko kałuża krwi pod skurczonym ciałem rosła coraz bardziej, pożerając zachłannie kolejne cale śniegu.

— Nie! — zawołał przez łyzy Al'Shannagg. — Nie pozwolę, jestem potomkiem Sammara, dzieckiem czwartej krwi. Nie pozwolę ci umrzeć, nie teraz.

Przyłożył dłonie do ran Vailany i mówił coś gorączkowo w swoim języku. Krew popłynęła jeszcze szybciej, drgawki szarpnęły ciałem kondotierki. Aam Caerleigh zerknął przerażony na boki, obawiając się, że ktoś dostrzeże w tym złą magię.

Kashim wzywał dar raz za razem, ciało Vailany trzepotało, a on tracił siły, lecz okropne rany wciąż nie chciały się zrosnąć. Przebite serce, rozerwane płuca, przecięte tętnice — zaleczenie tego przekraczało umiejętności Kashima, który i tak osłabł w trakcie walki. Teraz, choć rozpaczliwie przywoływał resztki mocy, nie mógł nic zrobić.

Wreszcie Brenvan położył mu dłoń na ramieniu.

— Ostaw ją w pokoju, Kirajczyku. Nic nie pomożesz.

Kashim nie przestał, a wtedy Brenvan rzekł z naciskiem.

— Słyszysz, Kashim? Ona nie żyje, nawet twoja magia nie pomoże.

Dopiero wtedy Al'Shannagg zrozumiał. Jego dłonie, całe zbroczone krwią, ześlizgnęły się z ran. Opadł bezsilnie na trupa i szlochał, dopóki kilku ludzi, skończywszy pracę przy rannych, nie podniosło go, by zaprowadzić w stronę wozów.

*

— Ziemia! Ziemia na horyzoncie.

Krzyk z bocianiego gniazda sprawił, że wszyscy marynarze na pokładzie „Syna Siedmiu Mórz” zaczęli skakać z radości i wznosić dziękczynne modły do Cesarza. Taka sama wrzawa zapanowała na sześciu innych okrętach, które płynęły po bokach potężnej galery. Tylko Ts'Rang Seledynowy Pazur skrzywiła się kwaśno, patrząc w stronę, gdzie lada chwila miał ukazać się brzeg Błogosławionego Cesarstwa.

Do tej pory nie myślała zbyt wiele o swoim losie. Najpierw była pochłonięta kierowaniem wojsk tak, by w krótkim czasie spopieliły połacie wrogiej krainy. Potem starała się opóźnić marsz wrogich armii, które osaczyły ją ze wszystkich kierunków. W dzień i w nocy snuła plany, przesuwała po mapie drewniane klocki swoich pułków, myliła pogoń, kąsała

nacierającego przeciwnika. Potem, kiedy wreszcie zepchnęli ją za mury Gedialanu, bez wytchnienia kierowała obroną. A gdy resztki floty umknęły z padającego miasta, skupiła się na tym, by ratować ostatnie galery przed pościgiem, tak by chociaż kilka dotarło z powrotem do brzegów Yauranu.

Teraz jej misja dobiegła końca. Ts'Rang jeszcze przez kilka godzin miała być admirałem, lecz wiedziała, że przed wschodem słońca zostanie więźniem. Kusiło ją, by ubiec cesarskich gwardzistów. Mogła rzucić się na miecz albo skoczyć w odmęty, jednakże przelewanie cesarskiej krwi było najgorszym z grzechów, którego nawet teraz nie zamierzała się dopuszczać.

— Cesarz jest łaskawy — rzekł do niej z uśmiechem jeden z oficerów. — Byłem pewien, że zginiemy w tych obcych krajach, a jednak dzięki jego opiece dotarliśmy do domu!

— Tak — odparła Ts'Rang, starając się ukryć nutę goryczy. — Cesarz jest łaskawy i sprawiedliwy.

*

Martwy płaskowyż ciągnął się w nieskończoność, okryty białym całunem śniegu. Brenvan drżał, patrząc na tę pustynię, lecz na Kashimie najwyraźniej nie robiła żadnego wrażenia. Zresztą od chwili, gdy złożyli Vailanę do płytkiego grobu, który z trudem wykuli w zmarzniętej ziemi, nic już nie było w stanie poruszyć Al'Shannagga. Zamknął się w sobie, przygasł, zupełnie jakby ze łzami wylanymi nad ciałem kondotierki wyciekła z niego cała siła. W dzień był małomówny, blady, wiecznie zamyślony, w nocy rzucał się na posłaniu i co chwila budził zlany potem. Brenvan widział, że koszmary dręczyły go tak mocno, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Aam Caerleigh próbował z nim rozmawiać, tłumaczyć mu, że śmierć Vailany nie była jego winą, że musi żyć dalej. Jednak proste, toporne zdania rycerza, który nigdy nie uczył się retoryki, przelatywały Al'Shannaggowi koło ucha. Nawet Ketten, który po bitwie dziękował osobiście Świętemu Jeźdźcowi, nie potrafił do niego dotrzeć.

Wyprawa tymczasem stoczyła jeszcze dwie potyczki z barbarzyńcami i przemierzyła kolejne dwieście mil. Wreszcie w dzień poprzedzający letnie przesilenie zwiadowcy donieśli, że u podnóża ogromnej grani odkryli ruiny dawnej, gotrlandzkiej strażnicy. Ketten nie posiadał się z radości, podobnie jak reszta ekspedycji.

Następne tygodnie upłynęły na ciężkiej pracy. Wzniesiono fort otoczony palisadą z drewnianych bali. Barbarzyńcy zaatakowali raz jeszcze, lecz znowu zostali odparci. Wkrótce Ketten rozesłał ludzi do karczowania lasu,

puścił też poselstwa z darami do barbarzyńskich wodzów. Zwiadowcy wraz z kilkoma uczonymi rozeszli się po górach, szukając złóż rudy.

Teraz, gdy ludzie z eskorty nie byli już tak potrzebni i całe dni spędzali na włóczeniu się wokół fortu, Kashim coraz częściej patrzył na północ, ponad szare granie. Pewnego dnia po prostu zaczął się pakować. Pożegnał się zdawkowo z Kettenem, zgarnął żołąd, po czym oświadczył Brenvanowi, że idzie dalej na północ. Sam.

Kłócili się o to kilka godzin, lecz rycerz wiedział, że tej bitwy nie wygra. Na nic się zdały przekleństwa i złorzeczenia lub powoływanie się na dziesiątki przygód, które do tej pory przeżyli razem. Po śmierci Vailany Al'Shannagg był zdecydowany ruszyć w dalszą drogę samotnie. Jego determinacja sprawiała, że gotów był zabić wierzchowca Brenvana tylko po to, by rycerz nie mógł za nim nadążyć.

Brenvan czuł żal do swego towarzysza, Al'Shannagg tymczasem, nie oglądając się na nic, załatwił ostatnie sprawy i opuściwszy obóz, wkroczył na ścieżkę, która wiodła na płaskowyż ponad turnią, na śnieżną równinę ciągnącą się aż po horyzont w północnym kierunku. Wtedy kawaler Aam Caerleigh uległ. Dołączył do Kashima, by odprowadzić go chociaż na brzeg płaskowyżu.

Gdy dotarli tam po długiej wspinaczce, emocje opadły, zupełnie jakby lodowaty wiatr schłodził rozognione serca.

— Przykro mi, przyjacielu — powiedział Kashim. — Mam nadzieję, że mnie kiedyś zrozumiesz.

— Nie rozumiem, bo i nigdy nie rozumiałem. Wiem jeno, czego mój ojciec mnie uczył: każdej groźbie lepiej stawiać czoło w kompanii. A czego tyś jeszcze nie pojął!

— W kompanii? Nawet jeśli przez to ciągnie się towarzyszy na śmierć?

Brenvan nie odpowiedział.

— Żyj dalej, Jasnowłoso — rzekł za to Kashim. — Mnie przyszło mierzyć się ze sprawami, z którymi nigdy nie chciałem się zetknąć. Los wyrwał mnie z ulic Tel'Halik, z przyjaznych tawern i sal Orlego Fortu, przeciągnął przez pół świata i dalej mną miota. Nawet nie wiesz, ile wycierpiałem.

— Ja... — zaczął Brenvan, lecz Al'Shannagg mu przerwał.

— Ty nie musisz powtarzać mojego losu. Nie bądź zabawką w rękach bogów, wróć do Caerleighmarch i sam kształtuj swoje życie. To lepsze niż być wiedzionym przez siły, których się nie zna, do celu, którego się nie

rozumie.

Brenvan westchnął. Od śmierci Vailany jego przyjaciel często mówił podobne rzeczy, zupełnie jakby ten wprawny i twardy wojownik postradał rozum, albo gorzej — stał się kapłanem. Ale nie pora była o tym rozmyślać, Aam Caerleigh odparł więc:

— Będę modlił się do wszystkich bogów o twoje powodzenie, Kirajczyku, choć nigdy nie byłem pobożny. Kiedy znajdziesz to, czego szukałeś, prześlij mi wieści. Będę w zamku mojego ojca. Jeśli... Jeśli jeszcze kiedyś zdecydujesz się wrócić na szlak, pamiętaj o mnie.

Al'Shannagg skinął powoli głową. Potem uściskali się serdecznie, a w końcu Święty Jeździec wskoczył na konia i ruszył w nieznaną.

— Obiecałeś mi, że kiedyś zobaczę Tel'Halik! Że zawiedziesz mnie do Żelaznych Wzgórz! Pamiętaj o tym! — krzyknął za nim Brenvan.

Kashim zaśmiał się tylko i pomachał mu na pożegnanie. Brenvan zaś patrzył, jak przyjaciela pochłania biała otchłań. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że śniegi to w istocie mgła niepamięci, w której Święty Jeździec Kashim Al'Shannagg znika już na zawsze.

*

Biały Pawilon wyrastał pośród zieleni cesarskich ogrodów niby rzadki kwiat. Znad lekkich, jasnych ścian wystrzeliwała w niebo korona drewnianych dachów, balkoników, gzymsów. Był to najmniejszy budynek pałacowego kompleksu, miał ledwie sto stóp długości i osiemdziesiąt szerokości. Jego ściany zrobiono z drewna i białego papieru, a rozsuwane przegrody zapewniały widok na pełen mostów i oczek wodnych Ogród Lilii, który otaczał pawilon.

Cesarz odwiedzał to miejsce dość często, przechodząc tu jednym z setek podziemnych korytarzy łączących ważniejsze części pałacu. Wejść strzegła zatem w dzień i w nocy Żurawia Straż, w swoich przepysznych pancerzach i hełmach z piórami. Wszystko to, aby żaden zabójca czy szpieg nie wkradł się do pałacu i nie ukrył w ciemności wśród belek wysokiego stropu. Obecność strażników wynikała wszakże jedynie z tradycji, a nie z konieczności, bo od wieków nikt nie wątpił, że Cesarz z łatwością wykryje każde zagrożenie.

Pawilon nie służył jednak tylko wypoczynkowi Boskiego Władcy, udzielano w nim również audiencji uważanych za ściśle prywatne. Czasem Cesarz spotykał się tam z osobami, które chciał wywyższyć wobec całego dworu i zaakcentować, że są mu szczególnie bliskie. Zdarzało się jednak, że Biały Pawilon był też sceną upokorzeń, napawających przerażeniem cały

dwór. Jeśli Cesarz zawiódł się na kimsz szczególnie, jeśli nie wystarczyła mu sucha, dwuzdaniowa notka o zwolnieniu z urzędu czy degradacji, zapraszał takiego dworzanina na prywatną rozmowę. Tam, w otoczeniu najbliższych doradców oraz własnych potomków, udzielał winowajcy nagany. A nagana Cesarza znaczyła więcej niż śmierć: było to najgorsze przekleństwo, porzucenie przez samego Boga. Osoby zdegradowane normalną metodą mogły liczyć na honorową egzekucję, albo odsunięcie na dalekie placówki, gdzie wciąż prowadziłyby życie towarzyskie. Ale ktoś zganiony przez Cesarza był jak trędowaty. Traktowano go jak powietrze, nawet najniższy rangą pomywacz na dworze nie chciał go zaszczyścić jednym spojrzeniem. Nieszczęśnicy, których spotkał ten los, odbierali sobie życie najokrutniejszymi sposobami, jak samospalenie czy wytrzewienie, byle tylko pokazać władcy i dworzanom, jak bardzo żałowali win.

Ts'Rang Seledynowy Pazur postanowiła przykuć się do skały tuż przed przypiływem. Idąc krętą ścieżką, która wiodła do pawilonu, miała dość czasu, by zastanowić się, jaka śmierć będzie w jej wypadku najlepsza. Powolne utonięcie w falach oceanu zdawało się wystarczająco poetyczne i bolesne. Zdecydowała, że zrobi to już jutro.

Pogrążoną w ponurych rozmyślaniach Ts'Rang obserwowała z altany dwójka dworzan. Gad i człowiek — para nietypowa, bo stara i młoda krew zwykle się unikały. Ci jednak od dawna służyli w cesarskiej armii i poznali się dobrze podczas walk na zachodzie. Gadem był generał Ar'Azag, człowiekiem — generał Manzuri. Czekali w pobliżu pawilonu, ponieważ mieli nadzieję spotkać któregoś z wyższych urzędników i wyprosić audiencję bez wymaganego protokołem oczekiwania. Nikt taki dotąd się nie pojawił, ale przybycie admirał Ts'Rang wróżyło ciekawe zdarzenia.

— No proszę — rzekł Manzuri, widząc jak Seledynowy Pazur wchodzi do Pawilonu. — Szczerze myślałem, że Ts'Rang zasłużyła na nieco litości. Nie miała szans bez wsparcia północnej floty. Widocznie Słońce Świata w swojej nieskończonej mądrości wie o niej więcej od nas.

— Ja również sądziłem, że zostanie zwyczajnie zdegradowana — Ar'Azag pokiwał głową. — Jest w końcu spokrewnioną, lecz jej dawne winy... Obraziła majestat, a dwa błędy to za dużo, nawet dla tak miłościwej osoby, jak Cesarz.

— Sądzisz, że otrzyma nagane?

— Tak sądzę. Zobaczysz, Manzuri, Ts'Rang wypełźnie z pawilonu na kolanach.

— To będzie cios dla stronnictwa Gh’Zara. Jedno z nich tak poniżone...

— Gh’Zar i stary Ur’Usug pewnie ofiarują swoje życie, żeby zmyć hańbę.

— Możliwe, możliwe. Zapowiada się kilka zmian na dworze, przyjacielu.

Rozmawiali jeszcze chwilę, zastanawiając się, jak najlepiej wykorzystają nowy układ sił, który zaistnieje dzięki decyzjom Boskiego Cesarza. Chmury przepływały z wolna nad szczytem pawilonu, wodne ptactwo z najbliższej sadzawki zerwało się do lotu. W locie ptaki ustawiły się w idealne geometryczne figury. Widać nawet zwierzęta poddawały się aurze niebiańskiego porządku, który panował wokół Władcy.

Wreszcie, gdy para cesarskich generałów zaczęła już się niepokoić, z pawilonu wyszła Ts’Rang. Trzęsa się i jej rozdwojony język ruszał się szybko, jakby nie mogła złapać powietrza. Gdy Żurawia Straż zaszalutowała bronią, Ts’Rang pospiesznie oddała honor i poszła w dół ścieżki, w stronę altany.

— Widzisz ją? Nie pełza ani nie wyje z rozpacz. Jest aż tak butna czy może Cesarz okazał jej choć trochę litość? A może zostanie stracona z honorami, w majestacie prawa?

— Jest tylko jeden sposób, by poznać prawdę — rzekł Ar’Azag, po czym wyszedł z cienia na dróżkę.

Udając, że przechadza się po Ogrodzie Lili, ruszył naprzeciw Ts’Rang, wodząc wzrokiem po sadzawce.

Seledynowy Pazur nie zwolniła, nie zeszła ze ścieżki, by go ominąć. Generał Manzuri z napięcia aż zacisnął dłonie na poręczy altany. Tymczasem Ts’Rang, choć oszołomiona, przeszła obok Ar’Azaga, lekko skłaniając głowę i dotykając piersi. Ar’Azag był tak zdziwiony, że ledwie zdążył oddać salut, nim go minęła.

Manzuri westchnął z wrażenia. Istniało ponad dwadzieścia dworskich gestów oznaczających powitanie. Tego akurat używało się, napotykając osobę równą sobie rangą. A więc Ts’Rang Seledynowy Pazur wciąż była admirałem!

Znaczyło to, że z Ar’Azagiem mają w ręku najciekawszą plotkę ostatniego miesiąca — i to jako jedni z pierwszych! Zaiste, dla nich także był to dobry dzień. W końcu co innego niż cesarskie natchnienie mogło ich sprowadzić do Ogrodu Lili?

*

Brenvan spędził w forcie jeszcze trzy tygodnie. W tym czasie w górach

odkryto bogate złoża rudy, z Gotrlandu przybyły kolejne wozy, a pod palisadą wyrosły nowe chaty i namioty. Ketten uznał, że czas nazwać jakoś osadę i wkrótce naniesiono ją na mapy jako Grauburg (od szarej turni, która wznosiła się nad fortem). Niedługo potem wódz plemienia Wetów, stary król Cuhulangan, zgodził się na pokój z gotrlandzkimi osadnikami. Odstąpił im prawa do ziemi w zamian za dwa wozy narzędzi, tkanin i błyskotek. Co więcej, wielu wojów Cuhulangana przyszło do fortu służyć jako najmici.

Grauburg był bezpieczny i miał liczny zastęp zbrojnych, stąd rycerze, którzy stanowili pierwszą eskortę ekspedycji, czuli się coraz mniej potrzebni. Wkrótce kilku zaczęło planować powrót, a Brenvan Aam Caerleigh zdecydował się jechać z nimi. Dni w Grauburgu dłużyły mu się niemiłosiernie. Dziki krajobraz i chłodne, ponure niebo budziły tylko bolesne wspomnienia.

Był sam. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie miał wokół żadnych towarzyszy i nie wiedział gdzie ani po co ma iść. Van Dreyck został gdzieś w krainach ogarniętych wojną, Vailana poległa, a Kashim odszedł na śnieżne pustkowia. Nigdy jeszcze Brenvan nie czuł się tak opuszczony.

W końcu, piętnastego dnia miesiąca Mildehin, rycerz ruszył z powrotem w stronę granic Gotrlandu wraz z pięcioma innymi kawalerami, kilkoma giermkami oraz ludźmi rzemiosła. Podróż upływała szybko i już wkrótce przekroczyli granicę królestwa. W pierwszym mieście Brenvan pożegnał swoich kompanów i pojechał dalej sam przez gęsto zaludnione równiny centralnych marchii. Po drodze widział nieraz, jak mieszczanie i rycerstwo pospołu świętowali pokonanie yaurańskiego najazdu. Krążyły już historie o możliwych panach, którzy własnoręcznie ubili setki cesarskich piechurów, albo o gedialańskich kapitanach, którym udało się sprytnymi manewrami zniszczyć jednocześnie kilkanaście wrogich galer.

Kiedyś Brenvan słuchałby podobnych historii z wypiekami na twarzy. Teraz uśmiechał się jedynie pod nosem, tym bardziej, że doszły go również wieści o spalonych doszczętnie miastach, o tysiącach poległych oraz uchodźcach bez ziemi, którzy przybywali tłumnie do Learfeld oraz Gotrlandu.

Bawiąc przejazdem w Unborgu, Aam Caerleigh spróbował wywiedzieć się czegoś o Grudgeryngerach. Samotność mu doskwierała, dlatego z chęcią spotkałby się z van Dreykiem i opowiedział o wyprawie do ziem Wetów. Niestety, wieści, które zdołał wyciągnąć od uciekinierów z wybrzeża, okazały się ponure. Kompania najemna kapitana Gedharda brała udział w

desperackiej obronie miasta i została zdziesiątkowana, a nieliczni ocalali rozproszyli się gdzieś po południowych ziemiach. Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało z dowódcą, ale chodziły słuchy, że poległ w obronie cytadeli, a jego głowę Yaurańczycy zabrali jako trofeum. O trubadurze nikt nic nie wiedział — w końcu wielu grajków i komediantów ciągnęło zawsze za Grudgeryngerami.

W tej sytuacji Brenvan zdecydował, że musi niezwłocznie udać się na południe. Smutek, który często odczuwał po rozstaniu z Kashimem, teraz połączył się z lękiem o losy van Dreycka. Kawaler Aam Caerleigh bał się, że nigdy nie ujrzy już swoich przyjaciół. Towarzystwo innych szlachetnie urodzonych młodzieńców lub rycerzy z własnego bractwa przestało go natomiast cieszyć. Patrząc na ich waśnie, pojedynki, romanse nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko jest nieistotne; że gdzieś tam, w szerokim świecie, dzieją się znacznie ważniejsze rzeczy, których częścią był przez krótką chwilę.

*

Powietrze zawibrowało. Kobieta, która szła ciemnym gościńcem, przystanęła. Wspierając się na kij, zwróciła oblicze w stronę północy. Wiatr omywał jej bladą twarz oraz sine i zaciśnięte powieki, targał kapturem. Czuła, że wiatr ten niesie nieuchwytnie dla śmiertelników słowa, pełne żalu i błagań. Od setek lat nikt z jej rodu nie wzywał tak mocno.

To dziecko dwóch krwi umierało daleko wśród śniegu i lodów.

Eyul stała tak, czując jak żal zimną falą zalewa jej serce. Mogła przecież zerwać się do lotu, popłynąć pod prąd wiatru tak szybko, że nie złowiłoby jej ludzkie oko, mogła prześcignąć słońce w jego codziennej drodze nad ziemią ludzi, dotrzeć na czas do pustkowi północy. Mogła pomóc.

Niestety, wiedziała, że musi zachować siły na ważniejszy cel. Wielki Wąż patrzył. Czuła niemal namacalnie strach i niepokój, które toczą go niby czerw w złotych komnatach Asar'Aden. Z pewnością poświęcał teraz dużą część mocy jedynie na to, by wiedzieć, co się dzieje w Ziemiach Środka. Zaklinał wiatr, słuchał za pomocą ziemi i kamieni. Nie przegapiłby jej długiego lotu. Eyul zaś nie mogła zdradzić, że jest wśród ludzi, a nie w zimnych i pustych komnatach fortecy.

Pomogła już swojemu dziecku wystarczająco. Zsyłała sny, leczyła jego rany, kierowała jego krokami. Teraz musiało radzić sobie samo, nawet jeśli podążało ku śmierci. Czym było wyginięcie potomstwa w porównaniu z unicestwieniem całego świata, które stanowiło stawkę w jej grze?

Eyul zacisnęła zęby i podjęła wędrówkę, nieczuła na błagania. Głos tymczasem słabł powoli, aż wreszcie całkiem zniknął. Wiatr był już niemy, został tylko pusty szum w fałdach kaptura. Szła dalej, aż w końcu skrzyła z gościńca, by wejść w mroczny pas drzew, gdzie nie docierało nawet blade światło gwiazd. Po chwili wynurzyła się na bujnej łące po drugiej stronie.

Pozostali czekali dokładnie tam, gdzie wcześniej ustalono, koło słupa, który wyrastał ze wzgórza. Ich ciemne sylwetki były ledwo widoczne w wysokiej do pasa trawie, tym bardziej, że księżyc, który widać sprzyjał ich sekretnym zamiarom, tej nocy chował się za grubą zasłoną chmur.

Słup na wzgórzu był przechylony i porośnięty, jednak nawet po latach dało się spostrzec, że jego podstawa była idealnym sześciokątem. Ludzie z okolicznych wsi, którzy wypasali na łące bydło, nie mieli pojęcia, że oto depczą po miejscu, gdzie tysiąc lat wcześniej przecinały się główne drogi zachodniej prowincji Imperium Dorii. Szlaki dawno zginęły pod trawą i ziemią, a idealnie równe płyty, z których je budowano, teraz stanowiły fundamenty rycerskich siedzib, ściany chat lub podstawy granicznych murów.

Eyul pamiętała. To było siedemset osiemnaście lat i dwadzieścia dziewięć dni temu, w słoneczne popołudnie. Spotkali się przy głazie po wędrówce, które każde z nich odbyło osobno, by przyjrzeć się z bliska Stworzeniu. Byli wtedy młodzi, młodzi nawet w skali śmiertelników; mieli ledwie po trzy lata. I choć za sprawą Wielkiego Architekta od momentu narodzin posiadali mądrość niedostępną śmiertelnym, choć wiedzieli o świecie wszystko, nim do niego zstąpili, widok pól, gór, lasów i mórz budził w nich niesamowite, niepojęte uczucia. Zupełnie jakby ta ludzka krew, którą dał im Architekt, na krótką chwilę przemówiła głośniejsz od krwi boskiej.

Siedemset osiemnaście lat temu siedli pod głazem na rozstajnych drogach, cała dwunastka. Odziani w podróżne szaty, tak by nie zdradzać niezwykłego wyglądu, opowiadali sobie o tym, co zastali na ziemi, a potem radzili, jak ją urządzić — teraz, gdy miała już panów i opiekunów, gdy między niepojętą kosmiczną siłą stwórcy a myślącymi zwierzętami zjawiało się wreszcie łączące ogniwo. Wspominając to, Eyul uśmiechnęła się z przekąsem. Jak to możliwe, że bogowie okazali się tak naiwni? Już niedługo potem zaczęli walczyć ze sobą, a w końcu i ginąć. A świat... Świat nie stał się ani trochę lepszy.

Postacie zgromadzone u stóp słupa odwróciły się w jej stronę, a Eyul machnęła dłonią na powitanie. Policzyła ich wzrokiem. Z lewej spostrzegła

zwalistą sylwetkę Gaavra, z którym rozstała się ledwie tydzień wcześniej — on miał do załatwienia jeszcze pilną sprawę na północy, ona chciała odwiedzić ruiny miasta, gdzie niegdyś żyła. Dalej stał Zindar, którego zdradzały długie włosy barwy platyny. Obok niego przycupnęła pod słupem Saari. Nawet mimo surowego rozkazu, by utrzymywać moc w sekrecie, Kwiecista Pani nie potrafiła stłumić nikłej poświaty, która otaczała jej głowę. Nieopodal zasiadł Warezar. Jego siwa broda, kostur wędrowca oraz zgarbiona sylwetka sprawiały, że wyglądał normalnie, najbardziej niepozornie z całej grupy. Po lewej stronie wzgórza przechadzała się spokojnie Yeilne, mierząc słup wzrokiem.

Byli tu już wszyscy — z dwunastki została ledwie szóstka. I na dodatek właśnie dziś mieli spiskować przeciw jednemu ze swoich.

*

Al'Dżirani czuł, że pasza niemal pożera go wzrokiem. Choć Asimar Amra Al'Dirbin leżał na łożu, zakopany w jedwabnej pościeli i wachlowany przez służbę, to jego surowe spojrzenie wciąż przyprawiało uczonego o dreszcze.

— Powtórz — polecił pasza. — Chcę mieć całkowitą pewność, że dobrze zrozumiałem.

— Wygląda na to... Wybacz, panie, że będę w twojej obecności wypowiadał bluźnierstwa. To ledwie hipotezy i...

— Wiem, wiem. Mów, Al'Dżirani.

— Tam byli ludzie, o potężny. Miasto na Ul'Thandzar nigdy nie zostało opuszczone, choć ta część, co wystawała nad ziemię, spłonęła doszczętnie w trakcie Dnia Sądu. W głębokich salach wielu jednak przeżyło i choć z pokolenia na pokolenie zajmowali coraz mniej komnat — co jest oczywistym znakiem, że wymierali — to byli tam... jeszcze około czterech dziesiątek lat temu. Czčili jakiegoś demona o ciele kobiety, żywili się głównie tamtejszą odmianą grzybów hungh oraz mięsem dzikich bacharnów. Gdy wyschły studnie, opuścili te ziemie.

— Czy to byli jasnowłosi, Al'Dżirani?

— Kości nie zdradziły mi tej tajemnicy, panie. Są takie same, jak u prawowiernych. Wiem jednak, że ludzie z Ul'Thandzar nie czčili Jedynego, lecz ową demonicę. Musieli więc być przeklętymi... Doprawdy, to, że przeżyli Dzień Sądu, jest dla mnie...

— Nie interesują mnie twoje opinie, Duzzahu, jedynie fakty. Co się stało z tymi, którzy opuścili miasto?

— Ciężko rzec. Prawdopodobnie podzielili się na kilka grup, z których każda podążyła w inną stronę. Zapewne nie wiedzieli o Tel’Halik. Jedyna mapa, jaką znaleźliśmy w mieście, pokazywała zupełnie mi obcy kształt ziem. Może to Ocalona Kraina sprzed sądu? Ruszyli więc w różnych kierunkach, by znaleźć oazę lub inne źródło wody. Chodzą słuchy... — Głos Al’Dżiraniego zadrżał i załamał się na chwilę. — Nie wiem, czy życzysz sobie to słyszeć, o potężny, bo nie mam dowodów, poza opowieścią pewnego Dega.

— Mów.

— Kilku dotarło w okolice Żelaznych Wzgórz. Górale z plemienia Tan’Ganczar utrzymują, że ich poprzedni Czenda znalazł na północnym pustkowiu trupy trójki ludzi o białej skórze. Jeszcze dziwniejsze rzeczy słyszałem o plemieniu Bakh’Dezi. Ponad dwie dziesiątki lat temu żyła tam jeszcze przybłęda... Jej cera miała ponoć barwę mleka. Wychowywać się miała w jurcie samego Czendy Nobru, to znaczy Kamudżyna. Sądzę jednak, o potężny, że to złośliwa plotka. Nasz sojusznik nie mógłby zadawać się z demonem...

— Jak już rzekłem, interesują mnie jedynie fakty, Al’Dżirani — skarcił go pasza. — Mów dalej.

Uczony otarł pot z czoła i sięgnął po kielich z zimnym winem. Upił trochę, a następnie powiedział cicho:

— Dalsza historia tej przybłędy jest jeszcze bardziej podejrzana. Miała ponoć wyjść za pewnego mieszkańca Tel’Halik. Wywieziono ją tutaj, do Świętego Miasta. Ten człowiek... Wybacz mi bluźnierstwo, o potężny, ale słyszałem, że był nim jeden ze Świętych Jeźdźców. Niejaki Rahmat Al’Shannagg.

Pasza sapnął z wrażenia i poderwał się z łoża tak szybko, że sługa z wachlarzem odskoczył przerażony.

— Rahmat, jeden z moich dawnych kapitanów?

— Tak, panie.

Pasza przechadzał się po pokoju, gładząc brodę, niepomny na to, że w samej koszuli wygląda mało dostojnie.

— Ciekawe, bardzo ciekawe... A więc Nahar jednak nie kłamał, to wszystko się łączy, to wszystko ma sens... Powiedz mi jeszcze, Al’Dżirani, czy Jastrzębie mogły dowiedzieć się tyle, co ty?

— Nie, panie. Oni odnaleźli miasto ledwie kilka lat temu, lecz nie badali bibliotek ani głębokich sal. Interesowały ich głównie przedmioty z

niezwykłego metalu, które niegdyś wyrabiali mieszkańcy.

Pasza chodził jeszcze chwilę zamyślony. W końcu zdecydował, że może odesłać już Duzzaha, więc rzekł:

— Dziękuję, Al'Dżirani. Twoje badania były bardzo przydatne, a twoi ludzie spisali się doskonale. Czy masz jeszcze jakąś sprawę?

— Tak, o najwyższy. Ów Święty Jeździec, którego spotkaliśmy w Żelaznych Wzgórzach... Prosił bardzo, by przekazać jego listy.

To mówiąc, uczony położył na azurowym stoliku zawiniątko, w którym leżały dwa zwoje.

— Jeden to jego najnowszy raport, drugi to prywatna wiadomość do brata w Tel'Halik.

— Dziękuję, Al'Dżirani. Możesz odejść. Wiedz jednak wcześniej, że w zamian za usługi przygotowałem dla ciebie nagrodę.

— Tak, o potężny?

— Moi ludzie w Tel'Halik namówili urzędników Pierwszej Świątyni, byś pozostał na stałe w Um'Magar jako kapelan jednej z kompanii jeźdźców.

— Dziękuję ci, Słońce Pustyni. — Al'Dżirani uklonił się w pas.

Była to najcenniejsza rzecz, jaką mógł otrzymać, bo już od wielu dni dręczyła go myśl, że będzie musiał wkrótce wrócić do ponurego Tel'Halik, gdzie roiło się od zdrajców i donosicieli, a każdy nierozsądny krok mógł się skończyć na palu.

Gdy tylko uczony wyszedł, pasza zwrócił się do swojego sługi:

— Przynieś przybory do pisania. Muszę niezwłocznie posłać gońca do Nahara Al'Iarnaka.

*

Południowe Księstwa przywitały Brenvana letnimi deszczami oraz gośćmićami pełnymi ludzi. Choć od najazdu minęły już całe miesiące, uchodźcy wciąż krążyli od miasta do miasta, koczowali przy skrzyżowaniach traktów, zupełnie jak mrówki ze zniszczonego kopca, chodzące w kółko jeszcze długo po tym, jak człowiek, który uszkodził im dom, zniknął w lesie.

Gdy Aam Caerleigh przybył do Gedialanu, okazało się, że te jego części, które przetrwały szturm yaurańskiej armii, spłonęły trzy tygodnie później, gdy zjednoczone siły Gotrlandu i pozostałych księstw odbijały miasto. Tak więc pośród gruzów i osmolonych ruin tylko kilka domów uchowało się w całości. Nie wrócił jeszcze nikt z możliwych, a rada miejska została ścięta przez cesarskich żołnierzy, dlatego Brenvan, choć spędził w okolicach miasta kilka dni, nie zdołał dowiedzieć się absolutnie niczego. Chaos, który był

nieodłączną częścią wojny, wciągnął w swój wir zarówno van Dreycka, jak i Gedharda. Brenvan mógł tylko mieć nadzieję, że jeszcze ich kiedyś zobaczy. Jakiś zimny głos szeptał mu jednak w głębi duszy, że to ledwie ułudy; że obaj leżą pokotem w zbiorowej mogile. Rycerz próbował zachować wiarę, wmawiał sobie, iż jego przyjaciel nie z takich opresji wychodził cało, lecz z każdym dniem poszukiwań ogarniał go coraz większy smutek.

Mimo wszystko, podobny koniec w przewrotny sposób pasował do van Dreycka — poeta roztopił się w sprzecznych opowieściach ocalonych z pogromu, wsiąkł w gęstą tkaninę plotek i nieudomówień, z żywego człowieka przemienił się w tajemnicę, której nikt nie zdoła już rozwikłać.

Gdy Brenvan był już pewien, że dalszy pobyt w Księżtwach nic mu nie da, wybrał się w drogę powrotną do Learfeld. Po drodze często musiał omijać zniszczone mosty, albo niebezpieczne rejony, w których wciąż jeszcze grasowali maruderzy oraz szabrownicy. Granicę marchii przekroczył więc dopiero po trzech tygodniach. Był już wtedy bardzo zmęczony długą podróżą, toteż spieszył do zamku Caerleigh, zatrzymując się w każdym mieście nie dłużej niż jeden wieczór. Kiedy wreszcie z gościńca dostrzegł znajome lasy i wsie, serce w nim drgnęło. Oto wracał do domu.

Przejeżdżając przez most, który odgradzał ziemie rodu Aam Caerleighów od lenna Hugona Aam Birge, Brenvan zdał sobie sprawę z ciekawej rzeczy. Ten ciepły, letni dzień był w istocie osiemnastym dniem miesiąca Shileah, 655 roku Ery Uzurpatorów. Znaczyło to, że dokładnie rok temu Brenvan stoczył bitwę ze Świętymi Jeźdźcami kapitana Kashima Al'Shannagga na pustkowiach Ocalonej Krainy.

Z niewiadomych powodów Brenvan odnosił wrażenie, że ostatni rok był niemal połową jego życia.

Jeszcze przed wieczorem zobaczył trójkątne, zwietrzałe ściany zamku Caerleigh. Nim zdążył dotrzeć do bramy, matka wybiegła go witać w towarzystwie służby. Szybko zorientował się, że Caerleighmarch oparło się zmianom, które ostatnio dotykały cały świat, zupełnie jakby graniczne lasy były murem powstrzymującym wiatr dziejów. Gwidon wciąż żył, Falkirk wciąż gospodarzył dobrami rodu, Gwynn wciąż nie miała męża. Nie zmienił się ani błotnisty dziedziniec, ani chłodne wnętrza twierdzy.

Nikt nie pytał Brenvana o Kashima, z wyjątkiem Gwynn, której rycerz z bólem serca opowiedział o Vailanie oraz o tym, że Al'Shannagg odszedł i pewnie nigdy już nie zawita do Caerleighmarch. Siostra ciężko przeżyła nowinę, przez wiele dni chodziła zapłakana. Wtedy Brenvan pierwszy raz

poczuł nienawiść do człowieka ze wschodu, który wdarł się w życie tylu osób, by tak niespodziewanie je opuścić.

Wkrótce Falkirk, ucieszony tym, że przybył mu pomocnik w doglądaniu żniw, wyznaczył Brenvanowi gospodarskie obowiązki. I w ten sposób rycerza pochłonęło spokojne życie learfeldzkiej prowincji.

*

Goniec wzdrygnął się, widząc morze namiotów, które, mając za jeden brzeg mur Tel'Halik, rozpływało się aż do odległych wydm. Wyglądało to, jakby połowa mieszkańców Świętego Miasta zdecydowała nagle, że lepiej im będzie za murem. Jednak goniec wiedział, że obozowisko nie należało do uchodźców, a do armii — nowej armii proroka. Ściągnięto tu większość zdolnych do noszenia broni młodzieńców z Tel'Halik, Tel'Amman, Jedwabnych i Dalekich Oaz. Bogatych i biednych pospołu. Teraz życie upływało im na musztrze i ćwiczeniach. Myśl, że tak wielka siła miała już niedługo służyć prorokowi i jego szalonym doradcom zdawała się gońcowi przerażająca.

Napatrzywszy się na wielkie obozowisko, mężczyzna spał saura i ruszył czym prędzej w kierunku Bramy Orłów. Wiedział, że wszystkie bramy Tel'Halik są w dzień i w nocy obserwowane przez szpiegów, dlatego planował wjechać główną, w nadziei na to, że wśród innych podróźnych nie zwróci na siebie uwagi.

Gdy dotarł pod wysoki łuk bramy, okazało się, że stało tam tylko dwóch mężczyzn, czekając na decyzję urzędnika. Ten wypytał ich dokładnie o cel przybycia, sprawdził juki saurów, a potem wpuścił do miasta. Wtedy zbliżył się do niego goniec. Powiedział, że jest sługą Marana Makhar'Badi, jedwabnego kupca, i że ma do załatwienia nieco sprawunków. Naturalnie nie wspomniał o korespondencji, którą wiózł za pazuchą. A były to listy ważne — jeden od samego paszy do pułkownika Hanhakha, kilka do sojuszników Jeźdźców, którzy rozsiani byli po mieście. Był też list od Jeźdźca, który teraz przebywał na dalekiej misji, do jego brata, Duzzaha z Pałacu Ksiąg. Oczywiście większość pism została zaszyfrowana, więc na nic by się zdały wrogim oczom, jednak za przewożenie tajemnych wiadomości goniec z pewnością trafiłby na tortury. Nic więc dziwnego, że z trudem ukrywał zdenerwowanie, gdy urzędnik przeszukiwał jego rzeczy. Dopiero kiedy posłaniec otrzymał pozwolenie na wjazd do miasta i przejechał pod łukiem bramy, napięcie powoli go opuściło.

Nie wiedział jednak, że nie tylko urzędnik i straż miejska przyglądają się

przybywającym. Dwie ciemno odziane postacie stały w zaułku najbliższym bramie, uważnie lustrując przyjezdnych. Dwóch pierwszych przepuścili bez zainteresowania, lecz goniec wzbudził ich ciekawość. Może zastanowiło ich to, dlaczego minąwszy posterunek otarł z czoła pot i odetchnął głęboko? A może, za sprawą daru, wyczuli, jak bał się o życie? Dość powiedzieć, że gdy goniec ruszył w dół ulicą, jeden z obserwatorów wyszedł z zaułka i podążył za nim.

Rozdział 5. Stępione ostrze

Trubadurzy oraz awanturnicy, których wielu zjeżdżało co lato do Asterlet, czasem kłócili się o to, ile tak naprawdę jest w mieście tawern i gospód. Właściwie nie wiedział tego nikt, szacunki zaś wahały się pomiędzy setką a dwiema setkami. Nawet królewscy poborcy nie znali dokładnej liczby, często bowiem zdarzało się, że gdy szli zbierać z gospód czopowe, nagle na jakiejś błotnistej uliczce pod miejskim murem odkrywali zupełnie nowy szynk, który wkrótce zniknął, gdy wśród podróżnych rozniosły się wieści, że gospodarz skrawa tam monety, chrzci piwo, a sienniki wprost ruszają się od robactwa. Taki karczmarz szybko otwierał interes w nowym miejscu pod zmienionym szyldem. W Asterlet nigdy nie brakowało ludzi, którzy potrzebowali taniego miejsca na nocny spoczynek i skromnego posiłku. Miasto leżało na skrzyżowaniu dwóch wielkich szlaków. Było nie tylko stolicą Gotrlandu, ale i miejscem, przez które przelewały się co roku prawdziwe rzeki podróżnych. Rzeki te niosły muł i osad w postaci żebraków, rzezimieszków, żaków bez grosza lub wędrownych kaznodziejów, którzy osiadali w niżej położonych dzielnicach — czasem jedynie na kilka tygodni, dopóki rzeka nie porwała ich znów za mury, a czasem już na zawsze, bo stopniowo wrastali w krajobraz wąskich uliczek oraz brudnych kamienic.

Szóstka pątników, która przybyła do miasta w ciepłej i słonecznej porze niebędącej jeszcze jesienią, ale zbyt dojrzałej jak na lato, należała raczej do pierwszej grupy. Szukali noclegu tylko na jeden dzień, mówiąc, że zaraz chcą ruszyć dalej, ale aż trzech karczmarzy ich odprawiło. Szerokie kaptury, pod którymi przybysze skrywali zawinięte w szmaty oblicza, i luźne, workowate szaty, nie budziły zaufania. Skąd można było wiedzieć, czy naprawdę są wyznawcami Warezara, którzy złożyli śluby skromności, czy też groźnymi przestępcami, próbującymi ukryć wypalone na policzkach piętna?

Dopiero w czwartej gospodzie, podłej spelunce w dzielnicy Chłopskie Krocze, karczmarka zgodziła się nająć im mały pokoik. Jako że było już późno, piątka podróżników szybko ułożyła się do snu. Tylko szósty, najwyższy i najszerszy w barach, zamienił z towarzyszami parę zdań, a potem opuścił karczmę i podążył w górę, do bogatszych dzielnic miasta.

Droga była długa i niebezpieczna, szczególnie po zmroku, jednak pątnik nie bał się, siedł dumnie i spokojnie. Wkrótce przekroczył bramę kupieckiej

dzielnicy. Tu ulice były szersze, a bruku nie przykrywała warstwa brudu. Ludzie za to patrzyli podejrzliwie na biedaka, zdecydowanie krocącego przez aleje, na których biedota z dolnej części miasta nie zwykła się pojawiać. Szybko zwrócił na siebie uwagę strażników, którzy z początku chcieli go zatrzymać, lecz niespodziewanie zawahali się, zupełnie jakby zmyliła ich jego pewność siebie. Czy to możliwe, by żebrak szedł tak dumnie? Może to przebrany sługa możnego, wracający z misji na podgrodziu, a może i jakaś ważna osoba, która miała kaprys podejrzeć życie najuboższych mieszkańców Asterlet?

Pątnik tymczasem piął się wyżej i wyżej, dotarł do rozległych placów i wodotrysków, które leżały u podnóża zamku diuka, mijał bogate kamienice, zamknięte kratami ogrody i domy kupieckich gildii. Wreszcie wszedł na szeroki trakt, który wiódł do samych wrót królewskiego pałacu.

Strażnicy patrzyli na zbliżającego się człowieka, gotowi zatrzymać go, gdyby tylko spróbował przekroczyć bramę. On jednak odbił w bok i poszedł wzdłuż zamkowego muru, znikając w ciemności nocy. Jeden z gwardzistów ruszył za nim, by zobaczyć, co też żebrak może robić pod królewskim pałacem, lecz choć zaszedł daleko wzdłuż ściany, nie ujrzał już nikogo. Nie przyszło mu do głowy zerknąć w górę, gdzie ciemna plama pięła się niczym pająk po idealnie równym zamkowym murze.

W tym właśnie czasie diuk zasiadł do ksiąg oraz rachunków w komnacie z widokiem na rzekę. Mimo późnej pory był pełen sił. Dopiero co wrócił z kolejnej ze swoich szalonych wypraw, które tak gorszyły najbliższy dwór i Radę Królewską. Choć wielu z początku ją odradzało, twierdząc, że władca powinien raczej jechać z armią na odsiecz Południowym Księstwu, wyprawa odniosła wielki sukces. Teraz diuk miał jednak do nadrobienia mnóstwo rzeczy. Siedział w skupieniu nad raportami ministrów oraz Rady Królewskiej, nie zauważywszy nawet, że oto małe okno uchyliło się, a do czytelnicy, zwinnie niczym kot, weszła postać w pątnicznym worze.

— Witaj, Filipie zwany Dobrym, diuku Gotrlandu — głos był tak basowy, że kamienna podłoga niemal od niego rezonowała.

Diuk zerwał się i chwycił za szeroki miecz, który stał oparty o krzesło. W czytelnicy nie było straży, władca nie lubił bowiem, by ktoś patrzył na niego przy pracy. Chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać pomocy, lecz w końcu tego zaniechał. Cóż mógł zrobić mu jeden dziwak w pokutnym worze? Gdyby Rada Królewska zdecydowała się przejąć pełnię władzy i odsunąć diuka, tak jak sto lat temu odsunięto króla, z pewnością najęłaby bardziej

godnego zabójcę, myślał.

— Kim jesteś, prosty człeku? I jakżeś się prześlizgnął obok straży?

— Jam jest ten, który dał początek twojemu królestwu. Opiekun rycerskich przysiąg, pan wojny.

To mówiąc, przybysz zdjął kaptur. Miecz wysunął się diukowi z dłoni i brzęknął o posadzkę, sam władca zaś osunął się na kolana, by złożyć hołd temu, którego od setek lat nie widziano wśród śmiertelnych.

Długo rozmawiali w chłodnych murach czytelnicy, przy migotliwym świetle trzech grubych świec. Zaniepokojona służba zaczęła nawet dyskretnie pukać do drzwi, lecz władca odprawił wszystkich, prosząc, by nie przeszkadzano mu do rana.

I rzeczywiście — opuścił komnatę dopiero, gdy nad wzgórzami zaczął szarzyć świt. Ci, którzy całą noc czatowali przy wejściu, z początku byli przerażeni, twarz diuka była bowiem blada i umęczona. Wszelako jego oczy jaśniały dziwnym ogniem.

Tej nocy Filip Dobry nie spał ani chwili. Dowiedział się wielu strasznych rzeczy: poznał prawdziwą potęgę Yauranu i sytuację, w jakiej znalazły się Ziemi Środka. Tajemniczy gość dał mu jednak i nadzieję — coś, czego do tej pory diukowi brakowało, gdy myślał o walce z zamorskim Cesarzem.

*

Zwój nosił liczne ślady krwi. W kilku miejscach rozmókł tak bardzo, że papirus rozwarstwił się na gęste sploty włókien. Mudda rozwijał go powoli i z namaszczeniem, zarówno ze strachu, że zniszczy list, jak i z szacunku dla gońca, który skonał od ran wkrótce po tym, jak dostarczył wiadomość. Jego ciało wciąż leżało w pokoju obok, lecz Duzzaha zbyt pochłonęła tajemnicza przesyłka, by martwić się o to, co zrobi z trupem.

Kiedy oczom Muddy ukazały się pierwsze litery, wydał nieartykułowany krzyk. Kształt pisma, strome łuki i ostre litery były mu tak znajome, że poznał je natychmiast. Poczul, że w kącie jego prawego oka zbierają się łzy. Blizna na lewym oku tętniła tęnym bólem w takt nagle przyspieszonego serca. Świat zawirował, a Mudda musiał usiąść na pufie, by nie osunąć się na dywan.

Jego brat żył! Nahar, którego już dawno pogrzebał w myślach, Nahar, którego ciało poszatowane na setki kawałków miało zgnić w uliczkach Tel'Halik — słał mu wiadomość! Mudda chciał dziękować za to Jedynemu, lecz głos uwiązł mu w nabrzmiętym od tłumionego szlochu gardle. Powoli zaczął czytać słowa brata.

Najdroższy Muddo!

Wiem, jak musiałeś przeżywać brak wieści o mojej osobie, więc w pierwszych słowach chcę Cię uspokoić: żyję i mam się dobrze. Z oficera Świętych Jeźdźców stałem się jednorękim banitą, lecz...

Nagle straszna myśl przebiła się przez radość i wzruszenie. Mudda Al'Iarnak oderwał wzrok od liter i wbił go w ciemne płótno nocy, rozpięte na ramie smukłego okna. Dreszcz przebiegł mu po karku.

Bestia!

Jego oprawca, ten straszliwy potwór o mocy niewyobrażalnej dla zwykłych ludzi, wciąż żył i snuł kolejne plany. Od dawna nie wzywał Muddy, co nie znaczyło, że o nim zapomniał, a Duzzah nazbyt dobrze pamiętał, jak bezsilny był w rękach istoty o tak potężnym darze.

Nie, treść listu nie była bezpieczna nawet w jego głowie. Potwór może bez trudu wyczuć, że Duzzah coś skrywa, a wtedy wydrze wszystkie szczegóły z jego umysłu. O ile wiadomości o podwójnej grze Muddy mogły zgubić tylko jego, o tyle informacje o Naharze ściąnęłyby straszliwe niebezpieczeństwo na obu braci.

Starszy Al'Iarnak siedział chwilę bez ruchu, nie mogąc się zdecydować, co teraz zrobić. Jego dłonie ścisnęły łapczywie zwój, jakby samym dotykiem chciały wyciągnąć z niego wiedzę, której nie wolno było oglądać oczom. Tak bardzo pragnął wiedzieć, co robi teraz jego brat, gdzie jest, czy nic mu nie grozi. Rozum był jednak bezlitosny: nie miał prawa ryzykować bezpieczeństwa Nahara dla spokoju własnej duszy. W końcu podniósł się sztywno, niczym kukła, i zbliżył do złoczonego kandelabru. Łzy ciekły mu po policzku, a serce skręcało się z żalu.

Nasiąkły krwią pergamin palił się powoli, przedłużając torturę Muddy w nieskończoność. W powietrzu rozniósł się niepokojący zapach przypalanej posoki.

W końcu gdy z listu został tylko mały skrawek, Duzzah położył go na świecy. Potem wezwał zaufanego sługę, by pogrzebać ciało gońca, który przyniósł tej nocy najcenniejszą rzecz, jaką dane mu było kiedykolwiek dostarczyć. Nadzieję.

*

Płyn zachowywał się inaczej niż wszystko, co Jelaya widziała wcześniej w swoim życiu. Nie wrzał ani nie parował, choć dno kociołka było rozgrzane niemal do czerwoności. Zamiast tego wpełzał na strome ścianki, jak ameba albo wielki bezkształtny ślimak. Zdawał się ciągnąć do światła — a może do ludzkich istot? Powstrzymywały go tylko wygięte mocno brzegi naczynia.

— Czy to ja... Czy ja to zrobiłam? — Spytała z niedowierzaniem dziewczyna, która dopiero co skończyła mieszać wszystkie składniki.

— Nie bądź głupia — parsknęła wiedźma. — Twój żalosny dar wystarczy ledwie do zgaszenia świecy lub odsłonięcia kotary. To magia ukryta w przedmiotach zmieszała się, dając w efekcie znacznie silniejszą magię.

— Ale... przecież Księga mówi, że jest tylko dar, który otrzymali potomkowie, i zła magia demonów. Czynimy więc tę ostatnią? — W oczach Jelayi zabłysnął paniczny strach.

— Nauczysz się wkrótce, że Księga nie wspomina o bardzo wielu rzeczach, a wszystko, co było obce jej twórcom, mieszczono w jednym szeregu z demonami Marrenvan. Na Boga, dziewczyno! Poznałaś już prawdziwą twarz Duzzahów, ich hipokryzję i mroczne tajemnice. Przestań się zachowywać jak świętoszka, bo będę musiała znów cię uśpić.

Dziewczyna umilkła. Siedziała dłuższą chwilę skulona nad kociołkiem, aż w końcu wiedźma zajrzała jej przez ramię i rzekła:

— Gotowe. Możesz ostudzić. Pamiętasz dobrze przepis?

— Tak, pani. Ale co to jest?

— Już mówiłam. Moja nauczycielka zwała to Żółcią Demona.

Widząc, jak Jelaya się krzywi, Zebari dodała:

— Jeśli chcesz, możesz sobie wymyślić bardziej smakowite miano. Nazwy nie są ważne, ważne jest działanie. To jeden z najistotniejszych wywarów, dlatego chciałam, byś poznała go w pierwszej kolejności. Wypity w odpowiedniej ilości, pozwala nam zerknąć w przyszłość. Łatwo uzależnia, niszczy ciało, mimo to wiele wiedźm, w tym ja, pije go codziennie. Nawet nie wiesz, ile razy uratował mi życie. A teraz próbuj.

— Ja?

— Oczywiście! Musisz się przyzwyczajać powoli, nim będziesz mogła spożyć użyteczną dawkę. Na początek starczy pół łyżeczka.

— Czy coś zobaczę?

— Przy tej ilości raczej nie. A nawet jeśli, to nie będzie miało większego znaczenia.

Mimo wszystko Jelaya wahała się. Czuła, że popełnia właśnie straszny grzech. Czym innym było mieszkać u wyklętej czarownicy, a czym innym poznawać jej tajemne sztuki. Dopiero gdy zdała sobie sprawę, że i tak jest już przeklęta za wszystkie poprzednie grzechy, chwyciła drewnianą łyżkę. Potem wypiła napój — albo raczej to on wpełzł jej w gardło.

Wiedźma uśmiechnęła się, po czym spokojnie powróciła do kruszenia ziół. Jelaya tymczasem czekała w strachu. Przez dłuższą chwilę czuła jedynie dziwne ciepło w żołądku. Gdy spodziewała się już, że nic się nie zdarzy, nagle zaszumiło jej w głowie. Jakiś obraz przemknął przed oczyma szybciej, niż była w stanie go rozpoznać, i przywołał z pamięci kilka rozmytych wspomnień.

— Kashim — powiedziała cicho.

Wiedźma wyprężyła się zaraz i zmarszczyła czoło.

— Co mówisz, dziecko?

— Kashim, widziałam go. On żyje!

Zebari zgrzytnęła zębami.

— Mężczyzna, którego znałaś pod imieniem Kashim, jest martwy — rzekła z naciskiem. — Zapomnij o nim lepiej, bo już nigdy go nie zobaczysz.

— Kapitan Al'Shannagg umarł? Skąd wiesz? Nie możesz wiedzieć! — Jelaya nieomal się zachłysnęła.

— A jednak. Krew zdradza mi wiele tajemnic, moja droga. Uwierz mi, ów człowiek już nie istnieje. A teraz.

W tym momencie wiedźma przerwała. Wyciągnęła szyję, a jej nozdrza rozdęły się jak u wilka, który wietrzy niebezpieczeństwo.

— Idą tu! — krzyknęła. — Biegnij po dziecko, potem bierz tyle przyrzędów, ile zdołasz.

— Kto idzie? O co chodzi, Zebari?

— Duzzahowie i Czerwone Turbany! Ktoś nas zdradził, mamy ledwie kilka chwil. Pospiesz się dziecko, inaczej czeka nas zguba!

Jelaya poderwała się w mgnieniu oka. Myśl o tym, że może ponownie wpaść w ręce Duzzahów, dodawała jej skrzydeł.

Kilka ulic dalej tuzin uzbrojonych mężczyzn nieuchronnie zbliżał się do Krwawego Sztyletu.

*

Doglądanie żniw, a potem objazdy dóbr tak pochłonęły Brenvana, że nie spostrzegł nawet, gdy zaczęła się jesień. Wtedy to z kolei trzeba było ruszyć do miasta po zapasy, których zamek Caerleigh potrzebował w długich miesiącach zimy. Gdy tylko rycerz powrócił z wyprawy, zaczęły się problemy z ludźmi lorda Hugona. Wieśniacy z Birgemarch wycinali lasy w zakolu rzeki, sam Hugon zaś twierdził, że ziemia ta wedle starych traktatów należy do jego lenna. O ile szlachetnie urodzeni ograniczyli się tylko do jednego spotkania i kilku wymienionych listów, o tyle chłopci z granicznych

osad zaraz zaczęli brać się za łby z drwalami. I tak Brenvan znów miał zajęcie, nim sprawę zakola rozstrzygnięto nowym traktatem. A wtedy spadł śnieg.

Zima była chłodna i wietrzna. Dopiero podczas długich wieczorów spędzanych w sali kominkowej Brenvan miał okazję jeszcze raz przemyśleć wszystko, co ostatnio przeżył. Posmutniał od tych wspomnień i znów zaczął snuć plany podróży. Chciał odnaleźć van Dreycka albo ruszyć śladami Kashima, choć jego trop do tej pory musiał się całkiem zatrzeć. Falkirk jednak wybił Brenvanowi te plany z głowy. Potrzebował go w Caerleighmarch, a poza tym do zamku zaczęły już dochodzić wiadomości o dziwnym poruszeniu na wschodzie. Brenvan odłożył więc przygotowania, coraz rzadziej wkładał zbroję... Jego miecz stępsiał, służąc już tylko do treningów.

Gdy tylko śnieg ustąpił z pól, po Learfeld zaczęli śmigać gońcy, niepomi na to, że w wielu miejscach trakty zmieniły się w grzędzawiska, a wezbrane rzeki pozrywały wiele mostów. Roznosili dziesiątki listów, tej zimy bowiem zdarzyły się ciekawe rzeczy — po dworach learfeldzkiej szlachty krążyły plotki o wojnie, którą Filip Gotrlandzki miał wydać Yauranowi, by wraz z władcami południa zemścić się za najazd. Przygotowania do wyprawy trwały przez zimowe miesiące i spodziewano się, że Filip poprosi o wsparcie także liczne rody marchii.

Wizja wojny, w której można by zdobyć sławę i łupy, tak rozogniała rycerzy, że mało który zwracał uwagę na dziwniejsze wieści. Brenvan jednak z ciekawością podsłuchiwał, jak prostaczkowie, jeszcze częściej, niż to dawniej bywało, zaczęli mówić o cudach. I tak ponoć pewien zepsuty do szpiku kości biskup został zmieniony w kamień w prywatnej kaplicy; chłop, który stracił swoje stado, następnego dnia miał je z powrotem; statki, które zginęły na dalekim patrolu, wróciły do portu, wiedzione przez srebrną mewę. W wielu miastach podczas zimy zabrakło ziarna, bo z powodu spalonych zasiewów kupcy Południowych Księstw w tym roku go nie sprzedawali. Mimo to spichlerze same się zapełniały, w sposób całkowicie niepojęty dla ludzi. Ten i ów zaczął wprost twierdzić, że to sprawka bogów, którzy znów zwrócili twarz w stronę ludzi.

Z Gotrlandu dochodziły jednak bardziej ponure pogłoski. Filip Dobry podobno poszukiwał czarowników i wiedźm, zabiegając o ich wsparcie w nadchodzącej wojnie. Młodym i sprawnym ludziom, co władali złą magią, władca oferował za służbę odpuszczenie win, zaczął pensję, a nawet — to

szczególnie przerażało lud Learfeld — żelazny list, który miał ich chronić przed sądem i prześladowaniami. Jakby tego było mało, niektórzy utrzymywali, że na dworze diuka widziano Yaurańczyków. Jedni sądzili, że to dyplomaci, inni — że renegaci, których Filip wydarł spod władzy cesarskiej sowitą łapówką. Tak czy inaczej, zarówno prostaczkom, jak i szlachlicom Learfeld nie mieściło się w głowie, że można dobrowolnie wpuszczać pod swój dach wrogów oraz czarnoksiężników.

Jednak gdy tydzień później do marchii przybyły listy z Asterlet, w których władca wzywał przedstawicieli wszystkich rodów na radę wojenną przeciw Yauranowi, nikt się nie wahał, zwłaszcza że diuk zrećnie zagrał na dumie i chciwości rycerzy, prezentując im obrazy wiekopomnych zwycięstw i łupów, jakie czekały na wschodzie. Wspomniał też, że nie wyobraża sobie powodzenia takiej ekspedycji bez słynnych jeźdźców z Learfeld, których siła i waleczność — o czym powszechnie wiedzano w całym świecie — nie miała sobie równych. Wzywał przedstawicieli każdego rodu do stolicy Gotrlandu, gdzie w ciągu miesiąca miała się odbyć walna rada, ustalająca szczegóły wyprawy.

Taki list dotarł i do Caerleighmarch. Dość szybko uzgodniono, że to Brenvan, jako młody i wprawiony w dalekich podróżach, pojedzie reprezentować rodzinę. Aam Caerleigh cieszył się z tego, bo wreszcie miał okazję wrócić na szlak. Nim minęły pierwsze roztopy, zebrał ekwipaż, wziął ze sobą giermka oraz służącego, po czym ruszył w stronę Asterlet, nie wiedząc nawet, że oto zaczyna się nowy rozdział w jego życiu, jeszcze ciekawszy i bardziej niebezpieczny od poprzedniego.

*

— Twoje szczęście, kuzynko, jest tak wielkie, że dla mnie niepojęte — rzekł Gh’Zar Siedem Głów, patrząc na statki, które kołysały się leniwie w porcie. — Widzę teraz, że mój przydomek raczej tobie by pasował, bo już kilkakrotnie uszłaś cało z sytuacji, w której inny, nawet równy ci urodzeniem, przepadłby ze szczętem.

— To łaska Boskiego Cesarza, Gh’Zarze. Doświadczyłam jej mocniej niż inni — odparła Ts’Rang.

Potem spojrzała na kilkanaście swoich galer i na marynarzy, którzy ładowali właśnie beczki ze słodką wodą, i poczuła ulgę na myśl, że oto po długich przygotowaniach znów znajdzie się na morzu, daleko od dworu, który coraz bardziej przypominał gniazdo szerszeni.

— A jednak — kontynuował Gh’Zar — wszystko wydaje mi się dziwne.

Nadchodzi data wielkiej inwazji, mobilizacja trwa w całym cesarstwie, urzędnicy ściągają na zachód każdego żołnierza, nawet z najodleglejszych rubieży. A ty... Ty zabierasz przeszło trzy tysiące ludzi na — jak to sama rzekłaś — „misję kartograficzną” do zamorskich krain. Przekazywanie tylu zbrojnych oraz okrętów do tak błędnego zadania, gdy tego lata będą potrzebni na granicy, wydaje się marnotrawstwem...

— Czyżbyś wątpił w mądrość Boskiego Cesarza?

— Ależ skąd, kuzynko. Po prostu zastanawiam się. Te zamorskie krainy... Wiem, że to pałacowy sekret, ale powiedz mi, jak krewniak krewniakowi, o co w tym wszystkim chodzi? Słyszałem, że daleko stąd, po drugiej stronie buntowniczych krain, jest ziemia...

— Dość, wujku — przerwała mu ostro Ts'Rang. — Jestem twoją krewniaczką, ale również krewniaczką i sługą Boskiego Cesarza. Pytasz o sekret tak wielki, że żaden z ludzi we flocie o nim nie wie. Tylko mój zastępca dostał zalakowaną tubę z opisem zadania, na wypadek gdybym niespodziewanie zginęła. Reszta pozna cel dopiero, gdy do niego dotrzemy. Nie licz więc, że czegokolwiek się ode mnie dowiesz.

Gh'Zar zasyczał, zezłoszczony:

— Niebezpiecznie sobie poczynasz, kuzynko. Ktoś, kto stoi na tak niepewnym gruncie, nie powinien zrażać do siebie wszystkich frakcji pałacu. Zdziwiłabyś się, jak dużo już wiem... Wiem dokładnie, ile zapasów wzięłaś do ładowni. Wiem, że zamierzasz płynąć trzy albo i cztery miesiące. Wiem, że całe wyposażenie, które otrzymali twoi wojownicy, to ekwipunek pustynnych pułków z północy cesarstwa, a nie pułków, które mają walczyć w krainach ludzi. Można z tego wnioskować, że...

— Gh'Zarze Siedem Głów, nie kończ — rzekła surowo Ts'Rang. — Jeśli bowiem zdradzisz mi, że znasz cel misji, bez wahania doniosę o tym cesarskim ministrom. Wtedy zaś z siedmiogłowego szybko staniesz się bezgłowym.

Gh'Zar syknął jeszcze głośniejszym głosem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Seledynowy Pazur została sama. Teraz jeszcze bardziej cieszyła się, że opuszcza cesarstwo. Choć misja, którą dostała, była nie mniej szalona od poprzedniej.

*

Większość twarzy, które Mudda zobaczył w półmroku magazynu, była młoda. Nic dziwnego, bo głównie tacy ludzie ukrywali się przed Pałacem Proroka oraz Pierwszą Świątynią. Ci, którym nie w smak był przymusowy

pobór, służba Vezamarowi, horror treningowego obozu albo śmierć w jednej z nieskończonych potyczek, jakie co dzień toczyły się w Ocalonej Krainie, mieli jedno wyjście: zniknąć. Uciekali więc z domów, kryli się w jaskiniach oraz piwnicach, czasem samotnie, niekiedy w grupach.

Ta akurat liczyła jedenastu młodzieńców. W większości wykształceni, byli wystarczająco inteligentni, by wiedzieć, że nie mogą ukrywać się w nieskończoność, prędzej czy później donosiciele Proroka muszą wpaść na ich ślad. Dlatego Duzzah Mudda był ich jedyną nadzieją.

— Zaklinam cię jeszcze raz, przyjacielu — powtórzył niewysoki chłopak, który wziął na siebie obowiązek przewodzenia grupie. — Mamy wiele złota, kosztowności warte ze sto złotych centimów.

— Wiecie, na jakie niebezpieczeństwo mnie naraziliście? — odparł Mudda. — Złoto... Skąd mam wiedzieć, czy w ogóle je zobaczę, skoro już raz mnie okłamałeś! Miałem oddać ostatnią posługę umierającemu, a trafiam do kryjówki banitów.

— Błagamy cię, Duzzahu! — Powiedział inny młodzieniec. — Imid mówił, że opiekujesz się księgami urodzeń, że to do ciebie przybywają oficerowie po listy mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Dajemy ci bogactwo w zamian za jedenaście ruchów piórem.

— Przecież nikt nie zorientuje się, jeśli wykreślisz nas z ksiąg! Nikt z nas nie użyje już nigdy starego imienia czy nazwiska — dodał niski.

Młodzieńcy patrzyli na Muddę ze strachem pomieszanym z nadzieją. Dzięki pooranej twarzy i opasce na oku wyglądał zupełnie jak zbir Vezamara, jednak sam fakt, że zgodził się ich wysłuchać, dowodził, że była szansa na pomoc. Mieli więc nadzieję, że chciwość zwycięży w nim poczucie obowiązku.

— Przykro mi — rzekł po chwili milczenia Mudda. — To zbyt wielkie ryzyko. Któregoś z was na pewno schwytają w końcu Czerwone Turbany. A wtedy, na torturach, wyśpiewa o mnie wszystko.

— Księga mówi „ratując tego, co w potrzebie, ratujesz własną duszę”, kapłanie — odezwał się cicho niski.

Mudda roześmiał się.

— Księga? Czyżbyś łudził się, że duchowni Świętego Miasta czytają jeszcze Księgę?! Teraz liczy się już tylko słowo proroka.

To mówiąc, zawinął się w płaszcz i ruszył ku wyjściu. Jeden z młodzieńców aż zadrzał ze złości i chwycił rękojęść sztyletu, lecz pozostali go powstrzymali. Zabójstwo Duzzaha mogło im tylko przysporzyć

dotychczasowych kłopotów. Woleli mieć nadzieję, że osoba, która przecież zgodziła się ich wysłuchać, nie wyda ich Pałacowi Sprawiedliwych.

Mylili się bardzo. Duzzah Mudda zaraz skierował swoje kroki do domu, by tam, w zaciszu gabinetu, napisać kilka listów, w tym donos o grupie buntowników, którzy kryli się w starym magazynie.

*

W czasie podróży do Gotrlandu Brenvan nieraz odnosił wrażenie, że co trzeci rycerz z jego ziem jedzie w tym samym kierunku. W dwa tygodnie spotkał po drodze więcej dawnych przyjaciół i wrogów niż przez ostatnie dwa lata. Każdy z nich miał oczywiście ze sobą świtę, często nawet kilkadziesiąt głów. Wreszcie kawaler Aam Caerleigh zaczął się poważnie martwić, czy Asterlet w ogóle pomieści taką liczbę przyjezdnych, czy też może pęknie jak wór, w który wsypano zbyt wiele ziarna.

Obawy te wkrótce okazały się uzasadnione. Po przybyciu na miejsce Brenvan zobaczył, że wszystkie gospody w Asterlet są zapchane, a na polach pod miastem wyrosła cała dzielnica namiotów. Całe szczęście, że szlachetnie urodzeni, których wezwano na wielką radę, mieli kwaterować w najbogatszej z dzielnic.

Będąc już w mieście, Brenvan poznał wiele nowych plotek, zobaczył też na własne oczy paru mężczyzn i jedną kobietę, którzy szli po ulicy w długich szatach z purpurowymi opaskami na ramionach. Był to znak, który ostrzegał ludzi, że oto mają przed sobą gotrlandzkich czarnoksiężników. I mimo protekcji, jaką zapewniał im diuk oraz Rada Królewska, prostaczkowie spluwali na ich widok, rycerze zaś odwracali się z niesmakiem. Raz mignął nawet Brenvanowi orszak pewnego Yaurańczyka, o którym dużo mówiono na dworze diuka.

Wkrótce zaczęły się obrady, przerywane balami i turniejami, tak by rycerze nie mogli narzekać na nudę czy brak gościnności władcy.

Brenvan brał udział i w jednych, i w drugich. Po raz pierwszy od dawna znalazł sobie nawet damę serca, młodzieńką szlachciankę z dworu diuka, wdzięczny obiekt flirtów podczas wielogodzinnych uczt. Poczł się niemal jak za dawnych, młodzieńczych lat, lecz myśl o planowanej wyprawie nie dawała mu cieszyć się zabawą równie beztrosko, jak pozostałym rycerzom.

Filip Dobry chciał uderzyć na Yauran siłami, jakie nigdy jeszcze nie przekroczyły granicy. Zagrał zręcznie na dumie i chęci zemsty, zyskując swojej sprawie przychylność zdecydowanej większości gotrlandzkich oraz południowych miast, a także learfeldzkich rodów. Brenvan już wiedział, że w

głęb cesarstwa miała ruszyć większość zbrojnych Ziem Środka. Oznaczało to, że w wypadku przegranej wojny (a z tym Brenvan, w przeciwieństwie do większości zebranych, się liczył) krainy te zostałyby niemal bezbronne. Jednakże Aam Caerleigh nie mógł się oprzeć wrażeniu, że diuk przemyślał swój plan starannie i rozważył wszystkie możliwości.

Wielu szlachciców Learfeld bało się o własne dobra, którym, według nich, bardziej od Yauranu zagrażali sąsiedzi. Dlatego rody marchii obiecały dać diukowi niemal dwa razy mniej ludzi, niż pragnął.

Wtedy właśnie do wszystkich posłów Learfeld przysły zaproszenia na wielką ucztę, którą diuk zorganizował specjalnie dla nich. Miała się odbyć w samym sercu zamku, nic więc dziwnego, że Brenvan nie mógł darować sobie takiej okazji.

Ściany sali, gdzie odbywało się przyjęcie, udekorowano arrasami przedstawiającymi największe tryumfy learfeldzkiego rycerstwa. Nad tronem diuka wisały herby wszystkich zaproszonych rodów, sam władca zaś podczas uczy, która obyczajem Learfeld szybko zmieniała się w pijatykę, wielokrotnie zapewniał zebranych, że Gotrland bez ich pomocy jest zgubiony. To, że diuk usilnie próbuje przypodobać się magnatom, było dla Brenvana tak oczywiste, że zdziwił się, jak bezkrytycznie przyjęła te gesty reszta rycerstwa. W końcu gdy możni po kolejnych kielichach zaczęli ścisnąć się z diukiem, całować go i zapewniać o wiecznej przyjaźni, kawaler Aam Caerleigh zdecydował się zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyszedł na szeroki taras, skąd rozpościerał się wspaniały widok na całe Asterlet, kipiące życiem mimo nocnej pory.

Brenvan oparł się o blanki, zamknął oczy i pozwolił, by chłodny, nocny wiatr rozwiał mu utrefione loki. Dopiero po chwili usłyszał cichą rozmowę, która toczyła się w rogu tarasu. Dojrzał tam dwóch dziwnych mężczyzn. Pierwszy był jednym z gotrlandzkich magów, nosił bowiem ciemne szaty i opaskę na ramieniu. Złoczone wzory, wyszyte na kapturze, dowodziły, że to osoba starsza rangą od tych, które rycerz widywał na ulicach miasta.

Drugi mężczyzna miał na sobie złoczone napierśnik i misternie splecioną kolczugę. Jednak szarfa zamiast pasa, szyszak, który trzymał pod pachą, i dziwnie zakrzywiona broń wskazywały, że nie był Gotrlandczykiem. Brenvan nie widział dokładnie jego twarzy, skrytej w półmroku, ale przysięgłby, że jest ciemniejsza od oblicza czarnoksiężnika.

Nagle coś go tknęło. Głos postaci, choć cichy i ginący w wietrze, wydał mu się znajomy. Podobnie jak rękojeść szabli, przypominająca broń, którą

widział już setki razy. Brenvan oderwał się od barierki i ruszył w tamtą stronę.

— Kashim? — spytał niepewnie.

Mężczyzna obrócił się, ukazując Brenvanowi oblicze, które było mu jednocześnie bardzo znajome i całkowicie obce.

*

— Wody, na Jedynego! Więcej wody, psie syny, oby skorpiony was pokąsały, oby was sępy zeżarły!

Czerwony Turban darł się wniebogłosy, a jego pałka świszczła co chwila, spadając na plecy podwładnych. Ci zaś, choć biegali z wiadrami niby jaszczurka po rozpalonym piasku, nie mogli nadażyć z gaszeniem pożaru. Ogień objął całe ściany drewnianego magazynu i lizał już dach, jakby kosztując go ostrożnie, nim wpełźnie na niego całym pomarańczowym cielskiem.

Mimo że Czerwony Turban wściekał się coraz bardziej, powoli zaczęło docierać do niego, że choćby zatłukł niewolników, to i tak nie zwyciężą pożaru. A co powiedzą w Pałacu Sprawiedliwych, gdy wyjdzie na jaw, że złoczyńcy, którzy kryli się w magazynie, uszli karze, sami zadając sobie śmierć? W końcu spalenie było lżejszym losem od tego, który szykowali im kaci...

Sługa Yholeda zaczął poważnie bać się o własne życie. Niekompetencja była wśród Czerwonych Turbanów karana bardzo surowo. Jego przełożeni mogli nie zrozumieć tłumaczenia, że banici zdołali się zabarykadować ledwie w kilka chwil po tym, jak zapukał do magazynu, a ogień wybuchł tak gwałtownie, jakby od dawna mieli przygotowane garnce z palną oliwą.

Patrząc na pożogę ogarniającą kolejne partie budynku, mężczyzna coraz mniej kłął, a coraz więcej się modlił. Błagał Jedynego, by z nieba spadł deszcz i stłumił pożar, dopóki w środku mógł być jeszcze ktoś żywy.

O coś dokładnie przeciwnego modliła się grupka młodzieńców, którzy obserwowali walkę z ogniem z dachu odległego budynku. Choć udało im się uciec zamaskowaną dziurą w ścianie, wiedzieli, że aby ich podstęp nie wyszedł na jaw, magazyn musiał się spalić całkowicie. Inaczej ktoś mógłby dojść, że jedenaście ciał, które w nim leżało, było martwych już od dawna, i odnaleźć sekretną drogę ucieczki poszukiwanych.

Na szczęście dziś niebiosa sprzyjały banitom. Ogień tak się rozszalał, że gaszący go ludzie przestali się już martwić o sam magazyn, a zajęli się tym, by nie rozpełzł się na sąsiednie budynki. Młodzieńcy, uznając, że to koniec

przedstawienia, pożegnali się i czym prędzej rozeszli po mieście pojedynczo lub małymi grupkami. Teraz żaden już nie żałował, że zaufali anonimowym listom, które przysłał do nich tajemniczy dobroczyńca, opisując zagrożenie, w jakim się znaleźli, i sposób ratunku. Żalowali tylko, że nigdy nie poznają imienia wybawiciela, by móc pomodlić się w jego intencji do Jedyngo.

Daleko stamtąd, w domu rodu Al'Iarnaków, który leżał w Dzielnicy Kupców, Duzzah Mudda również oglądał pożar. Z okna na drugim piętrze widział łunę, która pięła się coraz wyżej i wyżej. Uśmiechnął się. Wiele ryzykował, śląc do tych ludzi listy i wyprasząc u znajomego Duzzaha trupy jedenastu skazańców. Wyglądało jednak na to, że wszystko skończy się dobrze — ślady zniszczy ogień, a podejrzena Pałacu skupi na sobie nie donosiciel, który wywiązał się z obowiązku, ale dowódca patrolu, który nie zdołał pojmać wrogów proroka nawet z zaskoczenia.

A nawet gdyby ta sprawa, lub któraś z poprzednich, w jakiś sposób się wydała, to Mudda i tak nie dbał o swoje życie. Przysłużył się nieraz Vezamarowi i jego szalonym doradcom, dlatego wiedział, że w pełni zasługuje na to, by zginąć. Najgorsze tortury byłyby dla niego ledwie odkupieniem win. Nie miał wątpliwości, że kiedyś go złapią. Przed śmiercią pragnął tylko jednego: choć trochę stępić ostrze, które sam pomagał wykuć. Ostrze, którym prorok godził we własny lud.

Rozdział 6. Opowieść pielgrzyma

— Witaj, przyjacielu — rzekł Kashim, odprawiając ruchem dłoni czarnoksiężnika. Jego głos był ciepły, ale pozbawiony emocji. — Przyznam, że spodziewałem się ciebie w Asterlet, choć z różnych względów nie próbowałem cię szukać.

Brenvan zbliżył się i przyjrzał uważnie Al'Shannaggowi. Jego towarzysz zmienił się — na tyle, że Brenvan nie mógł wprost uwierzyć, iż minęło ledwie parę miesięcy. Twarz Świętego Jeźdźca zdawała się teraz jakby bardziej wyciągnięta, zmarszczki na czole i spokojne spojrzenie odebrały jej dawną drapieżność. Skóra była blada, jakby nosiła ślady niedawnej choroby. Zmienił się też głos Kashima, zrobił się cichszy, nieco łagodniejszy. Mimo to aura majestatu i siły, jaką roztaczał Kirajczyk, zdawała się mocniejsza niż kiedykolwiek — i nie była to jedynie sprawka przepysznej zbroi oraz bogatego stroju.

— Nie szukałeś mnie?! — krzyknął z żalem Brenvan. — A czy wiesz, że w myślach dawno cię opłakałem i pogrzebałem? Pewien byłem, że zginąłeś gdzieś wśród północnych pustkowi! Ty zaś... Nawet nie pokwapiłeś się dać znaku życia! Niewdzięczny łotrze!

Kashim uśmiechnął się.

— Nim mnie osądzisz i skarzesz, daj się chociaż niewdzięcznemu łotrowi obronić. Dopiero teraz Aam Caerleigh zdał sobie sprawę, że mimo wszelkich zmian to jest ten sam wojownik z pustynnych ziem, z który przeżył tyle niebezpieczeństw. Uściskali się, a potem podeszli do krawędzi muru. Kashim rzekł:

— Musisz mnie zrozumieć, Brenvanie. To, co ostatnio przeszedłem, jeszcze bardziej umocniło mnie w decyzji, by nie brać na siebie odpowiedzialności za cudze losy. Zdałem sobie sprawę, jak duża i niebezpieczna jest gra, w której biorę udział, toteż nie dziw się, że choć bardzo chciałem się z tobą zobaczyć, opowiedzieć ci o cudach, jakim widział na północy, nie mogłem się na to zdobyć. Pojąłem, że to nie własna wola mogła ciągnąć ku mnie ciebie, Vailanę czy choćby twą siostrę, lecz krew bogów oraz ich tajemne zamiary. Pamiętasz jeszcze przepowiednię więdźmy z lasu? Ja od śmierci Vailany wspominałem ją często i miałem nadzieję, że los cię ode mnie odepchnie, że wrócisz spokojnie do Learfeld i

tam już pozostaniesz.

— Jakżeś właśnie zobaczył, nie tak łatwo się mnie pozbyć. A śmierci w wyprawie albo na polu walki lękam się mniej niż powolnego zdychania na stosie poduszek i pod grubą pierzyną. Mówisz: los? To niezwykle słowo w twoich ustach. Zwykleś mówić o prorokach lub bogu, a nie o losie.

Kashim westchnął.

— Wiele rzeczy się zmieniło. Tak wiele, że nie wiem nawet, od czego zacząć.

— Powiedz mi może naprzód, co do diabła robisz na dworze diuka?! I skąd masz pieniądze na taki ekwipaż? Gdy cię opuszczałem — wybacz surowe słowa — byłeś pospolitym gołodupcem.

Święty Jeździec pogładził brodę.

— Widzisz, ciężko będzie wszystko wyjaśnić, nie opowiadając wpierw całej historii. Powiem na razie tyle, że po wszystkich przygodach na północy przybyłem do Gotrlandu szukać zbrojnych do realizacji swojego planu. Tutaj wszelako czekało mnie nieliczne zdziwienie. Diuk dowiedział się o mej osobie i wezwał mnie na audiencję. Jak się okazało — znaliśmy się osobiście.

Brenvan aż zamarł.

— Znałeś Filipa Dobrego? Skąd, jeśli wolno spytać? Przecie po tych ziemiach zawsze podróżowaliśmy razem!

— To proste, Brenvanie. Ty też znasz diuka, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

— Dość tych szarad, Kirajczyku. Wystawiasz na próbę moją cierpliwość i wiarę w twoje słowa...

Kashim zaśmiał się.

— Dobrze, dobrze. Kawaler Ketten, co przewodził naszej ekspedycji... Pamiętasz go jeszcze?

— Tak, ale nie wiem, do czego to prowadzi... Owszem, może miał głos nieco podobny do Filipa, ale inną twarz! No i ten złamany nos...

— Wiedz zatem, że diuk od wielu lat już zadawał się z wszelkimi czarnoksiężnikami, o czym sam, jeśli mnie pamięć nie myli, onegdaj opowiadałeś. Ma nawet nadwornego czarodzieja, człowieka wedle mej miary trzeciej krwi, choć naturalnie nie po Sammarze; więcej łączy go raczej z wilczarzami. To właśnie ów człek, z którym mnie przed chwilą widziałeś. Filip wielokroć wyruszał w podróże po królestwie — lub ważne misje — anonimowo, ów mag bowiem osiągnął dużą biegłość w zmienianiu wyglądu diuka. A że brak żelaza przed spodziewaną wojną był dla Gotrlandu wielkim

zagrożeniem, Filip kierował wyprawą na północ osobiście, przybrawszy miano oraz wygląd kawalera Kettena.

— Doprawdy, trudno mi uwierzyć w to, co mówisz.

— Ależ przekonasz się o tym wkrótce. Tobie z pewnością poświęci choć dwa zdania, bo bardzo był dumny z ludzi, którzy pomogli chronić wyprawę.

— I dlatego cię wezwał?

— Nie tylko. Po pierwsze, chciał się dowiedzieć więcej o mojej krainie. Po drugie, zapamiętał mnie z walk z barbarzyńcami i uznawszy za dobrego wojownika oraz wprawnego dowódcę, zapragnął mnie widzieć w swojej armii. Ja zaś, podczas prywatnej audiencji, złożyłem mu ofertę, która wydała mu się bardzo atrakcyjna.

— Czyżby...

— Tak, Brenvanie. To ja go namówiłem, by ogłosił amnestię i wykorzystał do służby ludzi z darem krwi. Ci, których spotkaliśmy w trakcie podróży, utwierdzili mnie w mniemaniu, że nie brak u was osób z prawdziwą mocą. I mnie, i diukowi byli potrzebni. Zająłem się więc wyszukiwaniem dziedziców boskiej krwi — młodych kobiet i mężczyzn, którzy w zamian za żołąd oraz żelazne listy byli gotowi podjąć się służby u diuka. Szukałem ich przez całą zimę w różnych zakątkach Gotrlandu, w końcu pozyskałem niemal osiemdziesięciu. Diuk zaś przykazał mi sformować z nich chorągiew, wymógł na radzie mianowanie mnie pułkownikiem oraz doradcą.

— Gotrlandzki pułkownik. Daleko zaszedłeś, Kashimie — rzekł ze śmiechem rycerz. — Ale po co to wszystko? Mówiłeś coś o własnych planach. Jakież to plany?

— Do tego muszę ci opowiedzieć całą historię, Brenvanie Aam Caerleighu. Łącznie z tym, co przydarzyło mi się wśród śnieżnych pustyń północy.

*

Gdy Brenvan przyniósł z sali dwa pełne kielichy, by nie zaschło im w ustach w czasie rozmowy, Al'Shannagg przepłukał sobie gardło, po czym zaczął opowieść:

— Musisz wiedzieć, że pustkowia omal mnie nie zabiły. Krążyłem po nich dni, a potem tygodnie, walcząc z wiatrem i przeraźliwym chłodem. Nie napotkałem jednak ani śladu życia, a wkrótce padł mój wierzchowiec. Brnąłem pieszo przez śniegi, ciało pokryły mi odmrożenia, opał i pożywienie zaczęły się kończyć. Poważnie rozważałem, czy nie zawrócić, przecież o wiosce wygnańców z mojego ludu powiedział umierający i półszalony z bólu

człowiek. Lecz był to jedyny trop i wiedziałem, że jeśli mam zyskać odpowiedź na nurtujące mnie od tak dawna pytania, muszę nim iść aż do samego końca.

I tak wędrowałem coraz dalej i dalej na północ. Wpierw modliłem się do Jedynego, by mnie wspomógł. Potem wzywałem także... Potem wzywałem inne moce, których tu nie będę ci opisywał. Ale siły wciąż mnie opuszczały, aż wreszcie nogi, odmrożone i zmęczone, odmówiły mi posłuszeństwa. Zacząłem pełznąć przez równinę. Boska krew, która czyni ludzi z darem znacznie odporniejszymi od zwykłych śmiertelników, utrzymywała moje ciało przy życiu mimo potwornego bólu. Wkrótce nawet umysł zaczął mi słabnąć, a ciało mimo to parło przed siebie.

Nie pamiętam, ile to wszystko trwało. Wydawało mi się, jakby minęła połowa moich ziemskich lat, jakbym od zawsze pełzł w śniegu niczym robak. Biel nieskończonej pustyni wypaliła we mnie wszystko i nie wiedziałem, czy jeszcze żyję, czy już jestem martwy.

Następne, co pamiętam, to ciemność. Pod sobą miałem posłanie z futra; czułem okropny ból kończyn, z których schodziła odmrożona skóra. Na oczach zawiązano mi szczelnie opaskę, ale brakło mi sił, by ją zerwać. Ktoś opiekował się mną, zmieniał bandażę, podawał do picia jakiś tłusty wywar. Byłem jednak wciąż dezorientowany, w umyśle miałem całkowity chaos, toteż nie wcześniej niż po kilku godzinach (a może minęło jeszcze więcej?) pojałem, że ów człowiek odzywa się do mnie w mojej własnej mowie.

Tyle myśli przeszło mi wtedy przez głowę! Chciałem spytać go o tak wiele, lecz język mi się plątał. Mój opiekun pewnie usłyszał tylko bełkot. Dopiero po kilku nocach, gdy ustąpiły dreszcze i gorączka, a przeraźliwy ból rąk i nóg jakby zelżał, mogłem z nim przytomnie pomówić.

Dowiedziałem się, że znalazł mnie wśród śniegów jeden z tubylców. Niemal zamarzłem, byłem wygłodzony i cierpiałem na śnieżną ślepotę. Zabrał mnie do osady i kurował wiele dni, nim zacząłem dawać oznaki życia. Mężczyzna powiedział, że tylko dzięki krwi Jedynego przeżyłem i że wiele jej musi płynąć w moich żyłach. Spytałem, czy mogę już zdjąć opaskę, a on się zgodził...

Tu Kashim urwał opowieść, przymknął powieki i chwilę wystawiał twarz na chłodny, nocny wiatr. Potem rzekł:

— Przypomnij sobie, Brenvanie, zdziwienie, jakie cię ogarnęło, gdyś się dowiedział prawdy o Kettenie. Teraz pomnóż to zdziwienie pięciokrotnie, a będziesz mógł sobie wyobrazić, jak byłem zaskoczony, gdy oczy

przyzwyczyły się już do światła i gdy spostrzegłem tego człowieka.

— Był twoim ziomkiem?

— Więcej nawet, Brenvanie. Był moim prawowitym panem, wielkim mędrcem w moim kraju. To od jego zniknięcia zaczęły się wszystkie nieszczęścia. Człowiek, który mnie wyleczył, to Zerakhim, osiemnasty prorok mojego ludu.

Kashim napił się wina i podjął opowieść:

— W następnych dniach zacząłem chodzić, aczkolwiek powoli i z bólem, mogłem więc obejrzeć część osady. Zbudowano ją w dolinie wśród szarych, lodowatych gór północy. Okazało się, że wszyscy, którzy tam mieszkali, pochodzili z mojego ludu. A było ich dobre trzysta głów, w tym kobiety, dzieci oraz starcy. Większość mówiła jednak starym narzeczem, które ja znałem ledwie z ksiąg. Bez kłopotu mogłem rozmawiać tylko z Zerakhimem.

Opowiedział mi, że wszyscy, których widziałem, w swoim czasie przeszli przez Bramę Niebios. Opowiadałem ci niegdyś o tym łuku, co wznosił się w ruinach nieopodal Tel'Halik?

Brenvan skinął głową.

— Wiedz zatem, że Księga nie mówiła o nim całej prawdy. W rzeczy samej to nie Bóg, lecz ludzie o potężnym darze potrafili go uruchamiać. Brama zaś nie wiodła wcale do Shannyevan, lecz do innych ruin prastarej rasy, na dalekiej i mroźnej północy. W tę właśnie bramę pod koniec swoich dni, po wydarzeniach Nocy Szponów, wkroczył Sammar, a za nim wielu najwierniejszych towarzyszy. W następnych latach wielu ludzi, którym nie podobały się nowe porządki w Tel'Halik, także poszło w ślady proroka, aż wreszcie wróg zablokował portal, by od tej pory wykorzystywać go już tylko do pozbycia się kolejnych proroków, gdy nadszedł ich czas.

— Noc Szponów, wróg, nowy porządek? Przyznam, że nie do końca rozumiem, o czym mówisz — powiedział Brenvan.

Twarz Kashima poszarzała i ściągnęła się.

— Nic dziwnego. Nawet ja o tym wcześniej nie wiedziałem, bowiem ta wstydliva karta została wydartą z historii Tel'Halik.

Al'Shannagg napił się raz jeszcze — tym razem wziął wielki łyk, jakby dla dodania sobie odwagi — po czym rzekł:

— Sammar... Sammar nie był prorokiem. Ze szczegółami wyjaśnię ci to później, ale najważniejsze jest to, że Sammar sam był bogiem. Prawdopodobnie to jeden z Tuzina, jeden z tych, którzy wyłamali się już na początku i zostali zapomniani przez ludzi w ziemiach środka.

— Twój prorok był jednym z Dwunastu! — krzyknął Brenvan.

— Tak, choć miał od nich inne zdanie. Miał mienić się bogiem, próbował skłonić swoich uczniów do tego, by oddawali cześć jeszcze potężniejszemu bóstwu, które stworzyło go i zesłało między ludzi... Wiele ludów odepchnęło jego nauki, a prawdziwy posłuch zyskał dopiero u ciemnowłosych, u moich dalekich przodków. Jednak oni, jak wiesz, byli uciskani przez białoskórych, ginęli lub wiedli życie niewolników. Sammar, widząc, że jedynie ten lud chce przyjąć prawdę, postanowił poświęcić się, aby go wyzwolić. Użył wszystkich boskich mocy, które w nim drzemały, by sprowadzić ognistą zagładę, by oczyścić tę odległą część świata z niewiernych i przygotować ją dla ludu wybranego. Sammar... zabił w ognistej apokalipsie tysiące jasnoskórych. Sam przy tym po części umarł, bo nawet siła bogów nie jest nieograniczona, on zaś użył swojej mocy do ostatka. To, co pozostało z Sammara, słabe i schorowane, żyło w Tel’Halik jeszcze kilkanaście lat, by spisać Księgę, która miała być nauką dla dalszych pokoleń.

Pojawił się jednak nowy wróg. Jeszcze jeden bóg żył wtedy na wygnaniu. On władał wymierającą rasą ludzi-węży, którzy — tak jak wiele ras przed nimi — zostali powołani do życia przez stwórcę, a potem opuszczeni...

— Wielki wąż, Cesarz! — wydusił jednym tchem Brenvan.

— Tak, przyjacielu. To ten, który włada dziś bezkresnym Yauranem i mieni się największym z bogów. Już dawno planował wynieść się ponad własne rodzeństwo. Jednak nie miał siły, by walczyć w Ziemiach Środka z dziesiątką braci i sióstr. Zajął odległy koniec świata i czekał na okazję, by uderzyć. Sammar, osłabiony i samotny, skupiony całkowicie na odkrywaniu tajemnic Stworzyciela, był idealnym celem... Jego ziemie zaś mogły w przyszłości pozwolić na atak z dwóch stron na żyzne i zielone serce świata, zamieszkane przez czcicieli dziesiątki.

I stało się tak, że Wielki Wąż sam przybył do Tel’Halik z garstką pierworodnych dzieci. Weszli z łatwością do pałacu i tam osaczyli Sammara. Jego towarzysze w większości polegli, lecz dzięki ich poświęceniu oraz resztkom własnych sił Sammar zdołał uciec przez bramę. Rzecz rozegrała się jednej upiornej nocy, którą wygnańcy nazwali Nocą Szponów. Niewielu było świadków tego zdarzenia, a wszyscy bez wyjątku zostali wymordowani lub też sami uciekli przez portal. Potem Wąż opuścił Tel’Halik, by wrócić do swojego dominium, zostawił jednak ambasadora — agenta, który zadbał o to, by sfalszowano Księgę. Miał też wybierać kolejnych proroków, w razie

potrzeby przerywać ich panowanie i dbać o to, by Święte Miasto zawsze postępowało zgodnie z wolą Cesarza. Księga z dzieła o prawdziwym Stworzycielu, stała się jarzmem, dzięki któremu miano panować nad ciemnowłosymi.

— Czyli... Jesteście prowincją Yauranu! Służycie wrogowi!

— Nie unoś się tak, przyjacielu. Nikt w Tel’Halik o tym nie wie, choć może właśnie na tym polega geniusz Wielkiego Węża. Tak czy inaczej, musisz wiedzieć, że wieści te mnie zdruzgotały. Świat, w który wierzyłem, zawalił się doszczętnie. Chciałem odebrać sobie życie, lecz Zerakhim mnie powstrzymał. Błagał, bym wcześniej z kimś porozmawiał... bym poszedł do samego Sammara.

— Do boga Sammara? On jeszcze żyje?!

— I tak, i nie. Siedzi w lodowej jaskini nieopodal osady. Niektórzy mówią, że medytuje, inni, że po prostu śpi. Ale nie ma już mocy ani świadomości w ludzkim znaczeniu tego słowa. Jednak ci, którzy siądą koło niego i sami pogrążą się w medytacjach, często doznają wizji lub rozmawiają z nim w snach, zupełnie jakby ostatnie krople boskiej siły, które nie pozwalają mu wpływać na rzeczywistość, umożliwiły wciąż jeszcze kształtowanie wizji.

— A więc rozmawiałeś z Sammarem? Z bogiem?

— Nie odezwał się do mnie ani słowem, jeśli o to ci chodzi. — Kashim zaśmiał się cicho. — Wszelako wizyta w jaskini odmieniła mnie. Powoli zaczynam rozumieć, że stałem się przez nią kimś zupełnie innym. Lecz dość już na teraz. Spójrz, nie jesteśmy sami.

Istotnie, na taras weszło trzech podchmielonych learfeldzkich rycerzy. Obejmowali się, wyjąc fałszywie sprośną piosenkę.

— To zbyt poważne sprawy, by omawiać je tutaj — dodał Kashim. — Przyjdź do mnie jutro o poranku, a skończę opowieść.

— Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz! — zaprotestował Brenvan.

— Przyślę po ciebie służbę.

Po tych słowach pożegnali się. Brenvan poszedł na ucztę, która dawno zmieniła się w pobjowisko. Niedługo potem opuścił komnaty diuka i udał się na spoczynek. Jednak słowa Kashima chodziły mu wciąż po głowie i do rana prawie nie zmrużył oka.

*

Gdy Brenvan Aam Caerleigh przekręcał się z boku na bok w miękkiej pościeli, diuk kładł się spać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Wiedział, że teraz Learfeld udzieli mu koniecznego wsparcia. Po drugiej stronie świata, gdzie wśród wielkiego oceanu, admirał Ts'Rang Seledynowy Pazar sprawdzała nocną wachtę. Wiatr, który zerwał się po zmierzchu, niemal spychał ludzi za burtę. Okręt kołysał się, liny trzeszczały. Fale rosły z każdą chwilą, lecz z twarzy admirała, która wreszcie znalazła się wśród znajomego żywiołu, nie schodził uśmiech. Jeszcze dalej, w złotych komnatach Asar'Aden, cesarz próbował ogarnąć swoją myślą wszystkie krainy środka. Szukał zagrożenia: małej grupki podróżnych. Raz ich już wyczuł, gdy użyli mocy w mieście, na które przypadkiem miał zwrócone oko. Podróżni jednak nie zrobili tego powtórnie, toteż szukanie ich dniem i nocą na niewiele się zdało. W tej samej chwili na bezkresnych szlakach Yauranu kolumny piechurów dopiero rozbijały obóz przy ostatnich promieniach gasnącego słońca. Śmiertelnie zmęczeni ludzie zasypiali niemal na stojąco, starając się nie myśleć, że czekają ich jeszcze długie tygodnie marszu. Cesarstwo było bezkresne, a władca ścigał chorągwie nawet z jego najdalszych krańców. O tej samej porze w komnatach twierdzy Um'Magar pasza Asimar ziewał, czytając ostatnie raporty szpiegów z Tel'Halik. Rozumiał, że nadchodzi chwila konfrontacji ze Snaarem oraz nowym prorokiem, i chciał się do niej przygotować na tyle, by mieć choćby skromne szanse. Na wschód od twierdzy, w małej jaskini nieopodal Um'Al'Biyara, Nahar Al'Iarnak grał w kości z młodym Tenzihem. Nie spali, tak wciągnęła ich zabawa, która była jedynym wytchnieniem od codziennych zasadzek, podchodów i ucieczek.

Daleko na południowym wschodzie zaś, wśród piasków, Miidza od Kwiatów patrzyła na gwiazdy prześwitujące przez dach namiotu. Zastanawiała się, kiedy w końcu przybędzie człowiek, o którym mówiła bogini. Ten, z którym jej los został związany bez jej woli.

*

Ciekawa rzecz działa się również w Tel'Halik. Oto bowiem dwie postacie przekradały się zaułkami w stronę Pasterskiej Furtki. Pierwsza była starą kobietą. Jej twarz pokrywały ospowate blizny, jedno oko było niewidzące i zasnutę bielmem. Wspierała się na kosturze, lecz mimo to szła dzielnie. Druga postać, młoda dziewczyna w ubogiej szacie, dreptała skulona u jej boku, przyciskając do piersi kwilące dziecko, które zawinęła w dwa koce dla ochrony przed nocnym chłodem.

— Ale gdzie się udamy? Co ze sobą pocniemy, pani? Przecie już trzy nasze kryjówki odkryli bez kłopotu — narzekała młoda.

— Milcz, dziecko. Ramię proroka, choć w murach miasta silne, na zewnątrz traci swą moc. Uwierz mi, wiele już razy wymykałam się pościgom. Władza nad prowincją wymyka się Duzzahom jak wodze ze spoconej dłoni niewprawnego jeźdźca. Tam musimy szukać ratunku.

Chwilę szły w milczeniu, aż w końcu dziewczyna rzekła:

— Wciąż mi nie powiedziałaś, pani, co dokładnie zrobimy?

— Pójdziemy do twoich rodziców i poprosimy o gościnę. Z pewnością chętnie nas przyjmą — sarknęła.

— Och...

— Będiesz mi jeszcze zawracać głowę? — Wiedźma stuknęła kijem. — Znam pewną oazę, zwaną Hazmud. To kilka farsangów od Tel'Halik. Byłam w niej dawno temu, może nas tam przyjmą. Przynajmniej wiedzą, co umiem, i nie będę musiała odprawiać jakichś żalonych guseł. Teraz już wiesz? Dasz mi spokój? Mówiłam ci już: musisz porzucić arogancję i być całkiem posłuszna, jeśli chcesz zostać u mego boku. Nie jesteś już szlachetnie urodzoną pannicą. Jesteś służką! Chyba że wolisz...

— Nie, pani.

— Dobrze, dziecko. Wyciągaj więc nogi. I ukołysz wreszcie to małe stworzenie, bo ściągnie nam na głowy wszystkie patrole z okolicy!

Wiedźma i jej służebna szły dalej w ciszy, aż w końcu dotarły pod furkę. Była oczywiście zamknięta, a na straży stało dwóch żołnierzy. Jednak gdy czarownica wykorzystała swą moc, nie dość że przepuścili je, to jeszcze oddali dobrowolnie własne sakiewki, by staruszka i kobieta z dzieckiem miały godne zabezpieczenie na drogę.

*

Następnego dnia już o pierwszym brzasku w kwaterze Brenvana zjawił się posłaniec. Przeprowadził zmęczonego i niewyspanego rycerza przez ulice wysokiej dzielnicy, prosto pod dom, który należał do Kashima.

Aam Caerleigh zdumiał się, widząc dużą kamienicę z dziedzińcem, oddzieloną od ulicy kutą bramą. Nie spodziewał się, że diuk tak bardzo ceni usługi Kirajczyka. Służba zawiodła Brenvana do pokoju po drugiej stronie budynku. Za dużymi oknami rozpościerał się tam widok na czerwono-szary stok: wąskie kamieniczki, zbudowane na boku wzgórza, opadały ku biedniejszym dzielnicom, tworząc swoimi przyległymi dachami coś na kształt schodów, którymi olbrzym mógłby się wspiąć do samego zamku.

Al'Shannagg już czekał — w luźnej szacie, zgarbiony nad jakimś starym zwojem.

— Witaj, Brenvanie — ucieszył się. — Służba zaraz przyniesie ci coś do jedzenia, bo mniemam, że jeszcze nie zjadłeś się posilić.

— Prawda. Ale wolałem prędzej usłyszeć to, co masz do powiedzenia — odparł Aam Caerleigh.

Kashim odłożył dokument. Uściskawszy się, siedli przy oknie, po czym Święty Jeździec spytał:

— I co myślisz o rzeczach, któreś wczoraj usłyszał? Bo mniemam, że myślałeś o nich usilnie.

— Pewnych spraw wciąż jeszcze nie rozumiem, a inne mnie przerażają. Chcę jednak usłyszeć wszystko. Powiedz mi, co się zdarzyło w jaskini Sammara.

Al'Shannagg pogładził brodę i wbił wzrok w szarą przestrzeń nieba za oknem.

— Jaskinia... Bałem się jej. Tak, nawet Święty Jeździec czuje strach, gdy przychodzi mu rozmawiać z bogiem. Jednak gdy odnalazłem wejście, zgodnie ze wskazówkami Zerakhima, poczułem, jak ogarniają mnie dziwny spokój i pewność siebie. Wkroczyłem do środka. Lód... — Tu głos załamał się lekko Al'Shannaggowi. — Lód, który pokrywał tam wszystko, układał się w cudowne figury, zupełnie jakby to obecność Sammara nadała temu miejscu niezwykłą harmonię. Widziałem też światło, które...

Kashim przerwał.

— Wybacz, Brenvanie — rzekł po chwili. — Trudno mi to opisywać. Wszystko było jak tajemniczy sen, który po przebudzeniu zmienia się w ledwie kilka wyblakłych obrazów. Dość ci wiedzieć, że istotnie spotkałem tam Sammara i, jak to przewidział Zerakhim, doznałem wizji.

— Co widziałeś?

— Wiele różnych rzeczy: przyszłość i przeszłość.

— Masz na myśli historię twojego miasta, naszą wojnę z Yauranem?

— Nie. Mówię o czasach poprzedzających powstanie Świętego Miasta, a także o późniejszych niż nadchodząca walka. Poznałem prawdziwe oblicze Tuzina oraz wszystko to, co działali na ziemi, jak również wiele innych historii, które ludzie dawno zapomnieli.

— Opowiesz mi je?

Kashim roześmiał się.

— Jeśli myślisz, że oto wyłożę ci całą historię świata, od narodzin czasu poczynając, to muszę cię rozczarować. Nawet dla Tuzina istniały tajemnice, których nigdy nie zdołali rozwiązać. Tak więc choć wizje Sammara dały mi

wiedzę, o jakiej mogą tylko marzyć mędracy i kapłani, ukazały mi zarazem sekrety tak wielkie i niepojęte, że będą mnie prześladować do końca życia. Zdziwiłbyś się, jak mało nasi bogowie wiedzą choćby o własnym stwórcy.

— O tym, którego zwiesz Architektem?

— Tak.

Brenvan zamilkł, w zamyśleniu trąc brodę.

— I to wizje tak cię odmieniły? — spytał po chwili.

— Nie tylko one. Musisz zrozumieć, Brenvanie, że gdy znalazłem się w pobliżu Sammara, świat w moich oczach nagle zaczął wyglądać inaczej. Wszystko zdawało się proste, przepełnił mnie spokój. Emocje, które mną wcześniej targaly, zacząłem postrzegać tak, jak geograf ogląda dalekie góry za pomocą lunety; zdawałem sobie sprawę z ich istnienia, jednak były zbyt odległe, aby na mnie wpłynąć... Przed wizytą w jaskini pragnąłem rzucić się na własne ostrze, potem ów pomysł wydał mi się zgoła dziecinny. Od spotkania Sammara ludzkie namiętności i czyny są dla mnie przewidywalne i proste. Tel'Halik, Księga, prorok stanowią jedynie mały fragment znacznie większej mozaiki. Na dodatek Sammar uświadomił mi, skąd pochodzę, czyją krew noszę w żyłach. Wiem już, czego mogę za jej pomocą dokonać, a co będzie dla mnie niemożliwe. Jednak pierwszy prorok dał mi nie tylko oświecenie. Wyznaczył mi misję... Choć misja to może złe słowo. Krótko mówiąc, pokazał mi wielką groźbę, która wisi nad nami wszystkimi, a ja zobaczyłem, jak mogę dorzucić swój kamyk do tamy, co ma ową groźbę powstrzymać.

— Mówisz już całkiem jak kapłan — jęknął Brenvan. — Nic nie pojmuję, powtórz to prosto, jak rycerz rycerzowi.

— W Tel'Halik źle się dzieje, przyjacielu. Bardzo źle. Muszę przekroczyć pustynię jeszcze raz i zrobić wszystko, co w mej mocy, by to odmienić.

— Więc dlatego szukałeś zbrojnych w Gotrlandzie?

— Tak. Wkrótce po powrocie z jaskini pożegnałem Zerakhima, a następnie ruszyłem na południe. Jednak gdy zbierałem ludzi odpowiednich do takiej wyprawy, dowiedział się o mnie diuk. Resztę historii już znasz.

— Jednego wszelako nie rozumiem. Jeśli masz pilne zadanie na zachodzie, to czemu chcesz iść na wojnę diuka? Przecież tylko stracisz mnóstwo czasu!

Al'Shannagg westchnął.

— To nie takie proste, przyjacielu. Diuk walczy z Yauranem i ja walczę z

Yauranem. Jeśli on przegra, nie będę mógł odnieść sukcesu. Wyobraź sobie bowiem, że jakimś sposobem mi się uda: zrzucę Vezamara z tronu, zabiję cesarskiego agenta kierującego Świętym Miastem. Wtedy Cesarz przyśle po prostu kolejnego. A jeśli i jego pokonam, przybędzie w końcu sam Wielki Wąż, z którym nie może się równać żadna istota na tym świecie. Nie, Brenvanie. Najpierw trzeba przetrącić łapy Yauranowi na wschodzie. A jeśli nam się nie powiedzie, może nastąpić coś, co sprawi, że wszystkie wojny oraz wyprawy tego świata przestaną być ważne — przy tych słowach twarz Kashima ściągnęła się i pobladła.

— Co niby masz na myśli?

— Tego już nie mogę ci rzec, Brenvanie.

— Kiedyś mi ufałeś! Czy aż tyle się zmieniło? Czy nie wystarczy ci wszystko, co razem przeszliśmy? — rozgniewał się rycerz.

— Zrozum, przyjacielu, tu nie o zaufanie idzie. Sam powiedziałeś, jak bardzo cię dręczyły moje wczorajsze słowa. A przecież są to jedynie fragmenty objawienia, jakie zesłał mi Sammar. Nie mogę wyjawić ci reszty, tym bardziej, że wielu spraw nie jestem jeszcze pewien. Może kiedyś, gdy wszystko lepiej przemyślę.

— Rozumiem... A raczej nie rozumiem, lecz przyjmuję do wiadomości. Co więc teraz robimy?

— Robimy? — zdziwił się Kashim.

— Nie wierzę, byś strzepił sobie język tylko po to, aby mnie znów porzucić! Chcę jechać z tobą, na wojnę, a potem do Świętego Miasta. Wiedźma powiedziała, że nasze losy są splecione. Nie igraj znów z przeznaczeniem, Kirajczyku.

Al'Shannagg roześmiał się.

— I to ja mówię jak kapłan? No dobrze, Brenvanie Aam Caerleighu. Jedź do swojego zamku i zbierz rodową chorągiew. Za miesiąc musimy być w drodze do granic Yauranu.

— A potem?

— Doprawdy, chciałbym wierzyć, że będzie jakieś „potem”. Idziemy na wojnę z bogiem, którego armia jest największa w całym świecie. Czy myślisz, że diuk liczy na łatwe zwycięstwo? To jedynie gra, by zyskać poparcie rycerstwa i ościennych krajów. W rzeczywistości atakujemy, by zmusić wroga do walki, nim zgromadzi wszystkie siły. Tego lata, Brenvanie, Yauran zamierza zalać Ziemię Środka niepowstrzymaną falą. Czekanie to dla nas pewna śmierć. Dlatego właśnie uderzymy, choć przewaga wroga już teraz

jest wielka. Bardzo prawdopodobne, że albo ja, albo ty nie wrócimy już z Cesarstwa. A zdarzyć się może i tak, że nie wróci stamtąd nikt.

Rozdział 7. Bitwa pod Aser'Dari

I stało się tak, że siódmego dnia miesiąca Nagil zebrane w Asterlet poselstwa wszystkich królestw i księstw wschodu wypowiedziały Yauranowi wojnę. Rozpoczęły się przygotowania do wyprawy, jakiej Ziemie Środka nigdy wcześniej nie oglądały i nigdy później miały już nie zobaczyć.

Kashim został w stolicy, szukając kolejnych ludzi z darem krwi i przygotowując tych, których miał, do walki — bo wielu nigdy wcześniej nie widziało broni ani pola bitwy. Brenvan zaś pojechał do zamku Caerleigh, gdzie zaczął przygotowywać własną chorągiew.

Wieści o zdarzeniach w Asterlet dotarły szybko do Yauranu. Cesarz nakazał dowódcom swoich armii, by przyspieszyli zgrupowanie o cały miesiąc. Przez ten rozkaz tysiące żołnierzy pomarło ze zmęczenia, gdy ich pułki maszerowały dniem i nocą przez bezkresne przestrzenie cesarstwa.

Wkrótce do Gotrlandu zaczęły przybywać pierwsze sojusznicze wojska. Pod miastami wyrosły wielkie obozy, gościńce były zatłoczone jak nigdy wcześniej. Zamki Learfeld oraz południa pustoszały, bo możni panowie, przekonani przez diuka, zabierali ze sobą wszystkich zdolnych do walki. Nie inaczej było w Caerleighmarch. Małe lenno wystawiło niemal stu zbrojnych. Wymaszerowali z zamku pewnego ciepłego, wiosennego dnia, wśród płaczu kobiet i okrzyków służby. Kolumnie przewodziło sześciu ciężkozbrojnych rycerzy — Brenvan, Falkirk, Swayn, dwójka ich kuzynów, a także sam Gwidon, który choć słabował już na umyśle, nie potrafił usiedzieć w miejscu, odkąd dowiedział się, że nadchodzi wojna z Yauranem. Wszczął taką awanturę, że synowie nie mogli go zostawić, mimo że na konia wsiadał już tylko przy pomocy służby, a przy dłuższej drodze trzeba go było wiązać do łąku, by zasnawszy, nie spadł z siodła. Prócz rycerzy było też pół setki zbrojnych z toporami (głównie z poboru wśród chłopstwa) oraz trzy tuziny kuszników. Jedyne garstka ludzi została w Caerleighmarch, by bronić dobytku i kobiet, Gwidon i Swayn uparli się bowiem, że rodowa chorągiew musi za wszelką cenę być co najmniej tak liczna, jak chorągiew ich sąsiada, Hugona Aam Birge.

Czas, który Brenvan poświęcił na podróż do domu i powrót, Al'Shannagg dobrze wykorzystał. Pod koniec miesiąca, gdy w okolicach Asterlet stacjonowało już niemal czterdzieści tysięcy sojuszniczych wojsk, Święty

Jeździec miał gotową chorągiew liczącą niemal setkę sprawnych mężczyzn, z których każdy posiadał dar. Była to dziwna zbieranina, bo część „czarnoksiężników” (jak ich zwali mieszkańcy miasta) wywodziła się z rycerstwa i była biegła w walce. Inni pochodzili z prostych ludzi rzemiosła i mieli nikłe pojęcie o wojaczce. Po tygodniach treningów udało się jednak tę zbieraninę przygotować do boju i choć w żadnym wypadku nie byli jeszcze tak dobrymi żołnierzami, jak najmici z miejskich chorągwi, ich dar nadrabiał to z nawiązką. Al'Shannagg zadbał też o kilkanaście posiadających dar kobiet, które mogły zająć się leczeniem ran.

Wkrótce wszyscy sojusznicy diuka byli już w Gotrlandzie, jego sztab zaś mógł oszacować siłę, jaką udało się zebrać. Armia, choć liczna, była przedziwną, kolorową mieszanką, nad którą z trudem dało się panować. Oto bowiem znaleźli się w niej zarówno śniadzi południowcy, jak i hufce ponurych Marovian. Obok wprawionych w musztrze i manewrach pułków gotrlandzkiej piechoty znalazły się chorągwie learfeldzkich rycerzy, którym w głowie były tylko huczne zabawy, łup i chwała.

W sumie było tego przeszło siedemdziesiąt tysięcy zbrojnych. Każde z jedenastu miast królestwa wystawiło kilka kompanii piechoty, wiele przybyło też z Południowych Księstw oraz granicznych marchii. Razem dawało to niemal trzydzieści tysięcy pikinierów, kuszników oraz toporników. Drugie tyle knechtów przyjechało z Learfeld, ci jednak służyli w chorągwiach rycerskich, a ich panowie, mimo namów i perswazji diuka oraz sztabu, nie chcieli kierować piechoty do osobnych kompanii. Jedni pragnęli chlubić się liczebnością świty, inni z pogardą odnosili się do wszelkich nowin, wprost mówiąc, że skoro dawne sposoby wojowania tyle razy sprawdziły się w walce z Yauranem, głupotą byłoby je porzucać. Sami rycerze stanowili siłę stosunkowo nieliczną — ledwie dwa tysiące trzysta koni — lecz bardzo znaczącą. Od dawna tak wielu ciężkozbrojnych nie walczyło w jednej wojnie. Gdy pierwsze wielkie dostawy taniego żelaza z Grauburga trafiły do Gotrlandu, zbrojmistrze przez całą zimę uwijali się niczym w ukropie, robiąc zbroje i kropierze dla ciężkiej jazdy. Ich ceny spadły przeszło czterokrotnie, co pozwoliło wstąpić w szeregi pancernych uboższym szlachcicom, a nawet synom co bogatszych mieszczan.

Mimo że wojny między magnatami Gotrlandu dawno już pokazały zalety taniej, miejskiej piechoty, kawaleria była jedną z głównych nadziei diuka. Yaurańczycy nigdy nie mieli wielu pancernych, a szarża zakutych w stal rycerzy z Ziem Środka budziła w ich oddziałach panikę. Dlatego diuk sam

doglądał wyposażenia wielu chorągwi jazdy i, jak opowiadano ze zgrozą, pasował kilkudziesięciu walecznych ludzi niższego stanu, tak aby mogli zająć miejsce pomiędzy rycerzami w pancernych chorągwiach. Wymógł też na pałacowych zbrojmistrzach stworzenie na tyle grubych napierśników dla koni, by wytrzymały szarżę na yaurańskie włócznie.

Jednak nie tylko rycerstwo zaprzętało Filipa. Po jego stronie miały też walczyć niemal wszystkie najemne oddziały, jakie były w Learfeld, Gotrlandzie i Południowych Księżtwach. Zebrało się tego łącznie pięć tysięcy zaciężnych żołnierzy, dla których wojna stanowiła rzecz powszednią, sposób zarabiania na chleb. Ministrowie trzymali w sekrecie wysokość żołdu, jaka szła na utrzymanie najemników. Nie było wszelako tajemnicą, że diuk zapożyczył się u doriańskich bankierów i całkowicie opróżnił własny skarbiec.

Gdy wszystkie oddziały były już gotowe do drogi, sztab połączonych armii ustalił plan kampanii. Nie obyło się bez problemów, bo inną wizję mieli rycerze z południa, którzy uważali, że to przede wszystkim ich wojna, mająca pomścić najazd, a inną szlachcice z Learfeld, obstający przy tym, że ze względu na swe wrodzone zalety i waleczność będą najlepszymi dowódcami. W końcu plany zostały jednak zatwierdzone przez wszystkie strony, wojska zaś podjęły marsz ku yaurańskiej granicy. Te ogromne siły przemieszczały się podzielone na cztery armie, albowiem Rada Królewska słusznie obawiała się, że większe zgrupowania nie tylko nie zdołałyby znaleźć dla siebie dość prowiantu, ale jeszcze spustoszyłyby ziemie, przez które miały maszerować. Połączenie zaplanowano dopiero w odległości stu mil za granicami Yauranu.

Brenvan i chorągiew jego rodu zostali, za wstawiennictwem Kashima, skierowani do armii samego diuka. Aam Caerleigh miał czas dowiedzieć się więcej o przygodach Kashima, jak również obejrzeć dokładnie jego dziwny oddział. Pułki sprawnie pokonywały suche równiny wschodniego Gotrlandu, a minawszy pas granicznych fortec, stanęły przed ziemiami cesarstwa, by połączyć się z resztką taborów. Potem wkroczyły na teren wroga — Kashim i Brenvan równocześnie przejechali wzniesienie, które wyznaczało granicę. Niedługo później przyszło im też razem walczyć. Przed nimi rozciągała się bowiem linia skalistych wzgórz, z dziesiątkami rozsianych fortec Yauranu, mających chronić cesarstwo przed podjazdami.

*

Tymczasem setki mil na północ od miejsca, gdzie sprzymierzone wojska przekroczyły granicę, ta nie była strzeżona ani po jednej, ani po drugiej

stronie. Nic dziwnego, kto bowiem broniłby dzikich gór i lasów oraz niezamieszkanymi stepów, jakie rozciągały się tam po horyzont? A jednak, choć generałowie Yauranu nigdy by tego nie przypuszczali, właśnie tamtędy do cesarstwa wkroczył najgorszy wróg.

Szóstka podróżnych maszerowała pylistą równiną. Nie mieli tobołów z prowiantem ani broni, choć przed nimi leżały połacie tak wielkie, że cała armia mogłaby tam przepaść bez śladu. Gdy płaskie pagórki, spomiędzy których wyszli, zniknęły już za horyzontem, jedna z wędrujących osób zwolniła nieco i spytała towarzysza po prawej stronie:

— Jesteś pewien, że kierunek jest dobry, Warezarze? Może spytam się chociaż wędrownego ptaka?

— Nie, Saari. Jak ustaliliśmy wcześniej, od przekroczenia granicy nie można nam już używać mocy. Musimy dotrzeć do Asar'Aden jako zwykli ludzie, jeśli chcemy zaskoczyć Cesarza.

— Ale tylko...

— Nie lekceważ jego potęgi, Saari — rzekł podróżny idący z tyłu. — Obawiam się, że od naszego ostatniego spotkania jego moc wzrosła na tyle, że wyczuje każdy znak boskich sił. Zapamiętaj to dobrze, byś nie zdradziła nas przez swoją porywczność.

— Tak, Yeilne.

— Cieszę się, że rozumiesz, dziecko. A teraz dalej, dalej. Przed nami co najmniej dwa miesiące marszu do Asar'Aden.

Saari spięła swój kaptur wyżej, by pył nie wciskał się jej do ust, i przyspieszyła kroku, chcąc nadążyć za resztą towarzyszy. Dwa miesiące! Gdyby chociaż mieli pewność, że zdążą. W czasie gdy czekali na wybuch wojny, na zamieszanie, które wyludni centralne prowincje, Architekt znów się zbliżył. A raczej to świat powoli, nieuchronnie przybliżał się do niego.

*

Cios ghanka był tak silny, że niemal wytrącił Naharowi broń. Święty Jeździec syknął z bólu i cofnął się, podnosząc ostrze do obrony. Ręka go bolała, bo przyjął uderzenie ze sztywnym nadgarstkiem, podczas gdy w walce z cięższym ostrzem i silniejszym przeciwnikiem powinien być jeszcze bardziej giętki niż zwykle. Ów błąd mógł drogo kosztować Świętego Jeźdźca, przeciwnik bowiem, widząc, że niedomaga mu dłoń, zaatakował ze zdwojonym zapalem.

Kilka mocnych uderzeń zmusiło Al'Iarnaka do dalszego odwrotu. Spróbował odzyskać inicjatywę, wyprowadzając błyskawiczną kontrę na

szyję wroga, lecz cios został zablokowany — co gorsza, szabla była ułożona pod złym kątem, więc ostrze, zamiast odbić się, zjechało w dół po głowni przeciwnika. Nim Nahar odzyskał kontrolę i wrócił do obronnej pozycji, wróg już ciął z drugiej strony, sięgając jego piersi.

Choć treningowe ostrza były tępe, Nahar skrzywił się z bólu. Ghank trafił tam, gdzie pod łuskowym napierśnikiem krzyżowały się pręgi siniaków i krwiaków, z których większość była jeszcze świeża.

— Nic ci nie jest, Gunda'Tian? — spytał Tenzih, zmartwiony miną Jeźdźca.

— Na wszystkie sępy pustyni! — Al'Iarnak kopnął w złości piasek. — Ta przeklęta lewa dłoń! Wciąż jest za słaba, nie mam wystarczającej kontroli nad nadgarstkiem. Widziałeś, jak kurczowo musiałem ścisnąć rękojeść?

Deg skinął głową.

— Jakbyś rąbał drewno.

— Albo jakbym pierwszy raz trzymał w życiu szablę. Muszę uczyć się szermierki niemal od nowa!

— Nie przesadzaj, Naharze. Został ci świetny refleks, doskonała praca nóg. Wiedza o wszystkich paradach, ripostach i cięciach.

— Których i tak nie umiem wykonać — rzekł Al'Iarnak. — Ale dość użalania się nad sobą. Następne starcie. Przygotuj się, góralu.

Jednak Czenda nie przyjął szermierczej pozycji.

— Wystarczy — powiedział. — Wybacz, ale jesteś całkiem potłuczony i umierasz ze zmęczenia. Wrócimy do ćwiczeń jutro.

— Nie ma mowy. Walczymy do zachodu słońca.

— Przesadzasz, przyjacielu.

— To nie przesada — odparł Nahar. — Zrozum, muszę być gotowy! Nie wiem, kiedy nadarzy się okazja, by znów skrzyżować szablę z Jastrzębiami. Może za miesiąc, a może już jutro? Nie, Tenzihu. Nie mogę sobie odpuścić! Wierzę, że nadejdzie dzień, gdy los się odwróci, kiedy znajdzie się siła zdolna stanąć przeciw Vezamarowi. Muszę się przygotować. Muszę być znów wojownikiem.

— Ale jesteś — i nigdy nie przestałeś nim być!

Święty Jeździec prychnął.

— Widziałeś Jastrzębie. Wiesz, jak walczą. Nie mogę robić najdrobniejszych błędów, jeśli mam się z nimi mierzyć. A jest przecież jeszcze Bestia, potwór, który odjął mi dłoń, silniejsza i szybsza od każdego szermierza, jakiego znałem. Gdy następnym razem ją spotkam, muszę być

jeszcze lepszy niż przy naszym pierwszym pojedynku.

— To szaleństwo!

— Może, ale tylko to mi w życiu zostało. A teraz walcz!

Góral wzruszył ramionami. Poderwał ciężkiego ghanka, a chwilę potem starli się znów, wymieniając szybkie jak błyskawica ciosy. Nahar pocił się i skupiał na każdym ruchu, lecz przy parowaniach lub mocnych cięciach wciąż tracił kontrolę nad dłonią, jakby mięśnie w niej drewniały przy mocniejszym wstrząsie. Walka pochłoneła go całkowicie, a cały świat skurczył się do broni, rękojeści, nadgarstka.

Dwójka wojowników długo zataczała koła na lekko ugiętych nogach, atakując na zmianę. W końcu, po którymś z kolei ciosie, ich ostrza zwały się nad głowami. Obaj napięli mięśnie, chcąc złamać zastawę wroga. Nahar zacisnął zęby ze złości, gdy dostrzegł, jak niewiele wysiłku kosztuje to górala. I wtedy rąbnął go na odlew grubym, stalowym karwaszem, zakrywającym kikut prawej dłoni. Deg, uderzony w twarz, jęknął, zachwiał się i zgiął wpół.

— Wszystko w porządku? — W głosie Nahara czuć było wstyd i zmartwienie. — Przepraszam, poniosło mnie!

Tenzih splunął krwią i roześmiał się.

— Nie chciałym znaleźć się na miejscu ludzi proroka, gdy już skrzyżujesz z nimi ostrze!

*

Łuna znad kopuł zamkowej świątyni była niczym język ognistego potwora, który sięgał gwiazd. Wiatr niósł żar i tłące się drobiny popiołu aż pod nogi Kashima, który przyglądał się wszystkiemu z pobliskiego szczytu. Jego oczy śledziły, jak drobne sylwetki na dziedzińcu fortecy próbują się ukryć przed ciemnymi falami zbrojnych, wlewającymi się przez wyrwy w murze.

Al'Shannagg odetchnął głęboko i przetarł czoło. Krew pulsowała mu żywo w skroniach, a po całym ciele rozpełzł się tępy ból. Wielu ludzi z Legionu Półksiężyca ucierpiało jeszcze bardziej; leżeli na stoku, wymiotując i drżąc w dziwnej febrze. Kobiety biegały już między nimi, lecząc słowem i dotknięciem dłoni — mocą, którą odziedziczyły po dawnych boginiach.

Kashim tak był wpatrzony w to, co działo się wewnątrz fortecy, że nie spostrzegł, jak zgarbiona postać wspięła się na wzgórze i stanęła obok.

— Pułkowniku! — Mężczyzna zasalutował.

— Tak, Huginie. Wybacz, zapatrzyłem się na szturm. Co z naszymi,

którzy szli w ataku?

— Niezwykły sukces, panie! Margrabia de Veers prosił, bym pogratulował ci ludzi. Powiedział, że choć brzydzi się magią, wyłomy, których dokonaliście ze wzgórza, były niesamowite. A ośmiu braci atakujących z piechotą rozproszyło dużą grupę obrońców ognistym wiatrem. Yaurańczycy byli zaskoczeni, że używamy magii!

— Jakież ofiary?

— Jeden brat ugodzony w szyję bełtem. Dwóch innych zostało postrzelonych, lecz siostry już się nimi zajęły; ponoć wyżyją.

Kashim uśmiechnął się, choć od tego grymasu głowa rozboleła go jeszcze bardziej.

— Doskonale — odparł. — Jeśli nie mamy strat, roześlij siostry pomiędzy chorągwiami margrabiego, niech uleczą tylu rannych, na ilu starczy im sił.

— Tak, panie! — rzekł mag, po czym zbiegł w dół zbocza.

Al'Shannagg tymczasem przeszedł się po wzgórzu, zbadał kilku szczególnie bladych ludzi i osadził pewniej sztandar z półksiężycem, przy którego drzewcu omdlał chorąży. Potem spojrział w gwiazdy daleko na wschodzie.

Miał wrażenie, że czarna przestrzeń pomiędzy nimi wpatruje się w niego natarczywie. Ciekawe, czy to Wielki Wąż obserwował jego podwładnych z odległej stolicy? Na pewno wyczuł, że są tutaj. W końcu kilkudziesięciu ludzi trzeciej, czwartej i piątej krwi zgromadzonych w jednym miejscu, używających daru do rozbijania murów lub miotania ogniem, nie mogło ująć jego uwagi. Tak więc, mimo że sukces chorągwi w pierwszej walce był niezaprzeczalny, Kashim żywił pewne obawy. Jego żołnierze stanowili zagrożenie i kto wie jakich sztuczek mógł użyć Cesarz, by ich wyeliminować... Z drugiej strony, diuk musiał być tego świadom, gdy zdecydował o powołaniu Legionu, a Filipowi Kashim ufał jak mało komu. Wiedział, że to nie w głowie diuka zrodził się pomysł wyprawy i że to nie on wymyślił, jak przekonać całe Ziemie Środka do wspólnej walki. Dla wszystkich prócz Kashima i Filipa było tajemnicą, że za całością zdarzeń stały plany istot potężnych i przebiegłych; pozostawało tylko wierzyć, że równie przebiegłych, jak sam Cesarz.

Żołnierze Kashima nie musieli się o nic troszczyć; choć zmęczeni, myśleli tylko o zwycięstwie. Ich twarze były radosne, bo po długich miesiącach szkolenia dowiedli własnej przydatności. I to przed kim? Przed

gotrlandzką szlachtą, która wcześniej była tak przeciwna użyciu w walce czarodziejów, która obrażała ich przy każdej okazji, drwiła na widok opasek, jakie musieli nosić w zamian za amnestię. Teraz wszystko przeminęło, a złoty półksiężyc — pradawny symbol magii, który obrali za znak — miał się zapisać na kartach historii.

*

Minęły tygodnie. Armie przedarły się łatwo przez pas granicznych zamków. Po zgrupowaniu parły w głąb prowincji jedną wielką ławą, której skrzydła rozciągały się na kilkanaście mil. Za wojskiem podążało ruchome miasto wozów, a oddziały kwatermistrzowskie penetrowały równinę na dwa dni drogi od głównych sił, grabiąc yaurańskie osady i miasteczka. W końcu sojusz dotarł pod miasto Aser'Gibn, które było stolicą prowincji. Garnizon tutejszej twierdzy dawno jednak uciekł, podobnie jak większość mieszkańców, a najeźdźców przywitały puste ulice, ciche place, zatrute studnie.

Po krótkim postoju i przegrupowaniu wojska sprzymierzonych podążyły dalej. Z każdym dniem diuk i bystrzejsi oficerowie sztabu coraz bardziej obawiali się, że cesarscy generałowie chcą uniknąć konfrontacji. Yauran był przecież wielki i czasowa utrata nawet setek mil niewiele znaczyła. Gdyby armie cesarstwa wciąż się cofały, siły Ziem Środka stanęłyby przed trudnym wyborem. Odwrót oznaczał porażkę, ponieważ nienaruszone wojska wroga przygotowałyby się do inwazji, lecz brnięcie dalej przez obce krainy wyczerpałoby zapasy sprzymierzonych armii. Na wyludnionym stepie ciężko było wyżywić siedemdziesiąt tysięcy wojsko, na dodatek w pełni lata, pośród odbierającego siły rozpalonego powietrza. Przez falującą toń upału ludzie i zwierzęta brnęli z coraz większym trudem, a szczególnie cierpieli rycerze, dla których rozgrzane blachy zbroi były gorsze od pieca chlebowego. Niejeden zasłabł i spadł z konia, łamiąc sobie kości. Ulgę przynosił jedynie napój przyrządzany z wina, wody i odrobiny soli, który rycerstwo zwykło pić w dużych ilościach podczas wypraw w gorącym klimacie. Jak zaobserwował Kashim, napitek zapobiegał odwodnieniu ciała, lecz nie mógł, niestety, zaradzić oparzeniom i słonecznym udarom.

Po kolejnym tygodniu nastroje, znacznie podniesione przez zwycięstwo na granicy, zaczęły gwałtownie się pogarszać. I wtedy właśnie wysunięte na ponad sto mil grupy lekkich zwiadowców zaczęły donosić o siłach wroga, które szły sprzymierzonym na spotkanie. Diuk zwołał wojenną radę. Gdy dokładnie przeanalizowano raporty przepatrywaczy oraz tutejsze mapy,

wojska skrzyły na północ, w stronę największego zgrupowania wroga. Tam, wśród niewysokich, trawiastych wzgórz, leżała osada zwana przez Yaurańczyków Aser'Dari. Otaczające ją pola miały wkrótce stać się areną największej bitwy, jaką stoczono od narodzin ludzkości.

*

Światło zachodzącego słońca wpadało do środka namiotu przez odsłonięte wejście. Ponieważ tego dnia wiał porywisty wiatr, Al'Shannagg musiał wszystkie rozłożone na blacie zwoje przycisnąć kamieniami. Mimo to pracowało mu się dobrze. Niepokój, który dało się wyczuć w całym obozie, najwyraźniej nie miał wstępu do jego kwatery.

Już trzeci dzień wojsko zajmowało miejsce wśród wzgórz Aser'Dari. Diuk, obrawszy pozycje bardzo dogodnie do obrony, nie kwapił się wyjść na równinę. Dwie przybyłe ze wschodu armie wroga stanęły kilkanaście mil dalej, czekając na rozkazy lub posiłki — a raczej stały jeszcze do wczoraj, bo w południe zwiadowcy spostrzegli, jak wreszcie ruszają w ich stronę. Wszyscy spodziewali się, że następnego dnia dojdzie do bitwy.

Kashim nie myślał o nadchodzącej walce, pracując nad dziełem, które zaprzętało go od miesięcy. Co chwila kartkował to Księgę, to Kibat, zaglądał do swoich notatek, sporządzonych po powrocie z północy. Pisał. Pisał bez wytchnienia, zupełnie jakby to światło Sammara, które wciąż miał przed oczyma, prowadziło jego dłoń.

Niespodziewanie w wejściu namiotu pojawiła się sylwetka, jej długi cień padł na stół oraz zwoje. Al'Shannagg podniósł głowę i przywitał towarzysza gestem dłoni. Brenvan zamknął wejście do namiotu, zbliżył się i oparł dłonie na blacie.

— Ilu? — spytał.

— Jak to ilu? — Al'Shannagg zmarszczył brwi.

— Ilu przeciw nam idzie? Oficerowie z otoczenia diuka mówią, że sześćdziesiąt tysięcy. Przyszedłem więc do ciebie, żeby usłyszeć prawdziwą liczbę. Przywykłem już, że oszukują nas przy każdej okazji.

Kashim westchnął ciężko.

— Zbyt przenikliwy się zrobiłeś, Brenvanie. Nie powinienem tego mówić nikomu poniżej stopnia pułkownika, ale... Zwiadowcy donieśli, że zebrały się przeciw nam nie dwie, ale trzy armie. Razem jakieś sto sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych, w tym sto bojowych słoni oraz tysiąc ciężkich saurników.

Brenvan stał nad nim bez ruchu, trawiąc nowiny. Wreszcie opadł na taboret i przetaił czoło.

— I co o tym sądzisz, przyjacielu? — spytał.

— Wbrew pozorom jest kilka rzeczy, które działają na naszą korzyść. Po pierwsze, walczyć będziemy na granicy wzgórz. Piechocie da to przewagę wysokości, jeździe możliwość pozostania do ostatniej chwili w ukryciu. Cesarscy generałowie przypuszczają, że mamy dużo rycerstwa, nie będą jednak wiedzieć, gdzie ono zaatakuje. Poza tym... słyszałeś pewnie, jak poprawiły się nastroje w naszych szeregach, gdy wreszcie pojawił się wróg? Cesarscy żołnierze zaś bardziej się boją własnych oficerów niż nas. Możliwe, że będą walczyć jedynie tak długo, jak długo dowódcom uda się utrzymać porządek. Zresztą, jak donieśli szpiedzy, wielu z nich po cichu przeklina gadzich generałów, twierdząc, że władają tylko z powodu cesarskiej krwi, choć wielu ciepłokrwistych przerasta ich umiejętnościami.

— Liczysz na to, że szeregi wroga rozsypią się, jeśli zadamy im duże straty?

— Owszem. Liczyć też można na niezgodę wśród trójki wrogich dowódców, którzy konkurują między sobą o cesarską łaskę.

— Może to, może tamto — jęknął Brenvan. — Wszystko to zdawanie się na szczęśliwy traf. A gdyby takowy miał się nie wydarzyć? Co wtedy?

— Wtedy pewnie przegramy. Zginiemy, Brenvanie, ale niech cię to nie smuci, bo w takim wypadku nic już nie będzie miało znaczenia.

— I znów gadasz jak kapłan — westchnął rycerz. — Lepiej przypomnij sobie czasy, kiedy byłeś wojownikiem, o ile pamięć ci na to pozwala. Z tego co słyszę, trzeba nam będzie wielu ostrzy, a nie duchownych i uczonych.

*

Dwudziestego drugiego dnia miesiąca Galtinae, pod sam koniec Ery Uzurpatorów, wojska Boskiego Cesarstwa starły się z połączoną armią Ziem Środka. Nim jeszcze nad wzgórzami Aser’Dari wstało słońce, ziemia już drżała pod tysiącami stóp maszerujących żołnierzy, pod kopytami jazdy, łapami saurów oraz ciężkimi krokami bojowych słońi. W powietrzu co chwila rozbrzmiewały komendy i okrzyki, wydawane w większości znanych języków. Po tylańsku i doriańsku nawoływały się hufce południowego rycerstwa, twarda gotrlandzka mowa prowadziła na miejsca zwarte czworoboki piechoty, śpiewnym językiem Learfeld rycerze z tego kraju ustawiali swoje linie, tymczasem ponad stepem — na razie tak daleko, że mało kto je słyszał — niosły się głosy yaurańskich pułkowników, dalekich potomków Cesarza.

Gdy słońce wspięło się wreszcie na nieboskłon, oficerowie obu armii

chwycili za lunety, by obadać szyki przeciwnika. Armia sojuszu stanęła na granicy wzgórz i równiny. Północno-wschodnie skrzydło było najlepiej chronione, gdyż wysokie i strome stoki przecinała tam rzeka, która chroniła flankę przed otoczeniem. Pozycje na szczytach zajęli doskonale szkoleni piechurzy Gotrlandu. Dowodziło nimi wielu doświadczonych rycerzy i najlepszych strategów królestwa. Wprawieni przez lata starć między miastami nie zamierzali wycofać się przed jakimkolwiek wrogiem. Centrum sojuszniczych sił, gdzie wzgórza były najniższe, okupowały chorągwie najmitów, osobiste pułki diuka, w tym Legion Półksiężycy oraz masy piechoty z Learfeld i granicznych marchii. Tu kierował sam diuk, jak również jego zaufani doradcy. Południowo-zachodni skraj wzgórz (w miejscu, gdzie skręcały one na zachód) obsadziły z kolei liczne oddziały Gedialanu, palące się do walki i dyszące żądzą zemsty. Było tam wielu sławnych południowych rycerzy: Antonio Firdini, Ugo de Begucci, Luca de Turi, którzy rwali się tylko, by poprowadzić własne, doskonale wyposażone hufce do boju.

Tyle widział wróg, jednak poza zasięgiem jego lunet znalazło się jeszcze kilka odwodowych chorągwi ciężkiej piechoty oraz — co ważniejsze — dwa kliny pancernej jazdy. Pierwszy zajął miejsce za centralną linią, drugi za skrzydłem południowo-zachodnim. Każdy liczył przeszło tysiąc rycerzy z giermkami, wszyscy w ciężkich pancierzach, na wspaniałych bojowych ogierach. Czekał tu kwiat rycerstwa Learfeld, gotrlandzcy magnaci, wielu jeźdźców z południa. Wśród nich była i chorągiew rodu Aam Caerleighów. I choć rycerzom wstrętą była myśl, że to nie oni rozpoczną walkę, tylko pospolita piechota, diuk zdecydował się trzymać ich w odwodzie — dwa stalowe sztylety, które zamierzał wrazić w ogromne cielsko wroga, gdy tylko nadarzy się ku temu sposobność.

Yaurańczycy stanęli równą ścianą naprzeciw wzgórz. Przez jakąś godzinę między pułkami krążyli gońcy na saurach, a potem rozległ się odgłos spiżowych surm i morze cesarskiej piechoty popłynęło w stronę armii sprzymierzonych. Zdawało się, że przewalą się przez stoki pagórków niczym fala przez wały z piasku, byli bowiem niemal trzykroć liczniejsi od przeciwników.

Jakby tego było mało, zbliżywszy się na pół mili do wojsk diuka, zza szeregów wypuścili słonie i bojowe jaszczury, kierując je w samo centrum linii sojuszu, bo tylko tu zwierzęta mogły łatwo wbiec na płaskie, niewysokie wzniesienia. Kashim z wysokości spoglądał przez lunetę na wspaniałe bestie pędzące jako awangarda yaurańskich sił. Widział też, że nawet doświadczeni

w bojach najmici, którzy stali w pierwszej linii u podnóża wzgórz, drżą na ich widok. W tym momencie gdzieś za Al'Shannaggiem zagrzmiał róg i pojawił się goniec, wykrzykując w przelocie rozkazy od Filipa.

Al'Shannagg wstał, wyciągnął szablę i krzyknął:

— Półksiężyc! Za diuka i radę, za mną!

Jego pułk, który krył się po drugiej stronie grzbietu, wymaszerował zaraz na stok, zwracając się ku przeciwnikowi. Nieopodal wyłoniły się też dwuszeregi gedialańskich kuszników, których ciężkie bronie, napinane za pomocą żelaznej windy, od dawna siały postrach wśród pancernych. Wkrótce na bestie spadł grad bełtów. Podwładni Al'Shannagga zaś, stojąc w jednej linii z pułkową chorągwią, wykrzykiwali rozkaz za rozkazem. Powietrze wokół aż skwierczało od uwolnionego daru.

Niejednen zwierz padł z wykłutymi przez bełty oczami lub połamał nogi w ziemi, rozstępującej się nagle za sprawą magicznych mocy. Ogniste flary oraz iskry, które pojawiały się znikąd, budziły wśród kolosów panikę. Wiele zawróciło i zrzuciwszy własnych panów, wpadło w formacje Yaurańczyków, miażdżąc ich pod łapami. Tylko nieliczne dotarły do wzgórz, lecz tam przywitał je las pik. Mimo że kilka oszalałych z bólu słoni wdarło się w szeregi, zabijając kilkudziesięciu ludzi, straty były stosunkowo niewielkie, a z pewnością mniejsze od tych, jakie żołnierze Cesarza sami ponieśli od własnej broni.

Tymczasem czoło yaurańskiej fali skróciło już dystans o połowę i przed nacierających piechurów wysunęli się kusznicy. Ich lekkie bronie ledwo donosiły do wzgórz, lecz sama liczba wystrzelonych bełtów czyniła ostrzał groźnym.

— Sekcjami! — krzyknął Al'Shannagg, skupiając wzrok na szarym niebie.

Co chwila wzywał geniusze powietrza, by spychały salwy za pomocą wiatru. Połowa jego ludzi robiła to samo, a druga wciąż starała się zwolnić marsz przeciwnika i uprzykrzyć go, jak to tylko możliwe. Ludzie okazali się jednak mniej strachliwi od zwierząt, tym bardziej, że gadzi dowódcy ścinali głowę każdemu, kto cofnął się na widok przerażającej magii wroga.

Ostrzał yaurańskich kuszników trwał, padły pierwsze trupy wśród sojusznicznych najemników, zginęło też dwóch podwładnych Kashima. Niektóre pociski, przenosząc daleko za pierwszą linię wzniesień, wbijały się w ciała czekających tam koni. W pewnym momencie groziło to nawet wybuchem paniki wśród jazdy, lecz rycerze powstrzymali wierzchowce, nie

szczędząc im surowych razów.

Gdy siły Yauranu były już tylko trzysta stóp od wzgórz zajętych przez wojska sojuszu, kolejna fala gwizdów i rozkazów przewaliła się nad głowami piechurów. Przyspieszyli, biegnąc teraz z włóczniami wycelowanymi we wroga. I choć wielu cesarskich padło jeszcze od celnych strzałów, w końcu szeregi obu armii zderzyły się, a powietrze zawibrowało szczękiem stali i krzykami konających.

*

Al'Shannagg wywinął ciało w bok, unikając grotu, po czym odciął go płynnym ciosem. Następnie wykręcił szablę krótkim ruchem nadgarstka i pchnął w gardło yaurańskiego piechura. Wyrывая ostrze, zrobił krok w tył i roztrącił kolejne włócznie.

Wypad. Pchnięcie. Jeszcze jeden żołnierz zwałił się w piach. Kashim widział w otwartych hełmach twarze wykrzywione strachem. Wielu było prostymi ludźmi, przyuczonymi tylko do walki drzewcową bronią. Atakowali jednak i ginęli za Cesarza bez wahania, a w miejsce każdego zabitego pojawiała się kilku kolejnych.

Al'Shannagg spostrzegł, że ze wszystkich stron godzą w niego ostrza, cofnął się więc gwałtownie, aż wpadł plecami na parę najmitów, którzy opędzali się od wrogów długimi cięciami potężnych *zwiendarh*. Niedługo obok pojawiło się też trzech jego własnych ludzi, w ciężkich kolczugach.

— Do mnie! Półksiężyc i Darmburg! — krzyknął Kashim, po czym napał znów, rozplątując szyję jednemu z piechurów.

Jego podwładni, którzy dotąd nie kwapili się do zejścia ze stoku, widząc, że pułkownik na szpicy znów rwie się do przodu, ruszyli zdecydowanie na wroga. Linia zaczęła powoli się przesuwać. Pomysł, by magowie walczyli u boku ciężkiej piechoty, teraz ukazał pełnię swoich zalet. Ludzie Kashima, choć każdy ćwiczył walkę mieczem i tarczą, nie byli doświadczonymi wojami. W starciu wręcz, gdy moc zaczynała zawodzić z powodu zmęczenia, nie mieliby większych szans, jednak u boku pokrytych bliznami, sławnych mieczników z Darmburga radzili sobie wyśmienicie. Zawsze mogli schować się za ciężej opancerzonymi towarzyszami i stamtąd wspierać ich za pomocą magii, łamać wzrokiem drzewca wrogich broni, albo więzić stopy przeciwników w rozstępującej się ziemi.

Al'Shannagg tymczasem parł dalej i dalej. Teraz po lewej miał kapitana darmburskiej chorągwi i Hugina, po prawej parę najmitów. Mimo to co chwila wyrывał się w przód. Dar tętnił w żyłach Świętego Jeźdźca, jak

jeszcze nigdy dotąd. Al'Shannagg widział jednocześnie wszystkie ostrza wokół, widział jak się poruszają, gdzie zmierzają — a ruszały się dla niego powoli. Wymijał je, ustawiał się między nimi, jego szabla zaś, prowadzona zdecydowanymi, perfekcyjnie oszczędnymi ruchami nadgarstka, raz za razem sięgała wroga. Cel, do którego szedł Kashim, majaczył już tylko kilka kroków dalej. Tam właśnie, z największej ciżby wrogów wystrzeliwał w górę pióropusz złocistego szyszaka.

Al'Shannagg użył daru. Potężny podmuch wiatru roztrącił piechurów, którzy stali między nim a wrogi dowódcą.

Gad wyszczerzył zęby, po czym napał, wznosząc szablę. On także miał w żyłach krew bogów. Uderzał szybko i silnie, tak że z łatwością zwyciężyłby każdego wojownika połączonych chorągwi. Ale nie Kashima. Szybkie jak błyskawica ruchy wroga były dla Świętego Jeźdźca zaledwie normalną szermierką. Z pewnością więcej trudu sprawiały mu dawno temu fortele i nagłe zwody Nahara niż toporna praca ostrza Yaurańczyka, który tak przywykł do przewagi nad śmiertelnikami, że używał tylko prostych, krzyżowych ciosów. Kashim poczekał więc na odpowiedni moment, zbił jego ostrze daleko i natarł z furją. Gad cofnął się przed lawiną uderzeń i wtedy... potężny cios dwuręcznego miecza spadł mu na bark, rozłupał naramiennik i niemal oddzielił ramię od reszty ciała.

— Dziękuję, przyjacielu! — rzucił Kashim do najmity po prawej stronie, po czym krzyknął gromko: — Na nich! Do przodu! Półksiężyc i Darmburg!

Gdy oficer padł, Yaurańczycy zawahali się, choć z tyłu napierały już na nich dwa kolejne, świeże i wypoczęte pułki.

— Półksiężyc i Darmburg! — ryknęli podwładni Kashima, podejmując atak.

On zaś pozwolił, by wyprzedziła go pierwsza linia. Złapał głębszy oddech, otarł czoło i rozejrzał się szybko po polu bitwy.

Na północnym wschodzie Yaurańczycy na razie bezskutecznie szturmowali strome wzgórza, choć, patrząc na zwały trupów, które zaległy u stóp wzniesień, Al'Shannagg zastanawiał się, czy wkrótce nie będą mogli wspiąć się po martwych towarzyszach niczym po drabinie. W centrum szeregi postrzępiły się i pomieszały, sytuacja zaś nie wyglądała dobrze. Choć piechota w większości miejsc trzymała wciąż podnóża pagórków, to na jednym już powiewała purpurowa flaga cesarstwa. W niektórych miejscach kliny cesarskich żołnierzy wchodziły głęboko między wzniesienia, w innych to obrońcy zapędzili się za Yaurańczykami aż na równinę. Gońcy próbowali

zaprowadzić jakiś porządek, lecz co chwila ginęli od strzał, a krzyki oficerów dawno zostały zagłuszone przez wycie rannych. Południowo-wschodniego skrzydła Al'Shannagg nie widział, lecz podejrzewał, że nie jest tam lepiej, oto bowiem po grani zbiegał tam w wir bitwy huf toporników z Marovii — jeden z odwodowych pułków.

Kolejni wojownicy sprzymierzonych przecisnęli się obok Al'Shannagga, a on jeszcze przez chwilę oceniał straty. Gdzieś tam pomiędzy yaurańskimi trupami zobaczył też ciała żołnierzy Legionu. Wielu konało od ran, lecz tym razem pomoc nie mogła nadejść. Wprawne w magii kobiety, zwane w pułku siostrami, zostały na tyłach, w połowym lazarecie, a nikt nie miał czasu nieść tam rannych teraz, w samym środku bitwy.

Kashim otarł pot z czoła, chwycił mocniej broń i znów ruszył do ataku. Za nim parli ostatni żołnierze połączonej chorągwi oraz pułk pikinierów z Ostrlandu, który zgodnie z rozkazem diuka uderzył za nimi, by nie ulegli okrążeniu. Al'Shannagg wiedział jednak, że i to może nie starczyć, jeśli zaraz ze wzgórz nie nadejdzie odsiecz. Jak bardzo chciał teraz zobaczyć zielony sztandar Caerleighmarch powiewający na tle nieba! Ale kawaleria nie nadchodziła, choć czas ku temu wydawał się najwyższy.

*

Kashim nie mógł wiedzieć, że klin jazdy nie uderzył, bo dawno go już nie było za środkową częścią sojuszniczej linii. Oto bowiem koło południa doszło w bitwie do niekorzystnego zwrotu. Okazało się, jak groźna może być liczebna przewaga Yauranu. Trzecia armia cesarska — potem historycy w większości zgadzali się, że była to armia generała Manzuri — ruszyła ku samemu brzegowi wzgórz, na koniec południowo-zachodniego skrzydła obrońców. Tam wzniesienia wbijały się w pustynię wąskim pasmem, które czterdzieści tysięcy yaurańskich piechurów mogło łatwo przeskrydlić. Kiedy diuk dowiedział się o tym, natychmiast zdał sobie sprawę z grozy sytuacji. Gdyby Yaurańczycy minęli lub zniszczyli brzeg południowej flanki, a potem weszli między wzgórze, bitwa rozbiłaby się na serię potyczek w wąskich jarach i kamienistych wąwozach, gdzie rycerstwo nie było warte więcej od ciężkiej piechoty, a przytłaczająca przewaga Yauranu musiałaby w końcu zatryumfować.

Tak więc diuk i pozostali dowódcy zdecydowali się puścić w ruch wszystkie odwody. Całą jazdę wycofano pospiesznie na południowy kraniec wzgórz i tam przygotowywała się do natarcia, mając przed sobą zwarte i wypoczęte pułki trzeciej armii, która właśnie otaczała ich pozycje, idąc

równiną. Learfeldzcy rycerze, zgodnie z tradycją, ustawili się w małe kliny, każdy uformowany z jednej chorągwi. Na czele rodowej jazdy Aam Caerleighów stał Gwidon, który ślinił się i bełkotał, wymachując w stronę odległego wroga mieczem. Za nim siedzieli w siodłach Brenvan oraz Falkirk, skrywający ponure twarze pod ciężkimi rycerskimi hełmami. Obaj zdawali sobie sprawę, że szarża w dwa tysiące przeciw czterdziestu tysiącom była zadaniem szalonym, ale wiedzieli też, że jeśli im się nie powiedzie, diuk będzie musiał nakazać odwrót. A to oznaczało porażkę.

Brenvan spojrział daleko ponad wzgórzami na środek linii, gdzie bitwa zmieniała się w dziką kotłowanąinę. Wiedział, że gdzieś tam jest Kashim i jego ludzie — że oczekują pomocy, która nigdy nie nadejdzie. Westchnął jednak tylko, pomodlił się do Gaavra, po czym odpiął od siodła szeroką kopię. Głos rogów rozbrzmiał za rycerzami, dając znak do ataku. Ci ruszyli stępem, aby konie spokojnie pokonały wzniesienie i rozgrzały się przed szarżą. Brenvan rozejrzał się na boki. Przez szczeliny hełmu widział flagi wszystkich znanych sobie rodów Learfeld. Po lewej jechał Dervel Aam Nitte, daleko po prawej księżę Tirdean, głowa rycerskiego bractwa Brenvana, gdzieś dalej powiewała chorągiew Hugona Aam Birge, jego sąsiada, a nieopodal widać było huf lorda Feargina, władcy grodu najbliższego Caerleighmarch.

Aam Caerleigh czuł dziwny smutek. Patrząc na kolumny rodaków, zdał sobie sprawę, że nawet jeśli jakimś cudem zwyciężą, to straty będą ogromne. Gdyby zaś większość, albo choćby połowa szlachetnie urodzonych padła, Learfeld zmieni się nie do poznania. Rody nigdy już nie odzyskają dawnej siły, wiele majątków przejmą miasta oraz królewscy ministrowie, a kraina wkrótce będzie przypominać Gotrland.

Czy to znaczy, że tego gorącego dnia historia rycerskich marchii, epoka turniejów, uczt, pojedynków i spisków, dobiegała końca? Że świat, który Brenvan tak ukochał, właśnie miał umrzeć wśród kwiku ginących koni i szczęku stali?

— Synowie Learfeld! Za marchię i sprawiedliwość! Naprzód! — rozległ się okrzyk księcia. Zaraz potem nad szeregami jazdy przetoczyła się fala rodowych zawołań.

— Za Caerleigh i koronę! — ryknął Brenvan i spiął wierzchowca.

Krzyki były tak głośne, że trzecia armia aż się zatrzymała, a generał Manzuri drgnął w siodle wielkiego saura. Jego oficerowie stali zdezorientowani, jakby ta błyszcząca srebrem fala, która zjechała ze wzgórz, całkowicie ich zaskoczyła. Dopiero po chwili zrozumieli, że rycerze, choć

było ich wielu, wciąż nie mogli liczebnie równać się z ich armią. Yaurańskie pułki błyskawicznie rozwinęły skrzydła, do przodu wybiegły kompanie pikinierów.

Suchy step rwał pod kopytami koni niczym bystra rzeka pod mostem. Brenvan Aam Caerleigh wyuczonym ruchem uniósł kopię i wbił wzrok w szereg pikinierów, który przybliżał się szybko. Słońce błyszczało na tysiącach grotów, las włóczył się groźnie. Na jego widok coś się przypomniało Brenvanowi. Zaśmiał się cicho w głuchym wnętrzu hełmu.

„Jeden zginie, rozerwany przez setki ostrzy...”, tak przepowiedziała im wiedźma w głębi dzikiego boru. Rycerz nie miał już wątpliwości, kogo tyczyła się pierwsza część przepowiedni. O dziwo, świadomość ta nie wzbudziła w nim strachu. Wręcz przeciwnie: okrzepł jakby, serce mu spowolniło.

— Za Caerleigh i koronę! — krzyknął raz jeszcze, a potem uderzył w szereg wrogów z siłą, która mogłaby giąć stal.

Rozdział 8. Marsz stu

Przed zmierzchem ostatnie starcia zaczęły dogasać. Tylko w wysokiej partii wzgórz, gdzie bitwa trwała najdłużej, kilka małych oddziałów ścierało się jeszcze pośród wąwozów. Pobojowisko ciągnęło się po horyzont, a miejsca, w których trupy leżały szczególnie gęsto, przypominały stworzony z ciał odcisk minionej bitwy; mapę, która wprawmemu obserwatorowi ujawniłaby bieg wydarzeń. Długie szeregi skrwawionych szczątków wskazywały, gdzie starły się wrogie pułki. Sterty ciał, niczym czerwone punkty, znaczyły ostatnie bastiony, w których walczono do samego końca. Pomiedzy wzgórzami wstęgi poległych mówiły o zasadzkach, niespodziewanych atakach lub powolnych odwrotach.

Niewielu było tu żywych. Część krążyła po polu w poszukiwaniu lżej rannych, by zanieść ich do lazaretu, ciężej rannym skracano męki mizerykordią lub sztyletem. Inni zaś grabili trupy — bez skrępowania, w świetle dnia. Oficerowie, którzy przeżyli, mieli ważniejsze sprawy na głowie niż chwytanie tych hien.

Kashim Al'Shannagg siedział na trawiastym stoku z pustym wzrokiem skierowanym gdzieś ponad horyzont. Obok co jakiś czas przechodzili żołnierze. Dwa czy trzy razy ktoś klepnął go po ramieniu i zagadnął, by upewnić się, czy pułkownik nie jest ranny. Ten zaś bąkał coś wtedy, a potem znów pogrążał się w marazmie. Nie próbował tłumaczyć, co mu jest, nie miał sił. Zresztą zwykli ludzie i tak nie potrafiliby pojąć, w jak skrajne wyczerpanie może wprowadzić nadużycie daru. A dziś Kashim wykorzystał go więcej razy niż kiedykolwiek wcześniej.

Miarka przebrała się podczas ataku na wzgórze, na którym broniła się kompania yaurańskich pikinierów. Pułkownik upadł wtedy i leżał niczym martwy co najmniej przez kilka godzin. W końcu odzyskał przytomność, lecz brakło mu sił, żeby chodzić, mówić czy nawet zebrać myśli. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że żyje i że bitwa dobiegła końca. Chwilę potem zrozumiał, że sojusz odniósł zwycięstwo. Po stoku krążyli miecznicy z jakiejś gotrlandzkiej chorągwi, a w zasięgu wzroku nie było ani jednego Yaurańczyka.

Przed zmierzchem świadomość wróciła Al'Shannaggowi na tyle, że zdołał podziękować Jedynemu za zwycięstwo. Potem wstał, zataczając się, i

ruszył w dół stoku. Chciał odnaleźć swoich ludzi, a także kogoś, kto mógłby mu powiedzieć, co się stało po tym, jak stracił zmysły.

Pierwsi napotkani żołnierze byli niemal tak zdezorientowani jak Kashim. Nie wiedzieli, gdzie są ich dowódcy, gdzie przeniósł się sztab sojuszu ani co właściwie się dzieje. Znali tylko drogę do polowego lazaretu, który ludzie z taboru rozłożyli głębiej wśród wzgórz. Al'Shannagg dowiedział się od nich, że diuk Filip Dobry padł na polu bitwy, podobnie jak pozostali generałowie. Kashim poczuł zimny dreszcz. Wziął się w garść, świadom, że jeśli istotnie zabrakło dowództwa, trzeba natychmiast przedsięwziąć jakieś kroki. W końcu kto wie, czy Yaurańczycy nie mieli odwodów albo czy w tym właśnie momencie ku polu bitwy nie zmierzała kolejna armia Cesarza?

Zmusiwszy się do marszu, Kashim poszedł w stronę środkowej części wzniesień, gdzie na początku bitwy stacjonował sztab sprzymierzonych. Szedł długo przez wąwozy i jary, zataczając się jak pijany. Spotkał jeszcze kilku ludzi, lecz nie rzekli mu nic nowego. W końcu wspiął się z trudem na grzbiet, który oddzielał wzgórze od równiny. I zamarł.

Całe pole, aż po horyzont, usłane było trupami. Tylko gdzieniegdzie jakiś żywy człowiek górował nad ponurym pobojo wiskiem. Po niebie krążyły już sępy, wietrząc ucztę swojego życia. W zasięgu wzroku nie było żadnych oddziałów, żadnych oficerów. Tylko u stóp wzniesienia kilkunastu żołnierzy stworzyło improwizowany lazaret. Al'Shannagg ruszył wzdłuż pola bitwy. Nieco później, gdy zaczął już tracić nadzieję, że spotka kogoś przed nocą, wypatrzył na stoku dwie znajome postacie.

— Dagor, Idurn! — zawołał.

— Pułkownik?! — odkrzyknęli zdziwieni żołnierze.

— Nie kto inny, biegiem mi tu i meldować!

Chwilę potem mężczyźni byli już przy Al'Shannaggu. Dagor podał mu manierkę, w której chlupotało jeszcze trochę wody, Idurn zaś rzekł:

— Różne wieści nas dochodziły. Słyszeliśmy, że pułkownik padł w czasie szturm na wzgórze i że...

— Ja też słyszałem różne plotki, jedne mniej godne wiary od drugich. Mów, co z chorągwią?

— Podzieliła się, panie. Po wzgórzu okazało się, że jeden z yaurańskich generałów uchodzi za rzekę z dwiema setkami ludzi. Margrabia Otgir, dowódca naszego skrzydła, zapiekł się, by go dopaść, i puścił w pogoń trzy chorągwie z połową Legionu. Drugą część zabrał na południe porucznik Hugin, bo wieści nas doszły, że na równinie bój wciąż gorzej.

— A wy?

— Myśmy szli z margrabią, ale złapał nas jakiś sierżant z południa, na mordzie szkaradnie poharatany, i zaczął pieklić się, że mu czarodzieje potrzebni, bo wrogowie do jaskini pouciekali i nijak nie dało się ich wykurzyć. Margrabia przykazał, żebyśmy mu pomogli, to i poszliśmy.

— We czterech — dodał Idurn. — Dwóch zginęło w grotach. Potem tamci południowcy wrócili do taboru, my zaś ruszyliśmy szukać Legionu. Znaleźliśmy tylko pułkownika.

Al'Shannagg milczał chwilę i pokrzepił się łykiem wody.

— Wiecie, co z bitwą? — spytał w końcu.

— Tyle tylko, co nam goniec krzyknął, gdy przejeżdżał wśród wzgórz. Że wróg rozбитo, a nasz dobry pan zginął w boju, niech bogowie mają nad nim pieczę. I żeśmy potracili mrowie zbrojnych.

Święty Jeździec skinął głową, po czym rozkazał:

— Dagor, pomóżże iść, bo nogi mi odmawiają posłuszeństwa.

— Tak jest. Dokąd zmierzamy, pułkowniku?

— Na zachód, do taborów. Tu już nikogo nie znajdziemy.

*

O zachodzie słońca trójka mężczyzn spotkała wreszcie oddział, który nie uległ wszechobecnemu chaosowi. Przetrzebiona chorągiew łuczników wyszła im naprzeciw spomiędzy wzniesień równą, uporządkowaną kolumną. Kashim dowiedział się od sierżanta, że ich zadaniem było szukać rozproszonych żołnierzy i kierować do obozu, który założono przy taborze. Tam też niezwłocznie udał się Al'Shannagg ze swoimi ludźmi.

Na miejscu przekonał się, że straty okazały się nie tak ogromne, jak można było sądzić po polu bitwy. Na płaskiej wyżynie rozłożyły się bowiem liczne wojska, na oko połowa tego, z czym władcy sojuszu rozpoczęli bój. Żołnierze byli jednak w większości śmiertelnie zmęczeni, a wielu odniosło mniej lub bardziej groźne rany. Lazaret zajmował niemal trzecią część obozu, i krzyki, które stamtąd dochodziły, Kashim słyszał już z odległości farsanga.

Gdy wkroczył ze swoimi ludźmi do obozowiska, nakazał im, by poszukali reszty Legionu, sam zaś poszedł w stronę wielkich namiotów, które stały w samym środku. Po drodze miał czas napatrzeć się na dziesiątki rannych i umierających, na ich wykrzywione bólem oraz strachem twarze. Zaiste, cena za zwycięstwo nad cesarskim wojskiem była wysoka.

Wielu z ranionych nieszczęśników konało pod gołym niebem, chirurdzy bowiem zajęci byli w namiotach, gdzie leżeli szlachetnie urodzeni. Gdy

Kashim przechodził przed jedną z kwater, niespodziewany głos osadził go w miejscu.

— Pułkownik Al'Shannagg! Cieszę się, że uszedłeś cało z tej rzezi! Wejdz, proszę — padło ze środka.

Kashim odwrócił się i natychmiast zgiął ciało w głębokim ukłonie.

— A ja raduję się niezmiernie, że plotki o twojej śmierci były nieprawdziwe, panie — rzekł.

W namiocie, na stole medyka, leżał bowiem sam Filip Gotrlandzki, otoczony przez sługi i lekarzy. Ktoś trzymał mu pod nosem puzderko z trzeźwiącymi solami, podczas gdy chirurg wraz z pomocnikiem próbowali rozciąć naramiennik za pomocą wielkich szczypców. Resztę zbroi Filipa już dawno zdjęto, lecz ta część została przygwożdżona do jego barku włócznią, której urżnięty koniec sterczał wciąż z rany.

— Podejdz no tu, pułkowniku. Jak widzisz, yaurańska pika wysadziła mnie z siodła, gdyśmy drugi raz kontratakowali linie wroga. Zaraz po szeregach przebiegły krzyki, że diuk padł, chociaż żyłem wciąż, miałem się dobrze i właśnie próbowałem się wytoczyć spod kopyt... Szczęściem przybocznicy wyprowadzili mnie z bitwy, lecz plotka rozniosła się tak szybko, że teraz kto tylko mnie zoczy, minę ma, jakoby spotkał ducha. Ale nie dziwię się, bo... Aaa... Zdecyduj się wreszcie, wyjmujesz czy nie, przeklęty konowale! Tak tym grotem kręcisz, że zaraz ci łeb każę urwać!

Speszony medyk wymamrotał przeprosiny, Filip zaś kontynuował:

— Nie dziwię się takim, co mnie już pogrzebali, bośmy wielu wodzów dziś potracili. Smutny to dzień dla naszych ziem. Aaa... Wolałbym już nie mieć tego ramienia, skoro tak ma boleć. Na czym to ja...? Ach tak, padli margrabiowie Otgir oraz Madwin, padł książę de Casco, generał Erdanor. Przed chwilą doniesiono mi, że na równinie znaleziono ciało samego Bianca Firdiniego, naszpikowane strzałami jak jeź. Smutne mnie też wieści doszły o naszych sojusznikach z Learfeld...

Al'Shannagg zbladł.

— Co z nimi, panie? — spytał.

— Jeno garstka wróciła, będzie może sto kopii. Tymczasem ludzie, których posłałem na południowy wschód, donieśli, że na tamtym skrzydle jeno trupy już się ostały. Bardzo wiele trupów. Ciężko mi na sercu, bo... Aaaach!

Diuk zacisnął zęby z bólu, bo grot poruszył się w ranie, gdy medyk zdjął z niej przecięty naramiennik. Po chwili podjął:

— Cóżem mówił? A, tak. Ciężko mi, bo widzę, że kwiat naszego rycerstwa posłałem na śmierć. Wiedz jednak, że gdyby nie ich kontratak, pewnością to Yaurańczycy by tryumfowali.

Al'Shannagg poczuł, że opuszczają go siły. Zatonął, lecz zaraz dwóch dworzan podtrzymało go i usadziło na zydlu. Nie powiedział już nic. Czuł, że Brenvan zginął przez niego. Dlaczego, mimo śmierci tylu poprzednich towarzyszy, zatrzymał rycerza przy sobie? Dlaczego nie przegnał go, mimo przepowiedni, której cień wciąż nad nimi wisiał?

*

Nad ranem w obozowisku zaczęto wprowadzać porządek. Chorągwie przegrupowały się, połączyły z maruderami, których jeszcze o świcie sprowadzały ze wzgórz patrole. Zliczono rannych i zabitych, a z opowieści żołnierzy oraz dowódców zaczął się wyłaniać obraz całej bitwy. Było w nim jeszcze wiele pustych miejsc, bowiem po rozbiciu głównych sił Yauranu zmieniła się ona w ciąg pościgów, potyczek i walk obronnych w pasie o długości przeszło dziesięciu farsangów.

Wkrótce na step wyjechali zwiadowcy. Armia sojuszu, wczoraj jeszcze bezwładna i skurczona na płaskowyżu niby ukłuta meduza, teraz znów wyciągała ramiona na okoliczne ziemie. Kashim tymczasem uwijał się od brzasku jak w ukropie. Choć był jeszcze słaby, rozpoczął przegląd pułku. Okazało się, że Legion Półksiężycy, mimo iż walczył od samego początku bitwy, poniósł stosunkowo niewielkie straty: dwudziestu czterech braci padło w boju, siedmiu zmarło od ran. Zginęły też dwie siostry, których serca nie wytrzymały potwornego zmęczenia i nadmiernego używania daru, gdy próbowały ratować ciężiej rannych. Poza tym czternaście osób było przez jakiś czas niezdatnych do walki.

Wiadomość tę Al'Shannagg przyjął z zadowoleniem. Spodziewał się znacznie większych strat, a tymczasem niemal dwie trzecie pułku wciąż były na jego rozkazy. Zakończywszy przegląd, ruszył do namiotu dowodzenia. Diuk, mimo ran, podjął kierowanie sztabem.

Znaleziono zastępstwa dla zaginionych i martwych oficerów, a na mapie, która leżała na centralnym stole, naniesiono poprawki dzięki raportom zwiadowców. I właśnie gdy Al'Shannagg siedział nad nią, do wnętrza wpadł posłaniec.

— Panie! — krzyknął od progu. — Na południowym zachodzie spostrzeżono kolumny jeźdźców! Książę Tirdean wraca z równin, razem ze swoim rycerstwem!

Na tę wieść w sztabie zapanowała radosna wrzawa. Al'Shannagg, wraz z kilkoma innymi oficerami, wybiegł po konie, aby wyjść Learfeldczykom naprzeciw. Spotkali ich w szerokim wąwozie, pół godziny drogi od obozowiska.

Rycerze byli obici i zmęczeni, ich pancerze nosiły ślady ciężkich walk. Mieli ze sobą rannych, a bardzo wiele koni szło z pustymi siodłami lub wiozło przerzucone przez łęk trupy właścicieli. W szerokiej i długiej kolumnie Kashim naliczył osiem setek jeźdźców.

Przód pochodu zajmowała chorągiew księżęcia. Tirdean był w pierwszym szeregu i gdy tylko zobaczył przed sobą grupę sojusznicznych oficerów, machnął ręką i zawołał:

— Witajcie, przyjaciele! Radosny to dla nas dzień, wróg rozbity, połączone królestwa tryumfują. Powiedzcie, diuk żyw?

— Żyw, panie — odparł margrabia Engird. — Za to was już opłakać zdążyliśmy.

— Nie dziwota — rzekł książę, zbliżając się. — Dalekośmy się w step wypuścili za trzecią cesarską armią, która pod szarżą się złamała, gdy yaurański generał padł. Bałem się, że rychło się przegrupują i znów zaczną nacierać, przeto ścigaliśmy ich do samego zmierzchu, kiedy to za późno już było do obozowiska wracać. A musicie wiedzieć, że...

Al'Shannagg nagle przestał słuchać księcia, bo wśród rycerskich chorągwi wypatrzył znak, na którego widok serce mu przyspieszyło. Był to złoty jednorożec na zielonym tle — symbol Caerleighbmarch.

Rzuciwszy się pomiędzy learfeldzkich rycerzy, Kashim przedarł się do chorągwi, by zaraz stanąć twarzą w twarz z roześmianym Brenvanem. Jego zbroja miała tyle wgnieceń i bruzd, że wyglądała niczym łupina południowego orzecha, a miecz wiszący przy łuku był cały poszczerbiony. Koń rycerza pewnie zginął, bo kawaler Aam Caerleigh jechał na siwku, którego Kashim nigdy wcześniej nie widział. Wyglądało jednak na to, że Brenvan nie odniósł ran groźniejszych niż płytkie rozcięcie na skroni.

— Po twojej minie widzę, żeś się mnie nie spodziewał? — powiedział rycerz, gdy uściskał się z Al'Shannaggiem. — Tak małą wiarę pokładasz w moich wojennych zdolnościach?

— Gdy patrzę na twoją zbroję, to myślę, że nie zdolności ocaliły ci życie, lecz szczęście, albo opieka bogów.

— Raczej gruba, gotrlandzka stal, z której dawno temu mistrz Urgius wyklepał mi napierśnik. Choć nie ochroniła ona mojego ojca oraz brata...

To mówiąc, Brenvan opuścił głowę i wskazał dwa kształty, przywiązane w poprzek do siodeł.

— Gwidon i Swayn? Przykro mi, przyjacielu.

— I tak cena za zwycięstwo była mniejsza, niż się spodziewałem. Choć serce łamie mi się na samą myśl o tym, że przyniosę matce grobowe wieści, to i tak lepiej, niż gdyby padli wszyscy mężczyźni z rodu — a niewiele brakowało.

— Takie jest prawo boże, Kirajczyku — rzekł Falkirk, który podjechał do Kashima z boku. — Teraz Brenvan jest głową rodu i dziedzicem Caerleighmarch.

Wkrótce kolumna ruszyła dalej, a Kashim, jadąc u boku przyjaciela, do samego obozu rozmawiał z nim o bitwie. Obaj czuli ulgę, że okrutna przepowiednia, która wcześniej zaprzętała im głowy, ostatecznie się nie spełniła.

Wieczorem w obozie hucznie świętowano zwycięstwo. Kashim patrzył na to ze zgrozą, bo w lazarecie wciąż konali ranni, a na polach do niezliczonych trupów dorwały się stada padlinożerców. Rycerze i zbrojni cieszyli się jednak, bo oto pierwszy raz w historii potężne cesarstwo poniosło tak bolesną porażkę. Choć sojusz stracił ponad trzydzieści tysięcy ludzi, po stronie Yauranu padło dobre sto tysięcy. Całe trzy armie wroga zostały rozbite, dwóch generałów zginęło. Przy ogniskach krążyły już opowieści o wielkich bohaterach bitwy, rozprawiano też o Legionie Półksiężycy. Magowie, choć wcześniej budzili strach i obrzydzenie, teraz byli wychwalani za niezwykle czyny, jakich dokonali w polu. Sławą, choć pośmiertną, okrył się również ojciec Brenvana. Starego Gwidona widziano bowiem, jak z pianą na ustach sam jeden szarżował na generała Manzuri i jego przybocznych. Fakt, że toczenie piany było u Gwidona rzeczą zwykłą, a do ataku pchnęła go nie odwaga, lecz starcze zaćmienie umysłu, był mało znany, Brenvan i Falkirk zaś milczeli na ten temat, ciesząc się ze sławy, jaką starzec w ostatnim podarunku opromienił ich ród.

Tymczasem świętowano w najlepsze, a diuk przykazał wyciągnąć z wozów beczki, które wieziono z myślą o zwycięstwie. Tylko kilka osób, w tym Kashim i Filip, zdawało sobie sprawę, że zwycięstwo pod Aser'Dari nie wytrąciło Boskiemu Cesarzowi oręża z dłoni. Za cenę utraty przeszło połowy własnych sił sprzymierzeni wywalczyli sobie jedynie więcej czasu. Oto bowiem dniem i nocą przez ogromne przestrzenie zmierzały ku nim armie kolejnych prowincji cesarstwa. Yauran miał jeszcze wielu żołnierzy, którzy

gotowi byli oddać życie za Cesarza.

*

— Chłodzący napitek! Rześki jak poranny wiatr, lekki jak puch kolibra!
Chłodzący napitek, tylko dwa miedziaki za kubek!

Alim zatrzymał się, otarł pot z czoła, a potem poprawił paski nosidła, w którym stała ciężka gliniana amfora. Jakiś mężczyzna w białym burnusie podszedł i wcisnął mu do ręki kilka porzniętych kawałków monet. Alim skrzywił się na ich widok, lecz zaraz postawił na ziemi dzban, odczopował go i zaczerpnął złocistego napoju.

Na placu Świątynnym zaczynało robić się tłoczno. Przybyli już rzemieślnicy i drobni kupcy z okolicznych dzielnic, w słońcu stało też bardzo wielu Duzzahów oraz żołnierzy. Z bocznych uliczek co chwila wyłaniały się kolejne grupki. Wkrótce pod pałacowym balkonem tłum zgęstniał na tyle, że nie dało się siedzieć, i osoby, które do tej pory spoczywały na matach, musiały wstać.

Alim krążył po obrzeżach placu, zachęcając do kupowania napitku. Kilka razy zatrzymała go grupka Czerwonych Turbanów, by sprawdzić, czy nie próbuje sprzedawać czystego wina, i choć rozwodniony daktylowy trunek z miętą oraz przyprawami, który Alim sam wymyślił, nie był mocny, ten i ów kręcił na niego nosem, jakby chciał wyciągnąć od ubogiego kupca łąpówkę. Naturalnie, każdy z Czerwonych Turbanów opijał się przy tym łąpczywie, przeciw czemu Alim nie śmiał protestować. Wkrótce w amforze chlupotały już tylko resztki napoju, choć zapłacono mu ledwie za połowę jej zawartości.

Ten skromny zysk i tak był dla Alima znaczący, odkąd bowiem kolejne podatki oraz edykty Duzzahów doprowadziły do zamknięcia Rozbitej Amfory, kupiec ledwo wiązał koniec z końcem. Pieniądze ze sprzedaży szynku były niewielkie i rozeszły się szybko. Wkrótce potem Alim, który jeszcze dwa lata wcześniej był bogatym właścicielem tawerny, zaczął przymierać głodem, wraz z dwiema żonami i piątką małych dzieci. Od świtu do zmierzchu krążył więc po mieście jako wędrowny sprzedawca. Co dzień modlił się do Jedynego, by skromne zyski pozwoliły przygotować kolejną partię napoju oraz kupić parę garści mąki i nieco ryżu. Od ciężkiej pracy i głodu wychudł tak bardzo, że nawet dawni przyjaciele już go nie poznawali.

Wkrótce plac wypełnił się niemal po brzegi. Na balkonie nie było jednak ani jednego sługi, a ludzie nadal przybywali, toteż Alim pomyślał, że może warto byłoby wrócić do domu i napełnić amforę tym, co zostało w kadzi. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że byłoby to zbyt wielkie ryzyko,

ponieważ Czerwone Turbany krążyły teraz po ulicach, zaganiając wszystkich wiernych na plac. Gdyby spostrzeżono go, jak idzie w przeciwnym kierunku, w najlepszym wypadku dostałby kilka razy pałką, w najgorszym zaś stłukliby mu amforę, zniszczyli nosidło, a jego samego zabrali do lochów.

Alim zwalczył pokusę, by ugasić pragnienie resztkami napoju — zamiast tego sprzedał jeszcze półtora kubka i usiadł pod ścianą, by poczekać na kazanie.

Wkrótce na balkon wyszedł Duzzah, który rozpoczął zwykłe, popołudniowe czytanie, a gdy ono dobiegło końca, pojawili się słudzy proroka z mosiężnymi surmami. Ich dźwięczny głos rozbrzmiał nad dachami Tel'Halik, a wkrótce potem oczom zebranych ukazał się sam Vezamar.

Powitała go burza oklasków. W tłumie było wiele Czerwonych Turbanów, a w ciemnych uliczkach stały Jastrzębie Najwyższego, więc zebrani prześcigali się w okazywaniu entuzjazmu. Dopiero gdy sam Vezamar po długiej chwili uciszył tłum, ludzie opuścili obolałe dłonie.

— Ostatnimi czasy słyszę wiele pytań — rzekł gromko prorok.

Alim wiedział, że siłę gardła i głęboki tembr zawdzięcza on długim latom ćwiczeń w madrasie, a mimo to ów głos dziwnie kontrastował z wychudzonym, starczym ciałem Vezamara. Tym bardziej że ostatnio prorok jakby skurczył się. Jego twarz była blada i zmęczona.

— Pytają słudzy w moim pałacu, strażnicy przy jego bramie, kupcy na ulicach. Wiem, że dużo wiernych skrywa wątpliwości. Nie dziwię się. Sam, choć modłę się cały czas do Jedynego, czasem wątpię. Rozumiem tych, którzy boją się porzucić rodzinne domy, oazy, stada i miasto — to samo miasto, które nasi przodkowie z takim trudem wynieśli ponad piaski. Nie wolno jednak zapominać, że wątpliwości to jedynie próba wiary, której poddaje nas Jedyne. Zapytuję więc: czy jesteście gotowi poświęcić dla Niego wszystko? Pójść za Jego głosem w ogień, albo i do samego Marrenvan?

Tu prorok zrobił pauzę, a ukryci w tłumie duchowni zaraz sprowokowali oklaski i krzyki „Jesteśmy, tak, jesteśmy!”.

— Co noc Najwyższy pyta mnie ustami swoich posłańców o to, kiedy ruszymy na spotkanie demonów, kiedy Ocalony Lud dowiedzie swojej wierności. Jak dotąd zwlekaliśmy. Ugrzęźliśmy w potyczkach z bezbożnymi buntownikami w różnych zakątkach Krainy. Dość czekania! Obiecałem Najwyższemu, że najdalej w dwa miesiące wymaszerujemy na wschód. Wszyscy! Każdy zbrojny, każda kobieta, dziecko i starzec. Jeśli bowiem pokonamy demony, czeka nas tam nowa ziemia. Raj, który odziedziczą nasze

wnuki. Nie żałujcie Tel'Halik, bo wspaniałości, które przygotował dla nas Jedyny, nie mogą się równać z niczym, co udało nam się stworzyć tutaj. Powtarzam: nie żałujcie! Tylko bezbożnicy zostaną na tych ziemiach, by już do końca świata błąkać się bez celu wśród pustkowi. Czy ktoś naprawdę może być na tyle szalony, by dołączyć do nich z własnej woli? By wybrać przekleństwo zamiast walki u boku proroka o raj na ziemi? Nie sądzę... A jeśli już, to niech modli się i pości, padł bowiem ofiarą demonicznych podszeptów.

Prorok przerwał na chwilę, by wziąć głębszy oddech.

— Przygotowania do wymarszu muszą przyspieszyć. Zaklinam was! Niech każdy w tych trudnych dniach myśli jedynie o służbie Jedynemu i o wielkim zadaniu, jakie przed nami stanęło. Niech nikt nie wątpi, nie zadaje bezcelowych pytań. Pokażcie wiarę! Niech Bóg będzie z nas dumny. Pracujcie śmiało i bez wahania, a już wkrótce podążymy na wschód: po zbawienie i wieczną chwałę.

Znów rozbrzmiały wiwaty. Alim westchnął, podniósł się i zarzucił na plecy nosidło. Nie czekając na rozrzucanie z balkonu podarków, które ostatnimi czasy były wprost śmiesznie ubogie, poszedł do domu. Kazanie, które miało przełamać ostatnie opory, na Alima podziałało wprost odwrotnie. Kupiecki spryt, szlifowany przez lata, podpowiadał mu, że zwątpienie to nie podszepty demonów, lecz zwykły głos rozsądku. Rozsądku, który burzył się na myśl o tym, by rzucić wszystko i ruszyć w piaski za człowiekiem objawiającym wszystkie oznaki szaleństwa.

*

Minęło pięć dni. Wojska sojuszu rozpoczęły ostrożny odwrót w stronę granic. Maszerowano powoli, by nie zamęczyć żołnierzy, na wypadek gdyby przyszło im jeszcze walczyć. Wróg jednak zniknął — żaden ze zwiadowców nie widział yaurańskich oddziałów w promieniu stu mil.

Kashim w tym czasie mało spał. Dzień i noc rozmyślał nad kolejnym krokiem, przerzucając stare zwoje. Gdy już prawie zdecydował, co robić dalej, niespodziewanie wezwano go na prywatną audiencję u diuka.

Al'Shannagg poszedł tam, nie zwlekając. Zastał Filipa Dobrego spisującego rozkazy dla swoich generałów. Władca natychmiast przyjął Kashima, wyprasząc z namiotu wszystkich dworzan i postronnych świadków.

— Po cóż ta tajemnica, panie?

— Pytasz chyba z grzeczności, bo nie wierzę, byś miał wątpliwości.

Rozmawiać będziemy o rzeczach, których nie powinno słyszeć postronne ucho.

Filip podpisał zamasyście jakiś list, odłożył go do zapieczętowania, po czym wziął następny.

— Jesteś wprawnym szermierzem, Kashimie — rzekł, nie przerywając pracy. — Powiedz mi przeto: co byś uczynił, gdyby przeciwnicy z dwóch stron cię zasłi, a brak miejsca nie pozwalałby uskoczyć lub też zasłonić się przed jednym z nich?

— Trudna rada, panie, bo sytuacja to wielce niebezpieczna. Jednak najlepiej byłoby jednego szybkim ciosem wyłączyć z walki — obalić, rozbroić, zranić. Potem trzeba by szybko pokonać drugiego, by znów skupić uwagę na pierwszym, jeśli ten znowu do walki stanie.

— A nie walczyłyś cały czas z jednym, do czasu gdy go pokonasz?

— Nie, panie. Wtedy cios w plecy jest pewny.

Diuk uśmiechnął się i odłożył gęsie pióro.

— Nie pytam z ciekawości — powiedział. — Chcę po prostu, byś mnie lepiej zrozumiał. Widzisz, opowiedziałeś mi wcześniej sporo o swoim kraju za piaskami. Wiem teraz, że w rzeczywistości władą nim yaurański namiestnik, a inne źródła — nie pytaj jakie — ostrzegały już przed tym, że wojsko twoich rodaków może wziąć udział w inwazji.

— Wiem to, panie. W snach już nieraz widziałem, jak przekraczają pustynię. A snów ludzi o szlachetnej krwi lekceważyć nie wolno, to już dawno Hugin ci dowiódł.

— Rozumiesz więc chyba, do czego dążę?

— Tak. Trzeba powstrzymać yaurańskiego szpiega w Tel’Halik, by Świąte Miasto nie włączyło się do wojny u boku Cesarza.

— Właśnie, przyjacielu... Porażka pod Aser’Dari niewątpliwie odroczy cesarskie plany. Umyślił on sobie inwazję na środek lata, teraz raczej zacznie ją wczesną jesienią. Daje nam to trzy do sześciu miesięcy, potem cesarscy z dwóch stron nas dopadną, a takiej walki z pewnością nie wygramy. Do tego czasu trzeba pokonać twojego proroka. Powiedz, ile zajmie ci powrót do Tel’Halik?

Kashim zamyslił się.

— Gdybym miał — rzekł w końcu — samych jeźdźców i juczne konie zamiast taborów, prawie dwa miesiące forsownej podróży, o ile coś nas nie opóźni po drodze na traktach Marovii lub wśród piasków.

— Samych jeźdźców? Ciężko to będzie zrobić, bośmy koni już na tej

wojnie dużo potracili, ale widzę, że to jedyne wyjście. Powiedz, zdobędziesz Tel'Halik z pięcioma setkami ciężkozbrojnych? Wiem, że to niewiele, lecz słyszałem, że siły twjej krainy w tysiącach, a nie w dziesiątkach czy setkach tysięcy można liczyć.

Kashim pokręcił głową.

— Nie pojedę tam z pięcioma setkami ludzi. Wybacz, panie. Musisz zrozumieć, że jeśli pojawię się na czele armii demonów, jak zwie białoskórych mój lud, wierni będą bronić się do ostatniej kropli krwi, dopóki nie obrócę Świętego Miasta w kupę gruzów. Nie chcę wymordować swojego ludu, panie.

Diuk zmarszczył groźnie brwi.

— Jak więc sobie to wszystko wyobrażasz? Jeśli odmówisz współpracy, będę musiał posłać margrabiego Engirda z jakimś tysiącem ludzi. Myślisz, że okaże się bardziej pobłażliwy dla twych ziomków?

— Nie, panie. Pojadę ja, lecz tylko z Legionem i kilkoma wybranymi rycerzami. Najwyżej sto koni. Grupa będzie nieliczna, lecz silna. Nie będę zdobywał Tel'Halik przemocą, tylko ubiję Bestię i obalę proroka, mieszkańców zaś postaram się obrócić na swoją stronę.

— I sądzisz, że to się uda, pułkowniku? Przecież jesteś tylko żołnierzem.

— Byłem tylko żołnierzem do czasu wyprawy na śnieżne pustkowia. Uwierz mi, diuku, dam sobie radę.

— Dobrze zatem, choć o jednym musisz wiedzieć, Kashimie... Nie dostaniesz Legionu Półksiężycy.

Twarz Al'Shannagga nie drgnęła, lecz jego oczy załśniły groźnie.

— Wybacz, panie, ale to ja ich zbierałem po wszystkich wsiach i zapadłych miasteczkach Gotrlandu. To ja ich przekonywałem do służby, szkoliłem, prowadziłem do walki. W zamian, po tym jak przysłużą się tobie, mieli pomagać mnie.

— Przyjacielu... Przykro mi to mówić, lecz nigdy ci Legionu nie obiecywałem. Nie mogę wypuścić z rąk wszystkich czarodziejów, szczególnie teraz, gdy Legion jest słynny wśród yaurańskich żołnierzy. Ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że ukąśliśmy cesarstwo boleśnie, lecz rana nie była śmiertelna, ani nawet bardzo groźna. Trzy rozbite armie... Cóż to dla kraju, który ma dwadzieścia prowincji, a każda z nich jest wielkości Gotrlandu? Wkrótce nadejdą wojska z dalszych rubieży cesarstwa, a ja muszę się przed nimi obronić.

— Ale ja...

— Tak, tyś ich zbierał, szkolił i tak dalej — władca machnął ręką. — Co nie zmienia faktu, że to wciąż moi poddani. Mają obowiązek wobec Gotrlandu, a nie, wybaczone surowe słowa, banity z dalekiego kraju.

— Lecz co z moją misją? Teraz staje się niemożliwa!

— Musisz zdać się na opiekę bogów, pułkowniku, tak jak wszyscy to zrobiliśmy pod Aser’Dari. Wybierzesz najdalej dwa tuziny żołnierzy Legionu oraz tylu rycerzy, ilu uznasz za konieczne. Może zabrzmi to okrutnie, ale jeżeli nie uda ci się powstrzymać twego szalonego proroka, opóźnij choć jego plany.

Tu diuk ściszył głos i sprawdziwszy, czy nikt nie podsłuchuje pod drzwiami namiotu, mówił dalej:

— Jeśli się nie mylę, ty jako jedyny z oficerów sojuszu wiesz, jaka jest... prawdziwa stawka w wojnie z Cesarzem. Ja też wiem, choć bogowie mi świadkami, że o tę wiedzę nie prosił i wiele goryczy mi ona przyniosła. Rozumiesz więc chyba, że w tak ogromnej walce jedno miasto i jeden lud niewiele się liczą? Cesarz musi być powstrzymany, Kashimie. Nawet za cenę Tel’Halik albo naszego życia, rozumiesz?

Al’Shannagg powoli skinął głową, po czym opuścił namiot. Jeszcze tego wieczoru sporządził do spółki z Brenvanem listę członków wyprawy. Trzy dni potem niemal stu jeźdźców oderwało się od głównej armii, zmierzając prosto na zachód, w stronę granicy Yauranu i Ziemi Środka. Wielu żołnierzy zazdrościło im, że opuszczają wrogie ziemie. Nie wiedzieli jednak, że misja tych jeźdźców była wielokrotnie bardziej szalona niż nękanie Cesarza w jego własnych prowincjach.

Nawet Kashim, który dowodził wyprawą, nie zdawał sobie sprawy z pełni niebezpieczeństw, jakie przed nim stoją. Skąd bowiem mógł wiedzieć, że Cesarz przewidział taki obrót spraw, a do brzegów Ocalonej Krainy właśnie zbliżała się jego flota? I jak mógł przewidzieć, że terror nowego proroka zrodzi armię liczniejszą niż wszystkie znane z historii Tel’Halik?

Tak oto Kashim Al’Shannagg udał się w powrotną podróż, która miała zawieść go wprost w paszczę lwa. I tylko koszarne sny, które dręczyły go coraz częściej, zdradzały, jaki może być koniec jego historii.

*

Jedną z najbardziej zadziwiających rzeczy w Yauranie były cesarskie drogi. Wstęgi tych twardych traktów ciągnęły się przez tysiące mil, od fortecy do fortecy, od miasta do miasta. Trakty łączyły stolice wszystkich prowincji, a znane powiedzenie słusznie stwierdzało, że wszystkie w końcu

zbiegają się w Asar'Aden. Jednak nie tylko długość i doskonała konstrukcja, którą przez lata dopracowywali cesarscy inżynierowie, różniła drogi Yauranu od tych w zachodnich krainach. Trakty Boskiego Cesarstwa miały co pięćdziesiąt mil studnie, które w suchym stepie często musiano drążyć na głębokość przeszło czterdziestu stóp. Co sto mil natomiast stały stacje pocztowe.

W tych dużych domostwach podróżni mogli znaleźć stawę, miejsce do nocnego spoczynku, a także najpotrzebniejsze towary i opiekę medyka. Przede wszystkim zaś w stacjach cesarscy gońcy zmieniali konie na świeże lub zostawiali listy gońcom jadącym w innym kierunku. Choć w każdym większym mieście żyła osoba, która miała w żyłach krew Boskiego Cesarza, przekazywanie wszystkich wieści za pomocą nadprzyrodzonej mocy było niemożliwe. Zresztą korzystanie z daru dla załatwiania spraw pomniejszych urzędów urągałoby godności cesarskiego dziedzictwa. Yauran potrzebował więc doskonale zorganizowanej poczty oraz udogodnień dla gońców. Stacje zapewniały i jedno, i drugie. To właśnie dzięki nim posłaniec, zmieniając co sto mil konie, mógł dotrzeć z Asar'Aden do samej granicy w ledwie trzy tygodnie, podczas gdy zwykli podróżni wędrowali miesiącami.

Mimo oczywistych korzyści, niejeden wyższy urzędnik przebąkiwał czasem, że niektóre stacje są zbędne. Utrzymanie całego systemu kosztowało co roku dziesiątki tysięcy złotych yaunów, co stanowiło liczbę nie do pominięcia nawet w ogromnym budżecie cesarstwa. Krytycy wskazywali, że wiele szlaków jest rzadko uczęszczanych, i tam stacje stoją puste, przyjmując gońców tylko parę razy w roku.

Bywały dni, gdy Dzień, zarządca placówki na Skrzyżowaniu Siedmiu Smoków, marzył, by kierować właśnie taką stacją, odległą, cichą i spokojną. Prawdziwe morze podróżnych przelewało się od wieków przez to skrzyżowanie, ponieważ leżało ono na głównej osi, łączącej Asar'Aden z granicznymi prowincjami. Odkąd te ostatnie zostały najechane przez bluźnierców oraz wrogów Boskiego Cesarza, Dzień przeżywał piekło.

Co dzień napływał z zachodu strumień uchodźców i posłańców. Znalezienie dla wszystkich miejsca graniczyło z cudem, podobnie jak zapewnienie gońcom świeżych koni. Wielu, jadąc z terenów ogarniętych wojną, zostawiało Dzieńowi chabety, do cna zamęczone i wygłodzone. Z braku lepszych zwierząt musiał je potem, gdy nieco wypoczęły, wydawać jako zmienniki, co często kończyło się awanturami. Dzień, który nigdy nie słynął z dobroci ani łagodności, chodził od rana do wieczora wściekły. Cała

służba i wszyscy niewolnicy na stacji mieli już plecy czerwone od jego kija, a jedna ze służebnych dziewcząt rzuciła się ostatnio do studni. Rozjuszyło to zarządcę jeszcze bardziej.

Tego dnia krążył po sali zły jak osa. Miał za sobą kłótnię z cesarskim posłem, wiozącym do Asar'Aden pilne wieści. Nic więc dziwnego, że gdy młodziutka, czarnowłosa służka, chodząc po sali z tacą pełną misek ryżu, potknęła się i wywróciła, Dzień napadł na nią natychmiast:

— Zobacz, coś zrobiła, mała dziwko! — ryknął, okładając niewolnicę kijem. — Siedem porcji zmarnowanych i kto mi za nie zapłaci? Tak się odwdzięczasz za dach nad głową i zaszczyt służby na cesarskiej placówce?

— Aaa... Nie, panie... Nie bijcie, przepraszam... Ja odpracuję... — próbowała mu przerwać.

On jednak wciąż uderzał, wyładowując na niej całą złość. I choć był człowiekiem niewysokim i żyłastym, dziewczyna wkrótce miała rozbitą głowę, a jej ramiona i plecy pokryły się krwiami.

— Do mnie mówisz?! — wrzeszczał. — Do mnie, mała dziwko? Jak będę chciał, tak cię obiję, że mięso ci odejdzie od kości! Jak tylko będę miał kaprys, rozumiesz?

W sali, na poduszkach i przy niziutkich stolikach, siedziało wielu gości. Jednak żaden nawet nie patrzył na służącą, z wyjątkiem gadziego oficera, któremu każda najwyraźniej sprawiała radość. W cesarstwie życie niewolnika znaczyło mniej niż życie muła. Dzień niewątpliwie zatłukłby podwładną, gdyby nie to, że w pewnym momencie głos z dziwnym, obcym akcentem wezwał go:

— Gospodarzu, długo mamy jeszcze czekać na jedzenie? Doprawdy, policzysz się z nią później.

Dzień zdzielił dziewczynę jeszcze raz, po czym odrzucił kij. Podeszedł do gości i rzekł z ukłonem:

— Czym mogę służyć, drodzy przyjaciele? Sam was obsłużę, bo ta mała idiotka i tak pewnie zapomniała, coście zamawiali.

— Ryż z rybą dla wszystkich. I gorący napar z ziół hari — to mówiąc, nieznajomy chwycił coś między palce i uniósł do światła.

— Służę natychmiast i uniżenie! — rzekł Dzień, rozpoznawszy połowę złotego yauna.

Ruszył zaraz na zaplecze. Podróżnych, którzy mieli złoto, witał zawsze szczególnie chętnie, tym bardziej, że przy płaceniu zwykle dawało się ich namówić, by zaokrąglili sumę w górę. Dzieńowi nie przeszkadzało nawet, że

akurat ci goście wyglądali osobliwie — byli białoskórzy, a cała czwórka, mimo gorąca, miała na sobie grube płaszcze. Ludzie o jasnej cerze, choć niepospolicci, nie byli w Yauranie niczym podejrzanym, jako że w ostatnim stuleciu zdobyto wiele granicznych prowincji, obejmując władanie nad miastami białoskórych. I choć ci z początku traktowani byli jak gorszy gatunek cesarskich sług, to po latach część awansowała na ważne stanowiska, a kilku trafiło nawet do Asar'Aden. Dzień uwijał się więc, by zadowolić czworo przyjezdnych, czuł bowiem, że ma przed sobą takie właśnie, bogate osoby.

Tymczasem w głównej sali kilkoro gości obserwowało w zdziwieniu, jak drobna, miedzianowłosa kobieta opuściła trójkę kompanów i uklękła przy służce. Ta próbowała wstać, choć ręce jej drżały i załamywały się, gdy dźwigała na nich ciało. Białoskóra uspokoiła dziewczynę, szepnęła kilka zdań, pogładziła po głowie, a potem pomogła niewolnicy wstać. Wielu gości patrzyło na to wyraźnie zdeglustowanych.

— Ciepłokrwieści! — Sarknął do swojego towarzysza gad. — Ulegają instynktom niczym zwykłe małpy.

— Stawiając się w pozycji dobrego opiekuna, przez kontrast pokazuje, że pan niewolnicy jest opiekunem złym — siwy kupiec pokręcił głową. — Niedopuszczalne, by tak podkopywać autorytet cesarskiego urzędnika.

Miedzianowłosa zajęła z powrotem miejsce, a wkrótce wrócił Dzień, niosąc na tacy parujące czarki z białej porcelany.

— Dziękuję, gospodarzu — rzekł do niego brodac, który był widać przywódcą grupy. — A teraz mamy jeszcze jedną prośbę. Przydałaby się nam czwórka wierzchowców.

— Trudno będzie, wszystkie dobre zwierzęta dostali gońcy...

— Mam więcej złota.

Na te słowa oczy Dzień zapaliły się niczym ogniki. Chwilę potem prowadził już rudą kobietę i szczupłego mężczyznę o szmaragdowych oczach oraz włosach koloru platyny do stajni za głównym budynkiem. Gdy mieli już wejść do środka, od strony stacji przybiegł jeden ze służących zarządcy. Jego mina świadczyła, że stało się coś ważnego.

— Wybaczcie na chwilę — powiedział Dzień, po czym odwrócił się i spytał:

— Czemu mi przeszkadzasz, na wszystkie demony stepów? Nie widzisz, że mam bogatych klientów?

— Panie, przed chwilą przybył goniec — wysapał mężczyzna. —

Przywiózł list z niebieską pieczęcią, od samego generała Ur'Udzri. Ponoć dokładny raport z niedawnej bitwy. Gонец jedzie dalej na południe, a list musi trafić na dwór, do Asar'Aden.

Dzien zdumiał się:

— Niebieska pieczęć?! Natychmiast przygotuj się do drogi, sam zawieziesz ten zwój.

— Ależ panie, jest jeszcze noc i...

— Jesteś głuchy czy głupi?! — Ryknął zdenerwowany zarządca. — A może jedno i drugie? Będziesz jechał dniem i nocą, masz zajeździć tuzin koni, rozumiesz? Ba, sam możesz skonać ze zmęczenia, ale list musi dotrzeć szybciej, niż przyleciałaby do Asar'Aden jaskółka. Tak ważna wieść nie trafia się często — jeśli sprawimy się dobrze, Błogosławiony Cesarz z pewnością to doceni.

— Tak, panie — odparł sługa i pognął do głównego budynku.

— Niebieska pieczęć? — zagadnęła kobieta. — Co to znaczy?

— To list o najwyższym priorytecie. Wcześniej widziałem taki jedynie trzy razy w życiu. Lecz to niechaj was nie kłopotczy, podróżni. Zapraszam do cesarskich stajni.

Wkrótce dwoje białoskórych odkryło, że w budynku, choć istotnie wspaniałym i bardzo przemyślnie zbudowanym, trzymano wierzchowce w opłakanym stanie. Większość miała zapadnięte z głodu i zmęczenia boki, sporo było chorych lub niemal zajeżdżonych. Tylko jeden pełnokrwisty ogier stał w zagrodzie, lecz kulał wyraźnie i miał pęknięte kopyto. Inne zwierzęta były podłymi mieszańcami albo wręcz końmi pociągowymi, w nagłej potrzebie odczepionymi od wozów.

— Wiem, że nie wyglądają za dobrze, ale musicie zrozumieć, że ostatnio co dzień przybywają posłańcy z granicznych prowincji. Zabrali mi już wszystkie silne i zdrowe zwierzęta, dając w zamian te, które udało im się zdobyć na ogarniętych wojną ziemiach. Nie bójcie się jednak, policzę tanio.

Kobieta zmarszczyła się. Spojrzała szybko na wierzchowce, po czym rzekła:

— Wątpię, zarządco, czy znajdę tu choć cztery stworzenia zdadne do jazdy.

— Weźcie je choćby za pół yauna — jęknął Dzien. — Oddam prawie za darmo, by mi owsa nie przeżerały. Tak, zdechną pewnie po kilku dniach drogi, ale przynajmniej jeszcze się na coś przydadzą!

Podróżni nie wyglądali na zainteresowanych, Dzien zaś stracił panowanie

nad nerwami i krzyknął:

— Weźcie je, na tysiiąc sępów! Jestem cesarskim urzędnikiem, nie mam czasu bawić się w rzeźnika i ubijać tych niepotrzebnych bydła! Nie chcecie? Wiecie, czym to pachnie? Wrogim Cesarzowi sabotażem!

Ruda kobieta popatrzyła na towarzysza, pokręciła głową, a potem powiedziała cicho kilka słów. Dzień cofnął się, słysząc złowróżbny, obcy język. Chciał spytać, czy to magia, lecz nie zdążył, czując raptem dziwną lekkość w głowie. Osunął się na ziemię i stracił przytomność.

W odległym Asar'Aden Cesarz drgnął w sali medytacyjnej. Oto wreszcie wyczuł ślad, którego tak dawno szukał. I — co ważniejsze — ślad był już na jego ziemiach. Wciąż jeszcze bardzo daleko od stolicy, ale zarazem zdecydowanie za blisko.

*

Pierwszą rzeczą, którą Dzień poczuł, gdy zaczęła mu wracać świadomość, był wiatr: uderzał mu w twarz, targał włosy, chłodnym dotykiem omiatał spocony kark. Potem urzędnik zdał sobie sprawę, że biegnie gościńcem. Była noc, tylko gwiazdy oświetlały brukowaną drogę. Co robię na trakcie? I to po zmroku? — zastanowił się Dzień, lecz w głowie miał jedynie dziwny szum. Nogi paliły go, w piersi czuł klucie. Zwolnił więc, by zaczerpnąć oddechu. W tym momencie usłyszał nad głową krzyk:

— Dalej, dalej! — Po czym dwa ostre przedmioty wpiły się głęboko w jego boki, wytaczając z nich krew.

Dzień zawył (głos, który dobył się z jego gardła, brzmiał bardzo dziwnie), a chwilę potem ból uderzył jeszcze raz. Przyspieszył. Teraz wiedział już, że biegnie na czworaka, a właściwie na czterech nogach! Ich stuk na trakcie przypominał do złudzenia łomot końskich kopyt. I wtedy w jednym straszliwym przebłysku zarządca uświadomił sobie, co to wszystko znaczy. Krzyknął i spróbował wykręcić głowę, by zobaczyć jeźdźca na swoich plecach, lecz odpowiedziało mu tylko kolejne ukłucie ostróg.

Trakt płynął pod Dzieńem jak bystra rzeka. Mięśnie bolały, gęsty stuk podków wbijał się w jego głowę niczym żelazny gwóźdź, piana zbierała mu się w ustach. Jeździec zaś nie znał litości, nie dawał ani chwili wytchnienia. Przerazenie narastało coraz bardziej, bo Dzień, choć z trudem przychodziło mu myślenie, wiedział, że nie wytrzyma długo morderczego tępa. Zaczął więc się modlić. Pędząc przez mrok, modlił się do szybkonogiego boga koni, by goniec, któremu wcześniej rozkazał zajeździć wierzchowca, nie zrozumiał tego polecenia zbyt dosłownie.

Rozdział 9. Ludzie równin, ludzie piasków

Stu jeźdźców mknęło przez kolejne krainy tak szybko, jakby ścigały ich demony. Al'Shannagg, mimo oporów rycerzy, wyruszał zawsze bladym świtem i nie zezwalał na postoje przed zmierzchem, nie zatrzymywano się też w miastach ani gospodach. Wszystkie zapasy wyprawy były załadowane na juczne konie, więc dziennie jeźdźcy pokonywali nawet dwieście farsangów. W osiem dni wrócili do yaurańskich granic, w jedenaście przemierzyli cały Gotrland, a potem wyjechali na rozległe równiny Learfeld.

Podróźni budzili wszędzie zaciekawienie, byli bowiem pierwszymi weteranami bitwy pod Aser'Dari, jacy wrócili z cesarstwa. Stanowili kompanię dziwną i mieszaną: oprócz niemal trzydziestu rycerzy był w niej tuzin czarodziejów oraz zbrojni z różnych chorągwi, wybrani ze względu na waleczność w niedawnym starciu — dwa tuziny darmburskich mieczników, szesnastu pikinierów z Pavii oraz dwudziestu wybornych kuszników.

Tempo podróży bardzo męczyło ludzi, szczególnie szlachetnie urodzonych. Nie przywykli do takiego wysiłku, do rannych pobudek i braku sług, choć Brenvan wybrał najsilniejszych i najmłodszych, głównie kawalerów ze swojego bractwa oraz ubogich zaściankowych szlachciców, dla których wyprawa do egzotycznej krainy i obiecane nagrody były szansą na odmianę losu.

Pięć osób odłączyło się jeszcze w Gotrlandzie. Kolejnych sześć stracili za sprawą urazów i chorób; kompania nie mogła zwolnić, więc dotkniętych nimi ludzi zostawiano w miastach po drodze.

Kłopoty sprawiały też konie, bo wiele okulało, a ich ceny w Ziemiach Środka wzrosły ostatnio niebotycznie. Co prawda diuk uposażył Kashima szczodrze, w większości złotem, które zdobyto w yaurańskim obozie, jednak Brenvan z Al'Shannaggiem zaczęli martwić się, czy pieniędzy starczy na wszystkie potrzeby.

Po dwóch tygodniach i Learfeld zostało z tyłu. Mimo próśb Kashim nie zgodził się zajeżdżać do Caerleighmarch. Brenvan najął więc gońca, by opowiedział w zamku ze szczegółami o wiktorii, o smutnej śmierci Gwidona i Swayna oraz o sławie, jaka przypadła rodzinie. Kiedy kompania minęła

twierdzą Hyungwydd, wokół zamiast pól, poprzecinanych rzeczkami oraz pasami drzew, zaczął się maroviański bór.

Wyprawa wjechała na kupiecki trakt. Al'Shannagg z żalem żegnał krainy, które zostawiali za sobą. Przeżył tu wiele wspaniałych chwil, widział rzeczy, o jakich wcześniej nie śnił, zdobył wiedzę, której mogli pozazdrościć mu Duzzahowie. I choć nie zawsze rozumiał i nie zawsze pochwalał białoskórych, a wśród wspomnień były i bolesne, wiedział, że będzie tęsknił do Ziemi Środka. A miał przecucie, że opuszcza je na zawsze.

Z drugiej strony serce mu drżało na myśl, że wkrótce zobaczy Piaskową Iglicę, strzelającą dumnie w górę spomiędzy wydm.

W drodze Kashim często rozmawiał z Brenvanem o tym, co uczynią, gdy znajdą się już w Tel'Halik. Były to jednak rozmowy jałowe. Konkretny plan nie mógł powstać, póki nie znali sytuacji w Świętym Mieście. Przez niemal półtora roku, jakie upłynęło od wygnania Kashima, mogło tam zdarzyć się wszystko. I choć sny Al'Shannagga zawierały pewne wskazówki, to nie wiedzieli, jaki stopień mobilizacji osiągnie lud Ocalonej Krainy, na ilu sojuszników przyjdzie im liczyć w Tel'Halik, a ilu wrogów stanie przeciw nim.

Brenvan coraz częściej myślał o tym, jak wiele okoliczności działało przeciwko nim. Sttu zbrojnych było siłą na tyle kruchą, że dowolny splot niefortunnych zdarzeń mógł obrócić ją w perzynę. Al'Shannagg jednak nie wydawał się zmartwiony. Spędzał czas na medytacjach oraz badaniu świętych pism, zupełnie jakby to w nich, a nie w sile własnego oddziały, upatrywał rozwiązania.

*

Pomarszczona dłoń Mazznara drgnęła. Z czarki, którą trzymał, uciekło kilka kropel. Ktoś szedł po dachu jego willi! W nocnej ciszy, wśród delikatnej pieśni wiatru i odgłosów cykad, wyraźnie słyszał kroki, tuż nad swoją głową. Mimo wieku nie stracił wyśmienitego słuchu, a od czasu, gdy Vezamar objął urząd proroka, ten zmysł wręcz mu się wyostrzył. W dzień i w nocy Mazznar podsłuchiwał pałacowe rozmowy albo próbował złowić uchem stąpanie zabójców, których wciąż się spodziewał.

Dzisiaj to mogli być oni. Może wreszcie Vezamar uznał, że trzeba zgładzić dawnych członków triumwiratu? Że wpływy, jakie wciąż mieli wśród duchownych, były zbyt wielkie? A może to jedna z rodzin, którym Mazznar skonfiskował majątek, by napełnić szkatułę pałacu, postanowiła dokonać zemsty? Stary Duzzah miał się czego obawiać. Nie uciekał jednak

ani nie wzywał ochrony, wiedział bowiem, że może to być również tajny poseł. Spodziewał się go, odkąd wysłał do paszy Asimara list z propozycją współpracy.

Mazznar zamierzał zdradzić proroka. O ile terror był dla niego rzeczą konieczną — narzędziem medyka, które wycięło wreszcie chorą tkankę Tel’Halik — o tyle opuszczenie miasta za sprawą wizji jednego człowieka było dla Duzzaha nie do pomyślenia. Wiedział, że jest jeszcze jedna osoba, która wciąż ma wpływ na sytuację: pasza Asimar kierujący drugą, po armii Al’Ghaziego, zbrojną siłą Ocalonej Krainy. Plotki mówiły, że pasza jest słaby, chory i nie ma ochoty mieszać się już w politykę. Mazznar wiedział jednak od własnych szpiegów, że czyny paszy przeczą pozorom, które stwarzał. Działania, które nakazywał swoim Jeźdźcom oraz agentom, były dość energiczne, jak na kogoś, kto miał leżeć na łożu śmierci. Duzzah napisał więc list, a teraz oczekiwał odpowiedzi.

Kto dziś przyszedł? Zabójca czy poseł?

Tymczasem kroki ucichły na krawędzi dachu, ale po chwili jakiś kształt przesłonił gwiazdy za oknem. Mazznar drgnął.

— Witaj! Spodziewałem się ciebie — rzekł.

Wyteżając wzrok, by dostrzec więcej szczegółów, poczuł muśnięcie strachu. Postać, która wskoczyła miękko do komnaty, była ogromna i barczysta. Ktoś tak wielki nie mógłby z pewnością służyć za posłańca, zbyt przyciągał uwagę. W bladym świetle kaganka Mazznar spostrzegł szczegóły ubioru nieznanego.

— Niech Jedyńy mnie chroni... — jęknął.

— Widzę, że jednak to nie mnie się spodziewałeś — zadrwił złym głosem Lammadz, Miecz Najwyższego. — Ale cóż to? Widzę, że markotniejesz. Czy nie cieszy cię, Mazznarze, subtelna ironia tej chwili? Pamiętasz, jak przed ledwie kilkunastoma miesiącami, podczas Święta Wstąpienia, opracowywałeś dla mnie i moich Jastrzębi listy ludzi, których mieliśmy odwiedzić przed wybraniem nowego proroka? Dziś tobie składam wizytę. Historia kołem się toczy, nieprawdaż? Jest jednak pewna różnica. Tamtych odwiedzaliśmy, by wyeliminować ich szybko, cicho i bezboleśnie. Twoja śmierć będzie bardzo bolesna, zdrajco.

Mazznar w odruchu desperacji poderwał się i zaczerpnął powietrza, by wezwać służbę. Jednak Lammadz, za pomocą daru, dopadł go w mgnieniu oka i zacisnął na gardle Duzzaha ogromne, żelazne dłonie.

Teraz Mazznar miał tuż przed oczyma jego ospowatą, wykrzywioną w

okrutnym grymasie twarzy.

— Czy naprawdę myślałeś, że twoje pismo do paszy przejdzie mimo oczu moich Jastrzębi? — Kropelki śliny Lammadza padły Duzzahowi na twarz. — Przecież musiałeś się domyślać, że cały czas obserwujemy to, co dzieje się w Um'Magar. Że szukamy dowodów, by rozwiązać Świętych Jeźdźców i pozbyć się butnego Asimara. Właśnie nam takiego dostarczyłeś, Duzzahu, co wcale nie umniejsza twej winy wobec proroka i Jedynego. Czekają cię wszystkie tortury, jakim poddawano zamachowców, którzy podnieśli rękę na Vezamara!

Mazznar czuł, że ze strachu pęknie mu zaraz serce. Darcie pasów, miażdżenie palców, skrzynia z głodnymi szczurami, tłoczenie do odbytu roztopionego ołowiu — takie kary miał na myśli Jastrzęb.

— Najpierw jednak, Mazznarze, masz okazję przysłużyć się prorokowi po raz ostatni. Kto wie, może wtedy skręcę ci po prostu kark i powiem, że stawiałeś opór podczas zatrzymania? Więc jak będzie? — To mówiąc, zwolnił uścisk na tyle, by Duzzah mógł mówić.

— Słucham cię, Lammadzu — głos Mazznara postarzał się i zmatowiał, zupełnie jakby jego właścicielowi przybyło nagle dwadzieścia lat.

— Opowiesz wszystko, co wiesz o paszy oraz jego planach. To, czego dowiedziałeś się od własnych szpiegów. Wyjawisz też nazwiska osób, przez które chciałeś się z nim skontaktować.

Duzzah skinął głową. Chwilę potem ściany jego pracowni były świadkami najzarliwszej spowiedzi, jakiej dokonał w życiu. Była to zarazem spowiedź ostatnia.

*

Gęste i tajemnicze bory Marovii pochłonęły ludzi Kashima na wiele dni. Dla nich ta kraina była tajemniczym, odległym krańcem świata. Bojaźliwie patrzyli na niekończący się las, a w nocy nie mogli zasnąć, dręczeni dziwnymi odgłosami, jakie dochodziły z puszczy. Kolejne cztery osoby zawróciły do domu. Wojenna ekspedycja, którą Brenvan, zgodnie z własnym przekonaniem, że każde rycerskie przedsięwzięcie musi mieć nazwę, ochrzcił Marszem Stu, stała się już ledwie Marszem Osiemdziesięciu.

Nie był to jedyny kłopot. Kolejnym okazała się zamiana wierzchowców na saury, na co nalegał Kashim, wtedy bowiem wyprawa mogła liczyć na pokonanie pustyni znacznie szybciej i z mniejszym zapasem wody. Ludzie jednak protestowali. Tylko kilku rycerzy siedziało kiedykolwiek w siodle gada, inni albo uznawali te stwory za niegodne jazdy wierzchem albo wręcz

się ich bali. Kiedy Al'Shannagg oraz Brenvan z trudem przełamali te opory, okazało się, że saurów może nie starczyć dla wszystkich. Co prawda skupowali je w każdej wiosce i w każdym miasteczku od granic Learfeld, jednak w momencie gdy dotarli do grodu na jeziorze, gdzie na tronie wciąż zasiadał Sverk Krzepki, mieli tylko trzydzieści sztuk. Władca zaś, choć powitał ich gościnnie, mógł im zapewnić ledwie drugie tyle.

W mieszanej grupie przewaga prędkości, jaką dawały saury, byłaby stracona. Nic dziwnego, że Kashim spochmurniał i rozważał nawet poświęcenie kilku dni na objazd dalszych osad. Na szczęście nie było to potrzebne, ponieważ w wioskach bliższych pustyni nabyli resztę brakujących zwierząt.

Wreszcie, ponad miesiąc od opuszczenia armii, wyprawa przekroczyła graniczną rzekę, a potem zapuściła się w step, który z mili na milę rzedł i świecił coraz rozleglejszymi plackami piaszczystych łąsin. Ludzi było teraz mniej, ale ci, co zostali, przywykli już do trudów drogi, zżyli się i nauczyli słuchać rozkazów obcokrajowca.

Gdy dotarli na pierwsze wydmy, Al'Shannagg nakazał krótki postój. Pożegnał wzrokiem znikające na wschodzie Ziemie Środka. Potem zwrócił się na zachód, w stronę bezkresnych piasków i kolebki swojego ludu, uklęknął i modlił się długo. Brenvan zaś ostrzegł podwładnych, że czeka ich trzytygodniowe piekło drogi przez pustynię, a potem znajdą się na terenie wroga, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc.

*

Ezih spojrzał na swoje spracowane dłonie, przejechał opuszkami palców po stwardniałej skórze, po bliznach i odciskach. Nigdy nie był leniem. W warsztacie dziadka siedział od świtu do nocy, gdy zaszła taka potrzeba. Jednak czym innym były zajęcia przy garncarskim kole, a czym innym katorżnicza praca, do której Duzzahowie zmuszali ostatnio uczniów madrasy.

Kiedy zaczęto ich przygotowywać do zbrojnej walki, Ezih potrafił to jeszcze wytrzymać. Treningi z włócznią stawały się coraz bardziej męczące, a nauczyciele krzykliwi i agresywni, ale wielu chłopców podniecała myśl, że zostaną prawdziwymi wojownikami. Dla Ezih'a jednak, równie młodego jak oni, lecz rozsądniejszego, wizja małych chłopców z tępymi włóczniami, którzy atakują demony w Marrenvan, była groteskowa.

Wkrótce nauczyciele, oprócz długich lekcji i treningów, dodali uczniom jeszcze jedno zajęcia. Całe przedpołudnie musieli pracować w warsztatach, które produkowały wozy dla Pałacu Proroka. Dźwigali ciężkie kawały

drewna, cięli deski, wbijali tępe hufnale. Prorok potrzebował wozów, które mogłyby wywieźć cały lud Ocalonej Krainy wraz z dobytkiem na wschód, poza piaski; tysiące wozów! By zyskać tyle rzadkiego surowca, rekwirowano meble i drzwi bogatszych domów, wycinano owocowe sady. Zagajniki nad Shaprut, mimo desperackiej walki tamtejszych rebeliantów, wykarczowano całkowicie. Chłopcy ze szkoły pomagali robotnikom przerabiać te fragmenty drewna na wozy o szerokich kołach, zdolne do pokonania pustyni. Wynagradzano ich krzykiem i razami bata, bo nadzorcy bali się gniewu proroka, rywalizując ze sobą o to, ile wozów sporządzi czyja ekipa.

Jednak nie tylko praca sprawiała, że chłopcy byli markotni i wiecznie smutni. Zmęczeniu ciała towarzyszyło znużenie oraz niepewność ducha. Sieroty z madrasy czuły ten sam strach, który wymalowany był na twarzach wielu mieszkańców Świętego Miasta. Wszyscy mieli porzucić swój dom, dom dany przez Boga. W zamian czekał ich niepewny los tułaczy, a potem walka z demonami na ich własnej ziemi. Dla wielu osób exodus zarządzony przez Vezamara oznaczał praktycznie koniec świata, ich życie bowiem miało zostać całkowicie odmienione, a wszystko, co dotąd budowali i w co wierzyli, okazywało się nieważne. Wielu ludzi nie wytrzymało tego i choć Czerwone Turbany dusiły w zarodku załączki buntu, a nawet zwykłe plotki, powszechnie wiadano, że liczba osób, które odbierały sobie życie, wzrosła w ostatnich miesiącach drastycznie.

Nie ominęło to także madrasy Eziha. Ledwie trzy dni temu jeden ze starszych chłopców, niejaki Ihmir, powiesił się w składziku za kuchnią. Duzzahowie ze szkoły stwierdzili, że przyczyną było opętanie, jednak uczniowie wiedzieli swoje. Wielu z nich nosiło się z myślą, by pójść w ślady Ihmira, bo grzech samobójstwa wydawał się lżejszy od codziennej katorgi, której uwięzieniem miała być podróż za życia do samego piekła.

To zmęczenie i zły nastrój odbiły się na nocnych spotkaniach, które chłopcy zwoływali coraz rzadziej. Wielu wołało dodatkową godzinę snu od wysłuchiwania bajek Eziha.

Tak było i dzisiaj. Gdy dozorca przestał już krążyć po korytarzach i zasnął gdzieś, do sypialni przywędrowało ledwie jedenastu chłopców. Razem z tymi, którzy jeszcze w niej nie spali, dawało to tylko dwadzieścia trzy pary uszu. Czekano chwilę, czy nie zjawi się ktoś jeszcze. Ezih siedział pod ścianą, w zamyśleniu oglądając dłonie. Wreszcie ktoś zniecierpliwiał się i powiedział:

— Zaczynamy już, Ezihu. Jutro o świcie pognają nas do warsztatów, nie

możemy czekać na spóźnialskich.

— Rozumiem cię, Medibie. Chciałem, żeby przyszli wszyscy, bo na dzisiaj mam ważną, ciekawą opowieść.

— Wszystkie twoje opowieści są ciekawe — rzekł ktoś. — A spóźnialskich gryzą psy.

— Dobrze — powiedział Ezih i spojrzał po zmęczonych twarzach chłopców.

Następnie chrząknął i zaczął swoją historię:

— Dawno, dawno temu żyło sobie dwóch grzesznych i chciwych Duzzahów.

W oryginalnej historii byli to kupcy, lecz Ezih umiał już zmieniać opowieści dziadka, by dopasować je do sytuacji i nastroju słuchaczy. Tych słuchaczy, z plecami sinymi od razów duchownych, z pewnością nic tak nie cieszyło, jak grzeszny i chciwy Duzzah.

— Wiele w swym życiu dokonali występków, ale że wszystko działo się w sekrecie, mieli wśród ludzi opinię dobrych i uczciwych. I stało się tak raz, że prorok mianował ich nadzorcami budowy nowej świątyni. Duzzahowie zaś popełnili najgorszy z dotychczasowych grzechów — okradli samego Boga. Zabrali część materiałów, by wznieść z nich własne wille. Jedyny, zgorszony ich chciwością, postanowił wymierzyć karę.

Następnego dnia o poranku Duzzahowie spotkali się. Byli bladzi i niewyspani. „Przyszedłem do ciebie, bo stała się rzecz straszna — rzekł pierwszy. — Jedyny ukazał mi się ubiegłej nocy i powiedział, że za wszystkie grzechy przemieni mnie w parszywego psa! ”. „O, my nieszczęśni! — rzekł drugi. — I mnie nawiedził Jedyny. Powiedział, że nie miną trzy dni, a zmienię się w nędznego robaka! ”.

Siedzieli więc cały dzień i dumali nad tym, co ich czeka, aż w końcu drugi Duzzah rzekł: „Jedno wszelako zdaje się niesprawiedliwe. Nasze grzechy były równe, a ja otrzymałem gorszą karę. Pies bowiem przynajmniej ma cztery łapy i wolność, może pójść, gdzie chce, i robić, co chce. Ja zaś będę taplał się ciągle w jednej kałuży gnoju”. Pierwszy Duzzah przytaknął, a drugi, namyśliwszy się, rzekł: „Posłuchaj mnie, przyjacielu. Proszę cię o ostatnią przysługę. Nie zniosę życia w takim upodleniu, a sam, będąc bezrękim i beznogim robakiem, nie będę go mógł sobie odebrać. Błagam cię więc: jeśli stanie się tak, że ty będziesz psem, a ja robakiem, odnajdź mnie i zgnieć pod swoją łapą. Przysięgnij, że zrobisz to, cokolwiek się wydarzy”. „Dobrze — odparł mu pierwszy. — Przysięgam, że jeśli istotnie Jedyny

ukarze nas tak srogo, zrobię, o co mnie prosisz”.

Minęły dwa dni, które Duzzahowie spędzili w wielkim strachu.

I oto nocą przemienili się w zwierzęta, zgodnie z karą Boga — jeden w psa, drugi w robaka. Duzzaha, który został psem, wygnano zaraz na ulicę, był bowiem parchaty i łysiejący. Duzzah, który został robakiem, gdzieś zaginął. Mijały dni i noce. Pierwszy Duzzah walczył z chorobą, bólem i głodem, postanowił jednak wypełnić swoje zobowiązanie. Przeczesał brudne zaułki Świętego Miasta. Jako że nie wiedział, czy jego przyjaciel się wyróżnia, na wszelki wypadek rozgniatał wszystkie napotkane robaki.

Po długich tygodniach pies stracił rachubę zabitych glist. Wtedy zaś stało się coś niespodziewanego: w kałuży gnoju w najbiedniejszej dzielnicy spotkał taką, która do niego przemówiła. „Witaj, przyjacielu — rzekł robak. — To ja! Cieszę się, że mnie odnalazłeś, ale chciałem cię prosić, byś poniechał zadania. Przez długie tygodnie przywykłem do tej postaci. Nie jest mi zimno, nie cierpię głodu, trwam sobie spokojnie i nikt mnie nie niepokoi. Chcę żyć, nawet w tak podłej skórce!”.

Pies odparł jednak: „Przysiągłem, że skrócę twoje cierpienia bez względu na wszystko. Tak też się stanie, bo nie wiem, czy mówisz teraz prawdę, czy też strach zaćmił twój umysł”. Następnie rozgniół robaka łapą, jak wszystkie poprzednie.

Ezih zrobił pauzę, a po chwili dodał:

— No i co wynika z tej historii, przyjaciele?

— Dziwna opowieść. Nie wiem — odparł skrzywiony Udżir. — Ale być robakiem to straszna ohyda!

— A ja chyba go rozumiem — powiedział Medib. — Są rzeczy, które z zewnątrz wydają się okropne, ale potem się takie nie okazują. Jak wiedźma, do której kiedyś zabrał mnie wujek, by wyleczyć chorą nogę.

— Właśnie — rzekł Ezih. — Nie sądźcie więc przed czasem, jak zrobił to Ihmir. Nikt nie wie, co się zdarzy, gdy już opuścimy Tel’Halik. Jak będziemy żyć i co nas spotka. I tym dzisiaj zakończymy. Jestem tak samo zmęczony jak wy, a pora już późna.

Tym razem nie było śmiechów ani cichych kłaśnieć, chłopcy byli zbyt zmęczeni, a opowieść za bardzo ponura. Jednak po błysku w ich oczach, po wyprostowanych sylwetkach, Ezih poznał, że historia do nich dotarła.

Wkrótce się pożegnali, wnuk garncarza zaś, leżąc na twardym sienniku, rozmyślał o dalszym losie swoim i przyjaciół. Przypowieść, którą wygłosił im przed chwilą, była jedną z tych, które nie za bardzo lubił. Poza tym sam

czuł podobny strach przed przyszłością. Był jednak zdeterminowany, aby uchronić młodszych i starszych braci przed śmiercią oraz desperacją, wierzył bowiem, że nadejdzie pomoc: jego dziadek opowie Jedynemu o wszystkich niesprawiedliwościach Tel'Halik, a ten zdecyduje się działać. A wtedy Ezih i reszta chłopców będą mogli wreszcie pokazać, kim są naprawdę, jak najmłodszy syn z historii o braciach i rozbójnikach, którą dawno temu opowiedział mu dziadek.

*

Droga przez pustynię nie była lekka. Właśnie zaczęło się lato. Słoneczny żar sprawiał, że ludzi oblewały siódme poty, a piasek świecił jasno niczym żelazo dobyte z pieca i w podobny sposób parzył łapy gadów. Trasa, którą obrali, nie wiodła na szczęście przez Martwe Piaski, lecz nawet zwykłe pustkowia było dla białoskórych prawdziwym piekłem. Brenvan, pomny buntów w trakcie dawnej wyprawy von Dellera, dodawał im otuchy, opowiadając przy ognisku historie o bogactwach Tel'Halik oraz pięknie tamtejszych kobiet, choć nigdy nawet nie postawił nogi w Świętym Mieście. Kashim często hamował go w tych opowieściach, lecz zazwyczaj więcej uwagi poświęcał medytacjom i pisaniu niż nastrojom kompanii. Jakaś niewypowiedziana groźba kładła się długim cieniem na jego myślach. I nie chodziło tu bynajmniej o sytuację w Tel'Halik czy powodzenie wyprawy, lecz o niebezpieczeństwo, którego nie potrafił wskazać ani opisać.

Minęły kolejne dwa tygodnie. W tym czasie padło parę saurów, a kilkunastu podróżników nabawiło się oparzeń i bolesnych odcisków od jazdy w przepoconym ubraniu. Jeden z rycerzy umarł, prawdopodobnie powalił go udar słoneczny. Żar był tak straszliwy, że popsuło się nawet kilka kuszy, bowiem żywice i klej z kości, którymi łączono ich kompozytowe łuczyska, rozmiękły na słońcu.

Wkrótce Al'Shannagg zorientował się, że wyprawa musi zbliżać się już do zamieszkanym ziem, gdzieś na północ od Ostatniej Oazy. Tu mogli się spodziewać, że spotkają nomadów lub daleki patrol Świętych Jeźdźców, jechali więc w bojowym rynsztunku. Rycerze nałożyli kolczugi, choć w tych warunkach były wyjątkowym utrapieniem. Zwiadowcy uważnie patrzyli na boki, a bystry wzrok gedialańskich kuszników miał zapewnić, że nie wpadną niespodziewanie na wroga, jak to było z ludźmi von Dellera.

Szesnastego dnia napotkano pierwszego człowieka. Stał ze swoim saurem na szczycie wydmy, daleko przed jeźdźcami.

— Spójrz tam, Kashimie. — Brenvan wyrwał towarzysza z zamyślenia i

wskazał postać pancerną rękawicą. — Kto to może być?

Al'Shannagg przymrużył oczy, osłaniając je przed słońcem.

— Z tego, co widzę, jakiś nomada — odparł. — Może zwiadowca plemienia, które jest gdzieś w pobliżu.

— Może podgonić do niego i wypytać o nowiny? Z pewnością wie choć trochę o zdarzeniach, które nastąpiły po twoim wyjeździe...

— Nie — Kashim pokręcił głową. — Zmęczysz tylko saura, a on niewątpliwie ucieknie. Spójrz, jak się na nas gapi — cała karawana demonów, jadąca ze wschodu, prosto z Marrenvan. Musimy go przerażać.

Jednak mężczyzna, mimo zapowiedzi Al'Shannagga, nie uciekł. Wkrótce zbliżyli się do niego na tyle, by rozpoznać twarz. Okazało się wtedy, że to istotnie nomada — i że pochod demonów nie robi na nim wrażenia. Stał dalej na wydmy, wprost na ich drodze. Członkowie wyprawy obserwowali go z ciekawością, szepcząc coś między sobą. Nawet Kashim był zaintrygowany i przyspieszył nieznacznie kroku wierzchowca.

Gdy znaleźli się już u podnóża wydmy, nomada krzyknął:

— Witaj, Kashimie Al'Shannaggu, synu bogów, ty co przychodzisz spoza piasków. Kazano mi cię oczekiwać tego dnia, w tym właśnie miejscu.

— Kim jesteś? — spytał Kashim mimo zdziwienia. — Kto ci kazał?

— Jej wysokość Miidża, kwiecista pani, królowa pustyni. Wita cię na swoich ziemiach i zaprasza w gościnę.

*

Kije uderzały coraz szybciej, a ich rytm, z początku regularny, teraz załamał się, jak rytm galerników, których nieustępliwy bęben nadzorcy zmusił do pracy ponad siły. Walczący chłopcy uderzali coraz mocniej, a po ich minach można było poznać, że oto przekroczona została linia, która oddziela trening od prawdziwej walki. Duzzah, który śledził scenę z okna szkoły, w milczeniu obserwował gorączkową wymianę ciosów. Dopiero po dłuższej chwili wrócił do poprzedniego zajęcia, czyli przeglądania kilku kart chaotycznych notatek.

— Przepraszamy, o mądry — rozległ się głos za jego plecami. — Nasz człowiek starał się zapisywać wiernie, ale z korytarza nie wszystko było słychać. Stąd opowieści są niekompletne i...

— To nie ma znaczenia — przerwał Duzzah. — Tyle mi wystarczy.

— Więc jaka jest twoja opinia? Przyznam, że z początku planowaliśmy małego wychłostać i dzień przetrzymać w dybach na podwórku, ale mistrz Tekimdżar słusznie zauważył, iż te wywrotowe historie mogą być znacznie

cięższym grzechem, niż nam się zdaje.

— Który to?

— Mistrz Tekimdżar?

— Nie, który to chłopiec.

Jeden z nauczycieli zbliżył się do okna. Wyciągnął rękę ponad ramieniem uczonego i wskazał siedzącą w rogu dziedzińca niedużą postać. Malec rysował coś patykiem na piasku. Uczony zmrużył jedyne oko.

Chłopiec różnił się od pozostałych. Jeśli istotnie dusza człowieka składała się z żywiołów, jak twierdzili niektórzy heretycy filozofowie, to w nim był spokój wodnej toni i subtelność rzecznych fal, podczas gdy jego rówieśnicy emanowali żywotnością i ciężarem ziemi.

Przez krótką chwilę uczony miał wrażenie, że w posturze skulonego wyrostka widać jednak jakiś dziwny majestat, a w spojrzeniu ukrytą mądrość. W nagłym przeblysku zdało mu się, że oto chłopiec siedzi na podwyższeniu Pierwszej Świątyni, rozsądzając ważką sprawę, którą przedstawiają mu Duzzahowie. Ten obraz znikł zaraz, pozostawiając Duzzaha w niepewności, czy była to jego wyobraźnia, czy też na okamgnienie dane mu było spojrzeć za kurtynę przyszłości.

— Panie? — odezwał się głos z tyłu.

— Muszę z przykrością stwierdzić, że myliliście się, przyjaciele — odparł. — To historie znikomej szkodliwości, ludowe bajki, rozpowszechnione wśród wieśniaków znad Shaprut, skąd wywodzi się wielu rzemieślników Szarego Stoku. Nie sądzę, by te proste bajania mogły podkopać w waszych uczniach zaufanie do Duzzahów. Powiem nawet więcej: z pewnością je wzmocnią. Powiedzcie bowiem szczerze: czy uważacie, że mężowie Księgi są źli, obłudni, głupi i przekupni?

— Ależ nie!

— Więc dlaczego sądzicie, że to właśnie wy jesteście złymi postaciami z tych bajek?

Zimne spojrzenie Duzzaha przeszło nauczyciela na wskroś.

— My... My chcieliśmy tylko...

— Walcząc z tymi historiami, udowodnicie, że macie się czego bać; że one was demaskują. Znacznie lepiej po prostu przymknąć na nie oko. Przecież żaden z tych młodych, niewinnych chłopców nie mógłby zostać wrogiem proroka, skoro pobierali nauki w tak zacnej szkole. Powtarzam więc: zapomnijcie o opowieściach.

— A chłopiec, panie?

— Sądę, że wystarczy przetrzymać go trzy dni w ciemnicy, za to, że nie przestrzega nocnej ciszy i wprowadza chaos w dormitorium.

Nauczyciele naradzali się chwilę między sobą, aż wreszcie najstarszy rzekł:

— Dobrze, że cię wezwaliśmy, Muddo Al'Iarnaku. Jak zwykle, mówisz mądrze.

Duzzah skłonił się z uśmiechem. Miał już odejść, gdy okrzyk bólu przyciągnął go z powrotem do okna. Spozrzegł, że walka chłopców trwa dalej, choć obaj byli już mocno obtłuczeni.

— Nie powinniście tego przerwać?

— Mistrz Al'Zini nadzoruje wojskowy trening. Rozdzielili ich wtedy, kiedy uzna za stosowne.

W tym momencie drugi nauczyciel zdecydował się wtrącić:

— Furia tych chłopców może cię dziwić, o uczony przyjacielu, wiedz jednak, że to nic niezwykłego. Całe dnie spędzają na pracy, poddani surowej dyscyplinie, a ujście emocjom mogą dać dopiero przy ćwiczeniach z kijem. Stąd ich brutalność, która Al'Ziniego bynajmniej nie smuci. Mówi, że dzięki temu wyrosną na lepszych wojowników.

— A nie boicie się czasem? — spytał cicho Mudda.

— Czego niby?

— Tego, że któregoś dnia całą złość skierują przeciwko wam.

Nauczyciel roześmiał się beztrósco.

— To wciąż ledwie dzieci! Jak sam zauważyłeś, nie mogą zaszkodzić sługom proroka.

Mudda milczał. Tymczasem na dziedzińcu Al'Zini podniósł się z zydła, by przerwać walkę. Jeden z chłopców leżał na piasku, skulony i okrwawiony, lecz kij wciąż spadał na jego ramiona.

Opuściwszy madrasę, Al'Iarnak otarł dyskretnym ruchem pot z czoła. Znów ryzykował. Opowieści chłopca były heretyckie i udowodniłby to z łatwością każdy doświadczony badacz Księgi. Gdyby opiekunowie postanowili zasięgnąć rady drugiej osoby, Mudda mógłby stanąć przed zarzutem wspomaganie spisku.

O jaką stawkę grał? Życie jakiegoś malucha? Wydawało się to śmieszne, a jednak Mudda nie żałował. Pogodzony z własną śmiercią, już dawno zdecydował się zaszkodzić władzy Vezamara tak bardzo, jak tylko się da. A coś mówiło mu, że chłopiec jest ważny, podobnie jak jego opowieści.

*

— Kiedy opuszczałem Ocaloną Krainę, nie było tu żadnej królowej — rzekł Kashim, gdy jechali za nomadą do jego obozu. — Miidza... To proste koczownicze imię. Jaka królowa może je nosić?

— Sądziś więc, że ów człowiek kłamie? — spytał Brenvan. — Czy chce nas wciągnąć w zasadzkę?

— Nie wyglądał na kłamcę. Może jest szalony... Ale może być i tak, że przyjdzie nam się dzisiaj zdziwić.

Aam Caerleigh nie ufał nomadzie. Sprawa zbyt mu pachniała podstępem i nie pomogło nawet spostrzeżenie Kashima, że jak na fortel to wszystko jest za mało wiarygodne. Brenvan nakazał podwładnym gotowość. Rycerze z ociąganiem zapięli na kolczugach ciężkie kirysy oraz naramienniki, przytroczyli do pasów broń.

Nomadą prowadził ich wśród wydm niemal do zmierzchu. Ani razu nie zwolnił kroku, nie musiał też zastanawiać się nad drogą, co dla osób wychowanych w Ziemiach Środka, dla których wszystkie diuny wyglądały identycznie, było oznaką magicznej mocy. Wreszcie stanęli na wzniesieniu, u którego stóp rozciągał się wielki obóz, pełen namiotów, zagród i palenisk.

— To plemię Manar — wywnioskował Kashim po wyglądzie i zdobieniach domostw ze skór oraz drągów. — Jeden z większych ludów północy. Lecz co robią tutaj, w środkowej części Ocalonej Krainy? I to tak daleko od oaz i pustynnych szlaków?

— Wydaje ci się to dziwne? Spójrz tam — odparł Brenvan, wskazując miejsce pośrodku obozu.

— Na Jedynego... — jęknął Al'Shannagg.

Miał przed sobą cud, który nie mógł powstać inaczej niż za sprawą boskiej mocy. W środku obozu piasek ustąpił miejsca zieleni tworzącej idealny okrąg soczystej trawy i kwiatów, który otaczał wielki pawilon. Podwładni Kashima też to zauważyli; ich miny były nietęgę.

— No i co się gapicie? — rzekł głośno Brenvan. — Przecież mówił, że w tej krainie wiele jest czarów, a każdy szlachcic to zarazem i czarnoksiężnik?

Tymczasem nomada, widząc, że pochód się zatrzymał, powiedział Kashimowi:

— Królowa czeka na ciebie w swoim namiocie, razem z radą plemienia. Dla twych ludzi przygotowaliśmy gościnę oraz posiłek.

— I cóż teraz czynimy? — spytał Brenvan w mowie Learfeld. — Jeśli wjedziemy do wioski, łatwo mogą uderzyć na nas z zaskoczenia!

— Wydaje mi się, że nie spotka nas tu nic złego — odparł Al'Shannagg.
— Zobaczę się z jego królową, a ty pójdiesz jako moja świta wraz z trójką szlachetnych kawalerów.

Po tych słowach zjechali w dół. Jak się okazało, mieszkańcy oczekiwali już na nich, ustawieni w szpaler na drodze do namiotu. Kłaniali się przejeżdżającym, jednocześnie obserwując ich z ciekawością i bez strachu. Nie można było tego samego powiedzieć o towarzyszach Kashima, którym ciemna skóra tubylców kojarzyła się wyłącznie z Yaurańczykami. Spodziewali się, że lada chwila strzały ugodzą ich w plecy.

Kiedy pochód zatrzymał się na placu przed pawilonem, nomada wskazał przybyszom namioty, w których mogli odpocząć. W każdym z nich była suto zastawiona mata z pszennymi plackami, bacharnią pieczenia, figami oraz winem. Zaraz potem Aam Caerleigh i wybrani rycerze ruszyli z Kashimem do namiotu królowej. Gdy zbliżali się do wejścia, ona sama wyszła na powitanie, w asyście trzech służek. Al'Shannagg skłonił się, nie odrywając jednak wzroku od tej niezwyklej postaci. Rycerze złożyli głęboki, dworny ukłon, zarezerwowany dla koronowanych głów, wierząc na słowo Brenvanowi, że mają do czynienia z królową.

W zachodzącym słońcu włosy dziewczyny błyszczały niby szlachetna miedź, przetykana pasmami szczerego złota. Kashim i jego ludzie byli zdumieni tą barwą, której nie spodziewali się ujrzeć wśród ciemnoskórego ludu piasków. Oblicze Miidzy, zarazem dziecinne i nadzwyczaj kobiece, było piękne, budziło w sercach to drgnienie, które śmiertelnicy zawsze odczuwali przy osobach o bardzo silnym darze. Kashim, patrząc na białą skórę, delikatny nos, szlachetną linię brwi Miidzy oraz na jej niezwyklej twarz, w której wyrazie ciekawość mieszała się z obawą, a radość ze wstydem, poczuł, jak serce mu przyspiesza. Wziął się jednak w karby i rzekł:

— Witaj, królowo, składał ci hołd i dziękuję za to niespodziewane powitanie.

— Witaj, Kashimie, wygnańcze ze Świętego Miasta. Oczekiwałam cię od dawna.

Głos Miidzy był dźwięczny, miał w sobie jakąś aksamitną, hipnotyzującą nutę. Al'Shannagg poczuł, że to więcej niż sprawka daru.

— Wejdz do środka, mamy wiele do omówienia — dodała królowa.

W namiocie pełnym drewnianych sprzętów, które dla nomadów były luksusem nie mniejszym od złota, zasiadało już siedmiu brodatych starców. Były tam i służki z wachlarzami oraz mata długa na przeszło dziesięć stóp,

zastawiona półmiskami. U jej końca przygotowano dwa miejsca umoszczone jedwabnymi poduszkami, oddalone od reszty na tyle, by siedzący tam ludzie mogli rozmawiać bez skrępowania, niesłyszalni dla pozostałych biesiadników. Pierwsze zajęła Miidża, na drugim usadziła Kashima. Brenvana i jego rycerzy umieszczono pomiędzy starcami, po czym królowa klasnęła i zaczęła się oficjalna część spotkania.

W języku piasków, który Brenvan tłumaczył na potrzeby towarzyszy, Miidża oświadczyła gościom, że spodziewała się ich i czekała na nich od dawna, bowiem bogini, której służy (Brenvan ku swemu zaskoczeniu wywnioskował, że chodzi o Saari), ostrzegła ją w snach. Bogini powiedziała, że lud piasków ma pomóc Kashimowi, którego misją jest odmienić Ocaloną Krainę oraz zakończyć wszystkie wojny, które w niej się toczyły.

Zebrani przywitani te słowa owacjami, choć mina Al'Shannagga wskazywała na to, że tak wygórowane nadzieje wobec jego osoby bardzo go krępują. Królowa stwierdziła jednak, że los plemienia i los człowieka, który przemierzył świat, by powrócić, są nierozłącznie związane. Potem rozpoczęła z Kashimem rozmowę, a ten, korzystając z okazji, zasypał ją pytaniami. Okrucieństwo proroka i bunty nie były dla niego wielkim zaskoczeniem, widział to bowiem w snach. Jednak wieść o rozmiarach przygotowań wojennych w Świętym Mieście i ostatnim zamachu wprowadziła go w osłupienie. Choć z Brenvanem spodziewali się wcześniej, że Vezamar zbierze sporą armię, nie przewidzieli, że może być na tyle szalony, aby wciągnąć w tryby wojennej maszyny cały lud. Pocieszeniem był jedynie fakt, że exodus mieszkańców Tel'Halik jeszcze się nie rozpoczął. Było oczywiste, że wyprawa Kashima przybyła do Ocalonej Krainy w ostatniej chwili.

Gdy Al'Shannagg poznał już wszystkie nowiny, zdecydował, że jeśli królowa oferuje pomoc, gotów jest połączyć z nią siły, co wzbudziło kolejne owacje. Potem zaczęła się mniej formalna część spotkania, zebrani mogli się wreszcie porządnie posilić, a na wezwanie Miidży pojawiło się kilku muzyków, którzy na pasterskich fletniach wygrywali zadziwiająco skomplikowane melodie. Brenvan, zjadając wyśmienite potrawy i zajęty przez tubylców, spoglądał czasem z obawą w stronę Kashima.

Z jego przyjacielem działo się coś dziwnego. Jego do dziś kamienna twarz jaśniała radością, gdy patrzył na Miidżę z nieskrywaną fascynacją. Co jakiś czas jednak, szczególnie gdy Miidża odwracała na chwilę uwagę od niego i przerywała konwersację, by wznieść toast lub streścić jego słowa radzie, ponury cień spowijał Al'Shannagga. Czoło mu się marszczyło, usta

zaciskały, jakby myślał o nieprzyjemnych rzeczach.

Kulminacja osobliwego zachowania nastąpiła pod koniec uczyty. Kashim rozmawiał już z Miidzą od dłuższej chwili, a ze śmiechów i łowionych od czasu do czasu słów Brenvan wnioskował, że nie tyczy się to już spraw wojny oraz Ocalonej Krainy. Aam Caerleigh nie patrzył ku nim zbyt nachalnie, bo jedną z podstawowych zasad, jakiej przestrzegali rycerze na ucztach, było nieprzeszkadzanie parze, która miała się ku sobie. A że tak było w tym wypadku, Brenvan nie wątpił. Traf jednak chciał, że Aam Caerleigh spojrział na Miidzę i Kashima dokładnie w chwili, w której wydarzyło się coś niezwykłego. Królowa położyła swą białą dłoń na szorstkiej i pokrytej bliznami dłoni Al'Shannagga, a on cofnął rękę jak oparzony. Cień przeszedł mu po twarzy, rzucił kilka słów i pospiesznie wyszedł z namiotu, niepomny, że cała rada patrzy na niego w zdziwieniu. Brenvan nie czekał długo, skłonił się i wyszedł za Kashimem. Dogonił go, gdy ten wchodził właśnie na pobliską wydnię.

— Czyś ty oszalał?! — krzyknął do przyjaciela w mowie Learfeld. — Sam mi mówiłeś, że to królowa i że mam się zachowywać godnie. To, co pokazałeś, z pewnością godnym zachowaniem nie było! Jakież to masz powód, by tak się unosić? Jeśli nawet z jakichś przyczyn przychylność tej uroczej kobiety jest ci wstrętna, a takowych nie widzę oraz nie potrafię sobie wyobrazić, mogłeś tego przynajmniej nie okazywać!

— Brenvanie, ja...

— No co? — przerwał mu Aam Caerleigh. — Będziesz zasłaniał się bzdurami o tym, jak to nie chcesz wciągać postronnych ludzi w swoją misję? Będziesz znów bredził coś o bogach, losie i złych snach?

Al'Shannagg opuścił głowę. Po chwili rzekł cicho:

— To też, ale powód jest inny. Nie zamierzałem ci nigdy mówić, przyjacielu, ale teraz muszę się wytłumaczyć. Chodź, siądziemy na wydnie...

Weszli na szczyt i tam spoczęli, zwrócenii twarzą w stronę obozowiska i gwieździstego horyzontu, który rozciągał się ponad nim.

— Nie chciałem ci pewnej rzeczy wyjawiać, aby nie ranić ni ciebie, ni twojego honoru. Widzisz, po rozmowach z Zerakhimem i wizycie w jaskini Sammara zrozumiałem bardzo wiele rzeczy, których wcześniej nie potrafiłem pojąć. Jeszcze będąc zwykłym Jeźdźcem, wiedziałem, że osoby z darem budzą u innych silne afekty. Znacznie łatwiej jest im zdobyć kobietę albo stać się godnymi posłuchu dowódcami. W Świętym Mieście jednak wszyscy sądzą, że to sprawa szlachectwa oraz podziwu i respektu, z jakim ono się

wiąże. Zacząłem się nad tym zastanawiać ponownie dopiero po spotkaniu z Vailaną. Zdałem sobie sprawę, że ludzie szczególnie łatwo do mnie lgną, a trudno jest im mnie opuścić.

— Sugerujesz, żeś obdarzył cię przyjaźnią, a moja siostra cię pokochała jedynie za sprawą daru? — spytał groźnie Brenvan.

— Obawiam się, że jest nawet gorzej. Po tym wszystkim, czego się dowiedziałem, wiem, że ci, których zwiesz Tuzinem, igrali i wciąż igrają z ludzkimi losami. Nazywają swych potomków „dziećmi”, dbają o nich, kierują ich krokami. Może być tak... Może być tak, że moja przodkini maści mi w głowie i pcha w moje ramiona niewinne kobiety, byłem tylko w końcu napłodził dzieci! Byłe jej potomstwo przetrwało i rosło w siłę! Nie dziwi cię, jak szybko rodziło się uczucie między mną a Gwynn, Vailaną i — wcześniej — Jelayą? Teraz czuję, że już z daleka to pachnie intrygą bogini. Nie mogę w ten sposób wykorzystać kolejnej...

— Może i mówisz prawdę — rzekł Brenvan po namyśle. — Może i dobrze odgadłeś. Ale czy naprawdę jest różnica między miłością zesłaną przez bogów a tą, która wzięła się znikąd? Jak myślisz, filozofie? Czy któraś z nich jest słabszym uczuciem i mniej jest godna szacunku? I czy w ogóle istnieje coś takiego, jak miłość nie przez bogów zesłana? Skoro oni nas stworzyli...

— Stworzył nas Architekt, nie bogowie...

— Och, przestań się czepiać szczegółów, jeno pomyśl nad treścią tego, co ci mówię! Jeśli stworzył nas Bóg, to czy wszystkie człowiecze emocje nie są Jego dziełem? Przemyśl to, do stu diabłów. Więcej ci nie pomogę, bo nie jestem uczonym, a od tego wszystkiego boli mnie już głowa.

Siedzieli długą chwilę w ciszy, patrząc na gwiazdy. W końcu Brenvan znów się odezwał:

— Naprawdę zamierzasz jej unikać? Jeśli już tak wyschłeś, a twoje serce tak stwardniało, porozmawiaj z nią choćby dla dobra wyprawy! Słyszałem, że chce nam pomóc. Jej bogini to nakazała. Widzisz, że ma co najmniej setkę uzbrojonych mężczyzn, a stu nomadów, twardych i nawykłych do życia wśród piasków, to dla nas niebagatelna siła. Temu nie zaprzeczysz!

— Nie zaprzeczę.

— A widzisz? Przestań więc stroić fochy, niczym pannica na wydaniu. Wracamy na ucztę. I jeszcze jedno...

— Tak, Brenvanie?

— Nie obraż się, ale dureń z ciebie. Gdyby to na mnie choć spojrziała,

skoczyłbym za nią w ogień.

*

Następnego dnia żołnierze, zadowoleni z sutego posiłku i radzi, że nie wyciągnięto ich rano z posłań, opowiadali sobie o wydarzeniach na uczcie i afekcie, który królowa poczuła do Kashima, jak się okazało z wzajemnością. Niektórych zdziwiło jednak, gdy Al'Shannagg w południe zapowiedział kompanii, że zostaną w tym miejscu jeszcze dwa dni; potem mieli iść już w wolniejszym tempie, i to wraz z całym plemieniem. Byli tacy, co szemrali, wężąc w tym prywatę dowódcy, który wcześniej nie pozwalał im nigdzie stanąć ani nawet zawitać do rodzinnych domów, a teraz, za sprawą kobiety, zmienił zdanie. Niezadowolonych szybko ułagodziło doskonałe jedzenie oraz szacunek, jakim darzyli ich nomadzi. Brenvan opowiedział im o wydarzeniach w Ocalonej Krainie, dlatego wiedzieli, że wróg okazał się potężniejszy, niż wcześniej się spodziewano, i że wskazana jest ostrożność.

Dla Kashima dwa dni postoju, konieczne, by plemię przygotowało się do drogi, były cudownym wytchnieniem. Miidza okazała się wspaniałą towarzyszką, niezwykle pociągającą kobietą i mądrym sojusznikiem. Zniknął gdzieś mur zamyślenia, który od dawna otaczał Al'Shannagga. Pierwszy raz od dawna Kashim czuł, jak krew szybciej tętni w jego żyłach — a było tak zawsze, gdy spędzał czas z Miidzą. Jej delikatna, niemal dziecięca uroda przywodziła mu na myśl Gwynn, kobiecy urok i emocjonalność przypominały Jelayę, lecz w królowej Manar była i siła woli, godna zaprawionej w bojach kondotierki Vailany. Kashim miał wrażenie, jakby cała miłość, jaką darzył te kobiety, skupiła się w tym wdzięcznym, drobnym ciele.

Choć próbował zwalczyć w sobie to uczucie, wiele razy podczas spacerów wokół obozu chciał objąć Miidzę i przyciągnąć do siebie, lecz przez te dwa dni zdołali skraść sobie jedynie krótki pocałunek, gdy na kilka sekund zostali wbrew ceremoniałowi sami. Przed swoimi ludźmi musieli stwarzać dystyngowane pozory, ponieważ on był w końcu pułkownikiem sojuszu i wysłannikiem diuka, a ona królową. Emocje, których nie mogli wyrazić gestem, znajdowały jedyne ujście w pełnych rozmowach. Kashim tak dalece zapomniał o całym świecie, że Aam Caerleigh zaczął się poważnie martwić, czy nie ucierpi na tym ich misja. Nagłość uczucia, którym jego towarzysz obdarzył królową, wydawała się Brenvanowi równie dziwna i nienaturalna, jak jego wcześniejsza niechęć.

Drugiego dnia doszło do wypadku, który rzucił cień na stosunki nomadów i podróżników. Wypadek ten, jak później się okazało, tylko

zapowiadał wielkie kłopoty, z których ani Kashim, ani Brenvan nie zdawali sobie sprawy przed powrotem do Ocalonej Krainy.

Zaczął się od tego, że jednemu ze szlachciców wpadła w oko pewna nomadka. Kobiety z plemienia nie nosiły czadorów, a ich smagłe twarze przyciągały wzrok, dlatego Brenvan surowo zakazał podwładnym kontaktów z tubylcami. Rycerz zaczął ją jednak śledzić, aż wreszcie, w typowy dla obyczajów swego kraju sposób, przydybał ją, gdy szła po wodę do studni. Kobieta, speszona, próbowała go uniknąć, ale szlachcic chwycił ją i pocałował przemocą, a wtedy w kilka chwil zaroilo się wokół od mężczyzny z nożami. Wściekłość, jaką wzbudził przybysz, była tak ogromna, że Brenvan z wielkim trudem zdołał zapobiec jego śmierci.

Potrzeba było sutej rekompensaty dla rodziny oraz interwencji samej Między, by mężczyzna uszedł z życiem — i z przyrodzeniem, które wedle obyczaju miano mu urznąć przed śmiercią. Brenvan ukarał go i upokorzył chłostą, której szlachetnie urodzonych poddawano tylko w wyjątkowych okolicznościach. Potem, wraz z Kashimem, opowiedział szczegółowo członkom wyprawy o obyczajach w Ocalonej Krainie. Obaj myśleli, że sprawa jest rozwiązana, jednak czas miał pokazać, że się mylili. Różne incydenty zdarzały się bowiem coraz częściej, aż do krwawej kulminacji, która nastąpiła po dwóch tygodniach. Na razie jednak Al'Shannagg niczego nie przeczuwał. Miłość odebrała mu trzeźwy osąd, więc nie pomyślał, że oto sprowadził do swojej ojczyzny obcą siłę i że zbrojni z odległych krain, o innych obyczajach i religii, muszą zburzyć tutejszą równowagę.

Czas postoju Kashim dzielił pomiędzy królową a wojenne przygotowania. Wreszcie gdy nomadzi przygotowali się do wymarszu, wskazał cel: twierdzę Um'Magar na północnej granicy ziem Świętego Miasta. Zamierzał znaleźć w dawnych towarzyszach broni kolejnego sojusznika. Liczył też bardzo na spotkanie z Naharem, o którym wspomnienia ożyły, gdy tylko Kashim postawił stopę na pustyni.

Rozpoczął się kolejny, tym razem wolniejszy marsz, podczas którego już nawet prości żołnierze zdali sobie sprawę z uczucia łączącego pułkownika i królową. A czwartego dnia podróży Kashim ogłosił uroczyście przed całym plemieniem, że ma zamiar wziąć Miidzę za żonę, według dawnego rytuału ludu Manar.

Rozdział 10. Pożyczony czas

W ostatnich miesiącach, jakby na przekór burzom, które przetaczały się przez Ocaloną Krainę, Um'Magar było ostoją spokoju. Ta wiekowa forteca stała się główną siedzibą Świętych Jeźdźców, a oni, po wygnaniu z Tel'Halik, nie brali udziału w wojnach proroka i politycznych sporach.

Mieszkało ich tu niemal dwustu, czyli piętnaście pełnych kompanii, które w czasie pokoju patrolowałyby pustkowia Ocalonej Krainy oraz niebezpieczne zaułki miasta. Dziś tylko trzy kompanie przebywały poza fortem, dwie zaś w Tel'Halik. Reszta podwładnych Asimara spędzała czas w forcie, choć był on niewielki i raczej nieprzystosowany do goszczenia dużej liczby ludzi.

Um'Magar wzniesiono cztery wieki wcześniej, wkrótce po Dniu Sądu, kiedy ocalony lud rozszerzał swoje ziemie na północ. Wierni żyli jeszcze wtedy w strachu, że kiedyś białoskórzy wrócą, postanowili więc granicę swoich ziem zabezpieczyć fortyfikacjami. Ponieważ architektura wiernego ludu jeszcze wtedy nie istniała, za wzór obrano dawne zamki białoskórych, które pamiętano sprzed zagłady. Stąd wziął się osobliwy kształt Um'Magar, niepodobny do jakiegokolwiek budowli w Ocalonej Krainie. Fort przypominał z daleka czworokątną kupę niedopasowanych kamieni, lecz pozorne niedoskonałości konstrukcji nadrabiał grubością i wysokością murów, nieustępujących murom Tel'Halik. W środku twierdza była wielokrotnie przebudowywana, aż wreszcie po latach jej wnętrza stały się przyjazne i przestronne. I choć pomieszczeń nie było dużo, na potrzeby fortu zaadaptowano także rozległe podziemia, w tym grootę z jeziorem, które dostarczało Um'Magar świeżej i chłodnej wody.

Święci Jeźdźcy, którzy tu mieszkali, od niemal roku poświęcali się wyłącznie treningom. Wkładali w nie całe serce, bo Asimar Lew Pustyni zapewniał, że nadejdzie dzień, gdy będą musieli stawić czoło Jastrzębiom Najwyższego, wrogom potężniejszym niż wszystko, z czym mierzyli się ich przodkowie. Wszyscy wiedzieli, że konfrontacja z Jastrzębiami jest nieunikniona, gdyż w Ocalonej Krainie nie mogły współistnieć dwie skłócone frakcje potomków Sammara.

Podwładni Asimara spodziewali się jednak, że do walki dojdzie w Tel'Halik. Od dawna przygotowywali się do szturm na mroczny labirynt

jaskiń pod Świętym Miastem, gdzie Jastrzębie miały swoją szkołę oraz siedzibę przywódcy. Niespodziewanie jednak wróg sam zapukał do ich bram.

Gdy paszy doniesiono, że do Um'Magar zbliża się kilkudziesięciu podróżnych, od razu zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, mało kto zaglądał bowiem do odległego fortu, a już na pewno nie w tak licznej grupie. Przypuszczenia szybko się potwierdziły — gdy jeźdźcy stanęli pod bramą, okazało się, że spod podróżnych płaszczy wystają im rękojeści ghanków oraz krawędzie czarnych szat. Olbrzym wiodący tę grupę był człowiekiem, którego z łatwością rozpoznałby każdy mieszkaniec Ocalonej Krainy.

— Czego tu szukasz, Lammadzu Mieczu Najwyższego?! — krzyknął z muru dowódca warty. — Potrzeba ci może wody na dalszą drogę? Czy też zabrakło ci prowiantu?

— Nie żartuj, psie! — Odkrzyknął Lammadż. — Przychodzę do twego pana, paszy Asimara. Otwieraj natychmiast bramę, nie będziesz przecież trzymał przed progiem osobistych sług proroka.

Żołnierz nie wydał jednak rozkazu uchylecia spiżowych wrót. Zamiast tego pobiegł do Asimara, pasza zaś pospiesznie ubrał się i naradzał chwilę ze swoimi oficerami. Dopiero po długim postoju na słońcu goście zostali wpuszczeni do środka.

Przeszło pięćdziesiąt Jastrzębi wjechało na dziedziniec fortu, rozglądając się podejrzliwie na boki. Z głównego budynku wyszedł jeden z pułkowników paszy, któremu Lammadż nawymyślał za to, że musiał czekać przed bramą.

— A teraz prowadź do Asimara, przeklęty psie! — rozkazał.

— Pozwolisz, panie, że moi ludzie wskażą twoim komnaty, gdzie będą mogli odpocząć?

Lammadż zaśmiał się.

— Głupi jesteś jak stary bacharn, jeśli myślisz, że sam wejść do gniazda os i zdrajców. Ludzie idą ze mną.

Następnie zwrócił się do swoich podwładnych, nakazując, by dwudziestu zostało na podwórku przy koniach, pozostałych zaś powiódł do chłodnego wnętrza. Prowadzeni przez pułkownika Jeźdźców szybko dotarli do sali audiencyjnej, największego pomieszczenia fortu, w którym czekał już pasza.

Lammadż rozejrzał się. W podłużnej komnacie było niemal czterdziestu Świętych Jeźdźców. Część stała w szpalerze pod ścianą, wyprężona na baczność, starsi rangą zajmowali miejsca przy stole na środku komnaty. Asimar postanowił otoczyć się sporą częścią załogi fortu. Nie podobało się to

Lammadzowi. Przykazał swoim ludziom ostrożność, a następnie ruszył powoli, aż stanął kilkanaście kroków od paszy.

— Zastanawia mnie źródło twojej podejrzliwości wobec sług proroka, paszo — powiedział Lammadz. — Czy człowiek o czystym sumieniu potrzebowałby tak licznej straży?

— Moje sumienie to moja sprawa, na twoim miejscu martwiłbym się o własne, bo dochodzą nas wieści o waszych poczynaniach w Tel’Halik. Gdy zapraszam kogoś takiego pod dach, wolę się zabezpieczyć. Mów, z czym przyszedłeś.

— Paszo! — odparł Lammadz, kładąc dłoń na rękojeści ghanka. — Mam rozkaz aresztować cię pod zarzutem zdrady i spisku.

Jeźdźcy nie drgnęli nawet, widać było jednak, że są gotowi do zdobycia broni. Jastrzębie czuły się niepewnie, otoczone przez potencjalnych wrogów.

— Wy zaś — rzekł Lammadz do podwładnych Asimara — nie próbujcie bronić tego przeklętego zdrajcy. Prorok uważa was za współwinnych spisku, lecz jeśli będziecie współpracować z moimi ludźmi i wydacie paszę, zdołam go przekonać, by okazał łaskę Świętym Jeźdźcom. Pomyślcie uważnie, bo to wasza ostatnia szansa, by zachować honor i życie! Wszyscy, którzy...

— To ze mną miałeś rozmawiać, nie z moimi ludźmi — przerwał pasza. — Doprawdy, jesteś na tyle bezczelny, że nachodzisz mnie w mojej siedzibie i publicznie nakłaniasz Jeźdźców do zdrady? Jastrzębie zbyt chyba uwierzyły w swą moc, bijąc w Tel’Halik prostaczków i desperatów, co występują przeciw Vezamarowi. Wiedz jednak, że tutaj twe ramię nie sięga. Nie masz żadnych...

Nim dokończył zdanie, Jeźdźcy stojący najbliżej Jastrzębi wyciągnęli szable i jednym płynnym ruchem spuścili je na karki wybranym ofiarom, zabijając je na miejscu.

— Zdrada, do broni! — ryknął Lammadz.

Jego ludzie także wyszarpnęli ostrza — na czas, by stawić czoło reszcie Jeźdźców, którzy rzucili się ze wszystkich stron. Asimar uśmiechnął się, zrywając z fotela. Rozkazał wcześniej podwładnym, by uderzyli zniechęca, gdy będzie jeszcze mówił: „Tutaj twe ramię nie sięga”. Była to brudna sztuczka, lecz Asimar cenił życie swoich ludzi bardziej od mgliście pojętego honoru, a sekunda, którą zyskali dzięki zaskoczeniu, pozwoliła zgładzić siedmiu przeciwników.

Lammadz jednak nie przeszedł do desperackiej obrony, jak reszta jego ludzi, lecz przypuścił atak na Asimara.

Pasza miał słabą krew. Mówiono o nim, że jest szóstym czy siódmym pokoleniem, a skromna namiastka daru, jaką posiadał, nie mogła mu służyć w walce. Nadrabiał to sprytem, wyćwiczonym w setkach potyczek i pojedynków, które stoczył w długim życiu. Widząc, że Lammadż naciera, skoczył za masywny fotel i wyrwał zza pasa buławę. Jastrząb był szybki, za szybki dla zwykłego śmiertelnika, ale krótka chwila, przez którą pasza był oddzielony od niego wielkim meblem, wystarczyła, by do walki włączyli się przybocznicy.

Pierwsza Kompania Świętych Jeźdźców od wieków tworzona była z osób o najsilniejszym darze. Byli to głównie czwarto — i piątokrwiści, słabsi od Lammadża o jedno pokolenie, ale tu liczyła się ich przewaga liczebna oraz wyszkolenie w walce zespołowej. Potrafili perfekcyjnie się osłaniać, uderzać, gdy towarzysz paruje, chronić go własnym brzeszczotem, gdy wystawia się na cios przeciwnika. Byli wyśmienicie zorganizowani, zawsze świadomi pozycji sojuszników i wrogów oraz wszystkich potencjalnych niebezpieczeństw.

Pasza przygotowywał tych dziewięciu ludzi z myślą o pokonaniu Bestii, Lammadż był zaś celem o wiele łatwiejszym. Kiedy wypadli na niego z zacienionych arkad za plecami Asimara, Jastrząb chwilę próbował się bronić, lecz ich ciosy były niemal tak szybkie jak jego; na dodatek natychmiast zaczęli go flankować. Lammadż w odważnym wypadzie, wspierany mocą daru, ciął lewego w gardło i przełamał jego zastawę brutalną siłą. Potem wystrzelił ponad upadającym trupem wprost do kolumny. Z rozpędu wbiegł przeszło dziesięć stóp pod górę, odbił się potężnym pchnięciem obu nóg, poszybował przez trzecią część sali i wylądował miękko na stole.

Był to ryzykowny manewr. Opędzając się przed liczniejszym wrogiem, nie miał czasu dostrzec, czy miejsce, gdzie skakał, jest bezpieczne. Po lądowaniu okazało się jednak, że wokół walczą inne Jastrzębie. Lammadż podziękował Jedynemu za opiekę, a potem znów rzucił się do ataku.

Rozpoczęła się bitwa, jakiej nigdy nie widziano w Ocalonej Krainie. W głównej sali fortu, a zaraz potem na korytarzach i dziedzińcu, potomkowie Sammara walczyli jak dzikie zwierzęta. Wszyscy z silnym darem, ruszali się dwa razy szybciej niż zwykli ludzie. Nie stanowiły dla nich przeszkody broje przeciwników, drzwi czy inne osłony. Odgłosy potężnych ciosów, które rozłupywały i łamały stal, brzmiały ogłuszająco. Nie słychać było za to krzyków ani błagań. Nikt nie liczył na pardon ani go nie okazywał, a uderzenia wsparte siłą daru odrywały głowy i rozłupywały korpusy, zabijając

na miejscu.

Straszna była to jatka, miała jednak w sobie coś z okrutnego tańca. Asasyni Bestii bez trudu wskakiwali na wysokie parapety, potrafili też przebiec kilkanaście kroków bokiem po ścianie, wymierzając równocześnie celne ciosy. Lammadź zaś, gdy walka wokół przybierała niekorzystny obrót, odbijał się na grubych niczym pnie nogach i szybował kilkanaście stóp dalej.

Święci Jeźdźcy tylko trochę ustępowali wrogom mobilnością, lepiej za to znali się na żołnierskim fachu. Zabójców szkolono z myślą o nagłych starciach i atakach z zaskoczenia, Jeźdźcy zaś ćwiczyli walkę w ogniu bitwy, w tłoku i ścisku, gdzie zewsząd lecą ciosy.

Po kilku chwilach brutalnej rzezi przeszło połowa walczących była już martwa. Gdy tylko odepchnięto Lammadża, trzech Jeźdźców zabrało paszę w bezpieczne miejsce. Asasyni, wyparci na środek sali, bronili się wokół wielkiego stołu. Choć szybkimi wypadami raz za razem dosięgali któregoś z Jeźdźców, ich szeregi topniały. W końcu Lammadź wskazał okno i krzyknął:

— Na podwórze!

Najbliższy okna zabójca wybił się w powietrze i wylądował na parapecie, by zeskoczyć na dziedziniec. Jednak niemal w tym samym momencie, w którym jego stopy dotknęły kamienia, dwa bełty wbiły mu się w głowę — jeden w oko, drugi dokładnie między oczy.

Pasza miał na murach wyborowych strzelców albo też jego ludzie wygrali już walkę na dziedzińcu. Lammadź zaklął. Cóż działo się z dwudziestoma Jastrzębiami, którym kazał zostać przy stajni?

— Przebijamy się na korytarz! — wykrzyczał nowy rozkaz, po czym rzucił się, by własnym ciałem i potężnymi ciosami torować drogę do wyjścia, po drodze rozłupując głowy dwóm Jeźdźcom. Jednak nieubłaganie zaczął odczuwać zmęczenie.

W tej chwili tylko tuzin jego zabójców stał jeszcze na nogach. Runęli do wyjścia, nie przestając walczyć. Dotarłszy do korytarza, co okupili życiem kolejnych czterech ludzi, nieco odetchnęli. Tu przewaga liczebna, jaką wywalczyli Święci Jeźdźcy, nie była już tak istotna, tym bardziej, że sam Lammadź Miecz Najwyższego szedł na szpicy.

Zapomniał jednak o Pierwszej Kompanii, która nie ruszyła za nimi: dowódca poprowadził ją naokoło, niższym piętrem, by stanąć Lammadżowi na drodze. Działał niczym wytrawny myśliwy; otrzymał jedno zadanie i miał je zrealizować niezależnie od przebiegu i wyniku bitwy.

Jego ludzie dopadli wodza Jastrzębi z trzech stron, na jednym z ciemnych

i wąskich skrzyżowań.

Pasza wrócił tymczasem do sali audiencyjnej, gdzie bitwa dobiegła końca; w innych częściach fortu również przycichała. Asimar ostrożnie wyjrzał na dziedziniec, gdzie jego ludzie krążyli między padłymi Jastrzębiami, sprawdzając, czy któryś jeszcze oddycha. Ci ze Świętych Jeźdźców, którzy pozostali w komnacie, zaczęli opatrywać rannych.

Wkrótce na korytarzu zadudniły kroki i zaraz do środka wpadł zdyszany Jeździec z wgniecionym szyszakiem, spod którego płynęła krew.

— Panie! — krzyknął. — Kilku zdołało się wyrwać ze stajni i uciec przez główną bramę!

— Ścigać ich! Żaden nie ma prawa ujść z życiem.

— Mamy też czterech jeńców...

— Do lochu, tylko dobrze ich pilnujcie.

Gdy mężczyzna zniknął, bocznym wejściem wkroczył do sali kapitan Darhir, dowódca Pierwszej Kompanii.

— Dopadliśmy Lammadza w korytarzu za głównym holem. Usieczony, ale straciłem dwóch ludzi. Jego podwładni poddali się lub zginęli.

— Doskonale, kapitanie! — Zmęczona twarz Asimara rozjaśniła się nieco. — Przekażcie swoim, że osobiście ich odznaczę. Właśnie zabiliście jednego z najgroźniejszych ludzi w Tel’Halik, trzeciego na mojej liście.

— Co z ciałem?

— Spal to ścierwo na jednym stosie z pozostałymi, tylko głowę urznij. Poślemy ją prorokowi w prezencie — pasza sapnął, ocierając pot z czoła. — Przyślij mi też zaraz skrybę i pocztowe gołębice. Nasi sojusznicy z Żelaznych Wzgórz muszą dowiedzieć się, że zasłona spadła. Otwarcie przeciwstawiliśmy się Świętemu Miastu, niech Jedyny ma nas w opiece. Trzeba ściągnąć Świętych Jeźdźców z całej Ocalonej Krainy. Ich życie jest w wielkim niebezpieczeństwie.

W forcie zaczęły rozlegać się okrzyki radości. Święci Jeźdźcy pokonali swych upokorzycieli, swych najgorszych wrogów. I choć niemal czwarta ich część zginęła w krwawym boju, cena za tryumf nie wydawała się słona. Nie bali się też ani klątwy proroka, ani wrogości Świętego Miasta. Wolni w Um’Magar od szpiegów oraz donosicieli, swobodnie rozmawiali o władzy Vezamara, a sąd, który wydali na niego już dawno temu, był surowy.

Jedynie Asimar, patrząc na poszatkwane zwłoki zaścielające salę audiencyjną oraz podwórzec, zrozumiał, że oto dziś kończy się jeden rozdział historii, a zaczyna nowy. Nie dość, że szable Jeźdźców zwróciły się przeciw

prorokowi, to jeszcze walka pochłonęła po obu stronach wielu szlachetnie urodzonych młodzieńców Tel'Halik. Niemal połowa czwartokrwestych i piątokrwestych miała już nie przekazać daru. Pasza wątpił, czy kiedykolwiek wcześniej dziedzictwo Sammara ucierpiało tak mocno i w tak krótkim czasie.

*

Była jeszcze jedna osoba, która odczuła śmierć tylu potomków Sammara. Daleko od Um'Magar, Kashim drgnął w swoim namiocie. Zdawało mu się, że z daleka dobiegają jego uszu odgłosy walki.

Al'Shannagg zatoczył się i wsparł na przyjacielu.

— Nie ruszaj się, do diabła! — krzyknął ze złością Brenvan. — Czy myślisz, że łatwo rycerzowi udawać krawca? Mógłbyś chociaż docenić moje wysiłki i stać prosto!

— Przepraszam, miałem jakieś złe przeczucie...

— Ha! Też bym miał, gdybym właśnie czekał na ślub. Jeno szalony lekceważy baby, bo do wszystkiego są zdolne — Aam Caerleigh zachichotał. — A teraz stój, muszę jeszcze tu podpiąć, bo wisi na tobie jak wór.

Kashim skinął głową i z pokorą poddał się zabiegom Brenvana. Spodziewając się, że jedzie prosto na wojnę, nie wziął w podróż żadnego odświętnego stroju i przykazał, by żaden uczestnik wyprawy nie miał więcej niż jedną sakwę bagażu. Sam zabrał więc tylko podróżne ubranie oraz strój z miękkiej skóry, który zwykł wkładać pod zbroję. Resztę miejsca zajęły zwoje i księgi, nad którymi pracował podczas postojów.

Tak więc Al'Shannagg nie miał odpowiednich szat ślubnych. Na szczęście przyjaciel poratował go swym bogatym robe, lecz ten odświętny przyodziewek, który Brenvan nosił na ucztach, był dla Kashima za szeroki w barach i nieco za krótki. Co gorsza, wkładano go na dublet, do którego Al'Shannagg nigdy nie przywykł i którego nie sprawił sobie nawet po miesiącach spędzonych na dworze diuka. Brenvan miał więc pełne ręce roboty, próbując dokonać cudu, by strój wyglądał dostojnie.

Dobrych chęci rycerza nie zmieniał nawet fakt, że Kashim stroił się bardziej z myślą o własnych ludziach niż o oblubienicy. Dla ludu Manar przyodziewki ze wschodu były na tyle dziwne, że nie potrafili wskazać różnicy między dobrze a źle dopasowanym; szlachta z Ziem Środka była jednak pod tym względem wymagająca. Pułkownik musiał wyglądać jak pułkownik, jeśli miał się cieszyć szacunkiem podwładnych.

Brenvan wreszcie skończył, spojrzął na swoje dzieło i klepnął Kashima po plecach.

— No! O to właśnie chodziło!

— Dziękuję. Za pomoc i za to, że zgodziłeś się pełnić rolę swata.

— To nie było trudne. Szkoda jeno, że ci przekłęci starcy tak ostro się targowali. No cóż, podejrzewam, że ich królowa warta jest szkatułę złota i tuzin saurów.

— Warta jest i dziesięciokroć tyle.

— Mimo wszystko... Znasz moje zdanie, Kashimie. Nie sądzisz, że działasz trochę pochopnie? Wiem, sam ci rzekłem, byś chwycił szczęście póki czas, ale żeby od razu ślub? Mógłbyś przecie wziąć od niej wstążkę czy podwiązkę na znak oddania, a potem oświadczyć, że pojdziesz ją, gdy wrócisz zwycięsko z wojny.

— Nomadki nie noszą wstążek ani podwiązek — Kashim zaśmiał się.

— I znów to robisz! Znów czepiasz się mało istotnych słówek. Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Zawsze będziesz miał czas na ślub po wygranej batalii!

— Po tej batalii może nie być już czasu na nic — odparł Al'Shannagg poważniejszym tonem. — Nie, Brenvanie. Miałeś rację. Muszę chwycić to szczęście, póki pora. Zresztą, jeśli istotnie to moja oraz jej bogini nas sobie przeznaczyły, musiały mieć ważny powód.

To mówiąc, wyszedł z namiotu na palące słońce, gdzie czekał już orszak złożony ze szlachty i magów Legionu Półksiężycy. Wspólnie przeszli przez całą osadę, by zgodnie z rytuałem czekać cierpliwie pod namiotem królowej, aż rada przyjmie podarunki, stwierdzi, że są godziwe, a potem wyprowadzi oblubienicę. Królowa czy nie — Miidza musiała być zaślubiona tak samo, jak każda członkini plemienia.

Sama ceremonia była prosta w stosunku do swatania i pertraktacji z opiekunami panny młodej. Al'Shannagg wypił z Miidzą z jednej misy, trzykrotnie powtórzył słowa przysięgi, za każdym razem pieczętując je pocałunkiem. Potem to samo zrobiła władczyni. Gdy starszyzna plemienia ogłosiła, że oto Miidza, córka Gundzara, została żoną Kashima spoza piasków, nad obozowiskiem przetoczyły się wiwaty.

Wieczorem odbyła się uczta. Nie była już tak huczna i obfita, jak powitanie gości, ponieważ zapasy plemienia były ograniczone, a Miidza z Kashimem sami nalegali, by je oszczędzać. Biesiada zakończyła się wcześniej, bo następnego dnia rano plemię ruszało w drogę. Kashim miał jeszcze tylko jedno do zrobienia: musiał udać się na stronę z członkami rady i za pękata sakiewkę kupić pawilon królowej. Tradycja mówiła bowiem, że to

pan młody ma zabrać oblubienicę pod swój dach, a tymczasem mały, podróżny namiot Kashima uznano za niegodny władczyni. Zakup rozwiązał kłopot.

Wkrótce odeszli wszyscy goście, a służba zakończyła swą krzątanie. Kashim z Miidzą, mimo zmęczenia, mogli już radować się nocą poślubną. Jako że oboje marzyli o tej chwili od wielu dni, bez zwłoki legli na pościeli ze skór, które jeszcze do niedawna służyły tylko królowej.

Al'Shannagg nie chciał urazić delikatnego, drobnego ciała Miidzy ani jej zawstydzić, zaczął więc ją rozbierać powoli i niepewnie. Ona jednak szybko przejęła inicjatywę i zrzuciła z siebie białą, ozdobną koszulę, całując go z porywcznością, jakiej nie spodziewał się u dziewicy. Ledwie miał czas spojrzeć na jej piękne ciało o drobnych, lecz krągłych piersiach i wiotkiej kibici, a już chwilę potem kochali się łapczywie, zupełnie jakby przeczuwali, że wojenne losy i plany bogów mogą ich rozdzielić. Miidza nie miała nic ze wstydliwego umiarkowania, zwykłego dla młodych kobiet z Tel'Halik. Nawet początkowy ból i krew jej nie zraziły. Jej oczy przesłoniła dziwna mgła, podczas gdy ciało wiło się i drżało. Dla Miidzy, potomkini Saari, ta noc była nie tylko spełnieniem palącego pożądania, ale i prawdziwym misterium, ekstatycznym rytuałem ku czci bogini miłości, płodności i natury. Al'Shannagg zaś pierwszy raz od dawna przestał w ogóle myśleć o swej misji, bogach, wojnie, dawnych dziejach i niepewnej przyszłości.

Liczył się tylko smak ust Miidzy, sposób, w jaki przygryzała wargi, gdy czuła narastającą rozkosz, i jej szalone spojrzenie.

Dar i pierwotna moc, tętniąca obojgu w żyłach, dawały im niezwykle siły. Zasnęli dopiero gdy nad wydmami zaczął szarzyć świt.

*

W Ocalonej Krainie mawiano, że fortuna jest jak kurtyzana, która śle uśmiechy to jednemu, to drugiemu. Podczas walki w Um'Magar kokietowała Świętych Jeźdźców splotem korzystnych okoliczności, ale wkrótce zwróciła swe zmienne oblicze w stronę sług proroka.

Jeźdźcy nie złapali ósemki Jastrzębi, które zniknęły jak patyk rzucony w wartki nurt, posiadały bowiem najsmiglejszych wierzchowców Świętego Miasta. Gdy tylko pościg zniknął im z oczu, jeden zatrzymał się i sięgnął do klatek przytroczonych u boku saura. Ludzie Lammadza mieli parę pocztowych gołębi, na wypadek gdyby musieli przekazać pilne wieści do Tel'Halik. Traf chciał, że owe gołębie znajdowały się przy gadzie, który wyrwał się z pułapki w forcie.

Jastrząb opisał pospiesznie atak paszy i jego zgubne skutki, po czym wypuścił ptaka, który poleciał wprost w stronę Świętego Miasta, zupełnie jakby jego oczy widziały z wysokości Piaskową Iglicę.

To samo uczynił nieco wcześniej gołąb paszy Asimara, który wyleciał z Um'Magar, by ostrzec załogę Orlego Fortu przed zemstą proroka. Gołąb paszy był szybszy, jednak Asimarowi fortuna już nie sprzyjała.

*

Święci Jeźdźcy w Tel'Halik zginęli z powodu miski gulaszu. To właśnie dla niej późnym popołudniem strażnik opuścił posterunek na północnej wieży. Gdy przyszła pora posiłku, a nikt mu go nie przyniósł, pomyślał, że o nim zapomniano, i zbiegł w dół, do kuchni. Wiedział, że łamie regulamin, ale posterunek na wieży nie był tak ważny, jak ten przy bramie; to prawda, że znajdował się tam gołębnik, ale listy ostatnio przychodziły bardzo rzadko.

Gdy zadowolony z siebie Jeździec wrócił na górę, zjadł wpierw, gapiąc się przez wąskie okienko na dachy oraz ulice Tel'Halik. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że w gołębniku, do którego prowadziła szeroka szczelina w murze, siedzi ptak z listem. Przeczytał wiadomość i zbladł, po czym ruszył pędem w stronę kwater pułkownika Hanhakha. Jednak czas, który wcześniej zmarnował, był tym, którego im zabrakło.

Gdy wartownik dotarł do dowódcy, Jastrzębie Najwyższego oraz Czerwone Turbany wdzierały się właśnie do fortu przez główną bramę. Wartownicy zginęli, nim zdążyli zamknąć wrota. Świętym Jeźdźcom ledwie starczyło czasu, by chwycić broń, przygotować się do walki i wycofać w jedno miejsce: do Sali Orłów, która była sercem fortecy.

Zabarykadowali się tam. Długi hol miał jedynie dwa wyjścia, ale nie było tu żadnych okien, co dawało pewne szanse w walce przeciw liczniejszym siłom wroga. Teraz patrzyli z pełnymi determinacji twarzami na drzwi, które aż drżały, gdy biły w nie tarany Czerwonych Turbanów.

Jeźdźców było ledwie jedenastu, po drugiej stronie zaś czekało trzydzieści Jastrzębi oraz nieprzebrane mrowie świątynnej milicji.

— Co teraz, pułkowniku? — spytał jeden z żołnierzy.

Hanhakh nie odpowiedział, bo właśnie pisał list na skrawku papirusu wielkości dłoni. Była to krótka wiadomość, nie tylko z braku miejsca, ale i z braku czasu:

Zaatakowali Orli Fort. Straciłem jedną kompanię. Z drugą bronię się do końca w Sali Orłów.
Ku chwale Ocalonego Ludu!
Hanhakh

Gdy skończył, zgiął papirus w pół, zwinął w ciasną tuleję, po czym

chwycił klatkę z pocztowym gołębem, którą zabrał podczas odwrotu. Wsadził list do mosiężnego pojemnika, a potem wypuścił ptaka, który wystrzelił pod sufit i zniknął w malutkim lufciku — uciekając drogą, która dla ludzi była zupełnie nieosiągalna.

— Teraz dacie z siebie wszystko — rzekł pułkownik, wyciągając szablę. — Pokażemy psim synom, że nie można bezkarnie wdrzeć się do Orlego Fortu. Nie dajcie się złapać żywcem. Prorok z pewnością obmyślił już dla nas męki, a wolę, by oszedł się smakiem.

Wkrótce drzwi rozsypały się w drzazgi i Jastrzębie rozrzuciły barykadę, jakby zrobiono ją z dziecięcych klocków. Potem kompania Świętych Jeźdźców stoczyła ostatni bój wśród posągów dawnych paszów Tel’Halik, którzy zimnym spojrzeniem kamiennych oczu patrzyli, jak ich spadkobiercy giną jeden za drugim, osaczeni przez wrogów.

Walka szybko dobiegła końca, a rozwścieczeni słudzy proroka rozbiegli się po forcie, plądrując i kradnąc. Po kilku chwilach z okien lewego skrzydła wystrzeliły języki płomieni. Ogień prędko ogarniał kolejne komnaty, aż w końcu fort zapłonął jak żagiew, zatknięta ręką olbrzyma nad Świętym Miastem.

Posągi paszów stały niewzruszenie wśród huku płomieni i walących się belek, zupełnie jakby kamienni wojownicy wiedzieli, że los jeszcze się odwróci.

*

Vezamar patrzył na posła jak krokodyl z Shaprut na jagnię. Jego nozdrza rozděły się, czoło zmarszczyło. Dworzanie widzieli, że najchętniej wbiłby tego człowieka na pal, jednak Asimar Lew Pustyni kolejny raz okazał spryt, wysyłając z poselstwem jednego z pojmanych Jastrzębi zamiast własnego człowieka. Nie wiadomo, co bardziej rozwścieczyło Vezamara: głowa Lammadza, którą przyniósł ów Jastrząb, czy też sama wiadomość.

— Powtórz! — krzyknął w końcu prorok; jego emocje znalazły ujście w tonie głosu, który tak był przeładowany złością, że aż się załamywał, rozwarstwiając na skrzekliwe, wysokie alikwoty.

— Pasza Asimar twierdzi, że przysięgał przed Jedynym bronić i zachować Święte Miasto za każdą cenę, jaką człowiek może zapłacić. Twoja decyzja zaś, o potężny — wybacz mi te słowa, z jego bowiem ust pochodzą — godzi w przetrwanie Tel’Halik. Zuchwały pasza twierdzi, że prorok nie ma prawa nakazać wiernemu ludowi opuszczenia miasta, że założył je sam Bóg i że tylko Bóg, bez pośredników, może je zniszczyć, gdy przyjdzie mu

taka ochota. Pasza powiedział też, byś wedle życzenia wziął własnych służących oraz wszystkich, którzy zechcą za tobą pójść, a potem ruszył na pustynię. Powiedział — wybaczone, panie — że nikt cię nie będzie tu żałował, on zaś weźmie pod opiekę miasto i tych, którzy w nim zostaną.

Prorok zgrzytnął zębami, a potem rozkazał:

— Do lochów z nim.

— Raczysz, panie, powtórzyć? — rzekł dowódca straży.

— Do lochów z nim, mówię! Zdrajcy, na Marrenvan, wszędzie zdrajcy! Zdradził Asimar, a ty i Lammadż też mnie zdradziliście. Jastrzębie Najwyższego, och, jak to dumnie brzmi! Mieliście być najlepsi, mieliście być ostrzem proroka. Dostaliście wszystko — złoto, miejsce na szkołę, potężnego mistrza! I co? Daliście się pojmać, schwytać w sidła, jak głupcy z miejskiej straży! Na wszystkie demony, na tysiąc skorpionów, jak mam wypełniać wolę bożą, gdy wszyscy mnie zawodzą?! Jak mam zbudować raj na ziemi, mając takich poddanych?

Mężczyzna skurczył się, jakby przygnieciony potokiem przekleństw. Jednak gdy strażnicy chwycili go za ręce, by wyprowadzić z sali, nie mógł odegnąć myśli, że jego los jest lepszy od losu reszty braci, którzy o porażce mieli opowiedzieć nie prorokowi, lecz samemu Wysłannikowi Niebios.

Jeszcze tego wieczoru Vezamar spotkał się z Bestią. Wysłannik przyszedł podziemnym tunelem wprost do Piaskowej Iglicy; zamknięci w pracowni na trzecim piętrze rozmawiali swobodnie i bez świadków.

— Wy, ciepłokrwieści — powiedział Snaar, patrząc przez okno na nocną panoramę miasta i Orli Fort, który wciąż jeszcze płonął — zawsze zawodzicie pokładane w was nadzieje. Narzekasz na złe sługi, Vezamarze, ale i ty źle mi służysz. Mnie oraz Bogu. Czy naprawdę nic nie potrafisz zrobić sam?

— Rozkazałem już Al’Ghaziemu przygotować atak na Um’Magar.

Snaar syknął rozeźlony. Jego pazury zgrzytnęły na kamiennej okiennicy, zostawiając głęboką bruzdę.

— Myślisz, że to coś da? — powiedział. — Święci Jeźdźcy są wprawni wojownikami, a Um’Magar to wielka i potężna twierdza. Nie zdobędziesz jej w jednym ataku, tym bardziej że pasza z pewnością się go spodziewa. Pozostaje oblężenie. Nie wątpię, iż nawet taki głupiec jak Al’Ghazi zdobędzie w końcu fortecę, mając dziesięciokrotną przewagę w ludziach. Jednak nie mamy czasu, by na to czekać! I tu powtórzę, Vezamarze: nic nie potrafisz zrobić sam. Znów będę musiał rozwiązać

problem za ciebie.

— Zamierzasz... zakraść się tam i zamordować paszę? Pozabijasz jego Jeźdźców?

— Nie, starcze. To kusząca propozycja, rozważałem ją. Nie możemy jednak liczyć na sukces. Stary lis pewnie jest lepiej zabezpieczony od ciebie, zresztą usiekł Lammadza, a to o czymś świadczy. Ma ludzi z bardzo silnym darem i choć każdego z nich pokonałbym bez trudu w pojedynku czy nawet w kilkusobowej grupie, to nawet ja nie zabiję setki potomków proroka. Dar ma pewne ograniczenia, o których niewątpliwie wiesz.

— Co więc planujesz?

— Och, to proste. Jedyny, widząc twą niekompetencję, postanowił pomóc wiernemu ludowi. Właśnie teraz z Morza Bestii płyną do nas okręty, które stworzył i obsadził podobnymi do mnie istotami oraz ich podwładnymi, by wspomóc cię w wielkim przedsięwzięciu.

— Ok... okręty? — Vezamar był tak zdziwiony, że głos ledwo przeciskał mu się przez gardło.

— Tak, okręty i spora armia, jakiś tysiąc zbrojnych. Wylądują już wkrótce przy Tel'Amman. Pójdą na północ, oczyszczą te ziemie z buntowników i szybko dotrą pod Tel'Halik, gnając ci w kajdanach wrogów z południa. Potem zdobędą z marszu Um'Magar i będziemy mogli w końcu ruszyć na wschód.

— Mówiłeś, że... że zdobycie fortu jest niemożliwe bez oblężenia!

— Niemożliwe dla was, żalosnych ciepłokrwistych. Armia Jedynego będzie umiała tego dokonać.

Tu gad przerwał, a widząc, że prorok nie ma już pytań, skinął głową i wyszedł z komnaty. Vezamar został sam, szarpany przez strach i wątpliwości. Armia Jedynego? To było niemożliwe! Potrafił uwierzyć, że Jedyny dał mu wysłannika, a jego gadzi wygląd miał sprawdzać siłę wiary. Potrafił zrozumieć, że nadeszła pora, by wypowiedzieć demonom ze wschodu ostateczną wojnę. Nie umiał jednak pojąć, dlaczego Jedyny miałby tworzyć obcą armię, zamiast obdarzyć wiernych błogosławieństwami i większą mocą lub porazić niewiernych ogniem z niebios, jak to zrobił w przeszłości.

Vezamar był już teraz pewien, że za tym wszystkim kryje się więcej, niż Snaar kiedykolwiek mu wyjawiał.

*

— Kara, o panie! Spadła na nas kara za grzechy! To koniec, Jedyny nas

przeklął!

Zwiadowca drżał jak drzewko na wietrze, a jego nerwowy głos i rozszerzone ze strachu oczy nie licowały z godnością Świętego Jeźdźca.

— Opanuj się, człowieku! — krzyknął na niego pasza. — Powiedz wreszcie, cóżeś widział?!

— Karawana demonów zmierza ku nam, o potężny! Przeklęte, zakute w stal, białe bestie. Ale tym razem jest ich mrowie! Dobra setka, a mają ze sobą całe plemię nomadów, bez wątpienia przeciągnięte na ich stronę diabelską mocą! To jednak nie wszystko. Jedyiny widać chce nas pokarać za zdradę, bo dowódca demonów ma zbroję Świętego Jeźdźca!

Oficerowie, z którymi pasza się naradzał, zaszemrali. Tylko jeden uśmiechnął się szeroko, a w jego oczach rozbłyły dziwne ogniki.

— Zbierz eskortę — do niego właśnie rzekł pasza. — Wyjadę im na spotkanie.

— O potężny! — zaprotestował któryś z pułkowników. — To szaleństwo! Trzeba na nich czekać pod osłoną fortu. Nie możesz tak ryzykować życia, paszo!

— Ja sam decyduję, kiedy i w jaki sposób kładę życie na szali — odparł Asimar.

Wkrótce potem, w towarzystwie tuzina pospiesznie zebranych Jeźdźców, pasza udał się na pustynię. Jego niewzruszona mina mówiła załodze fortu, że albo jest jeszcze odważniejszy, niż o nim opowiadano, albo kompletnie szalony.

Pochód, który tak przeraził zwiadowcę, spostrzeżono sześć farsangów od Um'Magar. Gdy tylko na horyzoncie ukazały się drobne, czarne sylwetki, pasza chwycił lunetę i przyjrzał im się dokładnie. Szczególną uwagę poświęcił postaci na czele kolumny. Potem wręczył lunetę Świętemu Jeźdźcowi po swojej prawicy.

— Miałeś rację — powiedział. — Jedyiny mi świadkiem, że nie mógł wybrać lepszego czasu, aby się pojawić.

Kashim również ich dostrzegł i przykazał swoim ludziom ostrożność, a ci rozwinęli szyk w szeroką linię, dobywając broni.

— Czyżby to byli ludzie twojego proroka? — spytał Brenvan, mrużąc oczy.

— Zbyt nieliczni. Zresztą nie gotują się do walki.

Grupy jechały więc dalej ku sobie. W końcu Kashim, poznaawszy zbroje Świętych Jeźdźców błyszczące jasno w słońcu, wydał radosny okrzyk i

popędził wierzchowca. Miidza i Brenvan spojrzeli po sobie zdziwieni, lecz pognali w ślady Al'Shannagga.

— Demony szarżują, panie! — rzekł do paszy jeden z żołnierzy.

— To nie demony — odparł mu pasza, śmiejąc się. — To pomoc, której nie mogliśmy się nawet spodziewać.

Następnie wyjechał wraz z jednym Jeźdźcem na spotkanie trójki przybyszy.

Gdy stanęli naprzeciw siebie u stóp wydmy, pomiędzy dwoma oddziałami, Al'Shannagg zeskoczył z siodła i skłonił się głęboko.

— Witaj, paszo Asimarze!

— Witaj, kapitanie Al'Shannaggu. Choć po siłach, które prowadzisz, widzę, że nie powinienem cię już zwać kapitanem.

— Jestem teraz pułkownikiem i emisariuszem potężnego władcy ze wschodu, paszo. Przybywam, bo dowiedziałem się o nikczemnościach Vezamara i jego szalonym planie. Cieszę się, że widok białoskórych cię nie przeraża. Wiedz, że to nie demony, lecz...

Pasza uśmiechnął się.

— Wiem o białoskórych, Kashimie — powiedział. — Zrządzeniem Jedynego, pewien człowiek rzekł mi wszystko o twoim spotkaniu z nimi i o tym, co twój jasnowłosy przyjaciel opowiadał. Moi ludzie znaleźli zaś wśród piasków dowody, że na świecie zdarzyło się wiele rzeczy, o których Księga nie mówi ani słowa. Witam też twoich towarzyszy, białoskórego wojownika i władczynię nomadów.

Miidza oraz Aam Caerleigh skłonili się, Al'Shannagg zaś zmarszczył czoło.

— Kto ci opowiedział o Brenvanie, paszo? Czyżby...

Jeździec stojący obok Asimara bez słowa zdjął z twarzy zawój, który do tej pory chronił go przed pustynnym wiatrem.

Kashim zawahał się, bo twarz Nahara przez ostatnie miesiące bardzo się zmieniła, chłopięce jeszcze niedawno oblicze spoważniało i wychudło. Odbiły na nim swój ślad pobyt w lochu, wygnanie, choroba i strach. Włosy i oczy straciły dawny blask, a w zaciętych rysach widać było determinację obcą niegdysiejszemu miłośnikowi wina oraz śpiewu.

Również Al'Shannagg wydał się inny Naharowi, patrzył bowiem na niego długo, nim wreszcie obaj uścisnęli się.

— Dawno temu obiecałem, że wrócę, Naharze. I oto przybyłem.

— Straciłem już nadzieję — odparł przez ściśnięte gardło Al'Iarnak. —

Nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwy, że się myliłem. Byłem pewien, że zostałem ostatnim powiernikiem tajemnicy wschodu. Podjąłem twoje dzieło ze wszystkich sił i przysiągłem, że...

— Ale co to? — przerwał mu nagle stropiony Kashim. — Na wszystkie demony pustyni, co się stało z twoją dłonią?

— Umiem już walczyć drugą. Na tyle dobrze, że pokonam cię z łatwością, bo na oko postarzałeś się o dobre dwadzieścia lat.

Po tych słowach roześmiali się, jak za starych czasów.

— Nie uwierzysz, kto mi ją odjął — dodał Nahar. — Twój stary znajomy z podziemi miasta.

— Walczyłeś z Bestią?!

Nim Al'Iarnak zdążył odpowiedzieć, wtrącił się pasza:

— Rozumiem, że macie wiele do omówienia, ale prywatne sprawy lepiej zostawić na później. Ludzie się niecierpliwią. Porozmawiajmy w drodze.

— Oczywiście — potwierdził Kashim.

Wkrótce połączona grupa ruszyła do Um'Magar. Nahar, pasza, Kashim, Brenvan i Miidza spędzili razem wiele godzin. Opowiadali sobie wzajemnie o wydarzeniach w Ocalonej Krainie i o tym, co się działo na wschodzie. I jedni, i drudzy wynieśli z rozmowy tyle samo zdziwień i wzruszeń, co obaw i złości.

*

Oglądane przez lunetę białe, stłoczone domki Tel'Amman miały jakby beczkowate kształty. Ich dziwna architektura przykuła na krótki czas uwagę Ts'Rang, lecz zaraz potem admirał wróciła do lustrowania wrogiego miasta. Szukała fortyfikacji, barykad czy choćby śladu zbrojnych. Niczego takiego nie zobaczyła.

Galery stały w zatoce ze spuszczoneymi żaglami, czekając na decyzję Ts'Rang. Ludzie z miasta uciekli o świcie, gdy spostrzegli obcą flotę. Opuszczone budynki wyglądały zapraszająco, a jednak admirał bała się zasadzki. Zbyt wielu podwładnych straciła już z winy sztormów, skał i huraganowych wiatrów na Morzu Bestii, by ryzykować kolejne, niepotrzebne ofiary.

Marynarze mieli już dość tej zwłoki, a słońce doskwierało, mimo lekkiej morskiej bryzy, która chłodziła rozpalone czoła. Seledynowy Pazur nie spieszyła się jednak, czekając na ruch potencjalnego przeciwnika. Wreszcie po czasie, który załodze okrętu wydawał się wiecznością, wydała rozkaz:

— Przygotować się do lądowania. Zajmujemy miasto. „Syn Siedmiu

Mórz” wpłynie do głównego portu razem z „Władcą Burzy”. „Oddech Smoka”, „Niezwyciężony” oraz „Cesarski Goniec” przybiją koło ujścia rzeki i zrzucają desant do tych gęstych zagajników. „Feniks” oraz „Daleki Marsz” będą dbać o ich bezpieczeństwo z wody. Do dzieła! Z łaski Boskiego Cesarza czeka nas łatwe zwycięstwo.

*

Na wojenną radę, która odbyła się w sali audiencyjnej Um’Magar, za namową Kashima wpuszczono ledwie garstkę ludzi. By nie siać niepotrzebnych plotek, wzięły w niej udział tylko osoby świadome sytuacji zarówno w Ocalonej Krainie, jak i poza nią. Byli tam więc Kashim, Brenvan, Asimar, Nahar oraz Miidża. Wtajemniczono też dwóch pułkowników paszy, którzy choć z początku byli przytłoczeni informacjami, jakie w skrócie przedstawił im Al’Shannagg, szybko wzięli się w garść.

— Tak to wygląda — Kashim podsumował swoją opowieść. — Jak widzicie, korzystamy teraz z pożyczonego czasu, z dodatkowej chwili, którą zyskały nam bunty w Ocalonej Krainie oraz sprzeciw paszy. Chwila ta dobiega jednak końca. Prorok jest już gotowy, a ostatnie wydarzenia z pewnością go rozjuszyły i sprowokowały do działania. Lada dzień może ruszyć przeciw nam.

— A my nie będziemy mieli wystarczających sił, by mu się przeciwstawić — dodał pasza.

— Jakże to? Jeśli dobrze widzę, już trzy strony zawarły sojusz przeciw waszemu miastu! — powiedział Brenvan.

Nahar odparł:

— Co wciąż nie tworzy na tyle silnych wojsk, by mogły poważnie zagrozić prorokowi... Nie zdajesz sobie sprawy z potęgi, jaką zbudował, człowieku zza piasków. Ma przynajmniej pięć tysięcy zbrojnych, a do tego jeszcze wiele Jastrzębi. Czym dysponujemy my? Setką Jeźdźców, setką nomadów, kilkudziesięcioma białoskórymi.

— Na dodatek — wtrącił pasza — gdy o tychże białoskórych dowie się Tel’Halik, ludzie wpadną w panikę. Prorok łatwo zmobilizuje przeciw nam nawet starców, kobiety i dzieci!

— Dlatego właśnie nie mam zamiaru na razie atakować Świętego Miasta — rzekł Al’Shannagg. — Wywabimy Vezamara w pole.

— Jak? — spytała Miidża. — Przecież lud Świętego Miasta zawsze wolał bronić się na murach, niż uganiać za wrogiem po pustkowiu...

— Wystawimy siebie na przynętę. Opuścimy Um’Magar. Prorok nie

przeoczy takiej okazji, by zdusić wszystkich wrogów za jednym zamachem.

— Piękny plan — westchnął pasza. — Tylko gdy już ściągniesz wojska proroka na nas, jak zamierzasz je pokonać?

— Wiele rzeczy nam sprzyja! Białoskórzy wzbudzą w żołnierzach Vezamara panikę, a poza tym mamy ciebie, paszo Asimarze. Jesteś lepszym strategiem niż ktokolwiek w Ocalonej Krainie. Al’Ghazi nie może się z tobą równać.

— Stratedzy nie wygrywają bitew. Wygrywają je dobrze przez nich użyci żołnierze.

— Tu nam pomogą sojusznicy.

— Jacy sojusznicy?

— Degowie z gór, a może i rebelianci z południa.

— To szaleństwo, Kashimie! — krzyknął pasza. — Degowie? Owszem, walczą dzielnie za swoje jurty i Żelazne Wzgórza. Nie zgodzą się jednak ginąć na równinach, w nie swojej wojnie, na obcym terenie. Cóż możesz obiecać Degom, w zamian za to poświęcenie? Jak ich przekonasz?

— Znam chyba sposób. Choć nie mogę go wyjawić.

— W tej sali nie powinno być żadnych tajemnic — powiedziała surowo Miidża.

— Mam powody, by na razie wszystkiego wam nie mówić — odrzekł Al’Shannagg. — Jeśli mi ufacie, jutro wezmę najszybszego saura i dwa zapasowe wierzchowce, a potem ruszę w stronę Żelaznych Wzgórz. Pojedzie ze mną Nahar, bo zna te ziemie i wie, gdzie znaleźć Degów. Zgadzaście się?

— Chyba nie mamy wyboru — odparł pasza. — Mam tylko nadzieję, że wiesz co robisz, Kashimie.

— Zważ wszelako na jedno — wtrącił się jeszcze Brenvan. — Cesarz Yauranu nie zwykł się mylić czy tworzyć wadliwych planów. Jestem pewien, że ma zabezpieczenie, na wypadek, gdyby coś wstrzymywało Vezamara w Ocalonej Krainie.

— Może masz rację — zgodził się Kashim — ale będziemy musieli zaryzykować. W razie czego pozostanie nam własny spryt i modlitwy. Mam jednak nadzieję, że Cesarz nie spodziewał się takiego obrotu spraw, a Vezamar nie wyciągnie z rękawa karty, o której byśmy nie wiedzieli.

Rozdział 11. Mocobójstwo

Następnego dnia po naradzie Kashim zaczął przygotowywać się do drogi. Jeszcze przed świtem pożegnał Miidzę ciepłym pocałunkiem i czułymi słowami, po czym zaszedł do zagród. Spokojnie, dokładnie sprawdzał uprząż saurów, co jakiś czas spoglądając na pobliskie mury Um'Magar, po których przechadzała się ostatnia warta, i na bramę, z której lada chwila powinien wyjechać Nahar.

Al'Iarnak pojawił się spóźniony, na dodatek, ku zdziwieniu Kashima, nie miał jeszcze ze sobą ani wierzchowca, ani sakw. Pędził w stronę obozu Manar na złamanie karku, a gdy dopadł do zagród, wysapał:

— Niestety! Obok fortu znaleziono dwa ciała.

— Co? — Al'Shannagg zmarszczył brwi.

— Morderstwo, przyjacielu! Zarżnięto dwóch twoich ludzi. Poranny patrol znalazł ich na pustyni nieopodal. Jedyne niech ma nas w opiece, bo czuję, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Gdy tylko reszta się dowie...

Al'Shannagg zaklął. Rzucił uprząż w piasek i pobiegł zbudzić Brenvana oraz Miidzę.

Wkrótce w obozowisku i forcie zawrzało. Wiadomo już było, że zabici są szlachcicami, którzy ubiegłego wieczoru odwiedzili Um'Magar. Pasza bowiem, by przekonać swoich podwładnych, że białoskórzy nie są groźni, zaprosił sporą grupę do twierdzy, gdzie bawili przez pół nocy.

Rozpoczęto pospieszne śledztwo, które w Um'Magar prowadził pasza z Naharem, w obozie zaś Kashim. Święci Jeźdźcy mówili niechętnie, ale żaden nie ośmielił się taić czegokolwiek przed paszą, dlatego już po południu znano przyczynę mordu.

Od niemal miesiąca Brenvan uczył chętnych członków wyprawy pustynnego języka. Uznali bowiem z Kashimem, że jeśli żołnierze mają współpracować z lokalnymi sojusznikami, to przynajmniej niektórzy powinni znać kilka zdań w ich mowie. Aam Caerleigh oraz Al'Shannagg nie mogli przecież zawsze służyć za tłumaczy. Jak się okazało, ich przezorność pośrednio przyczyniła się do nieszczęścia.

Białoskórzy, którzy przyszli na ucztę do Jeźdźców, usiłowali porozumiewać się z nimi w ich języku. Z początku pośredniczył w tym Brenvan, lecz po północy wrócił do obozu wraz z większością podwładnych.

Część jednak została, pijąc w małych grupkach ze Świętymi Jeźdźcami. Tak było z parą szlachciców, którym wino zbyt rozwiązało języki, gdy wdali się z grupą Jeźdźców w rozmowy o religii. Dowiedziawszy się o ich wierze w Jedyne, zaczęli się z tego naigrawać, twierdząc, że to wierzenia brudnych i zawszonych Dorian, a wszyscy cywilizowani ludzie od dawna wyznają Złoty Tuzin. Oburzeni Jeźdźcy poczęli się sprzeczać, ale w końcu obelgi wobec ich Boga przechyliły szalę. Rzucili się na bluźnierców, zarżnęli ich, a ciała zostawili wśród piasków.

Pasza poznał nazwiska wszystkich pięciu winnych. W obozie Kashima zawrzało, zbrojni żądali jednogłośnie, by zabójców ukarać śmiercią. Na to zaś nie mógł zgodzić się pasza, twierdząc, że choć Jeźdźcy zareagowali na bluźnierstwa zbyt gwałtownie, to z pewnością nie zasługiwali na więcej niż loch. Wkrótce doszło do tego, że ludzie Al'Shannagga zapowiedzieli atak na fort, jeśli nie dostaną w swoje ręce winnych. Dopiero pod wieczór, po bardzo długich namowach i wysiłkach Kashima oraz Brenvana, białoskórzy zgodzili się uznać wyrok Asimara.

Incydent popsuł jednak nastroje. Rycerze ze wschodu zaczęli patrzeć na ciemnoskórych podejrzliwie, a nawet z nienawiścią. Nomadzi Manar unikali teraz swych gości, bojąc się kontaktu z bluźniercami. Święci Jeźdźcy burzyli się, a niektórzy wprost mówili, że wolą walczyć z prorokiem sami niż w towarzystwie niewiernych.

Kashim bardzo żałował, że musi opuścić pełen niepokoju obóz, lecz stracił już i tak jeden dzień, a pozyskanie sojuszników było sprawą pilną. Zdecydował się zostawić w Um'Magar Nahara, który miał duży wpływ na Jeźdźców i mógł pomóc uśmierzyć narastające konflikty.

Tuż przed wyjazdem Al'Shannagg porozmawiał jeszcze ze swoją żoną, paszą oraz dwójką przyjaciół, prosząc, by spróbowali zapanować nad chaosem do jego powrotu. Potem zniknął, pędząc w stronę Żelaznych Wzgórz.

*

Alim stał nad kadzią i płakał cicho, ocierając co chwila oczy rękawem rękawa i nasłuchując, czy nikt nie idzie, ale na szczęście żony i dzieci jeszcze spały. Mógł się nie bać, że ktoś zobaczy słabość mężczyzny, która była grzechem niemłym Jedyne.

Dziś okrutny los zmusił go do oszustwa. Nie mogąc pozwolić sobie na dwa tuziny liści mięty, w połowie użył taniej trawy asami. Na dodatek wymieszał daktylowy trunek z wodą w proporcji jeden do pięciu zamiast

jeden do trzech, jak to robił zwykle.

Postąpił tak, ponieważ nie miał już pieniędzy na składniki. Tylko kilka miedziaków brzęczało mu w sakiewce. Mimo że spędzał na ulicach coraz więcej czasu — ostatnio wstawał przed świtem, a wracał do domu dopiero przed nocną ciszą — to i tak zarobek był niewystarczający. Wszystko z powodu cen, które wzrosły niebotycznie, bo mieszkańcy Tel’Halik kupowali zapasy na długą drogę przez piaski.

W końcu doszło do tego, że przez cały dzień pracy Ali nie mógł zdobyć tyle pieniędzy, by zapełnić brzuchy rodzinie. Jedna z jego żon, młodsza Hamara, zaczęła nawet pytać nieśmiało, czy nie pozwoliłby jej pójść do bogatych Duzzahów; była jeszcze ładna, mogła sprzedawać własne ciało. Aby tego uniknąć, Alim zaczął fałszować recepturę, co wprawilo go w rozpacz.

Płakał, widząc nędzę, w jaką wpędziły go nowe rządy. Płakał, bo wiedział, że to fałszerstwo ma krótkie nogi — napój przestanie ludziom smakować, a on sam będzie zarabiał mniej i mniej, aż wreszcie zostanie bez źródła dochodu. Płakał też na myśl o własnym kupieckim honorze, który przyszło mu zszargać. Alim nigdy dotąd nie rozwadniał wina, nigdy nie obrzywał monet i nie podawał gościom nadpsutych owoców. Nauczył się tego od ojca, który z kolei pobrał nauki od dziadka. Alim przysiągł im, że będzie godnie kontynuował tradycje rodziny. Dziś tę przysięgę złamał.

Wziąwszy się wreszcie w garść, wrócił do mieszania napoju. Oszustwo czy nie — i tak musiał zarobić dziś kilka miedziaków. Słońce wstawało powoli nad murami, a na ulicach pojawili się pierwsi ludzie.

Kupiec przelewał właśnie płyn do przenośnej amfory, gdy nagle usłyszał krzyk. Jakiś młody chłopak biegł ulicą i darł się ile sił w płucach. Ludzie stawali w pół kroku, wystawiali głowy za okna, wzywali Jedynego.

— Demony! Demony! Zwiadowcy generała Al’Ghaziego widzieli demony! Bluźnierca pasza zbratał się z demonami, by obalić proroka! Demony, demony w Ocalonej Krainie!

Wieść jak grom rozeszła się po mieście. Choć niektórzy chcieli wierzyć, że to jedynie plotka, wkrótce potwierdzili ją i zbrojni z obozu pod miastem, i Duzzahowie. Szybko ogłoszono, że w południe, po drugim czytaniu, miało się odbyć specjalne kazanie proroka.

Alim chodził po ulicach z ciężkim nosidłem, obserwując panikę i chaos, jakie wiadomość wywołała w Tel’Halik. Uśmiechał się przy tym pod wąsem. Bał się demonów jak wszyscy, ale dziwną ulgą przepelniała go myśl, że ten

okrutny, niesprawiedliwy świat właśnie się kończy.

*

— Powiadam ci, przyjacielu, Jedyne nas opuścił. Odkąd cztery dni temu gołąb z Tel’Halik przyniósł mi list, w którym przyjaciel donosi o demonach w Ocalonej Krainie, modliłem się, by wskazał mi bezpieczną drogą. Nie otrzymałem jednak wróżby. Patrzyłem w ptaki na niebie, w linię pęknięć na ziemi przy studni, lecz nie dostrzegłem żadnego znaku. Żona mówi, byśmy uciekali, zaszyli się gdzieś, jak w czasie wojen z Degami. Ale gdzie, przyjacielu? Na północy siły przeklętego paszy, na wschodzie Tel’Halik, które szykuje się do wojny, na zachodzie góry pełne krwiożerczych Degów. Na południu zaś... powiedz, doszły cię może nowe wieści z południa?

— A owszem. Bratanek, który podobnie jak ja kieruje karawanserajem, pisze, że wkrótce przybędzie do mnie z rodziną. Białoskóry i demony...

— Pssst... Nie zapominaj się, mój drogi. Ci z południa to nie demony, lecz wysłannicy Boga, sam prorok przecież wielokroć to ogłaszał. Podobne przejęzyczenia mogą cię drogo kosztować!

— Naprawdę sądzisz, że musimy tu obawiać się szpiegów? Dawno nikt nie przybywał do miasteczka, a donosiciele mają teraz pełne ręce roboty w Tel’Halik! Wróćmy jednak do listu mego bratanka: „goście” z południa, choć połączyli się rychło z grupą żołnierzy proroka, wzbudzili taki strach, że ludzie nawet wbrew rozkazom namiestnika uciekają na sam ich widok. Tak też zrobił mój bratanek, którego rodzina wpadła w panikę na wieść o białoskórych. Południe nie jest dobrym kierunkiem ucieczki.

— Czyli nie ma dokąd pójść! Demony na południu, demony na północy. Wojna na zachodzie i wojna na wschodzie. Szaleństwo ogarnęło całą krainę! Gdyby tylko Duzzahowie zechcieli nam powiedzieć, jak mamy teraz ocalić głowy lub chociaż dusze...

— Niestety, Duzzahowie są tak samo dezorientowani i przestraszeni.

— Zaufajcie więc Jedynemu i własnym rozumom, a nie duchownym — padła odpowiedź z ciemnego kąta.

Kupcy drgnęli, zwracając spojrzenia w tamtą stronę. Do tej pory nie zdawali sobie sprawy, że nieopodal siedzi jeszcze jeden gość, krył się on bowiem w najbardziej zacienionej części sali, a na dodatek ubrany był w płaszcz z kapturem naciągniętym na oczy.

Obyczaj, by mieć we wnętrzu domu zakrytą głowę, zdał się kupcom dziwny. Równie osobliwy był głos owego przybysza — silny, ale spokojny, z doskonałą dykcją, która pasowałaby raczej do dworzanina, Duzzaha lub

Świętego Jeźdźca niż podróżnego w ubogim stroju.

— Nie bójcie się na zapas, jak dotąd bowiem poznaliście opowieść tylko z ust ludzi proroka. Pasza również rozesłał swoje poselstwa, lecz wasze miasteczko leży bliżej Tel’Halik, prorok ma zaś więcej sług, a zatem i donośniejszy głos.

— Ależ, przyjacielu! Pasza sam powiedział, że zniszczy Ocaloną Krainę, że dla zemsty na proroku zwrócił się o pomoc do demonów!

Nieznajomy pogładził brodę i spytał:

— A któż ci o tym powiedział, przyjacielu?

— No... Duzzahowie.

— Czy wierzysz sprzedawcy butów, gdy mówi, że twe łapcie są stare i zaraz się rozlecą? Czy wierzysz handlarzowi bydłem, gdy powiada, że wszystkie byki poza jego własnym są ociężałe i nie potrafią uczynić krów cielnymi?

Zebrani w karawanseraju ludzie roześmiali się. Okazało się, że wszyscy z uwagą słuchali nieznajomego.

— Czyżbyś miał jakieś nowiny, panie? — spytał jeden z kupców. — Może wiesz coś, czego nie wiemy my, prości ludzie.

— Wiem jedno — odparł mężczyzna. — Nie powinniście ulegać pozorom ani wierzyć bez zastrzeżeń Vezamarowi. Prorok mówi przecież otwarcie, że jego poprzednik mylił się, a jego droga wiodła do rozwiązłości. Skąd więc pewność, że i Vezamar nie obrał złej ścieżki? Moja rada na te trudne czasy jest taka: uważnie słuchajcie, a wszystko, co usłyszycie, osądźcie sami. Wyobraźcie sobie bowiem, że siedzicie na ganku w upalny dzień. Nagle z jednej strony do ogrodu wkracza wam obcy człowiek. Drugi przychodzi z naprzeciwka. Zaczynają bić się na waszej ziemi, to jeden, to drugi prosi was na zmianę o pomoc. Każdy twierdzi, że jest waszym obrońcą, a tamten to napastnik, co wdarł się, by was okraść. Czy włączycie się po prostu do walki? Czy staniecie po czyjejś stronie, póki nie poznacie ich prawdziwych intencji?

— Dobrze powiedziane, panie. My jednak jesteśmy prostymi ludźmi. Chcemy więc prostej odpowiedzi: gdzie bezpieczniej będzie nam przeczekać tę burzę? Co nam radzisz?

— Co radzę? Zaufajcie Świętym Jeźdźcom. Udajcie się na północ, pod ich opiekę. Czy od Jeźdźców spotkało was cokolwiek złego, jak z ręki Jastrzębi albo sług proroka? Czyż to nie oni przysięgają służyć ludowi Ocalonej Krainy i bronić go? Czyli służyć wam? Powiedzcie zaś, co ślubują

Jastrzębie? Że będą posłuszne woli proroka! Co ślubują Czerwone Turbany? Że będą spełniać wolę Duzzahów! A co ślubuje prorok? Że będzie za wszelką cenę wypełniał plan Jedynego! Każdy z nich różnym celom służy, które łatwo mogą okazać się sprzeczne z waszymi. Rozsądek podpowiada, że właśnie Jeźdźcy, opiekunowie wiernego ludu, są dobrym dachem, pod którym można przeczekać nawałnicę.

To mówiąc, mężczyzna wstał z ławy i zostawił na niej srebrnika dla gospodarza.

— Teraz żegnajcie, odpocząłem już wystarczająco, a przede mną jeszcze długa droga. Niech Jedyne ma was w swojej opiece!

— Poczekaj, przyjacielu — rzekł jeden z kupców. — Mówisz jak Duzzah, manieri masz jak dworzanin, a przy twym pasie widzę szablę Świętych Jeźdźców. Kimże jesteś?

— Człowiekiem dziwnym, jak czasy, które nadchodzą.

To mówiąc, mężczyzna skłonił się i wyszedł w ciemność. Chłopiec stajenny przywiódł mu trzy saury, a chwilę potem nieznajomy pędził już na zachód, w stronę wzgórz.

*

— To, o co prosisz, jest niewykonalne. Mówię tak z sercem ciężkim od żalu oraz nadzieją, że przodkowie mi wybaczą. Jesteś członkiem plemienia Bakh'Dezi, jednak są pewne granice pomocy, jakiej możemy ci udzielić.

Po tych słowach, Czenda Nobru, jakby w ramach przeprosin, podsunął gościowi kolejną czarkę kumysu.

— Zawsze możesz otrzymać u mnie *bakshalam*, choćby ścigało cię całe pustynne miasto. Mogę dać ci wierzchowce, zapasy, eskortę. Nie dam natomiast swoich wojsk, bratanku. Już raz wyszliśmy zbrojnie na równiny. Jeszcze przez wiele pokoleń będziemy opłakiwać wojowników, którzy wtedy polegli.

— Czy mogę coś dodać, Nobru? — spytał Tenzih, który siedział po prawicy starego mężczyzny.

Nobru pokazał mu ruchem dłoni, żeby mówił. Choć obaj byli Czendami, a Tenzih miał znacznie więcej jurt pod swoją pieczę, wciąż pozostawał synem Nobru i musiał okazywać mu szacunek.

— Jak dotąd wygrywaliśmy z ludźmi pustyni — powiedział do gościa — ale tylko dlatego, że sprzyjają nam same wzgórza. Ścieżki górskich kozic są naszymi ścieżkami, a turnie dostępne tylko orłom otwierają się dla nas. Posłuchaj, Kashimie Bakh'Dezi. Mam pod władaniem trzy setki

wojowników. Wszystkie plemiona wzgórz mają zaś nie więcej niż osiem setek. Dlatego nie możemy pomaszerować przeciw wielotysięcznej armii Tel'Halik, tak jak górski kuc nie może siłować się z równinnym bacharnem...

Gość wypił spokojnie kolejną czarkę, a odstawivszy ją na bok, spojrział po wszystkich ludziach zgromadzonych w jurcie i rzekł:

— Nie przychodzę tu jako wódz, który szuka wojowników dla swojej sprawy, choć przyznaję, że po moich pierwszych słowach mogliście odnieść takie wrażenie. Przybyłem jako posłaniec boskiego objawienia, jako *sabidź*.

W jurcie rozległy się pomruki zdziwienia. Norbu zmarszczył brwi, Tenzih pokręcił głową.

— To nie zdarzyło się od wieków, Kashimie — odezwał się ze zdziwieniem. — Naprawdę sądzisz, że ci uwierzemy?

— Jestem Bakh'Dezim i Świętym Jeźdźcem. Nie zwykłem kłamać. Mogę przysiąc ci na honor rodu, na honor mojej matki: Anda'Kien. Tak samo jak ona potrafię rozmawiać z duchami. Odziedziczyłem ów dar. Dobrze ją pamiętasz, Nobru. Wiesz, że mówię prawdę.

Czenda Nobru westchnął i chwilę gapił się w ogień.

— Ma rację — przyznał wreszcie. — Anda'Kien mówiła z duchami. Ale co innego kontakt, a co innego *sabidź*, objawienie zesłane plemieniu...

— A jednak spotkała mnie ta łaska. Przemierzyłem dziesiątki krain, tysiące farsangów traktów i pustkowi. W końcu, wśród białych pustyń odległej północy, Bóg objawił mi się za wstawiennictwem Daram'ab'Dina, zwanego przez was Sammarem: pierwszego proroka, który był wspólnym nauczycielem Degów i ludu pustyni. I dowiedziałem się, że wszyscy kapłani świata z biegiem lat popadli w fałsz, coraz dalej odchodząc od pierwotnych praw. I poznałem, że Bóg, rozeźlony brakiem prawdziwie wiernych, zniszczyć zamierza nasz świat, aby zastąpić go nowym. Wszystko powróci w pustkę, z której powstało.

Pełne obawy i niedowierzania szeptu rozniosły się po jurcie. Zebrani tu ludzie z trudem potrafili uwierzyć w opowieść Kashima, lecz wiedzieli też, że członek rodu nie kłamałby, szczególnie pod przysięgą.

— Jest jednak nadzieja. Jeśli zrzucimy z tronu fałszywych proroków, jeśli wygnamy głoszących kłamstwa kapłanów, nadejdzie jeszcze nowy dzień, a łaska Boga, jak za dawnych lat, znów będzie nam przyświecać. Ta wojna już się toczy. W krainach za pustynią białoskórzy ścierają się z potężnym władcą, który uzurpuje sobie boskie prawa. U nas największym grzesznikiem jest Vezamar. Jeśli nie zostanie pokonany w otwartej wojnie, jeśli dalej

będzie psuł serca Ocalonego Ludu i sącył w nie jad, będziemy zgubieni. Zważcie na me słowa, Czendowie. Mówię o zagrożeniu większym niż wszystkie wojny oraz spory ziemskich władców razem wzięte. Mówię o końcu świata.

— Jedyne dał ci moc, byś temu zapobiegł? Będziesz czynił cuda, jak Daram'ab'Dina?

— Nie. Dostałem jedynie wiedzę. By odnowić przymierze z Najwyższym, musimy wykazać się wiarą i determinacją, a cóż to by była za wiara, gdyby sam za nas niszczył bluźnierców? A jednak czuję, że roztoczył nad nami opiekę. Czuję, że kierował już moimi krokami i że wiele szczęśliwych okoliczności w moim życiu było jego sprawką. Powiadam więc: Najwyższy nas nie opuścił. Śmiało stańcie do walki z szalonym Vezamarem i z grzesznikami. Jeśli zwyciężymy, wygramy wszystko. Jeśli przegramy, i tak nic już nie będzie miało znaczenia. Zresztą, czy i wasze serca nie szepczą, że świat pogrążył się w ostatecznej wojnie? Białoskórzy walczą u boku paszy, ludzie-saury przybyli wspierać proroka. Dzieją się rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie było w Ocalonej Krainie, a wy musicie opowiedzieć się po którejś ze stron. Jeśli zaszyjecie się w wysokich górach, wojna i tak przyjdzie do was, jak robiła to już wiele razy.

Czendowie milczeli długo, aż w końcu odezwał się Nobru:

— Wierzę ci, Kashimie. Nie wyglądasz jak kłamca ani jak szaleniec. Słuszne są twe spostrzeżenia co do wydarzeń na równinach. Nasz ród byłby gotów wesprzeć cię ostrzem. Ale reszta? Co z Mbadan'Czien, z Tan'Ganczar? Sami Bakh'Dezi nie zapewnią ci wielu ghanków.

— Pojadę do jurty Mbadan'Czien. Odwiedzę też jurtę Tan'Ganczar, Aram'Bahir i wszystkich Czendów Żelaznych Wzgórz. Każdemu powtórzę swoje posłannictwo, jestem bowiem *sabidz*, powiernikiem Jedynego, i z jego pomocą przekonam każdego o prawdziwości swego poselstwa.

Zebrani górale, słysząc w głosie Kashima pewność oraz siłę i widząc błysk w jego oczach, zaczęli wierzyć, że ten plan mu się powiedzie.

*

Minęły kolejne tygodnie, które mieszkańcy Tel'Halik spędzili w strachu i obawie. Prorok przemawiał teraz do nich codziennie. Głosił kolejne kazania, podjudzał ludzi przeciw paszy i jego demonom, przygotowywał na przyjęcie sojuszników, których ponoć zesłał do Tel'Amman sam Jedyne. Z dnia na dzień jego przemowy były jednak coraz bardziej zaplątane i coraz trudniejsze do zrozumienia. Zdarzało się nawet, że Książę Wiernych wybuchał w trakcie

mowy niekontrolowanym strumieniem przekleństw lub gubił nagle wątki. Wreszcie zaczęto szeptać ze strachem, że Vezamar wyraźnie traci rozum. Nie powstrzymało to jednak dalszych przygotowań do wymarszu. Większość rodzin miała już odpowiednie zapasy, na placach, pilnie strzeżone, stały długie rzędy wozów. Wykupiono wszystkie zwierzęta, a nocami, mimo ciszy i surowych zakazów, mieszkańcy Tel'Halik wydawali złoto, którego nie spodzielali się już potrzebować — na wino, zbytki oraz kobiety. Ceny tego, na co można by przepuścić gotówkę, tak wzrosły, że za amforę dobrego trunku płacono sześć złotych centim, a kurtyzany zarabiały w jedną noc więcej niż wcześniej przez rok.

Jednak były i osoby, którym nie uśmiechało się jechać na pustynię pod rozkazami proroka. Wiele rodzin uciekło do jaskiń pod miastem, by skryć się w głębinach. Część z nich wyłapały i straciły publicznie Jastrzębie, ponieważ na ludzi, którzy nie popierali planu Vezamara, wydano wyrok śmierci.

*

O słabującym umyśle proroka przekonał się na własne oczy generał Al'Ghazi. Po przygotowaniach, które trwały czternaście dni, przyjechał do władcy, by odebrać ostatnie rozkazy. Jego cztery i pół tysiąca zbrojnych czekało na sygnał do wymarszu: gotowi, by zdobyć Um'Magar i zgnieść wrogów proroka, gdy tylko od morza przybędą obiecane posiłki. Ta chwila właśnie nadeszła. Dziwna armia rozbiła się wczoraj dziesięć farsangów od Tel'Halik, by nie straszyć swym wyglądem mieszkańców miasta.

Vezamar przyjął Al'Ghazię u stóp wiszących ogrodów, w pobliżu wielkich pałacowych wodotrysków. Siedział w zacienionej altanie, a gdy generał podszedł i padł mu do kolan, wybełkotał coś niezrozumiale.

Służba przyniosła Al'Ghaziemu inkrustowany złotem zydel, generał zaś czekał, aż prorok pozwoli mu mówić. Ponieważ jednak milczenie się przedłużało, sam zaczął:

— O, Światło Najwyższego, zawiadamiam cię, że wszystko stało się zgodnie z planem. Armia może wyruszyć choćby jutro, a wódz naszych sojuszników nawiązał kontakt ze sztabem.

Dopiero teraz Vezamar zdał sobie sprawę z obecności Al'Ghazię. Spojrzał na niego dziwnie, po czym rzekł:

— Ludzie Snaara... przyszli? Łuski to próba wiary, tylko próba wiary... Nie zawieźdź mnie, Al'Ghazi. Nie zawieźdź jak inni, a będziesz moim ulubieńcem. Nie jak Lammadz. Nie lubię już Lammadza, odsunąłem go, był zbyt słaby. Wygraj dla mnie tę bitwę, generale. Przynieś mi głowy paszy i

jego demonów, dużo, dużo głów.

Przy tych słowach twarz proroka skrzywiła się, a jego nozdrza rozszerzyły, jak u drapieżnika wietrzącego krew.

— Bądź waleczny jak manhaur. Jeśli wygrasz, spotkają cię wszelkie zaszczyty, ale jeśli przegrasz... Jeśli przegrasz, poniesiesz karę za wszystkie swoje chorobliwe, bluźniercze grzechy. Za to, co wyprawiasz z młodymi chłopcami i...

— Panie, wybacz, ale mam jeszcze pytania — przerwał poczerwieniały Al'Ghazi.

Wtrącanie się w słowa proroka było poważnym wykroczeniem, ale ten nagły wybuch niedyskrecji Vezamara w otoczeniu tylu służących przeraził Al'Ghaziego, którego poczynania były pilnie strzeżoną tajemnicą. Prorok, na szczęście, nawet nie zauważył, że ktoś wszedł mu w słowo.

— Pytaj, generale — przyzwolił.

— Wciąż nie wiem, o potężny, kiedy wyruszysz ze Świętego Miasta i gdzie się spotkamy? Słyszałem, że dwór planuje minąć granicę nieco powyżej Jedwabnych Oaz, więc trzeba wyznaczyć punkt, w którym wskazanego dnia spotkasz się z moją armią.

— Wyruszyć? Nie, jeszcze nie. Snaar mówił, żeby iść, ale poczekam, aż wpierv przyprowadzisz mi paszę w kajdanach. Sprawdź sojuszników w walce, nie ufam im. Wyruszymy za tydzień. Albo wtedy, gdy wrócisz. Poślę ci list, gdy będziemy wyjeżdżać.

Al'Ghazi zbladł. Rozbiegane oczy proroka, nieobecny wyraz twarzy i nieskładna mowa przekonały go, że ten człowiek z pewnością nie powinien kierować wyprawą. Dworzanie jednak płaszczyli się przed Vezamarem jak zwykle, zupełnie jakby nie dostrzegali niepokojących zmian.

— Rozumiem, panie — rzekł cicho generał, po czym skłonił się i pospiesznie odszedł.

— Snaar, gdzie jesteś? Co teraz robić? — mamrotał prorok, a jego słowa ginęły w szumie wody.

*

Gad, którego prorok wzywał, stał tymczasem w cieniu namiotu, obracając w dłoniach wspaniałą sztylet. Z przejęciem spoglądał na znaki w cesarskim alfabecie, wygrawerowane na rękojeści i ornamenty, które przywodziły mu na myśl ściany pałacu w Asar'Aden.

„Za wierną służbę przez czterysta lat”, przeczytał na głos, z trudem kryjąc wzruszenie.

— Boski Cesarz rozkazał ci to przekazać — powiedziała Ts'Rang. — Prosił też, bym osobiście ci podziękowała. Spisałeś się dobrze, Ur'Guzarze.

— Nie słyszałem tego imienia tak dawno, że prawie zdołałem je zapomnieć... Podziękowania przyjmuję z radością, choć służba Cesarzowi to mój obowiązek.

— Władca wyrazi ci z pewnością jeszcze większą wdzięczność, jeśli tylko dotrzemy do Ziem Środka przed jego inwazją. Jaki więc masz plan, Ur'Guzarze? I czy jest on wystarczająco szybki?

— Wedle mojego planu dotrzemy za piaski w półtora miesiąca. Teraz udasz się z generałem Al'Ghazim na północ. Tam we wspólnej bitwie pokonacie połączone siły paszy oraz buntowników, o których donoszą nam szpiedzy. Gdy walka dobiegnie końca, zbierzesz jeńców i tych, którzy zgodzą się poddać władzy proroka, a potem wyślesz mi wiadomość. Nie będziesz wracać do miasta. Ja tymczasem opuszczę Tel'Halik i ruszymy jednocześnie: wy na południowy wschód, my na północny wschód. Powinniśmy spotkać się na wysokości miejsca, które zwie się tu Jedwabnymi Oazami. Zaoszczędzimy w ten sposób dobre siedem dni. Przebycie pustyni zajmie nam około miesiąca.

— Z dziećmi i starcami, których zabierają ci przekłeci ciepłokrwieńcy?

— Vezamar wydał prawo, wedle którego każdy, kto będzie spowalniał marsz, zostanie porzucony na pustyni. A teraz idź pokonać wrogów Cesarza. Zwycięstwo będzie łatwe.

— Ta kraina już mnie do takich przyzwyczała. Czy to wszystko, Ur'Guzarze?

Gad chwilę myślał, obracając w dłoniach podarunek. Potem odezwał się znacznie bardziej niepewnym głosem:

— Powiedz mi szczerze, pani admirał... Nie czujesz od jakiegoś czasu dziwnej groźby? Nie zdaje ci się, że skały tężeją, a woda blednie w oczekiwaniu na coś strasznego? Gdy ostatnio skontaktowałem się z Boskim Cesarzem, niech władza wiecznie nad światem, rozpoznałem u niego coś na kształt obawy. Jestem pewien, że wszystkie jego dzieci też ją odczuwają, w mniejszym lub większym stopniu.

Ts'Rang Seledynowy Pazur syknęła złowieszczo:

— Lata spędzone na odległej placówce pozbawiły cię widać taktu. Boski Cesarz nie boi się niczego. Podobnie jak jego potomkowie.

— Doprawdy? — Gad popatrzył jej głęboko w oczy. — Przysięgniesz, że nie podzielasz mych obaw?

— Nie mam więcej do powiedzenia — ucięła rozmowę admirał. — Możesz odejść, Ur’Guzarze. Spotkamy się w Jedwabnych Oazach.

— Jeszcze jedno, pani. Na koniec zostawiłem prywatną sprawę. Czy... Gdybym posłał po ciebie którejs nocy sługę z zieloną latarnią, rozważyłabyś przyjście do mnie?

Ts’Rang roześmiała się, choć podobna reakcja byłaby poczytana w Asar’Aden za skrajny nietakt.

— Jestem cesarskim admirałem w toku wojennej misji, Ur’Guzarze. Inne sprawy mam na głowie, choć rozumiem, jak bardzo po tylu latach chciałbyś pokryć samicę.

Po chwili, widząc, że rozmówca gotuje się ze złości, admirał dodała:

— Wiedz, że w pałacu Boskiego Cesarza prawo nie zmienia się z dnia na dzień ani z roku na rok. Wciąż obowiązują te same zasady, które istniały, gdy opuszczałeś Asar’Aden. Oficjalnie jesteś cesarskim ambasadorem, ja zaś admirałem. Moja ranga jest wyższa, a taki mezalians nie byłby mile widziany przez Boskiego Cesarza.

— Oczywiście — odparł sucho Ur’Guzar, po czym wyszedł z namiotu zdecydowanym krokiem.

Od czterystu lat pragnął wreszcie spotkać kogoś ze swojego gatunku. Tak bardzo, że zapomniał już, jak jego przedstawiciele potrafili być denerwujący.

*

Niepokój zżerał Kashima przez całą powrotną drogę do Um’Magar, niewiele bowiem wiadomości z równin docierało do Żelaznych Wzgórz. Jeżdżąc od jurty do jurty, martwił się o ukochaną, przyjaciół oraz paszę. Znów dręczyły go koszmarne sny; choć nie wyniósł z tych splątanych wizji nic konkretnego, to nietrudno było sobie wyobrazić, ile nieszczęść mogło się zdarzyć pod jego nieobecność. A jeśli Vezamar ruszył do ataku szybciej, niż zakładali? Jeśli do gry weszła sama Bestia i przybyła, by zgładzić wodzów rebelii? I jeśli białoskórzy dobyli broń przeciw ciemnoskóрым?

Gdy Al’Shannagg opuścił wzgórze, popędzał saury tak, że omal nie skonały ze zmęczenia. Dopiero gdy na horyzoncie zobaczył zarys twierdzy, odetchnął spokojnie i podziękował Jedynemu. Fort jeszcze stał, nad nim powiewała flaga Świętych Jeźdźców, a pod jego murami wciąż znajdowało się obozowisko. Wydawało się nawet większe niż uprzednio.

Kashim zwolnił, pokonując ostatni odcinek drogi. Gdy spostrzegli go wartownicy, brama otwarła się, by wypuścić dwóch jeźdźców, którzy ruszyli mu naprzeciw. Z odległości farsanga zobaczył, że to Nahar i Brenvan.

— I jakie wieści przywozisz ze wzgórz? — spytał ten pierwszy, gdy tylko zbliżyli się do Al'Shannagga.

— Dobre. Wszystkie jurty staną po naszej stronie, wojownicy Bakh'Dezi są jakieś trzy dni drogi za mną, pozostali przybędą w ciągu tygodnia.

— Doprawdy nie wiem, jakim cudem to osiągnąłeś! — powiedział Nahar. — Pasza będzie zachwycony.

— Ilu to ludzi? — spytał Brenvan.

— Przeszło ośmuset. Wciąż niewiele, lecz teraz przynajmniej mamy szansę. Ale zaraz, zaraz. Po waszych ponurych minach widzę, że coś się stało! Mówcie!

Dwaj mężczyźni stropili się.

— Opuściła nas Miidza z plemienia Manar — rzekł w końcu Nahar. — Twoja żona odeszła, Kashimie.

Al'Shannagg spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Jak to? — spytał. — Co się stało?

— Nie obraż się, Kashimie, ale przecież wiesz, że była dziwna. Pewnego ranka, wkrótce po twoim wyjeździe, wezwała do siebie radę plemienia, a potem zabrała wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni, po czym odjechała na południe.

— Szalona! Przecież tam są oddziały proroka! Nie ustalała nic z Asimarem?

— Nie — odparł Brenvan. — Rzekła mi tylko, że widzi jakąś groźbę i musi jej natychmiast zapobiec. I że tak przykazała bogini, a ty zrozumiesz. Do dziś czuję dreszcz, gdy wspominam jej nieprzytomny wzrok.

— Rozumiem. — Kashim zgrzytnął zębami. — Aż za dobrze.

— Pasza wpadł w furję — dodał Nahar. — Mówił, że nie może prowadzić wojny, jeśli jego sojusznicy znikają bez ostrzeżenia albo biegają tygodniami po górach, nie śląc żadnych wieści.

Kashim nie myślał jednak o Asimarze. Złość walczyła w nim ze strachem o ukochaną, wiedział bowiem, że cokolwiek przedsięwzięła Miidza, musiało to być śmiertelnie niebezpieczne.

— A co w obozie? — zadał pytanie, gdy już nieco ochłonął.

— Nie za wesoło — odparł Nahar. — Choć trochę udało się nam złagodzić wrogość, a ludzie powoli do siebie przywykają, i tak co jakiś czas zdarzają się niesnaski; od twojego wyjazdu mieliśmy jeszcze jednego trupa i bardzo wiele bójek. Poza tym zjawilo się niemal dwustu ochotników z różnych oaz i wsi. Przybyli na wezwanie paszy, walczyć u boku Świętych

Jeźdźców.

— Ludzie z wyprawy — uzupełnił Brenvan — niecierpliwą się bardzo. Pytają, gdzie ich łupy. Wybacz, Kashimie, ale obiecywałeś im bitwy i bogactwo, a tymczasem od tygodni obozują pod gołym niebem, w skwarze pustyni.

— Lada chwila będą mieli swoją bitwę. Prowadźcie do paszy, przyjaciele. Z Miidzą czy bez, musimy omówić plany kampanii. Gdy tylko przybędą Degowie, wyjdziemy na spotkanie sił proroka.

*

W następnych dniach rozpoczęły się powolne ruchy wrogich armii. Al'Ghazi opuścił Tel'Halik na czele swoich pułków, zdążając do Um'Magar. Oddziały obcokrajowców, dowodzone przez gada o ludzkiej postawie, trzymały się kilkanaście farsangów od niego. Połączone wojska rebeliantów, pod dowództwem paszy, opuściły fort, by spotkać podwładnych Vezamara na otwartym polu.

Każdego dnia tysiące ludzi zbliżało się ku nieuchronnej bitwie. Armie, niczym najeżone żelazem robaki, pełzły naprzeciw siebie przez rozpalone piaski. Co chwila badały ziemię wokół długimi czułkami zwiadowców, by jak najwcześniej odnaleźć przeciwnika i samemu wybrać dogodny czas i miejsce bitwy.

Wkrótce Kashim z paszą dowiedzieli się o nowych sojusznikach Vezamara. Opisy naocznych świadków były enigmatyczne i często sprzeczne, jednak Al'Shannagg nie miał wątpliwości, że chodzi o kontyngent cesarskich wojsk.

A zatem Wielki Wąż miał ukrytą kartę! Choć Yaurańczyków było nie więcej niż tysiąc, ich pojawienie się bardzo poważnie nadważyło szanse rebeliantów. Pasza całymi dniami chodził zamyślony. Al'Shannagg zaś szukał wyjścia w medytacji oraz modlitwach.

Wkrótce buntownicy zaczęli odbijać ostro na wschód. Odległość, którą zachowywały między sobą dwie armie proroka, dawała im szansę na to, że zdołają nawiązać walkę z jednym tylko przeciwnikiem, choć wciąż pozostawało ryzyko, że nawet po wygranej bitwie nie będą mieli sił, by pokonać drugiego. Nadal oczekiwano też wieści od Miidzy, lecz ona zniknęła jak ziarnko piasku rzucone na diunę.

*

Wreszcie, po dziesięciu dniach drogi, buntownicy zbliżyli się do wojsk Al'Ghaziego. Obie armie, po drobnych starciach przedniej straży, zatrzymały

się w odległości dwóch farsangów. Tego wieczoru posłano do generała posłów z listami, on jednak nie zechciał ich czytać.

W zaistniałej sytuacji dowódcy rebeliantów zgromadzili się, by ustalić szczegóły bitwy, której spodziewano się nazajutrz. Al'Shannagg miał w niej dowodzić siłami Degów, pasza — Świętymi Jeźdźcami, Brenvan zaś — białoskórymi.

— Jeśli raporty są dokładne, wróg ma przewagę czterech do jednego — powiedział do zebranych Kashim. — To trudna sytuacja, tym bardziej, że lada chwila mogą nadejść jego sojusznicy. Ułożenie sensownego planu obrony będzie nadzwyczaj trudne, dlatego chcielibyśmy powierzyć go tobie, paszo.

Asimar skinął głową.

— Ciesz się, bo wiarę, jaką pokładasz w moich umiejętnościach, pułkownik Al'Shannagg. Jednak od razu wam powiem, że nie jestem w stanie wymyślić dobrego planu obrony.

Oficerowie zdziwili się, lecz pasza kontynuował:

— Mogę przygotować jedynie plan ataku, bo siedzenie naprzeciw wroga byłoby w tym wypadku samobójstwem. Al'Ghazi nie jest głupcem, choć Kashim oraz białoskóry tego nie wiedzą, bo nigdy się z nim nie spotkali. Z pewnością nie jest najlepszym wodzem, ale nie brak mu rozwagi i nie zaatakuję, jeśli może się spodziewać posiłków. Będzie odwlekał bój, aż druga armia połączy się z nim lub stanie nam na skrzydle. W tej sytuacji pozostaje wyłącznie ofensywa. Jeśli zdecydowanym ciosem przełamiemy jego szeregi, zasiejemy panikę oraz wprowadzimy nieco chaosu, może uda się tę bitwę wygrać.

— Sądysz, że ludzie proroka łatwo pójdą w rozsypkę? — spytał Kashim.

— Przyznałem przecież, że nie wiem — pasza wzruszył ramionami. — Istnieje takie prawdopodobieństwo, bo są prostymi żołnierzami z poboru. Wiedz jednak, Kashimie, że tylko raz w życiu widziałem gorszą sytuację — czterdzieści lat temu w Żelaznych Wzgórzach, gdy mnie i moich dziesięciu ludzi oblegało w wąwozie stu Degów. I choć wtedy wybrnąłem z życiem, takie szczęście może nie trafić się po raz drugi.

W tym momencie Brenvan nie wytrzymał i krzyknął:

— Mamy więc atakować, choć sam dajesz temu znikome szanse powodzenia?! Na Złoty Tuzin, mówimy o przewadze większej, niż Yauran miał pod Aser'Dari, a przecież wtedy sprzyjał nam bardzo teren, mieliśmy też dodatkowe oddziały ciężkozbrojnych. Może u was wojny rządzą się

innymi prawami, ale w moich krainach, by nacierać, trzeba mieć co najmniej tyle wojsk, ile przeciwnik!

— Nie będę się powtarzał, białoskóry — odparł pasza. — Zwycięski atak jest możliwy, choć, owszem, mało prawdopodobny. Uwierz mi jednak: mimo że wyglądam staro, mam więcej sił oraz chęci do życia, niż się spodziewasz. Nie zamierzam jutro popełniać efektownego samobójstwa. A teraz was opuszczę. Czas ucieka, muszę zabrać się do pracy. Kashimie, Brenvanie — o świcie zapraszam do mnie na odprawę.

Al'Shannagg wraz z Aam Caerleighiem pożegnali paszę, który spokojnie przeszedł do swojej kwatery, po drodze z ciekawością obserwując rycerzy ze wschodu, czyszczących ekwipunek na majdanie. Potem zanurzył się we wnętrzu namiotu, którego ściany, zwykle jasnoniebieskie, w świetle zachodzącego słońca przybrały nieco zielonkawy odcień. Zjawiła się służka, a pasza, poprosiwszy ją o duży puchar szarby, siadł przy składanym pulpicie i pograżył się w rozmyślaniach.

Wkrótce niewolnica przyniosła napój. Orzeźwiająca mieszanka soków, wina i tłuczonego lodu, który za pomocą daru stworzył kwatermistrz Jeźdźców, chłodziła przyjemnie i pozwoliła paszy skupić myśli. Bez końca rozważał siły swoje oraz wroga i dumiał nad bitwami, których był świadkiem, i tymi, o których czytał jedynie w dawnych tomach.

Dopiwszy szarbę do dna, zaczął krążyć po namiocie i mrużyć pod nosem. Wtem przypomniał sobie coś: dawno zapomniane starcie, o którym uczył się jeszcze w młodzieńczych latach akademii. Ze śmiechem usiadł do pulpitu, by naszkicować plan.

Nagle pióro wypadło mu z ręki.

Niespodziewany ból zgiął paszę wół, odebrał dech i zaćmił myśli. Skulony, przycisnął lewą dłoń do piersi, jakby chciał wygnać z niej tępe cierpienie. W głowie mu zawirowało, usta wypełnił żelazisty smak krwi z przygryzionego języka. Miał nadzieję, że słabość przejdzie, lecz ból narastał. W strasnym przebłysku pasza zrozumiał, że umiera.

Chwytał gorączkowo powietrze, nogi zaczęły mu drgać konwulsyjnie, zsunął się z niskiego stołka wprost na dywan. Dziwne myśli krążyły po jego głowie. Bał się, więc próbował modlitwy, lecz przez jej słowa przebijała się myśl o tym, że pewnie go otruto i że musi przeżyć, bo inaczej bitwa z Al'Ghazim będzie stracona.

Byłoby wielką ironią losu, gdyby on, Lew Pustyni, który niemal pół wieku walczył w imię Ocalonego Ludu, umarł nie od ran, lecz ze starczej

słabości, po wieczornym kielichu trunku. Z ust dobył mu się chrapliwy, zdławiony śmiech, który zaraz przemienił się w słabnący jęk.

Nagle wszystko zaczęło ciemnieć, ból stał się odległy, jakby przebijał się do jego świadomości przez tysiące grubych kotar. Zaraz potem pasza już na zawsze pogrążył się w mroku.

I tak właśnie, w przeddzień bitwy, która miała przejść do historii jako Bój Siedmiu Armii, Asimar Amra Al'Dirbin skonał w swoim namiocie, nad planem, którego nie dane mu było ukończyć. Wkrótce odnalazła go służąca, a wieść o tragedii rozeszła się po obozowisku lotem błyskawicy. Wszędzie rozbrzmiały płacze i lamenty, a ludzie zasypiali ze strachem, wiedząc, że bez Lwa Pustyni jutrzejszy dzień może być dla nich dniem ostatnim. Jednak śmierć paszy była tylko preludium koszmaru, który miał nastąpić w nocy.

*

W oczach czwórki podróżnych Asar'Aden wyglądało pięknie i strasznie zarazem. Irygowane pola, które otaczały stolicę, w świetle księżyca błyszczą srebrną szachownicą wody. Pośrodku tej czarno-granatowej planszy tkwiła rozparta jasna figura miasta. Jej nieludzki ogrom niepokoił nawet bogów.

Żadne inne miasto świata nie mogło się równać z Asar'Aden, ciągnącym się po horyzont. Wieże i pałace odległych dystryktów stolicy ginęły poza zasięgiem ludzkiego oka, wzrok łatwo gubił się wśród prostokątów dzielnic, identycznych domów oraz romboidalnej arabeski ulic, spiętej w równych odstępach masywnymi kształtami świątyń.

Asar'Aden, położone na płaskiej równinie, było niewysokie, ale rozległe niczym ocean. Jeden tylko kształt wyraźnie wybijał się w górę: na okrągłym, ogromnym placu wznosił się dwór Cesarza, otoczony murem przeszło trzy razy wyższym niż sama stolica. Było to właściwie miasto w mieście, pełne pałaców oraz ogrodów. Na nim właśnie skupiła wzrok czwórka podróżnych, którzy obserwowali stolicę z pobocza cesarskiego traktu.

— Wiesz, Saari, potrafię go zrozumieć — rzekł Warezar, prześlizgując się spojrzeniem po złotych kopułach. — Od samego początku skazano go na ten los. Był inny, samotny. Podczas gdy my dostaliśmy opiekę nad rasą młodą i prężną, która opanowała świat, jemu przypadło rządy niedobitkami, rasą skrzywdzoną, porzuconą przez stwórcę. Skazaną na wymarcie.

— Jak nasze dzieci...

— Tak. Wielki Wąż czuł to samo co my, kiedy widzimy śmierć własnej

krwi. Tyle że on nie miał nawet skromnej nadziei, jaka jest dana nam. Fakt, że obrócił się przeciw rodzeństwu oraz Architektowi, to nie szaleństwo. To desperacja, silna wola, która kazała mu zrobić wszystko, aby zmienić los; by dać swoim dzieciom szansę przeżycia.

— Mógł się poddać i czekać na koniec, ale zamiast tego uchwycił się jedynej, małej szansy — dodała Eyul. — Stworzył cesarstwo, spróbował wznieść się na wyżyny Architekta. Jesteśmy w gruncie rzeczy podobni. My też próbujemy odwrócić koło dziejów.

Saari, oburzona, odparła:

— Ale nie zaprzeczycie, że Wielki Wąż z czasem oszalał! Stał się okrutny, niezrozumiały!

Teraz głos zabrał Gaavr. Jego tembr był tak niski, że ledwie słyszalny.

— Patrzył za dużo w próżnię. Rozumiem go, sam kiedyś badałem niebyt, w który odszedł Architekt. Usiłowałem zgłębić umysł Stworzyciela i zasady, jakie panują tam, gdzie żaden bóg jeszcze nie ustalił swoich zasad. Omal nie oszalałem po kilku latach. On tymczasem poznaje niebyt od wieków!

— Czyli w pewnym sensie upodobnił się do Architekta?

— Niewątpliwie. Zresztą jego moc, którą tutaj czuję, jest dziwna, obca. Inaczej ją pamiętałem.

— Nie zdziwiłbym się — rzekł ponuro Warezar — gdyby Wąż okazał się potężniejszy od nas wszystkich razem wziętych. Stąd plan, który wymyślił Gaavr, od początku zdawał mi się jedyną możliwością. Chodźmy już, musimy być ostrożni. Nie wolno nam zwrócić na siebie uwagi...

Saari zamyśliła się jednak, marszcząc czoło.

— Ale... Jeśli Cesarz, to jest Wielki Wąż, ma rację? Czy nie może być tak, że faktycznie zdoła powstrzymać Architekta, gdy zostanie jedynym bogiem myślących istot? Czy nie mógłby powstrzymać zagłady?

— Nie wiadomo... Wśród niezrozumiałych, obcych praw świata wszyscy jesteśmy jak dzieci we mgle. Poruszamy się na ślepo. Cesarz chwycił się koncepcji, że dzięki wierze milionów oraz samodoskonaleniu umysłu osiągnie moc Stworzyciela. Nikt tego jednak nie wie, nikt nie sprawdził, więc nie możemy być pewni. My założyliśmy, że naprawiając uprzednie błędy i korząc się przed Nim, zdołamy ocalić świat. Ale i na to brak dowodów.

Eyul zaśmiała się.

— Wkrótce sprawdzimy naocznie, kto i w czym miał rację. Chodźcie. Jeszcze przed świtem musimy wejść do komnat naszego brata.

*

Droga przez Wieczne Miasto zajęła czwórce bogów niemal pół nocy, zamiast bowiem iść głównymi ulicami, które patrolowali cesarscy żołnierze, korzystali z bocznych zaułków. Jednak i tam musieli poruszać się powoli i ostrożnie, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Nie mogli w żaden sposób korzystać ze swej mocy, więc atak kilku rzezimieszków stanowiłby teraz wielkie niebezpieczeństwo.

Gdy stanęli wreszcie na krawędzi placu, który otaczał cesarski pałac, Warezar wstrzymał pochód. Bogowie odetchnęli, rozmawiając cicho, podczas gdy on chodził chwilę w kółko, sprawdzał położenie gwiazd i liczył coś w myślach. W końcu, gdy zdało im się, że na wschodzie zaczyna już szarzyć nowy dzień, Wędrowiec wezwał wszystkich.

— Jeśli się nie mylę, możemy zaczynać.

— Lepiej, abyś się nie mylił, Warezarze — odparł Gaavr. — Stawka jest zbyt duża.

Następnie czwórka skierowała się zdecydowanym krokiem w stronę muru. Ciemne punkty, pełzające przez równinę z szarego kamienia, przyciągnęły uwagę jednego z patroli. Żołnierze, którzy wyszli właśnie z pobliskiej ulicy, zaczęli coś krzyczeć, po czym szybko ruszyli za obcymi. Ogromny plac nie służył bowiem tylko corocznym przeglądom wojsk, ale stanowił też dodatkowe zabezpieczenie cesarskiej siedziby.

Gaavr ocenił odległość od strażników. Właśnie minął z towarzyszami połowę placu. Choć patrol przyspieszał z każdą chwilą, nie mógł ich już powstrzymać. Nic nie mogło.

Kiedy główna brama pałacu znalazła się kilkadziesiąt kroków dalej, Gaavr rzucił krótko:

— Teraz!

W jednej chwili czwórka bogów rozpostarła ochronne płaszcze swojej mocy. Stwórcza siła, którą z takim uporem i wysiłkiem tłumili przez ostatnie tygodnie, teraz rozplynęła się wokół. Postacie bóstw niespodziewanie zajaśniały, kwiaty wystrzeliły ze szczelin pod nogami Saari, wokół Gaavra zawirowała czerwonawa mgła, twarz Eyul rozświetlił dziwny błysk, Warezar zaś urósł nagle i z przygarbionego staruszka stał się nieomal olbrzymem.

Maski opadły. Cesarz Yauranu zatrząsł się, gdy moc, której śladu wcześniej szukał po całym cesarstwie, wybuchła tuż przy jego boku. Jedną myślą wezwał na pomoc wszystkich przybocznych: Żurawią Straż, dworzan, swoje dzieci.

Gaavr rozsadził bramę jednym ciosem pięści, a metalowe strzepy

rozleciały się z taką siłą, że wiele wbijało się w kamień na pół stopy lub przelatywało na wylot przez pawilony. Na dziedzińcu za bramą było już nieco gwardzistów, lecz Eyul spopieliała ich potężną falą ognia. Zaraz potem czwórka zwiastunów zagłady ruszyła w głąb pałacu, znacząc swą drogę ogniem i dziesiątkami trupów.

Pośród tego chaosu jeszcze dwie osoby przekradały się w cieniu, szczelnie owinięte płaszczami. Weszły jedną z bocznych furt, kiedy tylko główna brama została zniszczona. Większość strażników pobiegła walczyć z napastnikami, więc dziwna para miała przed sobą jedynie ciche ogrody i puste korytarze.

*

Boski Cesarz nie mógł się ukryć. Jego moc wyczuwał z łatwością każdy posiadacz daru, a tym bardziej boskie rodzeństwo. Dlatego Eyul, Gaavr, Warezar oraz Saari ani razu nie musieli zastanawiać się nad właściwą drogą i przedzierali się wprost do Pałacu Tysiąca Gwiazd, gdzie Cesarz zwykł spędzać noce. Tam, na korytarzach, czekała Żurawia Straż, głównie pierwszo — i drugokrwiści, spłodzeni przez Wielkiego Węża dla własnej ochrony. I choć dla śmiertelników byli niepokonani, Gaavr dosłownie rwał ich na strzępy gołymi rękami.

Wkrótce bogowie wdarli się do komnaty sypialnej Boskiego Cesarza. On czekał już, wisząc w powietrzu kilka stóp nad ogromnym łóżem. Na jego widok Saari aż jęknęła, a Warezar zmarszczył brwi.

Cesarz odziany był w olśniewającą zbroję o miedzianym, jasnym połysku. Każdy jej cal pokrywały misterne ryty. Naramienniki miały kształt smoków o rozwartych płaszczach, a przy pasie ze złotogłowiu wisały dwie yaurańskie szable o tarczowych jelcach wysadzanych diamentami. Pod przepyszny hełmem twarz osłaniała maska wykrzywionego w złości potwora. Pod maską zaś... Żadne z rodzeństwa nie mogło dojrzeć, co jest pod maską, czuli jednak, że nie ma tam już okrytej łuską, gadziej twarzy, którą pamiętali sprzed wielu lat. W otworach ziała tylko czarna pustka. Spod zbroi wystawały jedynie fragmenty szat, pod nimi widzieli kolejne szaty, niżej jeszcze inne...

I wtedy pojęli, że przez długie lata rządzenia Błogosławionym Cesarstwem ich brat stał się ucieleśnieniem porządku oraz rytuału. Jego fizyczna postać była już tylko odbiciem dworskich obrzędów, zbiorem cesarskich powierzchowności na każdą przewidzianą ceremoniałem okazję.

Jak mieli z czymś takim walczyć? Jak mogli stawić czoło istocie, która

nie była w gruncie rzeczy ani bogiem, ani człowiekiem?

Cesarz niespodziewanie odezwał się. Nie użył słów, tłocząc wprost do głów swoich gości pojęcia i obrazy w czystej, nieodmiennej przez język formie. Poczuli, że jest niezadowolony. Ich najście uważał za przykrą zdradę, twierdził, że to nie rodzeństwo jest jego wrogiem, lecz niezrozumiały i okrutny stwórca, który zamierzał zniszczyć własne dzieci. Zdali sobie też sprawę, że Cesarz nie jest zaskoczony ich przybyciem. Odkąd zdradzili się, używając mocy w stacji pocztowej, spodziewał się ich. Proponował pokój.

Bogowie byli jednak zdecydowani.

— Do boju, bracia i siostry! — krzyknął Warezar. Jako pierwszy rozdarł własną duszę.

Istniał jeden sposób, w który mogli pokonać tak potężną istotę, jak Cesarz. Pomysł podsunął im Sammar, całe wieki wcześniej. Stwórcza moc Architekta, której pewną ilość otrzymało każde z Tuzina, mogła być wyrzucona na zewnątrz w jednym desperackim ruchu. Razem z nią ginęła dusza bóstwa, a przynajmniej większa część jego świadomości, zupełnie jakby moc była jakimś witalnym organem. Jednak wyzwolone siły pozwalały zagotować morze, przenieść górski łańcuch lub — wzorem Sammara — unicestwić cały kraj w ognistej apokalipsie.

Czterej bogowie jednocześnie dobyli z siebie całą siłę i skierowali ją w Cesarza. Komnatę wypełniło natychmiast światło jaśniejsze od słońca, kamienna posadzka zaczęła się topić, a ciężki drewniany strop spopielił się niczym pergamin rzucony do hutniczego pieca. W promieniu półtora farsanga ludzie padali na ziemię, wyjąc z bólu, gdy ich ubrania się zapalały, a skóra schodziła od poddmuchu rozżarzonego powietrza.

I choć bogowie z trudem utrzymywali swoje ciała w całości, Cesarz nie tylko przetrwał, ale i zaczął kontratak. Jednym ładunkiem woli sprawił, że Gaavr rozpadł się na miliony kawałków, a potem skierował swoje zabójcze moce przeciw Saari.

Jednak w tym momencie dwa kolejne strumienie energii uderzyły w Cesarza od tyłu. Bogowie, choć ich świadomość szybko gasła, poczuli jego zaskoczenie. Dopiero po chwili Wielki Wąż zrozumiał, że wyprowadzono go w pole: Yeilne oraz Zindar też tutaj byli, choć szli do pałacu osobną drogą. Gdy czwórka bogów zwróciła na siebie uwagę władcy, ten śledził już tylko ich, nie zdając sobie sprawy, że jeszcze jedna grupa zmierza ku niemu. Cesarz nie mógł ukryć podziwu dla koordynacji, jakiej wymagał taki atak, biorąc pod uwagę fakt, że rozdzielone rodzeństwo nie mogło się ze sobą

kontaktować.

Skupił się całkowicie na obronie, zdawało się bowiem, że teraz szala zwycięstwa przechyli się na korzyść napastników.

Nic takiego jednak się nie stało. Obrona Wielkiego Węża wytrzymała, a siły całej szóstki nie potrafiły jej naruszyć.

Nastąpiło za to coś innego, czego ani Cesarz, ani zamachowcy nie przewidzieli. Nie wytrzymała sama tkanka rzeczywistości, zupełnie jakby ogromne moce wyzwolone na tak małym obszarze rozdarły płótno wszechświata, które Wielki Architekt pracowicie utkał w początkach czasu.

W jednej chwili próżnia pochłonęła salę — i wszystkich, którzy w niej byli. Próżnia? Nie, było to coś jeszcze innego, próżnia bowiem stanowiła tylko puste miejsce na boskiej tkaninie świata. Cesarz i bogowie dostali się tymczasem do tego, co było pod tkaniną.

Środek anomalii powstał dokładnie w ciele Cesarza: tam gdzie spotkały się strumienie mocy. Rozszerzyła się ona w okamgnieniu i pochłonęła przestrzeń w promieniu trzech farsangów, by zaraz zniknąć, w równie niezrozumiały sposób, w jaki się zjawiała, unosząc ze sobą wszystko.

Niemal wszystko.

Jedno z boskiego rodzeństwa zdołało uchwycić się poszarpanych strzępów rzeczywistości, nim porwał je czarny przypływ. Gdy fala minęła, bogini odkryła, że wisi w powietrzu nad ogromnym kraterem. Odległe dno kulistego wgłębienia właśnie zaczynała wypełniać woda z rozerwanych żył podziemnych rzek oraz cieków, które płynęły setki stóp pod powierzchnią pałacu.

Asar'Aden tymczasem zaczęło krzyczeć.

Huk, który powstał, gdy anomalia w ciągu setnej części uderzenia serca wessała miliony ton skały, domów i żywych istot, ogłuszył mieszkańców całej stolicy. Wielu cierpiało okrutnie, bo pękły im bębenki, inni rozpaczali, pewni, że to koniec świata. Krzyk tysięcy gardeł szybko stał się nie do wytrzymania. Bogini słuchała go chwilę, wisząc nad środkiem monstrialnej misy, a potem odleciała ku ciemnym chmurom. W powietrzu uroniła kilka łez, lecz te, spadwszy daleko w dół, zginęły gdzieś we wzburzonej toni lodowatych wód gwałtownie wypełniających krater.

Boski Cesarz przestał istnieć. Podobnie jak cały jego dwór oraz połowa Asar'Aden.

*

Straszna była to noc. Potomkowie bogów na całym świecie budzili się z

krzykiem, złani zimnym potem, rozedrgani. Zdawało im się, że mrok przebudził się, że ciemny, przetykany gwiazdami płaszcz, który okrywał ziemię, w tej chwili zyskał świadomość i próbował ich zmiażdżyć, zdusić pod własnym ciężarem.

Nie inaczej było z Kashimem. Wyrwał się z koszmarnych snów tylko po to, by odkryć, że miejsce, które zobaczył wokół po przebudzeniu, jest dziwnie obce, puste, wrogie. Zupełnie jakby w jednym świecie zasnął, a w innym się obudził. Na dodatek jakaś niewysłowiona groza wpełzła w jego ciało wraz z chłodem nocy. Do rana nie zmrużył już oka, drżąc w czarnym wnętrzu namiotu, który dla niego kurczył się powoli i nieodwołanie.

*

Rano w Ocalonej Krainie spadła z nieba krew. Wielkie, czerwone krople ściekały po bokach zwierząt, rzeźbiąc na ich skórze dziwne wzory, zbierały się na poszyciu namiotów w szkarłatne kałuże, spływały po zbrojach wartowników. Wyznawcy Jedynego oraz białoskórzy, zjednoczeni w strachu, modlili się żarliwie. Nikt nie wiedział, co może taki znak. Jedni mówili, że to niebo płacze po wielkim wodzu Asimarze, inni, że to dobry lub zły omen, który tyczy się miał nadchodzącej bitwy.

W obydwu obozowiskach deszcz wprowadził tyle zamieszania, że dopiero w południe udało się opanować żołnierzy i pognać ich z modlitewnych dywaników w pole. Al'Ghazi użył w tym celu siły. Al'Shannagg wygłosił mowę, która słuchaczom bardziej przypominała kazanie duchownego niż wodza. Dowodził, że omen zapowiada im zwycięstwo, a klęskę siłom Vezamara. Podniosło to nieco morale.

Wkrótce ulewa zaczęła słabnąć, a Kashim, Brenvan oraz Nahar oglądali ze szczytu najwyższej diuny, jak poniżej formują się szeregi ich wojsk.

— To zły pomysł, Kashimie — powiedział Nahar. — Ludzie ciężko odczuli stratę paszy, wciąż są roztrzęsieni po tych przeklętych opadach, a plany bitwy... Cóż, ufam ci, ale to, co przedstawiłeś, nie brzmi za dobrze.

Nahar sam nie uległ przesądnemu strachowi, podobnie jak lepiej wyedukowani Święci Jeźdźcy. Uczyli się bowiem, że takie deszcze spadają, gdy potężne wichury zaniosą pył z samych Czerwonych Pustkowi nad Ocaloną Krainę, gdzie potem barwią krople wody. Fenomen wyjaśnił już dawno prorok Zerakhim, choć niewielu mieszkańców Świętego Miasta czytało jego dzieła.

Al'Shannagg odparł ponuro:

— Jeśli nie pokonamy ich dzisiaj, nie zrobimy tego nigdy. Wrogowie

połączą siły, a wtedy zdepczą nas z łatwością. Zresztą za późno już na rozmyślanie. Pokazałem ludziom znak zwycięstwa i nie mogę się teraz wycofać.

— Mówisz, jakbyś sam wierzył w te brednie. Wiesz przecież, że to zwykły pył nadaje kroplom taki kolor!

— To prawda. Ale można się zastanawiać, czemu stało się to akurat w dzień po śmierci Asimara, tuż przed bitwą? I po tej okropnej nocy?

— Jak kapłan próbujesz wszystko tłumaczyć wolą bogów...

— Dość tych rozważań — przerwał im Brenvan. — Trzeba ruszać do walki, bo czas działa na naszą niekorzyść.

Kashim uściskał przyjaciela.

— Pamiętaj, co ci mówiłem — przypomniał. — Surmy przebijają się przez bitewny zgiełk, więc bacz na sygnały.

— Szczerze mówiąc — rzekł Aam Caerleigh — wolałbym cię mieć tam, na dole.

— Ktoś musi dowodzić bitwą. Chyba wolisz, by dowódcą został oficer sojuszu niż któryś z tubylców?

— Oczywiście, choć ostatnio nie jestem pewien, czy bardziej jesteś tuziemcem, czy pułkownikiem diuka — odparł białoskóry.

Potem skinął na pożegnanie głową, włożył swój hełm z jednorożcem, a następnie spiął konia i zjechał, pokrzykując, w dół — tam gdzie kontyngent ze wschodu gotował się do walki.

— Degowie wiedzą, co robić? — spytał Nahar, gdy zostali sami.

— Owszem, powtórzyłem to dwa razy Tenzihowi oraz Nobru. Tenzih dowodził już w wielkich bitwach, poradzi sobie.

— A pułkownik Darhir?

— To najlepszy z uczniów paszy. Ufam mu.

Nahar westchnął, a potem chwycił wodze saura.

— Czyli nic tu po mnie. Wracam do oddziału. Wiesz, Kashimie, ja też chciałbym mieć cię w polu, w szeregach Świętych Jeźdźców, jak za dawnych czasów.

— I tak nie jestem już Jeźdźcem. Oficjalnie odebrano mi godność w dniu wygnania.

— Wiesz, o co mi idzie. Chciałbym po prostu jeszcze raz walczyć u twojego boku. Tym bardziej, że ta bitwa może być dla nas ostatnią.

— Boisz się, Naharze? Nie powinieneś, zaufaj Jedynemu.

— Dziwne słowa jak na wojownika, Kashimie. Wiedz jednak, że nie boję

się śmierci. Widzisz, co dzień tęsknię za dawną Ocaloną Krainą. Za życiem w Tel'Halik za Zerakhima, kiedy istniały dla nas tylko pustkowia oraz Święte Miasto. Gdy prorok był sprawiedliwy, Duzzahowie mądrzy, kobiety piękne, Święci Jeźdźcy mknęli pustynią, a wieczorem w tawernach strumieniami lało się wino. Pamiętasz to jeszcze? Czasy, w których byliśmy tylko zwykłymi Jeźdźcami, gdy był z nami Dahal? Treningi, patrole, żołąd, zabawa... Teraz... Teraz nie jestem pewien, czy chcę tu jeszcze żyć. Nawet jeśli wygramy, miną dziesiątki lat, nim miasto podniesie się z ruiny, jaką się stało za sprawą Vezamara, a ludzie zaczną sobie ufać i przestaną nosić pod dżelabami sztylety. A nawet wtedy nic już nie będzie beztroskie, ze świadomością, że tam gdzieś jest świat, wielki i groźny, który w każdej chwili może się o nas upomnieć. Ja... Straciłem już to, co miałem najcenniejsze, Kashimie. Straciłem swoje dawne Tel'Halik.

— Ja również, Naharze — rzekł cicho Al'Shannagg, patrząc w dal, poza horyzont. — Utraciłem nawet więcej, bo ty przynajmniej w głębi duszy zostałeś dawnym Jeźdźcem z Orlego Fortu. Ja tymczasem zagubiłem własną osobę; wszystko to, czego się dowiedziałem i co przeżyłem, przekuło mnie na narzędzie, skrojone do jednego tylko celu. Nie wiem już, kim jestem: kapłanem, uczonym, podróżnikiem, a może wygnańcem, który powraca z dalekich ziem...? Nie wiem, co ze sobą zrobię, gdy ów cel osiągnę. Kiedy spotkałem Miidzę, wreszcie wypełniło mnie jakieś uczucie, ale teraz, kiedy odeszła... Zresztą, czy to na pewno była miłość? Może tylko urok, który rzucili na nas bogowie? Widzisz sam, Naharze. Nie mam niczego poza zadaniem, otrzymanym wbrew własnej woli.

Al'Iarnak chciał coś odpowiedzieć, lecz długo nie mógł znaleźć słów. W końcu uściśnął po prostu dłoń przyjaciela, po czym zjechał z wydmy na skrzydło Świętych Jeźdźców. Kashim został na wzgórzu sam, otoczony przez kilku poruczników i oficerów sztabu.

Wkrótce na pustynnej planszy rozpoczęła się gra, która miała przesądzić o przyszłości Ocalonej Krainy.

Rozdział 12. Koniec Tuzina

Ts'Rang w ciągu jednej nocy umarła tysiąc razy. Gdy leżała w swoim polowym łóżku, nagle owładnął ją paraliżujący strach i ból, niepodobny do niczego, co admirał kiedykolwiek czuła. Koszmar skończył się po chwili, ona zaś, zdezorientowana i obolała, podniosła się z posłania, by wyjść na świeże powietrze. Jednak po ledwie kilku uderzeniach serca uczucie znów się pojawiło. Potem jeszcze raz... I jeszcze...

Po kilkunastu nawrotach Seledynowy Pazur, zbyt słaba, aby wezwać pomoc, zaczęła poważnie rozważać, czy nie upaść na ostrze własnej szabli. Ból jednak słabł powoli, za każdym razem trwał krócej. Admirał wytrzymała do rana, choć niemal przyplącała to obłędem.

O świcie myślała jeszcze, że koszmar przytrafił się tylko jej, ale gdy przed namiotem spotkała adiutanta, który wyglądał, jakby przeszedł wszystkie tortury rezerwowane dla zdrajców cesarstwa, zdała sobie sprawę, że zdarzenie dotknęło wszystkich zimnokrwistych.

Nie myśląc wiele, Ts'Rang postanowiła skontaktować się z władcą, bowiem tajemniczy ból, który paraliżował jego dzieci, był bardzo poważną sprawą. Trudno opisać jej szok, gdy okazało się, że awatar Cesarza nie unosi się jak zwykle w podświecie, przez który zwracali się do niego potomkowie!

Boski Cesarz nie żył. Podobnie jak wszyscy, którzy byli z nim w Asar'Aden.

Wkrótce Seledynowy Pazur domyśliła się, skąd pochodziło jej cierpienie. Było to ostatecznie uczucie Cesarza, jego agonია wysłana w cały świat za pośrednictwem telepatii. Ów psychiczny przekaz był tak silny, że odbijał się echem przez wiele godzin, doprowadzając dzieci Cesarza do obłędu. Ci, którzy mieli czystsza krew i byli w większym kontakcie z Żyjącym Bogiem, odczuli to najsilniej. Jeśli Ts'Rang, będąc trzeciokrwistą, niemal umarła, to nie ulegało wątpliwości, że wszyscy potomkowie pierwszej i drugiej linii zginęli lub odebrali sobie życie.

Cesarz odszedł. Ogromna armia istot mających w sobie jego krew przerzedziła się w ciągu jednej nocy. Gdyby sprawa dotyczyła ciepłokrwistych, z pewnością teraz poddaliby się albo pogrążyli w rozpacz. Jednak chłodna, gadzia logika uchroniła przed tym losem pozostałych przy życiu potomków. Śmierć Boskiego Cesarza nie mogła powstrzymać jego

działa. Byli zbyt uparci i obowiązkowi, aby rozbiec się na wszystkie strony jak mrówki po śmierci królowej. Rozkazy, które przysięgli wypełnić, musiały być wykonane do końca, a dopiero potem można się było zastanowić nad tym, kto i jak ma dalej kierować cesarstwem.

Seledynowy Pazur nie płakała po władcy. Miłość, którą wobec niego żywili poddani, już dawno zmieniła się u niej w zwykłe posłuszeństwo. Jak bowiem mogła myśleć o nieskończonej łasce Boskiego Cesarza, gdy w pamięci żywe były obrazy jej ludzi masakrowanych w Gedialanie? Gdy wciąż jeszcze wspominała gorzki smak bezsilności, którą poznała, gdy wszystkie dowódcze talenty nie wystarczały, by utrzymać przy życiu wierne pułki, zewsząd otoczone przez wroga? Zaiste, Cesarz był potężnym władcą, lecz łaska oraz litość były mu obce.

A jednak, mimo zwątpienia, rozkazy Żyjącego Boga wciąż stanowiły prawo. Dlatego rano Ts'Rang nie powiedziała ciepłokrwistym o tym, że cesarstwo zostało bez wodza. Ich maluczkie serca mogłyby stracić zapal do walki, a morale podkopał już czerwony deszcz, co spadł o świcie. Ściąwszy głowy kilku panikarzom, admirał nakazała wymarsz w stronę zgrupowania Al'Ghaziego, który wczoraj wieczorem napotkał wrogów.

Z początku wojska Yauranu szły powoli, oszczędzając siły. Ts'Rang jeździła wokół kolumny na swoim saurze, przyglądając się, jak cesarscy piechurzy pokonują kolejne strome wydmy. Prowadziła do boju niemal tysiąc ludzi — dziesięć kompanii, w tym trzy kompanie pikinierów, sześć lekkobroej piechoty morskiej oraz jedną kompanię yaunhari, najwierniejszych poddanych Żyjącego Boga, walczących w grubych pancerzach za pomocą ciężkich bułatów.

Były to duże siły, tym bardziej, że poborowa armia Tel'Halik była znacznie gorzej wyszkolona. Żołnierze jej ekspedycji w większości mieli za sobą przynajmniej dziesięć lat służby.

Admirał nie chciała ryzykować i osłabiać podwładnych szybkim marszem w upale. Musieli wejść do boju wypoczęci. Od obozu Al'Ghaziego dzieliło ich dziesięć farsangów, czyli pół dnia niespiesznego marszu. Ts'Rang miała nadzieję, że kilkugodzinna obrona przed buntownikami będzie zadaniem wystarczająco prostym dla generała, ale szybko miała się przekonać, że były to błędne rachuby.

Wkrótce po tym, jak słońce minęło zenit, z zachodu nadjechał zdyszany goniec od Al'Ghaziego, któremu jeszcze ubiegłego wieczoru Ts'Rang nakazała meldować o wszystkich posunięciach. Generał napisał, że rozwija

szeregi, ponieważ buntownicy przygotowują się do ataku. Fakt, że robili to tak późno, był dla Ts'Rang dobrą wieścią.

Następna wiadomość, która przyszła godzinę potem, nie była już tak pomyślna. Al'Ghazi donosił, że jego ludzie są nękani przez łuczników Degów, którzy na saurach podjeżdżają na odległość strzału i czmychają natychmiast po wypuszczeniu salwy.

Wkrótce posypały się kolejne meldunki, a Ts'Rang znów poczuła gorzki smak bezsilności, obserwując za pośrednictwem małych zwojów papirusu bitwę, która toczyła się farsangi od niej. Mogła tylko syczeć w bezsilnej złości, gdy Al'Ghazi popełniał błąd za błędem. Najpierw dał się sprowokować wrogim łucznikom. Gdy straty od strzał zaczęły stawać się zauważalne, posłał w pościg za Degami całą kawalerię. Jeźdźcy ci, zgodnie z przewidywaniem Ts'Rang, zostali zaatakowani między wydmami przez ciężką piechotę wroga. Wtedy też Seledynowy Pazur pierwszy raz dowiedziała się, że buntownikami dowodzi bękart fałszywych bogów o dość silnym darze.

Al'Ghazi został zmuszony, by ruszyć na pomoc własnej kawalerii. Pchnął całą linię do przodu, a już chwilę potem meldował Ts'Rang o kontrataku Świętych Jeźdźców oraz białoskórych, którzy przełamali sam środek jego linii. Admirał, znajdująca się wciąż ponad pięć farsangów od pola bitwy, natychmiast nakazała zdwoić tempo marszu. Niedługo potem nadszedł jeszcze jeden list, w którym generał pisał, że stracił kontakt z jednym ze skrzydeł, a żołnierze zaczynają panikować. Ts'Rang wiedziała już, że bez niej Al'Ghazi przegra, a wraz z nim runą cesarskie plany wobec tej odległej krainy.

*

Bitwa widziana ze stanowiska naczelnego dowódcy była dla Kashima dziwna i jakby nierealna. Stał w otoczeniu sztabu na wydmie, z dala od bryzgającej krwi oraz ludzkich krzyków. Za pomocą lunety oglądał, jak linie i kolumny ciemnych punkcików przesuwają się po pustyni, wycofują, atakują, rozsypują na pojedyncze kropki, a potem łączą znów w grupy. Gdy zwierzały się na długą chwilę, część punktów nieruchomiała już na zawsze, inne zaś szły dalej.

Al'Shannagg co jakiś czas wydawał kolejny rozkaz, a wtedy ze świty znikał goniec, by szybko zmienić się w jeszcze jedną kropeczkę, która dotarłszy do wskazanej formacji, jakby magiczną mocą zmieniała jej tor ruchu albo kształt. I choć Kashim wiedział, że walczą tam i giną prawdziwi

ludzie, z każdą chwilą bitwa coraz bardziej przypominała mu starcie na ogromnej planszy.

Nawet mimo ryzyka wolałby znajdować się tam, w dole, w ogniu walki, otoczony przez żołnierzy z krwi i kości. Ów taniec mrówek przerażał go bowiem i przyprawiał o duszne poczucie winy za każdym razem, gdy jakaś formacja ginęła lub była poświęcana w imię zwycięstwa.

Mimo to dowodził sprawnie. Szybko stało się jasne, że ciągiem śmiałych posunięć i manewrów, których ukoronowaniem był atak białoskórych na środek linii Al'Ghaziego, udało się wprowadzić zamieszanie w szeregach wroga. Kashim czuł, że teraz zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Była tylko jedna rzecz, która mogła je wydrzeć: Yaurańczycy, znajdujący się ponoć kilka farsangów od pola bitwy. Al'Shannagg spoglądał coraz częściej na zachód, w obawie że wkrótce zobaczy na horyzoncie znajome sztandary cesarstwa.

*

— Pani admirał! Pilne wieści od tylnej straży. Spostrzeżono wroga!

Ts'Rang spojrzała surowo na swojego adiutanta.

— Miałeś na myśli przednią straż? — spytała.

— Nie, pani! Prosiłem gońca, by powtórzył to dwa razy. Wygląda na to, że nasza ariergarda ma w zasięgu wzroku dużą grupę jeźdźców. Zmierzają wprost ku nam.

— Jak dużą?

— Sto kilkadziesiąt saurów. Pani, porucznik Mar'Az czeka na odpowiedź...

Ts'Rang zakłęła. Sprawy przybrały nieoczekiwany i niepokojący obrót. Ledwie parę farsangów dalej Al'Ghazi zmagał się z wrogiem, czekając na jej wsparcie. Nie mogła jednak maszerować dalej, ignorując szybszego, bardziej mobilnego przeciwnika! Co miała robić? Podzielić siły? Nie, to było nierozsądne. I tak jej kontyngent nie był liczny. Zostawało tylko jedno.

— Rozkaż Mar'Azowi, by wycofał się do głównego zgrupowania. My tymczasem przygotujemy się do obrony.

— Pani, ale nasi sojusznicy...

— Nie obchodzą mnie teraz sojusznicy! I powinienes się z tego cieszyć, bo właśnie ratuję twój tyłek. Odmaszerować!

Gdy tylko adiutant zniknął, Seledynowy Pazur wydała rozkazy dowódcom kolumn, pospiesznie formując linie obronne. Wkrótce potem nadjechali żołnierze ariergardy, spiesząc się, jakby gonił ich sam diabeł.

Ts'Rang miała nadzieję, że może wróg zrezygnuje, widząc, że nie da się ich zaskoczyć w marszu. Nomadzi jednak pojawili się w końcu na horyzoncie. Ich długa, rozciągnięta tyraliera zatrzymała się pół farsanga dalej, po czym od szeregu oderwała się pojedyncza sylwetka. Jak się szybko okazało, był to emisariusz. Nomadzi chcieli pertraktować.

Seledynowy Pazur, choć zła na to, że przeszkadzają jej w marszu ku polu bitwy, zgodziła się. Zabrała ze sobą sześciu ludzi i wyjechała na otwartą, smaganą wiatrem przestrzeń pomiędzy dwoma oddziałami. Spośród wrogiego wojska wyłoniła się szybko szóstka reprezentantów. Ts'Rang patrzyła z zaciekawieniem na postać jadącą na czele, zaskakująco drobną w porównaniu do wojowników z jej własnej ochrony. Gdy nomadzi podjechali bliżej, tajemnica się wyjaśniła. Seledynowy Pazur wyraźnie widziała teraz kształt piersi pod luźną szatą prowadzącej. Plemieniem dzikusów kierowała kobieta.

Wkrótce obie grupki stanęły w pewnej odległości od siebie, przywódczyni nomadów zaś wyjechała naprzód i dała znak, by wódz Yaurańczyków zrobił to samo. Ts'Rang zbliżyła się sama, choć wciąż nie władała pewnie językiem piasków, którego uczyła się dopiero od zejścia na brzeg w Tel'Amman.

Gdy obie kobiety stanęły twarzą w twarz, królowa nomadów zdjęła z głowy turban. Pustynny wiatr natychmiast poderwał długie, rude włosy i bawił się nimi, otaczając głowę nomadki płomienną aureolą. Jej twarz była dziewczęca i spokojna, ale zarazem zdecydowana. Czerwone, sparzone słońcem policzki oraz grzbiet nosa wskazywały na długą podróż przez pustkowia. W niebieskich oczach kobiety krył się jakiś dziwny błysk. Ts'Rang szybko zorientowała się, że oto ma przed sobą kolejnego bękarta fałszywych bogów. Czy nagle wszyscy wypęzli ze swoich kryjówek, by zrujnować cesarskie plany?

— Masz tupet — rzekła admirał — by w sto czterdzieści wierzchowców zbliżać się do moich sił. Jeśli jeszcze nie policzyłaś — zakładając, że w ogóle potrafisz liczyć — tnam przeszło tysiąc ludzi, weteranów wprawnych w walce przeciw kawalerii. Twój nie mają szans.

— Nie chcę cię atakować, gadzia istoto — odparła miedzianowłosa. — Przychodzę z prośbą. Odejdź z naszej ziemi. To wojna ludzi piasków, nie twoja. Miałam sny. Wiem, że dawni bogowie odeszli. Po co mamy zabijać się w ich imieniu?

Ts'Rang syknęła:

— Bogowie odeszli? Nie wiesz tego! Nie wiemy, póki nie zobaczymy na własne oczy.

Ciepłokrwista pokręciła głową.

— Nie muszę widzieć. Ja to czuję. Ty też, choć nie chcesz przyznać się do tego ani przed ludźmi, ani przed sobą.

— A jeśli nie odejdę? — prychnęła ze złością Ts'Rang. — Mam poczucie obowiązku i cesarskie rozkazy do wypełnienia. Twoje siły nie zdołają mnie powstrzymać!

— Jeśli nie odejdziesz teraz, na zawsze zostaniesz wśród tych niegościnnych pustyń i wrogich ludów. W końcu zginiesz, podobnie jak wszyscy twoi poddani.

— Nudzą mnie już te jałowe groźby. Sądzę, że... — zaczęła Ts'Rang.

Jednak nie zdołała skończyć, bo nomadka dała znak swoim ludziom, a ci rozpięli sakwy. Świta admirał chwyciła za broń, spodziewając się podstępu, lecz ludzie piasków wyjęli jedynie trochę pomiętych szmat. Rzucili je na piasek, pod nogi królowej.

Najlepsza yaurańska tkanina, haftowana złotymi oraz srebrnymi nićmi, zalśniła w słońcu niczym klejnot. Ts'Rang wydała z siebie krzyk zgrozy i niedowierzania. Bandery jej okrętów! Obszyta złotem, wielka flaga „Syna Siedmiu Mórz”, haftowane srebrem znaki „Oddechu Smoka”, „Niezwyciężonego”, „Cesarskiego Gońca”, „Feniksa”, „Dalekiego Marszu”, „Władcy Burzy”.

— Skąd... Skąd to masz?

— Nim dotarłaś do Tel'Halik, ja już byłam w drodze na południe, prowadzona wizjami bogini. Pędząc szybko jak strzała z kuszy, dotarłam na brzeg ogromnego, słonego jeziora. Zaatakowaliśmy twoje okręty, gdy wszystkie stały zacumowane przy brzegu. Załogi stawiały opór, lecz w końcu musiały ulec przewadze moich wojowników. Wkrótce połączyłam siły z buntownikami z Tel'Amman, po czym ruszyłam z powrotem na północ.

— Co z okrętami? I moimi ludźmi? — krzyknęła admirał.

— Okręty stoją spokojnie w porcie. Na każdy kazałam załadować trzy tuziny garnców palnej oliwy. Jeśli moi podwładni nie dostaną umówionego znaku w umówionym czasie, podłożą pod nie ogień. Twoje statki spłoną jak pogrzebowy stos w trakcie Mal'Ruk. Jeńcy zaś, a mam ich wielu, zostaną ścięci. Teraz rozumiesz, gadzia istoto?

Ts'Rang rozumiała aż za dobrze. Gotowała się z wściekłości na myśl, że pustynni koczownicy mają wydawać rozkazy jej — potomkini Cesarza,

oficerowi Yauranu. Jednak sytuacja... Sytuacja nie pozostawiała wielu możliwości. Miała oddać życie wszystkich swoich ludzi za martwego Cesarza? Kolejny raz dać się wykorzystać — i to w imię kogoś, kto już nie istniał? Honor to nakazywał, lecz rozsądek odradzał.

Seledynowy Pazur dłuższą chwilę myślała, zgrzytając w złości zębami. Wreszcie dała miedzianowłosej krótką odpowiedź.

*

Starcie na pustkowiach ochrzczono z początku mianem Bitwy Pięciu Armii. Jednak gdy udział plemienia Manar oraz yaurańskiego kontyngentu stał się jasny, nazwa została zmieniona na Bitwę Siedmiu Armii. Bitwa ta była sukcesem buntowników, choć kupionym za wysoką cenę.

Ponad połowa ludzi proroka poddała się lub zginęła, inni uciekli w popłochu do Świętego Miasta. Generał Al'Ghazi, który nie zniósł porażki (a może po prostu bał się donieść o niej Vezamarowi), popełnił samobójstwo. Wielu jego żołnierzy otwarcie przeszło na stronę rebeliantów, o których dowódcy, byłym Świętym Jeźdźcu, co powrócił z krain wschodu, wkrótce stało się głośno w Ocalonej Krainie. Buntownicy krwawo okupili zwycięstwo: stracili ponad czterystu zbrojnych, padł też Czenda Nobru, zwany Kamudżynem Jednookim, wielki bohater Degów.

Gdy Al'Shannagg obserwował, jak jego przyjaciele wracają z pola, czuł się dziwnie obcy i odseparowany. Oni starli się z groźnym i liczniejszym przeciwnikiem, żar bitwy wciąż odbijał się na ich spoconych twarzach. On zaś zaznał tylko gorzkiej niepewności kogoś, kto żongluje ludzkim życiem w trudnej i pełnej strat grze. Był blady, zmęczony, a gdy z pola zaczęto przynosić rannych i konających, Kashima dosięgło także przejmujące poczucie winy. Nie pomogli nawet Brenvan z Naharem, którzy rychło zjawili się uściskać przyjaciela i gratulować zwycięstwa.

Gorycz Al'Shannagga osłodził dopiero powrót Miidży. Gdy ją zobaczył, wymizerowaną i spaloną przez słońce, nie posiadał się ze szczęścia, choć wcześniej był zły, że znikła bez słowa i podjęła tak ważną misję bez uzgodnień. Wielką radość sprawiły mu też wieści o wycofaniu się yaurańskiego kontyngentu oraz o tajemniczej śmierci Cesarza. Dzięki żonie mógł tej nocy przestać myśleć o bitwach i spiskach. Podczas gdy armia świętowała zwycięstwo, Miidża oraz Kashim w zaciszu namiotu zapomnieli o całym świecie.

Dopiero o świcie Al'Shannagg znów poczuł dziwny smutek. Jeszcze nie tak dawno myślał, że gdy Cesarz zostanie pokonany, wszystko ułoży się

samo, historia dobiegnie końca, a jej bohaterowie będą żyli długo i szczęśliwie. Jednak zwycięstwo wciąż nie było pełne, ponieważ Tel'Halik cierpiało w rękach tyrana. Kashim nie czuł się więc tryumfotorem. O szarym, chłodnym poranku życie odebrało mu smak wygranej i obciążło wątpliwościami.

Wkrótce spotkał się cały sztab, a sojusznicy zdali sobie sprawę, że stoją przed nimi ciężkie decyzje. Z nowo przyjętymi żołnierzami mieli ledwie ośmiuset ludzi, toteż trudno było marzyć, że z taką siłą zdobędą Tel'Halik. Zapowiadał się przykry impas. Mimo to uzgodniono, że armia musi pójść za ciosem i podjechać pod samo miasto. Choć nikt nie mówił tego głośno, każdy żywił nadzieję, że prorok podda się na wieść o klęsce.

*

Ręka Duzzaha była ciężka. Spadła na kark Eziha niespodziewanie, w chwili gdy śnił właśnie o warsztacie swojego dziadka i szczęśliwych godzinach, które spędził z Udajem.

— Wstawać, już, już, bękarty, psie syny! Wciągajcie portki!

Duchowny chodził po sali i budził kolejnych chłopców. Drugi stał nieruchomo na środku pomieszczenia, a blask jego oliwnego kaganka oślepił zaspane dzieci. Za oknem widać było tylko ciemność.

Uczniowie szybko i sprawnie wykonywali polecenia, choć dziwiło ich, czemu Duzzahowie zrobili pobudkę jeszcze wcześniej niż zwykle. Zdziwienie pogłębiło się, gdy ustawiono ich w długi dwuszereg, a potem, zamiast do sal czy warsztatów, pognano ulicami w stronę dzielnicowego garnizonu. Chłopcy patrzyli bojaźliwie w czarną noc, która obserwowała ich ze wszystkich stron ciemnymi oknami domów i rozdziawionymi paszczami bram. Jakieś dziwne napięcie wisiało w powietrzu.

Gdy z daleka zaczęły dochodzić lamenty oraz krzyki, jeden z młodych nie wytrzymał i spytał idącego obok Duzzaha:

— Dokąd idziemy, mistrzu Ginbarze?

— Zamknij się. Jesteście mobilizowani.

— Mobilizowani? Ale dlaczego? — chciał wiedzieć Ezih.

— Dość! Nie gadać bez pozwolenia, gówniarze! — ryknął Duzzah.

— Żebyście mogli odplacić prorokowi za opiekę — dodał drugi. — Generał Al'Ghazi poniósł porażkę. W stronę miasta maszeruje armia demonów i każda para rąk będzie potrzebna do obrony murów.

Chłopcy, dotąd jedynie trochę zaniepokojeni, zamarli ze strachu. A więc jednak! Będą musieli stawić czoło prawdziwym, śmiercionośnym demonom

z Marrenvan!

*

W sali posłuchań Pałacu Proroka po burzy zapanowała cisza. Służba zbierała z grubych dywanów fragmenty mis z rżniętego kryształu, które władca rozbił w przyływie furii. Dawno już zatarły się ślady nóg posłańca, który młócił nimi w przerażeniu, gdy pałacowa gwardia ciągnęła go do lochu, a wrzaski wściekłego Vezamara pobrzmiwały już tylko w głowach niewolników.

Proroka, osłabłego po wybuchu furii, zaprowadzono do prywatnych komnat.

Wieść o przegranej bitwie wyciągnęła na wierzch całe, skrywane dotychczas, szaleństwo Vezamara. Wydał karę śmierci na kilkanaście osób, często niezwiązanych z kampanią Al'Ghaziego. Nakazał torturować posła, pobił kilku służących, poszarpał szaty sędziwemu Kar'Shinowi. Z trudem udało się odwieść go od pomysłu wybicia wszystkich żołnierzy, którzy pospiesznie wycofali się do Świętego Miasta. W końcu prorok rozkazał tylko zamknąć bramy, zmobilizować rezerwy i przysposobić Tel'Halik do obrony. Potem zaczął bełkotać, od czasu do czasu miotając wulgarne przekleństwa.

Ku zdziwieniu dworzan wzywał przy tym co chwila niejakiego Snaara. Nikt z zebranych nie wiedział, o kogo chodzi, więc doszli do wniosku, że musiały to być kolejne majaki szaleńca.

*

— Piękne miasto. Naprawdę piękne — odparł Brenvan, patrząc z grzbietu wierzchowca na panoramę Tel'Halik. — A ta wieża... Doprawdy nie wiem, jak udało się zbudować coś tak wysokiego. Katedra w Asterlet nie sięgałaby jej nawet do połowy!

— Jest księga, w której czwarty prorok nakazał opisać budowę Iglicy — odparł Kashim. — Chętnie ci ją pokażę, gdy wjedziemy do Tel'Halik. Naturalnie, jeśli wjedziemy do Tel'Halik.

Brenvan pokiwał w zamyśleniu głową. Wiedzieli już, że Vezamar nie zamierza się poddać. Choć buntownicy rozłożyli się półksiężycem wzdłuż zachodniej i północnej ściany miasta, a na prośbę Kashima wznoszono co wieczór więcej namiotów i palono więcej ognisk, niż było trzeba, mieszkańcy Tel'Halik planowali obronę. Emisariuszy przegnano, jeszcze zanim dotarli do bramy.

Po kilku chwilach Brenvan, nadziwiwszy się już pałacom oraz złotym kopułom, zajął się bardziej przyziemnymi sprawami. Próbował zliczyć strażę

na murach.

— Zbliźmy się może trochę — zaproponował — aby ocenić siły, które twój prorok trzyma w pogotowiu.

— Lepiej nie podjeżdżać — rzekł z uśmiechem Kashim. — Mamy wielu świetnych łuczników, w tym niejakiego Bardżana, który śle szypy na pół farsanga. Sam kiedyś poznałem, jak smakuje ugryzienie jego strzały. Lepiej wracajmy, bo Miidża może się niecierpliwić.

Odpowiedź była Brenvanowi nie w smak, lecz posłusznie wrócił za Kashimem do obozu. Tam zaraz musiał ostudzić kilka gorących głów, bo białoskórzy rycerze, widząc w zasięgu rąk egzotyczne miasto, tracili wprost rozum na myśl o jego bogactwach. Z trudem dawało się ich powstrzymać przed samobójczym atakiem na bramę.

Gdy nadszedł wieczór, zwołano naradę. Przedstawiano na niej wiele planów, od zmasowanego szturmu, który proponował Brenvan, po wzięcie miasta głodem, co podpowiadał Tenzih. Żadna wersja nie zadowalała jednak Kashima, który chciał obalić Vezamara w sposób pociągający za sobą najmniejsze straty w Świętym Mieście. Nahar rzucił pomysł, by zamordować proroka szybkim wypadem Świętych Jeźdźców oraz magów. Jednak pułkownik Darhir stwierdził, że to plan szalony i skazany na porażkę, ponieważ od ostatniego zamachu Vezamar niemal potroił własną ochronę.

W ten oto sposób rada stanęła w martwym punkcie. Sojusznicy ustalili tylko, że trzeba czekać na korzystne okoliczności.

Mijał jednak dzień za dniem, potem tydzień za tygodniem, a o dobrej okazji można było jedynie marzyć. Miasto zostało całkowicie odcięte, lecz nie zmniejszyło to w obrońcach woli walki. By wysondować nastroje w Tel'Halik, zdecydowano się posłać za mur kilku szpiegów. Większość została schwyтана od razu, a pozostali dwaj zdążyli przysłać parę wstępnych, mało ważnych raportów, nim kontakt się urwał.

Miidża co dzień obserwowała, jak Kashim wędnie od zmartwień i bezsilności. Choć próbowała go pocieszać, starania przynosiły krótkotrwały skutek. Na domiar złego Al'Shannagg znów zaczął przeżywać wizje, co dla Miidży było groźne i niepojęte, ona bowiem od dnia, gdy zginęli bogowie, ani razu nie czuła obecności swej patronki.

Wkrótce obawy królowej znalazły uzasadnienie. Pewnego ranka Al'Shannagg oświadczył, że zamierza przekazać dowództwo jej oraz Brenvanowi, a potem ruszyć samotnie na pustynię, biorąc tylko kij oraz bukłak wody.

— Dlaczego? — krzyczała Miidza, nie mogąc zrozumieć męża. — Czy żal całkiem pozbawił cię zmysłów? Potrzebny nam jesteś tutaj, w obozie!

— Przede wszystkim trzeba nam rozwiązania — próbował ją ukoić Al'Shannagg. — Dobrego planu, który pozwoli nam działać. A ja słyszę ostatnio w snach znajomy głos; wzywa mnie na pustkowie. Pójdę więc tam, aby pościć i medytować. To i tak lepsze od beczynnego tkwienia w namiocie. Jeśli szczęście się uśmiechnie, jeśli istnieją jeszcze potęgi, którym wrogi był Vezamar oraz cesarskie plany, może będę mógł przynieść odpowiedź.

— A kto ci niby odpowie, ukochany? Bogowie? Przecież wiesz, że zginęli. Może ten, którego zwiesz Architektem? Jak, skoro opuścił nas wieki temu?! O jakich potęgach mówisz? Zostaliśmy tylko my! Śmiertelni!

Al'Shannagg wzruszył ramionami.

— Brak odpowiedzi też będzie odpowiedzią — odparł. — W każdym razie zamierzam nie tylko modlić się, ale i rozmyślać. Może w czasie medytacji odnajdę rozwiązanie? A może pod moją nieobecność w Tel'Halik dojdzie do zmian? Nie mogę tu zostać. Umieram, patrząc bezsilnie na miasto, które miałem ratować.

Miidza fuknęła w złości, a jej nosk się zmarszczył.

— Idź zatem — powiedziała — jeśli wolisz zimny piasek od mojego namiotu.

— Ty też mnie opuściłaś, gdy wezwała cię bogini.

Królowa Manar odwróciła się od Al'Shannagga i milczała dłuższą chwilę.

— Dobrze czułam — rzekła w końcu lekko łamiącym się głosem. — Wiedziałam, że będziemy miotać się i cierpieć jako zabawki w rękach bogów. Spójrz, oni już zginęli, a my wciąż nie mamy władzy nad własnym losem. Wiem, że pójdziesz i że chcesz iść. Ale wiem też, że gdybyś został... Gdybyśmy odrzucili sny, przeczucia i sami podejmowali decyzje — wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Może nawet lepiej.

Kashim objął ją i przycisnął do piersi.

— Jeszcze ten jeden raz — szepnął. — Gdy Tel'Halik będzie wolne, odjedziemy w piaski i tam znajdziemy spokój. A ze snów będziemy się tylko śmiać.

— Obiecujesz? — spytała Miidza.

— Obiecuję.

— Jedź więc, póki nie zmienię zdania, przeklęty łotrze.

Jeszcze tej nocy Al'Shannagg uciekł z obozu. Nie powiadomił o swej wyprawie sojuszników, ponieważ chciał uniknąć niekończących się dyskusji. Po prostu rozpułnął się wśród piasków, a jego ślady zatarł wkrótce wiatr.

*

Kashim ruszył na południowy wschód, trasą, która biegła daleko od ludzkich osad. Zapasów starczyło mu ledwie na parę dni, lecz potem ich miejsce zajął dar, który trzymał jego ciało przy życiu, zupełnie jak niegdyś na śnieżnym pustkowiu. Wkrótce Al'Shannagg przestał liczyć pokonane farsangi. Wędrował za dnia, w nocy śnił o wędrowce. Jego umysł, przyćmiony brakiem wody i jedzenia, nie odróżniał już jawy od snu. Czas mijał powoli, piaski zdawały się nieskończone. Kashim nie myślał jednak, aby zawrócić, choć słabł coraz bardziej. Czuł, że gdzieś tam, za następną wydumą, czeka na niego cel.

W końcu, po wielu dniach, wspiąwszy się na kolejne z tysięcy jednakowych wzniesień, Al'Shannagg dostrzegł, że krajobraz przed nim się zmienia. Pustynia ustępowała miejsca czerwonej, spękanej równinie, nad którą wisiało ciężkie niebo bordowego koloru. Tylko jeden kształt zakłócał monotonię krajobrazu. W oddali oczy Kashima ujrzały czarne, poskręcane drzewo, u którego stóp przycupnęła jakaś postać.

Najpierw Al'Shannagg spróbował odgadnąć, czy widzi to naprawdę, czy jedynie śni. Gdy próby spełzyły na niczym, po prostu ruszył w stronę drzewa, ostrożnie wymijając rozpadliny.

Roślina okazała się tą samą, którą widywał w snach. Teraz była jednak całkiem uschnięta, jedynie pojedynczy zielony liść kołysał się na gałęzi, choć i jego brzegi zaczęły brązowieć. Al'Shannagg poświęcił mu tylko krótkie spojrzenie, bo jego wzrok przykuła postać oparta o pień. Była to bogini, którą pamiętał tak dobrze z własnych koszmarów. Zdawała się jednak mniejsza, nie tak groźna, osłabiona. Nie wstała ani nie odpowiedziała na jego pokłon, po prostu zaczęła mówić, ledwie poruszając sinymi wargami.

— Jestem ostatnia, moje dziecko. Tuzin przestał istnieć, a wraz z nim końca dobiegł wspaniały i straszny zarazem rozdział w historii ludzi. Straciłam prawie wszystkie siły i wkrótce czeka mnie to, co spotkało Sammara. Nie chcę jednak spędzić wieczności w tym świecie. Odejdę wcześniej do fortecy, tam gdzie wszystko się zaczęło. Jesteś ostatnim człowiekiem, którego chciałam spotkać.

— Czy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, o pani?

— Wolałabym, żebyś na koniec choć raz powiedział mi: matko. Choć to

już pewnie nieważne... A co do niebezpieczeństwa, to wiem praktycznie tyle, co ty. Zdaje się, że Wielki Architekt odszedł. Nie czuję już tak mocno jego duszącej obecności. Może nasz plan zadziałał? A może to tylko przypadek? Trudno ocenić. Wiedz jednak, że to już nie moja sprawa. Odchodzę, jako rzekłam, ale mam dla ciebie zadanie... Nie, zadanie to złe słowo. Powiedzmy: radę.

— Tak, matko? — spytał Kashim pełnym napięcia głosem.

— Widziałeś się z Sammarem. Myślę, że powiedział ci o swym planie, by odrodzić wiarę w Jedyne, może nawet poczyniłeś ku temu pewne kroki. Wiedz, że dawno temu, gdy Tuzin był u szczytu mocy, plany Sammara zakrawały na zdradę, ale dziś... Dziś chciałam ci radzić, byś zaczął je realizować jak najszybciej.

— Obawiam się, że nie do końca rozumiem.

— Och, to proste. Nie ma już bogów, stworzonych na podobieństwo człowieka. Zabrakło pośredników między wami a Architektem. Jeśli chcecie dalej istnieć, musicie go sami przekonać, że jesteście godni istnienia, bo inaczej podzielicie los setek ras, które wcześniej powołał do życia i odesłał w nicość, gdy zawiodły jego tajemne oczekiwania. Nie wiem oczywiście, czy wasza wierność lub niewierność będzie miała jakieś znaczenie. Sądzę jednak, moje dziecko, że powinieneś zostać jego kapłanem — wziąć na swoje barki doprowadzenie waszej Księgi do stanu możliwie najbliższej oddającego prawdę.

Al'Shannagg pokręcił głową.

— Ależ ja nie wiem, czy chcę mu służyć! Z kim do dziś walczyłem? Z Cesarzem? Owszem, ale tylko dlatego, że ów Cesarz chciał zagarnąć świat, by skuteczniej obronić się przed waszym Architektem. Wiem, że Stwórca to niezrozumiała moc. Zawistna, zmienna, okrutna. Gdyby nie on, tyle rzeczy byłoby prostszych i piękniejszych!

— Nie byłoby też nas. Ani ciebie. Jakim prawem oczekujesz, że istota, która na podobieństwo swojego umysłu ukształtowała rozumne rasy, jest dobra i pełna zrozumienia, skoro rasy te cechują zło i nienawiść? Jesteśmy jego dziećmi. My przypominamy jego, on przypomina nas. Rozumiem jednak gniew, który czujesz wobec Architekta. My też byliśmy wściekli, gdy odkryliśmy, że miasta naszych potomków zbudowane są na innych miastach, a te na jeszcze innych. Że na dalekich krańcach świata wciąż można znaleźć pozostałości istot, które stworzył, by w końcu obrócić w proch. I tak jak nie można obdarzyć miłością wiatru czy ognia, tak my nie potrafiliśmy kochać

tej dziwnej siły, która powołała nas do życia. Przeciwnie! Szybko ją znienawidziliśmy. Przecież byliśmy lepszymi panami ziemi, bardziej współczującymi, bliskimi ludziom. Architekt, jako bóg, zdawał się przy nas ułomny. Ale na zawsze pozostał naszym władcą — i spójrz: wystarczyło, że nam pogroził, a sami doprowadziliśmy się do zagłady. Uwierz mi, nienawidzę Architekta. Ale mój czas się wyczerpał, zaś ludzie i starsza rasa wciąż jeszcze chodzą po ziemi. Od tego, co teraz uczynicie, może zależeć, jak długo przetrwacie.

— Jak mam służyć komuś wyłącznie ze strachu? — spytał oburzony Kashim. — Jak mam okłamywać ludzi, nauczając ich o miłosierdziu czegoś, co okazuje się ślepym żywiołem?

— Nie masz wyboru, moje dziecko. Architekt to bóg, prawdziwy i wszechpotężny, nawet jeśli zły, zazdrosny czy nieobliczalny. Pozostaje nam tylko marzyć o świecie bez niego, gdzie rozumne istoty same kształtują los, gdzie nie wisi nad nimi widmo dnia sądu lub hekatomb, zesłanej dlatego, że pastuchowie spalili za mało ofiarnych owiec.

— Wymagasz ode mnie zbyt wiele! — krzyknął Kashim przez łyżę. — Nie mogę budować wiary w Jedyne, gdy wiem o nim tyle złych rzeczy!

Bogini roześmiała się. Jej sine usta zionęły trupim odorem.

— Nie musisz. Nie wiadomo jednak, jak długo będzie wtedy istniał twój lud, albo miasto, o które tak walczysz. Czy nie zastąpi was inna, młodsza rasa, bardziej miła Jedyne. Daję ci tylko radę, dziecko. I choć wiem, że możesz być nieodpowiednim człowiekiem, nie mam już nikogo, komu mogłabym ją przekazać.

Al'Shannagg ukrył twarz w dłoniach i opadł na kolana. Tymczasem bogini patrzyła na cierpienie potomka obojętnie. W końcu rzekła:

— Nie rozpaczaj tak. Nie powinnam tego mówić, ale dopóki ludzka rasa będzie istnieć, jest jeszcze nadzieja. Są możliwości, których nie mieliśmy okazji sprawdzić. Istnieje wiedza, mimo starań nie zniszczona, i dzieci wielu krwi, których dar miesza się, dając efekty trudne do pojęcia nawet dla mnie. Teraz idź już i zrób wszystko, by na dobry początek zapewnić swemu ludowi czas, którego wkrótce może wam zabraknąć. Niech resztką mocy, jaką jeszcze mam, natchnie cię do działania.

*

Gdy minęło dwadzieścia jeden dni od zaginięcia Al'Shannagga, zaczęto mówić głośno o tym, że trzeba go w końcu zastąpić innym dowódcą, a potem przejść do działania. Sytuacja bowiem nie polepszała się wcale i nic nie

zapowiadało, że się polepszy.

Plan zmiany wodza szybko poparł Darhir, potem Brenvan, Tenzih, a w końcu nawet Nahar. Tylko Miidza raz za razem powstrzymywała ich, przysięgając, że Kashim jeszcze powróci z piasków. Jednak w miarę jak mijały kolejne dni, coraz więcej osób twierdziło, że miłość do Al'Shannagga przyćmiła jej ocenę sytuacji.

Czas pokazał, że to królowa Manar miała rację. Pewnego dnia zwiadowcy odnaleźli wśród wydm zarośniętego, wychudłego jak patyk i półprzytomnego z pragnienia żebraka, który zmierzał w stronę Tel'Halik. Zabrano go do obozu i dopiero tam rozpoznano w wędrowcu naczelnego wodza. Zaraz przeniesiono go do namiotu Miidzy, która przez kolejne dni czule opiekowała się Kashimem, pilnując niczym lwica, by nikt nie przeszkadzał mu w powrocie do zdrowia.

Al'Shannagg dość szybko odzyskał przytomność, lecz był dziwnie powściągliwy, gdy pytano go o dalsze plany. W końcu Aam Caerleigh, zniecierpliwiony milczeniem towarzysza, zakradł się do jego namiotu, gdy Miidzy akurat nie było w pobliżu.

— I co? — spytał. — Masz już swoje natchnienie? Wkraczamy do miasta?

— Ja wkroczę, przyjacielu. Sam. Zamierzam uczyć i nawracać, aż ludzie odwrócą się od Vezamara.

— Co to za nowe dziwactwo? Poroniony pomysł! Do diabła, trzeba w końcu przygotować kilka porządnych taranów i przejść do dzieła! Mówisz, że chcesz samotnie wejść do Tel'Halik? Pewnie uda ci się to za pomocą tej przeklętej magii, jednak po co ryzykować? Osaczą cię jeszcze i ubiją, armia zostanie bez przywódcy. Myślałeś o tym?

— Nawet nie wiesz, jak dużo. Chcę jednak wyzwolić Tel'Halik najmniejszym kosztem, choćbym miał to opłacić życiem. Potrzebuję twojego zrozumienia i pomocy, Brenvanie.

— To drugie możesz dostać, ale pierwszego — nie. Wiedz też, że coraz bardziej żałuję, iż przyplątałem się za tobą do tych krain. Żałują też ludzie, którzy kisną w skwarze, wśród wrogich tubylców, podczas gdy ty biegasz sobie nie wiadomo dlaczego po pustyni. Kto wie, czy Yauran w tej chwili nie pali naszych prowincji, a my zamiast dokończyć dzieła i wrócić, siedzimy tu beczynnienie, bo ciebie dopadły wątpliwości. To nie tak miało być, Kashimie, rozumiesz?

Widząc milczenie przyjaciela, Aam Caerleigh dodał:

— Aaa, do diabła z tobą! Poprę cię ze względu na stare czasy, ale nie ręczę, jak długo ludzie będą posłuszni. Wiedz też, że mnie zawiodłeś. Co się stało ze Świętym Jeźdźcem, u którego boku walczyłem? Odszedł, zamiast niego jest kapłan, filozof, bogowie wiedzą kto jeszcze.

Tu zapadło milczenie. W końcu Al'Shannagg po prostu pożegnał Brenvana, a ten wyszedł z namiotu ogarnięty złością.

*

Cały sztab jednogłośnie sprzeciwił się decyzji Kashima. Ten jednak, niezrażony, zaczął przekonywać przyjaciół. Wreszcie osiągnął sukces, bo pobyt na pustyni bardzo go odmienił: jego głos stał się jeszcze bardziej powolny i hipnotyczny, wyostrzona od głodu, zarosnięta twarz dodawała mu powagi. Na dodatek, mimo widocznego osłabienia ciała, stał się nagle nadzwyczaj aktywny. Wyglądało to, jakby dar zyskał w nim na sile. Nawet Miidza zdawała się zaskoczona przemianą męża.

Po kilku dniach dowódcy sojuszniczej armii zgodzili się na plan Al'Shannagga, ten zaś począł nocami odwiedzać miasto. Wszedł po murze szybko i zwinnie niczym pająk, a w ciemnościach roztapiał tak łatwo, że często przechodził dosłownie pod nosem strażników. Pukał do wielu drzwi, wchodził do wielu domów. Przemawiał do niewolników w ich sypialnych salach, do żołnierzy w barakach, Duzzahów w madrasach. Za każdym razem jego spokojny głos, cytaty z Księgi i rozważnie dobrane argumenty pozwalały przekonać słuchaczy, że prawdziwe zło śpi w Piaskowej Iglicy, a nie poza murami miasta. I choć czasem rozmówcy donosili na kaznodzieję lub wzywali straż, on zawsze wyślizgiwał się z zasadzek zręcznie niczym szczupak chwycony w dłonie niedoświadczonego rybaka. Każdej nocy cierpliwie dokładał kolejne ziarenko do swojego dzieła. Zjawiał się wszędzie — od najuboższych części Krwawego Sztyletu, po sam Pałac Proroka. Odwiedzał też osady przyległe do Tel'Halik i przekonywał ludzi, aby wsparli walkę przeciw Vezamarowi, najokrutniejszemu i najbardziej szalonemu władcy, jakiego znała Ocalona Kraina.

*

Pewnej nocy Al'Shannagg zawitał też do oazy Hazmud. Zmieniła się bardzo, odkąd był tu ostatnio. Większość palm wycięto, domy zubożały i podupały, wielkie stado bacharnów skurczyło się do ledwie paru sztuk, zresztą chorych i rachitycznych. Celbal jednak wciąż miał się dobrze i z właściwym sobie optymizmem czekał, aż los się odmieni.

Wizyta Kashima zaskoczyła go bardzo, ale i sprawiła mu radość. Długo

rozmawiali o tym, co stało się pod nieobecność Al'Shannagga, oraz o sytuacji w Ocalonej Krainie. W końcu rozmowa zmieniła się w snucie wspomnień o dawnych czasach, gdy ród Al'Shannaggów rządził oazą, a Kashim był ledwie szczęśliwym dzieckiem. Temat zdziwił Celbala, który spodziewał się dyskutować z wodzem rebelii o poważnych rzeczach.

Mimo tego, starzec ciągnął rozmowę. Panicz Al'Shannagg wydawał mu się pewniejszy siebie i potężniejszy niż kiedykolwiek, ale spojrzawszy głęboko w jego oczy, dostrzegł też smutek. Al'Shannagg cierpiał, choć nie okazywał tego, skryty za maską wodza i mędrca. Jedyne pamięć o dawnych czasach potrafiła w nim rozbudzić iskierkę radości.

Kashim pożegnał dawnego sługę dopiero przed świtem, po czym wymknął się cicho na podwórze, by przygotować wierzchowca do drogi.

Nie wiedział, że ze środka jednego z małych, białych domków obserwuje go para kobiecych oczu. Młoda dziewczyna, którą zbudził płacz głodnego dziecka, karmiła swoje maleństwo, patrząc na zewnątrz przez szparę w zasłonie. Długo spoglądała na twarz mężczyzny dobrze widoczną w świetle księżyca.

Serce zaczęło jej przyspieszać, gdy poznała ten orli nos, linię podbródka i ostre rysy. Poczula się słabo, pełna niedowierzania, zdziwienia i innych, trudniejszych do nazwania, uczuć. Długo nie mogła się zdecydować, co teraz robić. Krew łomotała jej w skroniach jak oszalała, a w tym czasie jeździec osiodłał saura i przygotował się, by wskoczyć na jego grzbiet.

W tym momencie dziewczyna zrozumiała, że nie ma chwili do stracenia. Odłożyła delikatnie dziecko, po czym rzuciła się do drzwi.

Dłoń, która opadła na jej ramię, niespodziewanie osadziła ją w miejscu.

— Nie idź tam! — rozbrzmiał zdecydowany głos wiedźmy.

— Ależ pani, to on! Nie możesz mi zakazać! Ja muszę... muszę powiedzieć mu o dziecku, muszę powiedzieć, że... że przepraszam!

— Nie, dziewczyno. Zaufaj mi. On nie jest już mężczyzną, którego kochałaś, a potem zdradziłaś. Został narzędziem bogów, bierze udział w ich grach oraz planach. Jeśli wejdzie znów na twoją ścieżkę, wykorzysta cię nieświadomie, dążąc do tajemnego celu swoich patronów, potem porzuci niby kalam, gdy ten tępi się i nie jest zdatny do pisania.

— Nie możesz mi zabronić! — Jelaya strąciła dłoń wiedźmy.

— Nie mogę. Dlatego proszę, zaufaj mi. Jeśli teraz za nim pójdziesz, przysporzysz sobie tylko cierpienia. Pozwól mu odjechać, a pewnie nigdy już się nie spotkacie, ty zaś będziesz mogła żyć dalej wedle własnego losu.

Dziewczyna zamarła, patrząc na podwórze. Jeździec zaś wskoczył na saura i odjechał, kierując się ku Tel'Halik. Tak jak przepowiedziała wiedźma — Jelayi nigdy więcej nie było dane go zobaczyć.

*

Mudda po długich miesiącach konspiracji stał się doskonałym szpiegiem i spostrzegawczym spiskowcem. Nie bał się, co dawało mu przewagę nad ludźmi proroka, dla których to strach był głównym motorem działań. Nic dziwnego, że szybko wpadł na trop niezwykłego mężczyzny, który od wielu nocy nachodził Tel'Halik.

Duzzahowie rozpowiadali o nim półgłosem. Przecieki z Pałacu Sprawiedliwych mówiły o niesłychanej bucie przybysza, który wkradał się do Tel'Halik niemal co noc, kpiąc z wysiłków straży. Co gorsza, miał coraz większy posłuch wśród mieszkańców Świętego Miasta, którzy przekazywali sobie z ucha do ucha jego wrogie Duzzahom słowa. Sprawa była ściśle tajna, a śmiałka ściagały już same Jastrzębie Najwyższego. Mudda, dzięki swoim wywiadowcom, dotarł do ludzi, którzy widzieli mężczyznę. Ze zdumieniem przyjął ich opowieści, bowiem historie oraz kazania, jakie mu przekazali, okazały się fascynująco podobne do mów Zerakhima.

Różne szalone myśli krążyły Muddzie po głowie. Uparł się, że za wszelką cenę musi spotkać tego człowieka osobiście. Wiele nocy spędził na ulicach, unikając patroli oraz grup Jastrzębi. Na podstawie planu wędrówek kaznodziei, stworzonego z danych zebranych przez siebie i znajomego z Pałacu Sprawiedliwych, Al'Iarnak próbował przewidzieć, gdzie tajemniczy gość pojawi się kolejnej nocy. Raz niemal mu się udało, lecz mężczyzna nie przybył na umówione kazanie, zupełnie jakby wyczuł na odległość zdradę. Istotnie, tej nocy czyhała na niego cała kompania Jastrzębi.

Nie zraziwszy się, Mudda próbował dalej. Jego wysiłki zostały nagrodzone, gdy trafił na spotkanie w prywatnym domu pewnego rodu, który miał powody, by szczególnie nienawidzić proroka. Było tam ledwie tuzin gości, Mudda zaś podsłuchiwał przez okno, by nie spłoszyć ani gospodarzy, ani ich nauczyciela.

Wysłuchując się w niesamowite przypowieści mężczyzny, w końcu tak zapragnął zobaczyć jego twarz, że mimo ryzyka zajrzał do środka. Szybko odniósł wrażenie, iż kaznodzieja kogoś mu przypomina, lecz jednym okiem i przy złym świetle nie potrafił określić kogo. Gdy mężczyzna skończył i zegnał się już z gospodarzami, zerknął w stronę Muddy, a potem uśmiechnął się przelotnie.

Duzzah odskoczył od okna niby oparzony. Jak ów człowiek mógł go wyłowić z ciemności panującej na zewnątrz? Czy był na pewno zwykłym śmiertelnikiem?

Mudda ruszył szybko do domu, z głową pełną pytań. Będąc już w swej bezpiecznej komnacie, nie mógł w żaden sposób przestać myśleć o dziwnej postaci. Siadł więc do pulpitu i zaczął spisywać wszystkie jej słowa, także usłyszane z drugiej ręki. Praca zajęła mu dwa dni, po których skopiował zwoje w kilku egzemplarzach. Długo myślał, co z nimi zrobić, aż wreszcie wpadł na pomysł, który mógł przyjść do głowy jedynie osobie szukającej śmierci.

*

Dłoń Duzzaha zawisała tuż przy dzwonku, jak miecz kata chwilę przed egzekucją skazańca. Jednak mężczyzna, choć rozogniony wściekłością, nie wezwał straży. Bezcelność, której był świadkiem, zbyt go zaskoczyła.

— Czyś już całkiem postradał zmysły, biedny głupcze? — spytał. — Wdzierasz się do sypialni zwierzchnika Pałacu Sprawiedliwych i podsuwasz mi pod nos te heretyckie pisma? Na Jedynego, chyba jeszcze śnię, bo nikt nie może być tak głupi.

— A może to ty, drogi przyjacielu, nie zauważyłeś, że w ostatnich miesiącach wiele się zmieniło? Powiadasz, że wezwiesz straż? Czerwone Turbany stoją przecież na murach, lub gonią za duchem po uliczkach Tel’Halik. Mówisz, że kazania, które ci przyniosłem, są heretyckie, ale czy rozbieżność słów proroka z Księgą, którą z pewnością zauważyłeś, nie budzi u ciebie obaw? Mówisz, że jestem głupi, lecz jak nazwiesz tych, co słuchają oślinionego szaleńca, tylko dlatego, że zasiada na tronie? Zaklinam cię, przyjacielu. Posłuchaj, co mam do powiedzenia, to bowiem ostatnia chwila, by wrócić na właściwą drogę.

Makhar’Wari otworzył usta, by coś odrzec, lecz Mudda przerwał mu ruchem dłoni.

— Nie wierzysz już w Jedynego? Ja wierzę, a gdyby nie on, rebelianci dawno zostaliby zgnieci pod butem Vezamara. Nie sądzisz chyba, że Bóg sprzyja temu krwiożerczemu starcowi? Że chce opuszczenia Tel’Halik i sam zesłał białoskórych oraz gady, by pomogli nam walczyć z innymi białoskórymi oraz gadami, które to ponoć są złe? Nie, Sabidzie. Teraz jest ostatnia chwila, by wyznać winy. Ja współpracowałem z prorokiem ze strachu przed Bestią. Ty — ponieważ wierzyłeś w odnowę, w rewolucję, co wkrótce utopiła się we krwi ofiar. Przez to nie służyliśmy ani wiernemu

ludowi, ani Księdze, lecz tylko wizji szaleńca. Teraz możesz jeszcze coś zrobić, by odpokutować grzechy. Wkrótce, gdy miasto padnie, będzie to już niemożliwe.

Sabid Makhar'Wari roześmiał się głośno.

— A jednak oszalałeś, Muddo. Może gdybym był głupim akolitą, dałbym się zwieść twoim argumentom. Zapominasz jednak o czymś. Ja wiem, że służyłeś Wysłannikowi Niebios — wiem, ile brudnych zadań dla niego wykonałeś i ile osób przez ciebie trafiło na pal. A teraz nagle przyłączyłeś się do rebelii? Doprawdy, wolę być już łotrem stałym w uczuciach niż psim synem, który nigdy nie płynie pod wiatr.

— Mylisz się, Sabidzie — odparł mu cicho Mudda. — Nie stałem się wrogiem proroka teraz, ale wiele miesięcy wcześniej. I gdyby twoi szpiedzy byli trochę sprytniejsi, już byś o tym wiedział. Lecz popatrz, daję ci na tacy wyznanie winy. Musisz tylko pociągnąć za sznurek. Cóż jednak na tym zyskasz? Widziałeś Vezamara. Za bardzo jest szalony, aby cię nagrodzić. Ba, jego obłąd poszedł już tak daleko, że pewnie bałbyś się nawet stawić przed nim z meldunkiem, by nie skazał cię na śmierć w jakimś szaleńczym widzie. Gdy Tel'Halik zostanie zdobyte...

— Tel'Halik jest niezdojty! Ta zbieranina obszarpańców...

— Tej zbieraninie obszarpańców sprzyja Jedyny i widząc, co się stało, nie możesz temu zaprzeczyć. Z jego pomocą w końcu zdobędą Tel'Halik. Nawróć się, Sabidzie, póki czas. Te zwoje ci pomogą. Przeczytaj je — nic nie ryzykujesz, a potem możesz je nawet rzucić w ogień. Jeśli nie odmienią twego punktu widzenia, schwytaj mnie choćby jutro i poślij na pal. Będę w swym domu, kopiując pisma dla innych ludzi, a męczarnie przywitam z radością, jako odkupienie win.

— Jesteś szalony, głupcze.

— Nie, przyjacielu. Po prostu wierzę, co powinien czynić każdy Duzzah. Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

Mudda w napięciu czekał na dźwięk dzwonka, ale Sabid wciąż stał bez ruchu, nie mogąc się zdecydować, co powinien robić. Al'Iarnak odłożył więc zwoje na pulpit, po czym roztopił się w cieniach na korytarzu.

Tej nocy miał odwiedzić jeszcze wiele miejsc.

Rozdział 13. Śmierć w Tel’Halik

Nahar był blady jak trup i już od chwili, gdy wkroczył do namiotu, Kashim wiedział, że niesie złe wieści.

— Co się stało? — spytał, widząc że Al’Iarnak nie kwapi się mówić.

— Tragedia, Kashimie. Prorok... oszalał ze szczętem. Dowiedział się, że ostatniej nocy byłeś w Szarym Stoku i przemawiałeś do niemal setki ludzi. A powtarzałem ci, że to już przesada, zbędne ryzyko! Teraz Vezamar kazał milicji świątynnej wymordować całą dzielnicę!

Al’Shannagg poderwał się z miejsca.

— Co?

— Czerwone Turbany i armia wkroczyły do Szarego Stoku. Oto... — głos mu się załamał. — Otoczyli go kordonem, a teraz mordują wszystkich. Kobiety, dzieci i starców. Wywlekają na ulicę i zabijają...

Al’Shannagg po raz pierwszy od dawna poczuł, że traci kontrolę nad emocjami. Zamaszystym ruchem strącił ze stołu zwoje i kałamarz. Zaczął krążyć wewnątrz namiotu jak lew uwięziony w klatce. Twarz miał czerwoną, jego palce to zaciskały się, to rozczapierały jak u atakującego orła. Płaszcz spokoju i mądrości, który od dawna go spowijał, na tę krótką chwilę opadł, ukazując Świętego Jeźdźca rozwścieczonego zbrodnią na wiernym ludzie. Nahar był tak zaskoczony przemianą, że aż cofnął się o kilka kroków.

— Zbierz wszystkich — rozkazał mu Kashim. — Przygotujcie tarany oraz drabiny, przyślij mi też zaraz Brenvana. Szturmujemy miasto.

— Dzisiaj?! Nie jesteśmy gotowi! Zresztą wkrótce zapadnie wieczór.

— Za wcześnie się to dzieje i w złym momencie, ale Vezamar nie dał nam wyboru. Jeśli będę zwlekał do rana, zginą setki ludzi. Nie, Naharze. Jedyńy i tak dał nam więcej czasu, niż się spodziewałem. Teraz pora działać!

Al’Iarnak skinął głową. Obawiał się, że atak może być przedwczesny, ale poczuł ulgę na myśl, że tygodnie niepewności dobiegły końca. Wkrótce wieść o szturmie rozeszła się po obozie sojuszników niczym grom i jeszcze przed zmierzchem żołnierze Al’Shannagga byli gotowi do ataku. Święte Miasto zaś pospiesznie szykowało się do obrony, bo strażnicy spostrzegli z murów niepokojący ruch w obozie.

Słońce zachodziło w intensywnym, czerwonym kolorze, zupełnie jakby wróżyło przebieg zdarzeń, które miały tej nocy wstrząsnąć Ocaloną Krainą.

*

Plan ułożony przez Kashima wraz z pułkownikiem Darhirem oraz Naharem był sklecony naprędce i miał wiele luk. Nie wiedzieli przecież, ilu mieszkańców stanie za nimi, a ilu przeciwko nim. Nie było wiadomo, jak zachowają się poborowi: czy spanikują, jak w Bitwie Siedmiu Armii, czy też, po dwumiesięcznej indoktrynacji proroka, będą gotowi oddać życie za władzę.

Stało się jasne, że losy ataku będą w dużej mierze zależeć od improwizacji oraz sprawności podoficerów. Walka mogła szybko rozpaść się na wiele zapalnych punktów, tym bardziej, że Al'Shannagg wyznaczył swoim ludziom cztery różne zadania. On sam, wraz z trzydziestoma Jeźdźcami i byłymi magami Legionu, miał nacierać na Pałac Proroka i szybkim, silnym uderzeniem schwytać lub zabić Vezamara. Zabierał też Pierwszą Kompanię, świadom, że w okolicy może spotkać Bestię. Degom, dowodzonym przez Tenziha, wyznaczył zabezpieczenie Dzielnicy Kupców oraz Szarego Stoku, by siły sojuszników zyskały w mieście stabilny, dobrze broniony przyczółek. Brenvan, wraz z resztą kontyngentu oraz nomadami, miał zająć Pałac Sprawiedliwych i jego lochy, a potem, jeśli się da, również siedzibę Czerwonych Turbanów przy Pierwszej Świątyni. Natomiast Naharowi na czele reszty jeźdźców i ochotników z różnych części Ocalonej Krainy pozostało zaatakować Orli Fort przez pasterską furkę. Twierdza, choć jeszcze nie do końca odbudowana, była ważnym strategicznie, górującym nad miastem punktem.

Tak wyglądały plany. Życie brutalnie zweryfikowało je już na samym początku.

W pierwszych chwilach szturm na zachodnią bramę atakujący ponieśli duże straty. Masywne, spiżowe skrzydła długo opierały się uderzeniom taranów, a zebrani na murach żołnierze i Jastrzębie ciskali w dół oszczepy, strzelali z kusz, lali płonąca oliwą, zabijając załogi czterech z sześciu taranów. Sklecone z żerdzi i kawałków ogrodzeń drabiny udawało się obrońcom szybko odpychać. W końcu sam Al'Shannagg musiał zbliżyć się do wrót i uderzyć w nie za pomocą daru. Kilku Jastrzębi ze środka próbowało przywracać wygiętym wierzejom dawny kształt, lecz gdy do walki włączyli się magowie, brama ostatecznie legła w gruzach. Niestety, okupiono to stratą kilku osób z silnym darem, czego Kashim chciał za wszelką cenę uniknąć.

Walka przeniosła się na ulice oraz podwórka niższych dzielnic. Zwykli ludzie uciekali w panice, rozsiewając po mieście plotki o hordach białych

demonów, które plądrują Tel'Halik. Tymczasem w wąskich zaułkach i wewnątrz budynków żołnierze obu stron zmagali się w śmiertelnym boju. Jako że ciężko było kontrolować wszystkie pasáže i bramy, co chwila jakaś grupa pojawiała się na tyłach wroga. Wkrótce linia frontu zatarła się zupełnie, a walkę prowadziły już tylko mniejsze i większe oddziały, uganiające się po ulicach.

Determinacja szeregowych żołnierzy proroka opadła, gdy wróg wszedł głęboko do miasta. Wielu zdezerterowało, a byli i tacy, którzy przyłączali się do atakujących. Mieszkańcom Tel'Halik nie śniło się bronić Vezamara, kryli się tylko przed białoskórymi w piwnicach i jaskiniach. Ale wojownicy Czerwonych Turbanów oraz Jastrzębi okazali skrajny upór, nie chcąc oddać przeciwnikom ani jednej ulicy. Przesądzała o tym nie tylko wiara w proroka oraz Wysłannika Niebios, ale i zwykły strach. Zdawali sobie sprawę, że jeśli Vezamar upadnie, lud Świętego Miasta dokona zemsty za terror i ucisk, za tortury, donosicieli i ciągłe aresztowania.

Gdy wierni prorokowi zostali wyparci z okolic bramy, chwycili się sposobu, który miał się szybko okazać bronią obosieczną: zamiast oddawać atakującym kolejne budynki, podpalali je, w nadziei, że ściana ognia powstrzyma lub nawet zepchnie wrogów z powrotem za mury.

*

Vezamar drżał, patrząc z okna swojego pałacu, jak pożar, który wybuchł przy zachodniej bramie, rozprzestrzenia się na kolejne budowle. Tej nocy wiał porywisty wiatr, który łatwo przenosił żar oraz iskry na setki kroków i rozniecał płomienie na dachach tak mocno, że strzelały w niebo na podobieństwo ognistych filarów.

Pod drzwiami sypialni stał już dowódca przybocznej straży, czekając, aż władca raczy wyjść i udać się z nim do Iglicy. Vezamar odprawił jednak poddanego stekiem przekleństw. Chciał zostać sam. Patrzył w ogień i słuchał odgłosów walki, którymi huczało miasto.

— Dzień Sądu... — mamrotał. — Jedyne nas ukarał... Przekłęci zdrajcy, dali zwyciężyć demonom. Wpuścili wyklętych do Ocalonej Krainy, przymierze zostało złamane... Teraz ogień wszystko pochłonie, jak kiedyś. Wierny lud zawiódł, zdradził mnie, zdradził Boga. Koniec... To już nasz koniec, nasz Dzień Sądu.

Vezamar rozejrzał się po komnacie. Jego wzrok padł szybko na złoty półmisek pełen owoców, który stał na hebanowym stoliku. Obok leżał nóż, wąski i niezbyt ostry, przeznaczony do obierania pomarańczy i

przepełniania granatów. Prorok chwycił go łapczywie, jak tonący kłodę, która przepływa tuż obok.

Nie zamierzał paść ofiarą boskiego gniewu. To nie dla niego Jedyne rozpałił pogrzebowy stos, nie jego chciał pokarać ogniem. Byłoby jaskrawą niesprawiedliwością, gdyby on, ostatni wierny człowiek w Ocalonej Krainie, miał zginąć od kary zesłanej na zdrajców. Zasługiwał na lepszy koniec. Dlatego właśnie wolał sam zadać sobie śmierć.

Vezamar nie był szczególnie mężny, ale obłąd, który trawił go powoli od wielu miesięcy, dał mu też siłę i desperację, by targnąć się na własne życie. Szybkim ruchem rozerwał poły swej nocnej szaty, padł na kolana, wymacał szczelinę między żebrami, przyłożył tam czubek noża i pchnął go oburącz — z całej mocy.

Tępawe ostrze weszło pod żebra na pół palca. Prorokiem targnął okropny ból, dłonie na kościanej rękojeści zacisnęły się spazmatycznie. Jednak nóż ugrzął gdzieś w mięśniach wysuszonego ciała Vezamara.

Prorok zawył i pchnął jeszcze raz — na próżno, bowiem drżące niczym w febrze dłonie nie były już władne, by ruszyć ostrze, i jedyne, co zyskał, to ogromne cierpienie. Spróbował wstać z klęczków, ale nogi miał jak z waty, a klatka piersiowa rwała okropnie przy najlżejszym ruchu. Krew ściekała mu bokiem aż na kościste biodra. Spróbował ponownie i tym razem zdołał się podnieść. Chciał wyjąć nóż, by zadać kolejny cios z rozmachu, lecz lekkie drgnięcie rękojeści niemal pozbawiło go przytomności. Zataczał się więc tylko jak pijany po pokoju, z nożem wbitym płytko w tors. Bełkotał przy tym modlitwy przemieszane z najbardziej wulgarnymi przekleństwami, a z wykrzywionych ust ciekła mu ślina.

W końcu Vezamar zgiął lekko nogi w kolanach, zacisnął powieki i upadł w przód, na podłogę. Rękojeść zderzyła się z posadzką, wydając głośny trzask; ostrze weszło niemal do końca. Ból zamroczył proroka tak, że nie usłyszał własnych agonalnych kwików, ale owe straszliwe odgłosy sprawiły, że przyboczna straż jęła wyważać drzwi sypialni. Gdy po dłuższej chwili zawiasy puściły, a oni wpadli do środka, prorok żył jeszcze. Jego nogi drgały w przedśmiertnych skurczach, a ręce macały ślepo po posadzce. Było już jednak za późno, by pomóc starcowi, nawet korzystając z leczącej mocy daru.

Wkrótce na korytarzach pałacu rozbrzmiały lamenty. Tel'Halik straciło swojego władcę. Walka trwała jednak nadal, bo wieści o śmierci Vezamara utonęły w chaosie plotek i sprzecznych informacji, które krążyły po ogarniętym wojną mieście.

*

Z tarasu rodzinnej willi w Szarym Stoku Mudda widział dokładnie wszystkie zwroty bitwy. Chodził od jednej balustrady do drugiej, zaciskał nerwowo dłonie na zimnych kamieniach. To wszystko trwało zbyt długo — tyle mówiły mu wiedza oraz doświadczenie wyniesione z dawnych kronik. Każda minuta działała na niekorzyść atakujących, pozwalała obrońcom lepiej ocenić sytuację, oszacować siły wroga, zorganizować się, zmobilizować wszystkie siły. Jak dotąd tylko w jednym z trzech atakowanych punktów miasta rebelianci przedarli się przez mury. Mudda Al'Iarnak wyraźnie widział, że w innych miejscach wciąż toczą się zacięte walki. Na blankach trwał monotonny taniec pochodni i cieni.

Bezsilność doprowadzała Duzzaha do rozpacz. Tyle miesięcy pracował w ukryciu, dyskretnie wspierając rebelię, tyle razy ryzykował życie, by uratować jednego czy dwóch buntowników! Teraz machina poszła w ruch, a on mógł tylko stać z boku i obserwować niepewnym wzrokiem twórcy, czy całość zadziała, czy też rozpadnie się na części, grzebiąc pod gruzami zarówno jego, jak i całe Tel'Halik.

W końcu, gdy napięcie stało się nie do zniesienia, Mudda padł na kolana i zaczął modlić się, kierując wzrok w stronę gwiazd, ponad dachy płonącego miasta. Prosił Jedynego o siłę dla rebeliantów, której potrzebowali, by pokonać szalonego proroka i jego sługi. By wreszcie zdarzyło się coś, co przełamie upiorny impas.

*

— Niech ktoś idzie po pomoc! — ryczał Duzzah, próbując zagłuszyć huk tarana. — Muszą w końcu przyjść, nie mogą nas tu zostawić samych, do diabła! Nie z bandą beużytecznych bachorów!

Chłopcy, którzy siedzieli skuleni pod najbliższą ścianą, drgnęli na te słowa. Nie dość, że mieli w trzydziestu bronić pasterskiej furty przed dorosłymi i świetnie uzbrojonymi buntownikami, to jeszcze co chwila byli kopani lub przeklinani przez własnego dowódcę.

— Idź do swego przełożonego, na wszystkie demony! — krzyknął Duzzah do Jastrzębia, który miał im pomóc w utrzymaniu posterunku. — Powiedz, że lada chwila wrogowie dostaną się do środka, że potrzeba nam posiłków!

— Trzęsiesz kolanami jak dziewczica przed nocą poślubną, Ginbarze — rzucił pogardliwie Jastrzęb. — Furta jest mała i gruba, wytrzyma dużo, szczególnie teraz, gdy podparliśmy ją kamieniami oraz worami piachu. Przy

głównej bramie wróg wdarł się głęboko w miasto. Tam bardziej są potrzebni prawdziwi żołnierze!

Duzzah w odpowiedzi zaklął i zdzielił po głowie najbliższego chłopca.

Czas mijał, ataki buntowników stawały się coraz bardziej zaciekle, lecz na razie nie mogli wdrzeć się do wnętrza, mimo że za pomocą drabin zaczęli forsować mur także górą. Trójka Duzzahów oraz Jastrząb wzięli ze sobą dziesięciu uczniów, po czym wbiegli na blanki, odpychać wroga. Strzały, które posypały się zza muru, uśmierciły czterech wyrostków, a ich agonalne krzyki przeszły pozostałych chłopców zimnym dreszczem.

— Nie uśmiecha mi się ginąć za proroka, który zamordował moich rodziców, ani zabijać ludzi, którzy przeciw niemu wystąpili — powiedział cicho Medib.

Ezih skinął głową.

— Jest nas na dole dwudziestu, Duzzahów tylko dwóch. Jeśli zaatakujemy szybko, może zdążymy otworzyć bramę, nim tamten Jastrząb zbiegnie z blanków.

— Może? — szepnął ktoś. — A jeśli nie? Oni są szybsi od wyścigowych saurów! Dopadnie nas i wyrznie w okamgnieniu!

— Nie mamy wyboru — odparł Ezih. — Kto ze mną?

W końcu zgodzili się wszyscy. Ufali mu, jakby był ich ojcem i starszym bratem w jednej osobie. Poczekali, aż na blankach walki przybrały na sile, a potem zerwali się nagle i zaatakowali parę Duzzahów, mierząc w nich włóczniami dokładnie w taki sposób, jaki nauczyciele sami pokazali im podczas treningów.

Obaj mężczyźni padli natychmiast, zakłuci przez dwie dziesiątki ostrzy. Wtedy chłopcy pobiegli do furty, rozrzucając barykadę z siłą, której nikt nie spodziewałby się po ich małych ciałach. Hałas przyciągnął uwagę Jastrzębia.

— Przekłęci zdrajcy! — krzyknął.

Potężnym susem zeskoczył na dach pobliskiego budynku, a z niego wprost na ulicę. Wyciągnął ghank i uderzył na chłopców. Choć wyglądał przerażająco, pięciu z nich odważyło się zastąpić mu drogę. Jastrząb roztrącił włócznie i rozplątał śmiałków błyskawicznymi cięciami. Jednak bohaterscy uczniowie swoim życiem kupili towarzyszom odrobinę czasu. Barykada znikła, Ezih zaś siłował się z rygłem od furty, który wypaczył się na skutek uderzeń.

— Zostaw to, bękarcie! — wrzasnął Jastrząb i zaszarżował na chłopca.

Inni uczniowie uciekli, widząc atak wojownika oraz jego skrwawione

ostrze, ale Ezih stał dalej, odwrócony do wroga plecami. Spinał wszystkie mięśnie, próbując odblokować drzwi.

— Pomóż mi, dziadku... — szepnął.

I nagle wygięty skobel puścił. Sługa proroka był ledwie dwa kroki za plecami chłopca, kiedy Ezih, dokonawszy dzieła, odskoczył gwałtownie i przewrócił się na bruk.

— Przeklęty... — wysapał Jastrząb, biorąc zamach.

Jednak w tym momencie skrzydło furty otwarło się, wpuszczając uzbrojone sylwetki. Jakiś jednoręki mężczyzna w zbroi Świętego Jeźdźca dopadł Jastrzębia i rozplątał mu kark. Ghank, który wypadł z dłoni asasyna, brzęknął o kamienie tuż przy Ezihu.

— Jedyne odpłaci wam za odwagę! — krzyknął do chłopców Jeździec.

Jego ludzie szybko wyrznęli resztę Duzzahów na murze, po czym ruszyli w głąb miasta.

Ezih wraz z towarzyszami został przy otwartej furcie. Zamknął oczy i modlił się, dziękując dziadkowi oraz Najwyższemu za ocalenie.

*

Huk płonącego budynku, który zapadł się, strzelając w niebo strugami iskier, zagłuszył ostatnie słowa gońca.

— Powtórz! — krzyknął Al'Shannagg.

— Rozkazy idą z Piaskowej Iglicy. Nieprzerwanie, od początku szturm! Co kilka chwil z pałacu wybiegają gońcy. Ludzi białoskórego otoczono już pod fortem, a reszta oddziałów musi walczyć o każdy budynek. Wróg przemieszcza się w zorganizowanych grupach.

Osmalone brwi Kashima zmarszczyły się. Przecież szalony prorok nie mógł tak dobrze kontrolować zmiennego i chaotycznego pola bitwy! Nie miał Lammadza ani Al'Ghaziego, a jednak ktoś wziął na swoje barki obronę Tel'Halik i czynił to nadzwyczaj sprawnie.

Al'Shannagg spojrział w górę, ponad dachy domów, ponad splątany wir ognia i krzyków, gdzie królowała Piaskowa Iglica. Jej niewzruszony, jasny kształt dumnie wznosił się nad miastem, niczym kolumna spinająca rozgrzaną od pożarów ziemię z chłodnym, spokojnym niebem.

Kashim zmrużył oczy przy kolejnym podmuchu parzącego wiatru. Oceniał wieżę, zupełnie jakby była wrogim zapaśnikiem, jak gdyby planował chwycić ją u podstawy i wyrwać z fundamentów.

Światło. W kaplicy na szczycie paliło się światło. Al'Shannaggowi zdało się nawet, że zobaczył ciemną sylwetkę stojącą na balkonie. Domyślał się,

kim była istota, która górowała kilkaset stóp ponad rozszalałym żywiołem wojny. Wiedział, kto ogarnia teraz wzrokiem całe Tel’Halik, układając w głowie plany i kolejne rozkazy.

Al’Shannagg, choć od czasu Bitwy Siedmiu Armii nie czuł strachu, zdał sobie nagle sprawę, że cierpie mu skóra na karku, a serce zaczyna bić żywiej. A więc wszystko dokona się już zaraz...

— Panie — rzekł Darhir — jaka jest twoja wola?

— Wybierz mi dwa tuziny najlepszych ludzi — odparł Kashim głosem tak słabym i matowym, że wszystkich, którzy go słyszeli, przeszył dreszcz.

Iglica czekała, bielejąc w świetle gwiazd.

*

Wkrótce siły religijnych fanatyków, Jastrzębi oraz Czerwonych Turbanów zaczęły topnieć. Nie wyprowadzano już kontrofensyw na przyczółki wroga wokół bramy. Obrońcy z przerażeniem dowiedzieli się, że grupa Świętych Jeźdźców zaatakowała pałac i przerwała linie dowodzenia.

Wierni prorokowi ludzie przeszli do defensywy, skupiając się wokół kluczowych punktów miasta. I choć uczniowie Lammadza dokonywali niesamowitych czynów, uderzając z zaskoczenia na dziesięciokrotnie liczniejsze oddziały wroga, ich działania mogły tylko odwlec to, co nieuniknione. W każde miejsce, gdzie grasowała większa grupa Jastrzębi, ściągano zaraz białoskórych magów lub Świętych Jeźdźców, którzy byli dla nich równym przeciwnikiem.

Wkrótce nad poczerniałymi murami Orlego Fortu załopotał proporzec Świętych Jeźdźców. Zdobyto też Pałac Sprawiedliwych, a wielu jeńców, mimo głodu i słabości, stanęło po stronie wyzwolicieli, by wziąć krwawy odwet na oprawcach. Teren kontrolowany przez buntowników rósł, choć na tak zmiennym polu bitwy szala zwycięstwa w każdej chwili mogła przechylić się z powrotem.

*

Wśród nomadów od wieków krążyła baśń o tym, że w jedną noc każdego roku pustynia niespodziewanie rozkwita; że drobne kamyczki, których pełno w piasku, wypuszczają pąki, a wkrótce potem martwą ziemię przykrywa wielobarwny dywan. Powiadają, że kto zobaczy cudowną przemianę, do końca życia będzie się cieszył niezwykłym szczęściem i doskonałym zdrowiem, jeśli tylko nikomu nie opowie swej przygody.

W noc szturm na stolicę wiedźma Zebari na własne oczy ujrzała, jak baśń zmienia się w rzeczywistość. Nie liczyła jednak, że spotka ją dzięki

temu szczęście.

Przed nią, daleko na piaszczystej równinie, wyrósł szkarłatny kwiat niewyobrażalnych rozmiarów. To Tel'Halik rozkwitło koroną ognia i dymu, zupełnie jakby na kamienny pąk, który przez tyle lat leżał bez ruchu wśród wydm, spłynął nagle ożywczy strumień ludzkiej wściekłości.

Z tej odległości trudno było dostrzec, kto tryumfuje, a kto przegrywa. Nie dochodziły stamtąd żadne krzyki czy odgłosy, poza odległym, zlanym szumem. Tylko raz dało się w nim rozpoznać jakiś wibrujący wrzask.

Twarz Zebari wykrzywiła się. Cienie, które powstały na niej za sprawą odległej łuny, zmieniły blizny po ospie w czarne, bezdenne studnie. „Oto, młoda Jelayo, dzieci bogów rozszarpują sobie gardła kłami i pazurami — rzekła w myślach do uczennicy, która czekała dwa farsangi dalej, w spokojnej oazie. — Dawny ład wali się w gruzy, krew bogów wsiąka w piach, nie doczekawszy się potomstwa. Sami bogowie zginęli, a ich spadek rwany jest na sztuki. Krew, największy dar, jaki miała ludzkość, już wkrótce będzie droższa od białych brylantów. Trzeba wyrwać dla siebie jak największą część tego dziedzictwa, póki można. Ja już wyrwałam. Dziecko jest silne i zdrowe, a tego, co dała mu pomieszana krew, nie zrozumie jeszcze przez wiele lat. Ty zaś nie zrozumiesz nigdy, moja droga. I nie dowiesz się, jaki prezent otrzymałaś od losu”.

Twarz Zebari stężała jak maska i tylko oczy żyły jeszcze, przesuwając się wolno po płatkach ognistego kwiatu. Czuła się dziwnie na myśl o tym, ile istnień pochłonie dzisiejsza walka oraz ile niewinnych ofiar padnie ofiarą żywiołu. Nie smuciła się jednak.

Wielki poeta Al'Dini napisał kiedyś, że każda opowieść kończy się śmiercią, jeśli ciągnąć ją odpowiednio długo. Wiedźma wiedziała, że to nieprawda. To tylko bohaterowie ginęli, historia zaś nie umierała nigdy, meandrując w przyszłość, poza zasięg ludzkich przewidywań. Dlatego, patrząc jak płonie Tel'Halik, Zebari nie martwiła się tym, co właśnie się kończy. Zamiast tego próbowała odgadnąć, co może się zaczynać.

*

Pierwszy raz w życiu Al'Shannaggowi dane było oglądać Piaskową Iglicę od środka, nie miał jednak czasu poświęcać jej uwagi. Pędził w górę, skacząc po dwa, trzy stopnie naraz. Odgłosy zaciętej walki, którą Święci Jeźdźcy toczyli jeszcze w ogrodzie u stóp wieży, cichły powoli, w miarę jak wbiegał coraz wyżej.

Al'Shannagg był odziany w pełną zbroję, w dłoni ścisnął szablę. Ciężkie

walki z Jastrzębiami oraz pałacową strażą zmęczyły go. Mimo to był gotów do starcia z Bestią, choć Pierwsza Kompania, która miała go w tym wesprzeć, utknęła na dole, broniąc dostępu do wieży przed kolejnymi falami wrogów.

Czuł się jak Święty Jeździec z dawnych lat, a dar tętnił mu w żyłach tak mocno, jak nigdy wcześniej. Wąskie okienka, umieszczone w ścianach Iglicy co kilkadziesiąt stopni, mijaly go tak szybko, że nawet nie próbował ich liczyć.

W końcu, po długim biegu, Al'Shannagg stanął pod wrotami Kaplicy Objawień i zawahał się. Ledwie pamiętał czasy, gdy był jeszcze wiernym poddanym proroka, ale pomysł wkroczenia do najświętszego sanktuarium Ocalonego Ludu wciąż budził w nim dreszcz. Opanowawszy niepewność, dostrzegł, że lewe skrzydło jest niedomknięte. A więc Bestia była w środku! Al'Shannagg pchnął lekko drzwi i ostrożnie, na ugiętych nogach, z szablą gotową do ciosu, wszedł do kaplicy.

Gad już czekał. Stał dokładnie po drugiej stronie sali, za plecami mając szczerozłoty ołtarz oraz płaskorzeźbę wysadzaną cennymi kamieniami. Al'Shannagg, skupiwszy uwagę na wrogu, mimowolnie obrzucił szybkim spojrzeniem przepysznie złożoną kopułę Iglicy oraz wspaniałe freski. Piękne to było miejsce, pełne niezwykłego spokoju. Żałował, że będzie musiał splamić podłogę sanktuarium krwią.

— A więc znów się spotykamy, yaurański szpiegu — rzekł do Bestii, skracając dystans. — Dawno temu wziąłem cię za demona, dziś wiem, że jesteś kimś gorszym. Przez wieki zwodziłeś mój lud i fałszowałeś Księgę. Teraz spotka cię kara.

Gad nie odpowiedział. Miał na sobie prostą, czarną szatę. Na jej tle odcinała się wyraźnie broń, którą ścisnął w lewej dłoni — lekko zakrzywiony sztylet niezwyklej urody, bogato inkrustowany złotem.

Al'Shannagg znów zrobił kilka kroków, lecz zatrzymał się, gdy w półmroku kaplicy zobaczył dokładniej twarz gada. W oczach Bestii błyszczało czyste szaleństwo, na obliczu widniały szramy po własnych pazurach.

— Powiedz, czemu jeszcze walczysz? Cesarz nie żyje, jego imperium upada. Twoja rodaczka to zrozumiała, jest już w drodze do domu. Ty jednak uparłeś się, żeby utrzymać w garści miasto oraz szalonego proroka. Po co? Czemu po prostu nie odejdziesz?

Gad przycisnął do piersi swój dziwny, złożony sztylet, zupełnie jakby to

miało służyć za odpowiedź.

— Zawsze wierni — syknął.

Chwilę potem skoczył w stronę Al'Shannagga jednym długim susem.

Od pierwszych chwil walki Kashim zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z kimś, w kogo żyłach płynie wiele boskiej krwi. Snaar ruszał się szybko jak błyskawica, a jego ciosy miały ogromną siłę. Na dodatek uderzał zarówno ostrzem, jak i szponiastą łapą.

Każde parowanie i każdy unik wymagały pomocy daru, bez niego Al'Shannagg stałby się po prostu za wolny, a siła wrogich uderzeń wybiłaby mu bark. I choć jego wyśmienite ostrze z damascyntu przeżyło wiele, to nawet pod ciosami dwuręcznych mieczy nie gięło się tak, jak pod sztyletem Snaara.

Kashim nie chciał czekać, aż wróg całkiem pozbawi go mocy, i nie dawał się zepchnąć do obrony. Ponieważ obaj nie chcieli oddać inicjatywy, walka była dzika i zaciekła. Gad syczał, człowiek sapał, ściany kaplicy czekały zaś spokojnie, kto wytoczy pierwszą krew.

Zrobił to Al'Shannagg. Zbił silne pchnięcie wroga, potem zanurkował pod jego łapą i ciął w bok, rozłupując łuski i sięgając ciała pod spodem. Mimo to gad nie zwolnił, jak gdyby zupełnie nie czuł bólu. Za to jego szpony spadły na biodro Al'Shannagga, rozdarły łuski zbroi, jakby zrobiono je z pergaminu, i zgrzytnęły na miednicy.

Ból powinien był sparaliżować Kashima, ale dar i szaleńcza chęć unicestwienia potwora stłumiły go natychmiast. Święty Jeździec nie zaprzestał ataku. Jednak w kolejnej, błyskawicznej wymianie ciosów przyjął cięcie sztyletu na metalowy naramiennik. Krótka broń, o dziwo, nie poszła w drzazgi; metal, z którego była zrobiona, wytrzymał i rozłupał zbroję Al'Shannagga.

Głębokie, sięgające kości cięcie niemal wyłączyło z walki lewe ramię Kashima. Gad pozwolił sobie na okrzyk tryumfu, lecz Święty Jeździec napierał jak w transie. Jego oczy błyszczały groźnie, nozdrza rozděły się, dziwna moc wypełniała ciało, choć nie miał czasu zastanawiać się nad jej pochodzeniem. W jednym natarciu wykonał dwie finty, zepchnął Snaara o kilka kroków, po czym uderzył go w szyję celnym, szybkim pchnięciem, które przeszło tuż nad wrogim ostrzem.

Pióro szabli przebiło się na wylot. Bestia wydała osobliwy gulgot, a potem, ku zdziwieniu Al'Shannagga, chwyciła oburącz głownię, wyszarpując ostrze. Gdzia krew spłynęła na ziemię z przeciętych dłoni i rozplątanych żył.

Snaar cofnął się chwiejnie kilka kroków. Kashim sprężył się do ataku, lecz w tym momencie Bestia wyciągnęła dłonie na bok, po czym wezwała moc tak wielką, że Al'Shannagg spodziewałby się jej tylko po Bogu.

Kaplica pojaśniała. Powietrze zapachniało ostro niczym po burzy.

Okna po obu stronach sanktuarium dosłownie eksplodowały, a szklane i metalowe odłamki witraży uderzyły w Al'Shannagga jak huragan. I choć rozbijały się na łuskach w szklaną miazgę, wichur nie ustawał, otoczywszy Kashima na podobieństwo trąby powietrznej. Święty Jeździec raz jeszcze przywołał dar, lecz nawet jego moc była niczym w porównaniu z siłami, które Snaar zbudził w obliczu śmierci.

Zbroja rozsypała się na kawałki, które tajfun zaraz obrócił przeciw Kashimowi. Ból. Darte mięso. Tysiące ostrzy niemal obrało Al'Shannagga z ciała. Ten Święty Jeździec, wygnaniec, najemnik, prorok, umierał wśród ogłuszającego huk, oślepiony, z gardłem zalany krwią. Ból wypędził z jego głowy wszystkie myśli, poza jedną.

Po chwili wiatr ustał, a deszcz odłamków z brzękiem opadł na podłogę.

Snaar cofnął się chwiejnie, dotykając szyi, przez którą szybko uciekało życie. Zebrał resztki sił, by zasklepić ranę, ale w tym momencie dostrzegł coś przerażającego.

Strzęp, który ledwie przypominał człowieka, naszpikowany odłamkami, ociekający krwią, nie upadł, jak spodziewał się tego Snaar, lecz w jakiś niepojęty sposób zaczął — krok za krokiem — przesuwać się do przodu. Zostawiał za sobą ślad posoki, a przez skórę, niemal zdartą z piersi i brzucha, widać było pulsowanie trzewi. Lewa ręka zmieniła się w postrzępiony kikut, zakończony kością. Prawa jednak, choć rozszarpana, wciąż ścisnęła szablę.

Gad zrobił jeszcze krok do tyłu. Twarz Kashima, a raczej czaszka obleczona resztkami mięśni, jakby się szczyrzyła w złym uśmiechu. Jego ciało zaś niestrudzenie parło do przodu, poruszane, niczym marionetka, darem i boską krwią.

Yaurańczyk przygotował się do obrony. Kurczowo chwycił inkrustowane ostrze i wyciągnął je przed siebie, jakby liczył, że prezent od Cesarza uchroni go przed wrogiem. To, co było Kashimem, przyspieszyło.

Dwa razy szabla błysnęła w świetle gwiazd. Oba ciosy były zbyt szybkie i silne, by umierający Snaar je powstrzymał. Jeden rozorał mu pierś, drugi rozpołowił czaszkę niemal po szczękę.

Upadłszy na ziemię w agonalnych drgawkach, gad darł szponami posadzkę. Zaraz tuż obok osunęło się na kolana ciało Kashima. Chwilę

tkwiło tak, jakby w upiornej parodii modlitwy, a następnie padło na twarz.

*

Gdy wyznaczone przez Kashima cztery cele wewnątrz Tel'Halik zostały opanowane, Brenvan począł niecierpliwie wyglądać powrotu przyjaciela. Ludzie proroka wciąż grasowali po mieście, toteż potrzebne były nowe rozkazy i rozsądny plan oczyszczania dalszych dzielnic. Mijał jednak czas, a nikt nie nadchodził od strony pałacu. Tylko raz, na samym szczycie Piaskowej Iglicy, rozbłysło światło, które przyprawiło Brenvana o dziwny dreszcz.

W końcu zdecydował, że trzeba koniecznie sprawdzić, co się dzieje w wieży. Było to tym ważniejsze, że plotki o śmierci Vezamara rozprzestrzeniały się szybko, a buntownicy wciąż nie mogli ani ich zdementować, ani potwierdzić.

Zabrawszy ze sobą trzydziestu paru ludzi, Brenvan przebiegł plac Świątynny i szeroką aleję, dzielącą Pierwszą Świątynię od pałacowego muru. Potem wszedł do kompleksu przez jedną z wyważonych furt. Swoim żołnierzom nakazał ostrożność, bo wiedział, że ludzie Vezamara mogli schronić się w pałacu, by tam stawiać opór do ostatka, albo się przegrupować. Jednak wspaniałe, piętrowe ogrody i przestronne sale przywitały rycerza tylko martwą ciszą.

Większość służby i dworzan uciekła stąd w pierwszych godzinach szturm. Została gwardia oraz kontyngent Jastrzębi; ich ciała leżały rozrzucone po całym pałacu. W miarę jak Aam Caerleigh zbliżał się do podstawy Iglicy, trupów przybywało. Od czasu do czasu dostrzegał też martwego Jeźdźca lub przebitego kilkunastoma ostrzami maga. Widział, że ludzie Kashima stoczyli tu nadzwyczaj ciężki bój, przedzierając się przez szeregi przybocznej straży proroka.

Tuż przed Zakazanym Ogrodem Brenvan spotkał wreszcie kogoś żywego w tej ponurej krainie zmarłych. Siedmiu Świętych Jeźdźców i trzech magów zajęło okrągłą salę z fontanną, gdzie próbowali opatrzyć rannych towarzyszy. Po zbrojach Aam Caerleigh poznał, że paru Jeźdźców należało do Pierwszej Kompanii. Czyżby głupiec Al'Shannagg ruszył na Yaurańczyka bez nich?

Rozmowa z ocalałymi potwierdziła te obawy. Rycerz dowiedział się, że gdy oddział dotarł pod Piaskową Iglicę, atakowany wściekle przez gwardię proroka, Al'Shannagg nakazał bronić wejścia, a sam ruszył na górę. Już nie zszedł.

Jego ludzie w końcu zwyciężyli. Pognawszy wrogów z centralnych sal,

odkryli w jednej z komnat złożonego na posadzce trupa proroka. Następnie zaopiekowali się rannymi. Żaden z Jeźdźców jeszcze nie wchodził na szczyt, bo zostało ich niewielu, a każda para rąk była na wagę złota.

Brenvan zostawił swoich żołnierzy przy oddziale Kashima i przekazał dowództwo porucznikowi, a sam wszedł do Zakazanego Ogrodu. Ozdobne drzewka kołysały się lekko na wietrze; mogłoby się wydawać, że ich cichy szum uspił kilkadziesiąt osób, które leżały w dziwnych pozach, rozrzucone na trawie. Tylko czerwone od krwi źdźbła zdradzały, że ów piękny, spokojny zakątek był w istocie pełnym trupów pobojuwiskiem. Pod drzwiami Iglicy stało dwóch, śmiertelnie znużonych, bladych Jeźdźców.

— Coś się działo na górze?

— Nie, panie.

Aam Caerleigh, skinąwszy głową, wszedł do środka.

Rozpoczęła się mozolna wspinaczka, bardzo uciążliwa dla zmęczonego rycerza w pełnej zbroi. Co jakiś czas przystawał, by zaczerpnąć przez wąskie okienko świeżego powietrza, dlatego długo trwało, nim w końcu zjawił się pod wrotami kaplicy, na samym szczycie budowli. Skrzydło było otwarte na oścież. W środku wspaniałego niegdyś wnętrza hulał wiatr. Odłamki strzaskanych okien pokrywały każdy cal posadzki, a na jej środku spoczywały dwa ciała.

Serce Brenvana drgnęło boleśnie. Zbliżył się, po czym opadł na kolana i wydał jęk bólu pomieszanego ze wściekłością.

Tuż obok Yaurańczyka leżał zmasakrowany trup jego przyjaciela. Ani dar, ani opieka bogów nie pomogły mu ująć z życiem ze starcia, w którym stawiał czoło przeciwnikowi znacznie silniejszej krwi.

— Czemuś nie wziął Pierwszej Kompanii, przeklęty głupcze? — rzekł gorzko Brenvan. — Czemu poszedłeś sam...?

I rozplakał się. Wszystkie emocje minionej bitwy znalazły ujście w tym szlochu. W jednej chwili maska wojownika opadła mu z twarzy, ukazując oblicze zwykłego człowieka, którego spotkało nieszczęście ponad jego siły.

Historia dobiegła końca. Tel'Halik było zdobyte, prorok i cesarski sługa leżeli martwi. Przez głowę Brenvana przebiegały różne wspomnienia — pierwsze spotkanie z Kashimem wśród piasków, jego wygnanie, wędrówka, zima na zamku Caerleigh. Przywoływał w pamięci innych — van Dreycka, Vailanę i wszystkich, którzy pojawili się na ich drodze, a potem odeszli.

Teraz w te ślady podążył wygnaniec z krainy piasków, jego tajemniczy wróg oraz szalony prorok. Aam Caerleigh czuł się, jakby był ostatnim

człowiekiem na świecie — jakby po okrutnych grach bogów została tylko plansza pełna zbitych figur.

Wtem, patrząc na ostre odłamki wbite w ciało Al'Shannagga, zrozumiał przepowiednię, której od tak dawna się lękał. Teraz pojął, że to Kashim miał zginąć pod tysiącem ostrzy, jego samego zaś czekały gorzkie lata na obczyźnie. Nie wątpił, że diuk zechce mieć baczenie na Święte Miasto i z pewnością zostawi tu garnizon lub dyplomatyczną placówkę, a któż pokieruje nią lepiej od kawalera Aam Caerleigha...?

Tak oto okrutne słowa wiedźmy znalazły swoje spełnienie. Skulony nad ciałem martwego towarzysza Brenvan uśmiechnął się przez łzy.

Nie przypuszczał, że tej nocy czeka go jeszcze jedna żałoba.

*

Po północy walki zaczęły gasnąć, w przeciwieństwie do pożaru, który rozszerzył się na ciasną zabudowę Krwawego Sztyletu. Buntownicy mieli już w rękach wszystkie ważne punkty stolicy. Tylko gdzieś tam ludzie Vezamara jeszcze się bronili. Teraz większość sił sojuszników zwróciła się ku walce z żywiołem.

Zagrożeniem okazali się też białoskórzy. Wielu z nich, zgodnie z przyjętym w swych krainach obyczajem, zaraz po bitwie rzuciło się do plądrowania. Przeczesywali zarówno prywatne rezydencje, jak i świątynie i pałace, zabijając każdego, kto miał się czelność sprzeciwić. Zdarzały się i gwałty na mieszkankach Tel'Halik.

Brenvan, mimo zmęczenia oraz rozpaczony po śmierci Kashima, rozesłał grupy, które miały ścigać maruderów. Jedną powiódł Nahar w stronę Kopuły Niebios, gdy tylko dworzanie donieśli o rabunkach, jakich oddział białoskórych dokonywał w najstarszej świątyni Tel'Halik. Al'Iarnak był odrętwiały ze smutku, a zwycięstwo straciło dla niego smak, gdy dowiedział się o zgonie przyjaciela, lecz mimo to nie mógł pozwolić na świętokradztwa i grabieże w sercu Świętego Miasta.

Przemierzył wraz z kilkunastoma zbrojnymi ciche, usłane trupami ulice. Potem minął wyważoną bramę pałacu, z bólem przypominając sobie, jak przekraczał ją przeszło rok temu, u boku powstańców. Teraz jednak nikt nie bronił korytarzy ani długich sal, tak więc oddział z łatwością dotarł w okolice niższego ogrodu, gdzie wznosiła się Kopuła. Z jej środka słychać było płacz, jakieś krzyki i przekleństwa w mowie wschodu.

Gdy Nahar i jego towarzysze wkroczyli do świątyni, zobaczyli grupę białoskórych, zrywających ze ścian złote kandelabry. Na środku sali leżały

trupy kilku Duzzahów oraz dworzan, którzy próbowali bronić świętego miejsca. Młoda kobieta, sądząc po stroju pałacowa służka, kwiliła, obejmując rozplataną głowę jakiegoś gwardzisty. Rabusie nie zważali na nic. Skupieni byli tylko na bogactwie, które wydzierali pradawnej świątyni.

Nahar poczuł mdłości. Czy za to właśnie walczyli? Czy temu służyła odwaga paszy, poświęcenie Kashima, śmierć większości Świętych Jeźdźców? Rozgoryczony, nie mógł uwierzyć, że tak wyglądało wolne Tel'Halik.

Wkrótce słabość ustąpiła miejsca furii. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Al'Iarnak zbliżył się szybkim krokiem do jasnobrodego rycerza, który dowodził grupą.

— Przestańcie, na wszystkie demony pustyni! — krzyknął. — Postradaliście zmysły?

— Bierzemy tylko, co nasze — odparł rycerz w łamanej mowie piasków. — Nie mieszaj się, wojowniku.

— Wasze?! — Nahar aż spurpurowiał z wściekłości. — To własność Pałacu Proroka! Odłóżcie wszystko na ziemię i rzućcie broń.

— A jak nas powstrzymasz? — zapytał ze śmiechem jasnobrody. — Widzieliśmy już dzisiaj, że wy, pogańskie psy, nie potraficie dotrzymać pola dzielnym mężom z Learfeld!

Al'Iarnak nawet nie szukał odpowiedzi, zbyt wytrąciła go z równowagi śmierć przyjaciela i wszystkie okropności, których był świadkiem tej nocy. Wyrwał szablę z pochwy i spuścił ją na szyję rycerza, nim ten zdążył zareagować. Głowa z wybałuszonymi oczyma potoczyła się po posadzce. Towarzysze białoskórego jak jeden mąż rzucili się na Nahara, któremu przyszedł zaraz z pomocą cały jego oddział. Zaczęła się kotłowanina, walka na pięści, kopniaki, ale i uderzenia mieczy.

W ścisłości oraz zamieszaniu czyjś długi sztylet wbił się od dołu w bok Nahara. Ostrze, przeszedłszy pod łuskami oficerskiej zbroi, zagłębiło się aż po jelec.

— Kapitan jest ranny! — krzyknął ktoś, a ludzie Al'Iarnaka ze zdwojoną wściekłością uderzyli na białoskórych, wybijając ich do nogi w ostatecznej, brutalnej walce.

Nahar już nie zobaczył jej końca. Wspaniała kamienna kopuła nad jego głową zawirowała i upadł na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Kikut prawej dłoni kilka razy uderzył spazmatycznie rękojęć sztyletu, jakby Święty Jeździec zapomniał, że nie ma już palców, które mogłyby wyjąć broń z rany.

Chwilę potem Al'Iarnak znieruchomiał, patrząc zamglonym wzrokiem w gwiazdy, które anonimowy twórca cztery wieki wcześniej wymalował na sklepieniu świątyni. We wnętrzu zapadła grobowa cisza.

Podobna cisza spowiła miasto, nad którym wkrótce zaczął szarzyć świt. Wschodzące słońce zobaczyło zupełnie inne Tel'Halik niż to, które pożegnało wczoraj. Tel'Halik martwe i nieruchome, jak otaczająca je pustynia.

Epilog

Minęło wiele dni, nim w mieście udało się wprowadzić ład. Ulice oczyszczono z trupów, ukrócono samosady trwające nieprzerwanie od wyzwolenia stolicy. Aby zażegnać ciągle napięcia, Brenvan wycofał białoskórych poza mury Tel’Halik. Sam jednak pomagał przy ustanawianiu tymczasowej władzy, czym zajmował się przede wszystkim pułkownik Dahir — najstarszy rangą z garstki Świętych Jeźdźców, którzy przeżyli wojnę.

Pomagało mu wielu Duzzahów, głównie dysydentów oraz dawniejszych wrogów proroka, a zwłaszcza Mudda Al’Iarnak. Nawet ci, którzy pamiętali jeszcze Muddzie służbę u Vezamara, puszczała ją w niepamięć, gdy rozeszły się opowieści o niezwykłych czynach, jakich młody duchowny dokonał w ostatnich miesiącach władzy proroka.

Dopiero teraz wychodziło też na jaw, ile buntownicy zawdzięczali Kashimowi. Wielu żołnierzy nie stanęło po stronie proroka tylko z powodu kazań Al’Shannagga; urzędnicy, nawet wysocy rangą, opuścili władcę w chwili szturmowania albo wręcz udaremniła działania obrońców. Liczni Duzzahowie wspomogli atakujących za sprawą nauk Kashima, które poznali z odpisów Muddy.

Słowa tajemniczego kaznodziei oraz wersja Księgi, którą opracował w dniach poprzedzających szturm, bardzo szybko zaczęły krążyć po Świętym Mieście, podnosząc ludzi na duchu. Co starsi Duzzahowie nie mogli się nadziwić, że prosty wygnaniec posiadał wiedzę wystarczającą, by stworzyć tak niezwykle, inspirujące dzieła, które wkrótce miały stać się podstawą odbudowywanej przez Muddę religii.

Sam Kashim, oplakiwany przez Miidzę, został spalony na pogrzebowym stosie trzy dni po zdobyciu miasta. Choć jego prawdziwa sława miała dopiero nadejść, na pogrzeb i tak przybyło wielu żołnierzy, duchownych oraz ludzi, którzy dowiedzieli się, że właśnie on był tajemniczym nauczycielem.

Miesiąc później Tel’Halik zaczęło odżywać. Z Tel’Amman dotarły pierwsze dostawy żywności oraz towarów. Mieszkańcy wracali z wygnania do swoich domów. Odbudowano Orli Fort, a Pałac Proroka przygotowywał się na przyjęcie kolejnego władcy. Powoli otwierały się warsztaty, sklepy, a nawet tawerny i zamtuzy. Ruszyła też na nowo Rozbita Amfora — dzięki

sprytowi i obrotności Alima, który za przedmioty domowego użytku wytargował od Degów kilka amfor, zrabowanych z piwniczek Pałacu Proroka, a potem wyprosił meble od tymczasowego zarządcy łaźni przy placu Świątynnym.

Oczywiście wśród ludu byli jeszcze poplecznicy Vezamara, którzy szerzyli jego kult, sprzeciwiając się nowym porządkom. Z jego dawnych współpracowników nie schwytano między innymi Yholeda. Świadkowie twierdzili, że zstąpił z garstką Jastrzębi oraz najwierniejszych poddanych do jaskiń. Nie szukano go tam. Labirynt grot był wielki, a nowi władcy Świętego Miasta mieli na głowie ważniejsze sprawy.

Wkrótce zbiegły się dwa ważne wydarzenia. Pozostali przy życiu Duzzahowie zebrali się w Pierwszej Świątyni, aby wybrać spośród siebie nowego proroka. Wiedziano już wtedy, że wybór może być tylko jeden. Kto zasługiwał na godność bardziej niż osoba, która przeciwstawiała się Vezamarowi w okresie największego terroru? Niż człowiek, który rozpowszechnił nauki Kashima i zreformował na ich podstawie Księgę, wskazując miejsca, które były sfalszowane przez gada z odległej krainy?

Tak oto, w czterysta siedemnastym roku po Dniu Sądu, na Księcia Wiernych wybrano Muddę Al'Iarnaka, zwanego też Muddą Jednookim. Przysługiwał mu tytuł Dwudziestego Proroka, lecz on nazwał się dwudziestym pierwszym. Za jego wstawiennictwem Duzzahowie zgodzili się bowiem zapisać przed nim w kronikach proroka Kashima Al'Shannagga. Uznano, że panował nad wiernym ludem przez ostatnie dwa miesiące życia, kiedy to nauczał potajemnie mieszkańców Tel'Halik, podczas gdy Vezamar tonął we własnym szaleństwie.

Jedną z pierwszych decyzji Muddy było nadanie Darhirowi tytułu paszy, choć wszyscy wiedzieli, że przywrócenie Świętych Jeźdźców do dawnej siły nie będzie już możliwe. Wojna pochłonęła większość szlachetnie urodzonych mężczyzn Ocalonej Krainy.

Zginęło lub uciekło także wielu Duzzahów, więc, aby uzupełnić ich szeregi, prorok Mudda szybko uruchomił szkołę przy Pierwszej Świątyni. Zaczęto szukać w Tel'Halik pojętnych i cierpliwych chłopców, którzy chcieliby poświęcić wiele lat na naukę, a potem nieść pomoc wiernemu ludowi. Jednym z pierwszych kandydatów był Ezih, sierota po garncarzu z Szarego Stoku. Gdy przyjmowano go do madrasy, nikt nie mógł przewidzieć, że ten młodzieniec z plebsu stanie się kiedyś jednym z największych kaznodziejów w historii Tel'Halik.

Zaraz po święcie, które łączyło się z nominacją nowego proroka, Brenvan opisał wszystkie zdarzenia diukowi, prosząc przy okazji o nowe rozkazy. Po czterech miesiącach dostał odpowiedź. Dowiedział się, że wojna na wschodzie dobiegła końca, bo generałowie Cesarza po jego śmierci zaczęli walczyć o władzę, a jeden nawet zawarł sojusz z Ziemią Środka, odrywając od lenna Żywego Boga kilka granicznych prowincji. Wyglądało na to, że teraz na długie lata zapanuje pokój.

Filip mianował Aam Caerleigha Baronem Kiraju i nakazał mu założyć w Świętym Mieście ambasadę Gotrlandu oraz utworzyć szlak handlowy między Tel'Amman a portem Merzburg.

Między powoli dochodziła do siebie po bolesnej stracie, a lud Manar wrócił na południe, do słonego jeziora bez końca, które oczarowało królową, gdy przybyła zdobyć okręty Ts'Rang. Tam nomadzi osiedlili się w niedużej oazie, kilka dni drogi od miasta i żyznych brzegów Shaprut. Nie minęło wiele czasu, a okazało się, że władczyni jest brzemienna. Następnej wiosny powiła chłopca o oczach niebieskich jak morskie fale. I tylko niekiedy, w chłodne, szare poranki, płakała, czując się jak kalam wykorzystany i porzucony przez bogów. Dziecko jawiło się jej wtedy jako element boskich intryg, od których tak bardzo chciała się uwolnić. Ale były to jedynie chwile. Lud Manar żył i kwitł pod jej władzą.

Ocalona Kraina z każdym miesiącem wracała do dawnej siły, choć już bez ludzi, którzy nosili w żyłach krew Jedynego, i bez cudów, które zwykli czynić.

Potomkowie Sammara odeszli, podobnie jak tuzin bogów, znacząc koniec Ery Uzurpatorów.

Dziennik wojenny Widza Cztery Głowy, konsyliarza Żurawiej Straży

118 dzień po upadku Boskiego Cesarstwa

Jeszcze jeden chory skonał dzisiaj nad ranem. Z łaski Cesarza i tak trzymał się długo — jego pierś spłaszczyła się jak ciało ryby, a między żebrami otwarły się owalne, pokryte śluzem otwory, które sięgały płuc. Próbowałem zatykać je i odsysać z nich ropę, lecz mimo to nieszczęśnik dusił się powoli. Od dwóch dni nie odzyskiwał już przytomności. Sądzę, że poranka nie dożyje też Mei. Kości jego czaszki całkiem straciły twardość, są jak skorupka jajka nasączona octem. Mei bełkocze i co chwila traci przytomność, cierpi straszliwie. Bez względu na to, jak się położy, czaszka odkształca się i uciska mózg. Przygotowałem mu sztywną, miękko podbitą czapę, lecz jeśli zmiany będą szły dalej, to i ona nie wystarczy.

Z dnia na dzień muszę poświęcać chorym coraz więcej czasu, przez to cierpią moje badania nad samą naturą choroby. Wciąż nie wiem, czemu dotyka najsilniej osoby, które przenosiły sarkofag. Nie rozumiem, dlaczego u każdego choroba przebiega inaczej. Powoli tracę nadzieję, że kiedykolwiek zdołam znaleźć odpowiedź.

Ostatnio spostrzegłem, że prócz zmian fizycznych coraz bardziej dają się we znaki zmiany w umysłach strażników. Ciało wielu z nich są wciąż nienaruszone, ale ich zachowanie bardzo się zmieniło. Stali się małomówni, burkliwi, mają dziwne wahania humorów. Z początku myślałem, że to za sprawą strachu i rozpacz po Umiłowanym Władcy. Teraz widać w tym pewną prawidłowość. Dziś przyłapałem kwatermistrza, jak dyktował adiutantowi list bez użycia słów. Gdy zwróciłem im na to uwagę, bardzo się zdziwili. Byliby gotowi przysiąc, że rozmawiają. Zaczynam się bać...

Nie wiem, co się teraz z nami stanie. Może dziwna choroba, która tak groteskowo wykrzywia ciała, w końcu osiągnie wszystkich? A może pisane jest nam szaleństwo? Może tak być, bo odkąd dotarliśmy do Gór Wodnych, a sarkofag spoczął w grocie, wskazanej uprzednio przez władcę, z dnia na dzień notuję coraz więcej przypadków.

Choć wiem, że Żurawia Straż wypełniła już swą ostatnią misję, żal mi, że jej historia kończy się w ten sposób. Czy nie lepiej było nam już zginąć w

Asar'Aden, razem z resztą braci, broniąc komnat władcy do ostatniej kropli krwi? Czy skrzynia rzeczywiście jest tak ważna, że trzeba było słać stu Żurawich Strażników, by ukryli ją w najbardziej niedostępnych górach Yauranu?

Niech Cesarz wybaczy mą ciekawość, ale coraz bardziej mnie kusi, by zajrzeć do wnętrza sarkofagu. Nocą widzę go w snach, w dzień jego obraz jawi mi się pod powiekami. Gdy jestem w krypcie, czuję nie tylko strach i zagubienie, jak inni strażnicy. Mam też wrażenie Obecności, której tak brakuje nam, sierotom po władcy. Zupełnie jakby drobna część Cesarza i jego Boskiego Ładu przetrwała gdzieś pod ołowianymi pokrywami pojemnika. Wiem jednak, że dotarcie do wnętrza będzie bardzo trudne. Odkleiłem już raz pieczęć i zajrzałem do sarkofagu. Wypełniony jest po brzegi rtęcią, w niej stoi jeszcze jedna, ołowiana skrzynia; to tłumaczy przynajmniej, dlaczego jest tak przeraźliwie ciężki.

Nim kapitan Kuze skonał w mękach, pytałem go kilkakrotnie o to, co jest w środku. Do ostatniej chwili nie chciał zdradzić sekretu, ale gdy okazało się, że jest ostatnim powiernikiem, a lada moment połączy się z przodkami, wyszeptał mi kilka słów. „Księga Wszystkiego — powiedział. — Wiedza, która miała zostać zniszczona, a jednak przetrwała”.

Nie daje mi to spokoju. Musi być w tym jakiś zamiar Boskiego Cesarza. W końcu wysłał nas z sarkofagiem ledwie dwie noce przed swą śmiercią. Czy czuł, że wkrótce zginie? Czy chciał, by zawartość skrzyń nie znikła razem z pałacem? Jeśli tak, to czemu sam go nie opuścił lub nie przygotował się do obrony?

Późno już, a mnie rozbolała głowa. Chętnie bym się położył, ale wiem, że we śnie znów prześladować mnie będzie ołowiana skrzynia — i wiedza, którą Cesarz postanowił w niej ukryć.

Już wkrótce:

Krzysztof Piskorski - Cienioryt

Urok siedemnastowiecznych zaułków, nonszalancja oraz tempo opowieści spod płaszcza i szpady, tajemnice rodem z książek Arturo Pereza-Reverte oraz odrobina magii tak charakterystyczna dla literatury iberoamerykańskiej. Wszystko to składa się na Cienioryt, nową powieść Krzysztofa Piskorskiego, jednego z najzdolniejszych twórców polskiej fantastyki.

W portowym mieście południa, Serivie, każdy cień jest oknem do groźnej i niezbadanej cieńprzestrzeni, w której tunele ryją adepci tajemnych sztuk. Sześciu grandów walczy o wpływy trucizną, zdradą i stałą, małoletni król z trudem trzyma się przy władzy, a inkwizycja rośnie w siłę.

Ale to wszystko sprawy, które trudno obserwować z okna małej izby przy ulicy Alaminho, gdzie mieszka Arahon Caranza Martinez Y'Grenata Y'Barratora, doświadczony nauczyciel szermierki. Arahon pragnie jedynie zapewnić bezpieczeństwo bliskim i odłożyć dość pieniędzy, by opuścić miasto. Przynajmniej do czasu, gdy w jego ręce wpada cienioryt — wypalony na szkłe obraz przedstawiający tajemniczą postać...

*

Cienioryt to nie tylko bogata, pięknie napisana powieść, pełna zaskakujących zwrotów akcja, ale także galeria bohaterów, którzy na długo pozostają w pamięci.

W Serivie cień potrafi rzucić człowieka, odległe o wiele mil drzwi mogą się łączyć, zwykły uścisk dłoni przynosi czasem tragiczne skutki, a słońce ma czarnego brata bliźniaka. Podróż do tego miejsca to niezapomniane przeżycie. Szczególnie w towarzystwie tajemniczego narratora powieści.

Cienioryt Krzysztofa Piskorskiego to literacki dwupak: porywająca przygoda w konwencji płaszcza i szpady, a zarazem światotwórstwo najwyższej klasy, dobrze przemyślane i — co rzadkie — odbijające się w samym sposobie poprowadzenia fabuły. Ten świat tak łatwo wciąga czytelnika, a światłocieniowy koncept Piskorskiego prędko wydaje się naturalny i oczywisty, być może dlatego, że został oparty na najdawniejszych intuicjach ludzkości: w cieniu kryć może się wszystko, a każdy człowiek ma swojego czarnego bliźniaka, cień jego myśli, czynków i snów.

Jacek Dukaj

Po lekturze Cieniorytu Krzysztofa Piskorskiego wyrażenie „bać się własnego cienia” nabiera nowego, mrocznego znaczenia. Świetnie napisana opowieść fantasy, barwny świat, ciekawi bohaterowie i język ostry jak klinga rapiera. Polecam.

Tomasz Majewski - lekkoatleta, Mistrz Olimpijski w pchnięciu kulą

Strona redakcyjna

Copyright © by Krzysztof Piskorski

Korekta i skład: Paweł Dembowski

Ilustracja na okładce: Jean-Léon Gérôme

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-16-3

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1. Płomienie na wodzie](#)

[Rozdział 2. Cesarski gambit](#)

[Rozdział 3. Przepowiednia](#)

[Rozdział 4. Krew na śniegu](#)

[Rozdział 5. Stępione ostrze](#)

[Rozdział 6. Opowieść pielgrzyma](#)

[Rozdział 7. Bitwa pod Aser'Dari](#)

[Rozdział 8. Marsz stu](#)

[Rozdział 9. Ludzie równin, ludzie piasków](#)

[Rozdział 10. Pożyczony czas](#)

[Rozdział 11. Mocobójstwo](#)

[Rozdział 12. Koniec Tuzina](#)

[Rozdział 13. Śmierć w Tel'Halik](#)

[Epilog](#)

[Dziennik wojenny Widza Cztery Głowy, konsyliarza Żurawiej Straży](#)

[Już wkrótce:](#)

[Krzysztof Piskorski - Cienioryt](#)

[Strona redakcyjna](#)